KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ Nr 1/123-2/124 1958



• *« La Culture »* • *Revue mensuelle* •

Al. HERTZ: **ZMIENIAJĄCA SIĘ AMERYKA**

. HOSTOWIEC: **SULMONA**

MACKIEWICZ: **W NOWOSIOŁKACH**

Cz. DOBEK: **"FREE COUNTRY"**

Cz. MIŁOSZ LAUREATEM "KULTURY"

SPIS RZECZY











KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ Styczeń-Luty – Janvier-Février 1958

INSTYTUT 

LITERACKI

ZAMKNIĘCIE ZBIORKI NA BIBLIOTEKĘ NARODOWĄ

Zbiórka na sprzęt dla Biblioteki Narodowej dała w sumie frs 891.270. *Suma ta nie będzie przekazana do Polski, lecz — tak jak zapowiadaliśmy — zostanie zużyta na zapłacenie rachunków za sprzęt nabyty przez Bibliotekę Narodową na Zachodzie. Po załatwieniu zakupów przedstawimy naszym czytelnikom szczegółowe sprawozdanie.*

Zamykając tę zbiórkę stwierdzamy z dużą goryczą, że dała ona nikły rezultat. Jest to zaledwie jedna ósma tych potrzeb, o których informowaliśmy. Niewątpliwie, masowe przyjazdy rodzin z kraju, wzmożony ruch paczkowy, itp., są to pewne względy usprawiedliwiające małe zainteresowanie sprawą Biblioteki Narodowej, ale nie zmienia to faktu, że ogół inteligencji emigracyjnej zbagatelizował tak ogromne i ważne zagadnienie, jakim jest zabezpieczenie niszczejących zbiorów. Nie powinniśmy zapominać, że rolą emigracji jest przede wszystkim efektywna pomoc Krajowi w konkretnych sprawach.



NOTA BIOGRAFICZNA

Czesław DOBEK, ur. w 1910 w Ostrołęce. Dzieciństwo, do r. 1922 spędził w Rosji, chodząc najpierw do szkoły komunistycznej. Następni szkoła w Lublinie i Korpus Kadetów. Kariera wojskowa do r. 1937 (arty leria). Następnie opuścił wojsko i rozpoczął studia dziennikarskie n W.S.D. w Warszawie.

Wojna 1939 w szeregach, wywieziony do Rosji, potem Armia Polsk na Wsch. Drugi Korpus (kapitan artylerii), następnie PKPR i zdobycie no wego fachu: krawiectwo. Obecnie pracuje w Londynie w fabryce damski konfekcji.

Ogłasza wiersze w prasie emigracyjnej (niektóre przedrukowała pras krajowa).

Komitet Roku Mickiewiczowskiego nagrodził jego powieść; ma by ona drukowana w „Dzienniku", który ufundował nagrodę.

Imprimé en France.

Zmieniająca się Ameryka

(Z CYKLU „REFLEKSJE AMERYKAŃSKIE")

I

Przeglądając niedawno *Rocznik Literacki* za rok 1955, za-
rzymałem się specjalnie przy omówieniu przekładów z litera-
ury amerykańskiej. Sprawozdawca zaznaczył, że dorobek roku
955 był w tej dziedzinie „wcale pokaźny, a w stosunku do po-
rzednich lat, odznaczających się wyjątkową posuchą, prawie
mponujący". Oczywiście. Te lata poprzednie to były czasy naj-
iększego napięcia „zimnej wojny" i stalinowskiego „mrozu"
jedynie Howard Fast — wtedy jeszcze nie „renegat" ale „naj-
iększy współczesny postępowy pisarz amerykański" — był
znany za zasługującego na przekłady.

W roku 1955 zaczynała się już „odwilż". Czytelnikowi
olskiemu można było pokazać coś nie coś z twórczości pisar-
kiej Stanów Zjednoczonych. Robiono to nieśmiało, lękliwie,
graniczając się do rzeczy klasycznych i do gotowych przekła-
ów. Dano mu Coopera, Crane'a, Bret Harte'a, Twaina, oczy-
iście Londona (zdumiewające, że pisarz ten, którego sława w
meryce już tak dawno przebrzmiała, jest wciąż aż tak popu-
rny w innych krajach!), dano wreszcie Franka Norrisa i Drei-
era, którego „Tragedię amerykańską" przedstawiono czytelni-
owi polskiemu w „wolnym przekładzie" (!). Z pisarzy współ-
zesnych jeden tylko Howard Fast był tu reprezentowany. Cie-
awe, jakie będą dalsze losy tego — zresztą niezłego, choć dru-
orzędnego — pisarza w krajach demokracji ludowej? W każ-
ym razie przestanie być „największym" i „postępowym".

W roku 1956, a szczególnie po Październiku, sytuacja ule-
ła zasadniczej zmianie. Obecnie przekłady z literatury amery-
ańskiej ukazują się bardzo obficie, wydawani są klasycy (Haw-
horne, Melville i inni), ukazują się pisarze współcześni, żyjący.

Słyszałem o wielkich planach wydawniczych w tej dziedzi
W każdym razie jest nadzieja, że czytelnik polski będzie m
otrzymać jakiś pełniejszy obraz wielkiej literatury Stanów Z
noczonych.

W tym wszystkim interesuje mnie jedno zagadnienie.
wieść — szczególnie zaś powieść obyczajowa — spełnia doni
zadanie poznawcze. Jest ona ważnym narzędziem tworzenia
umyśle czytelnika obrazu kraju, którego ludzi i sprawy opis
Jeżeli chodzi o czytelnika wykształconego, to powieść jest
niejszym środkiem tworzenia w jego umyśle stereotypu k
obcego, niż wszelkie inne źródła informacji — reportaż gaz
radio, film, telewizja, opis geograficzny itp. Kiedym przed
przyjeżdżał do Stanów Zjednoczonych, obraz tego kraju,
posiadałem, był niewątpliwie i przede wszystkim urobiony p
lekturę Uptona Sinclaira, Sinclaira Lewisa, Dreisera i tych p
rzy, którzy wtedy byli mi znani. I na pewno nie byłem tu
jątkiem.

Zupełnie to samo dałoby się powiedzieć o wykształcon
Amerykanach. I ich obraz krajów obcych był przede wszyst
produktem zetknięcia się z literaturą tych krajów. Polska to
taka Polska, jaką znaleźli w „Chłopach" Reymonta — je
z bardzo niewielu powieści polskich, które zostały przyswo
czytelnikowi amerykańskiemu i cieszyły się pewnym powo
niem (dwa wydania, ostatnie na krótko przed wybuchem ostat
wojny).

Powieść ma więc ogromne znaczenie poznawczo-socjolog
ne. Ale kryje ona zarazem w sobie i wielkie niebezpieczeńst
Autor, pisząc ją, nie ma na myśli czytelnika obcego. Ma
uwadze czytelnika-swojaka, któremu jasne i zrozumiałe są
stawowe fakty opisywanego przez powieść życia. Te fakty r
ko są znane czytelnikowi obcemu. Siłą też rzeczy interpre
on swoiście to, co czyta, sprowadzając to do faktów i zagad
sobie znanych. Miłosz ma najzupełniejszą słuszność, twier
w „Rodzinnej Europie", że atmosfera książek Faulknera
Polakowi znacznie bliższa, niż atmosfera książek Balzaka
Zoli. Chodzi nie tylko o to, że świat, jaki opisuje Faulkner,
obiektywnie zbliżony do świata polskiej szlachetczyzny w
XIX, ale i o to, że rzeczywistość polska daje podstawę inter
tacyjną czytelnikowi przy wnikaniu w ludzi i wydarzenia am
kańskiego Południa. Tym też zapewne się tłumaczy fantasty
powodzenie „Gone with the Wind" w wielu krajach Sta
Świata. Powieść tę łatwo było zinterpretować, sprowadzają
do rzeczy własnych i dobrze znanych.

Jednakże taka podstawa interpretacyjna nie zawsze ma
obiektywne uzasadnienie. Ale *jakaś* interpretacja zawsze jest
telnikowi konieczna. I zaczyna ją tworzyć, posługując si
z reguły bardzo dowolnie — faktami z własnego doświadcz
Wspominałem o amerykańskich czytelnikach powieści Reym
Miałem z nimi na ten temat nie jedną rozmowę. Reakcja

zie była jednakowa: jakie to prymitywne, nie do wiary, by ludzie mogli tak żyć! Amerykanina przede wszystkim uderzał prymitywizm wsi polskiej, jej zacofanie techniczne, jej archaiczność społeczna, jej szalona bieda. Ktoś zwrócił uwagę na to, że w „Chłopach'' kobieta na drugi dzień po połogu poszła już do pracy. Zdumiewające!

Za każdym razem musiałem długo tłumaczyć, że „Chłopi'' nie są odtworzeniem współczesnej wsi polskiej, że były pisane przed przeszło pół wiekiem, że trzeba na nie dziś patrzeć jak na powieść historyczną. Podkreślałem, że tak samo choćby „The Octopus'' Franka Norrisa nie może być uważane za przedstawienie życia współczesnej Ameryki. Było to przyjmowane do wiadomości, ale fakt, że „Chłopi'' byli *jedyną* powieścią polską, którą rozmówcy moi czytali (Sienkiewicz ulega zapomnieniu i nie zawsze jest kojarzony z Polską), sprawił, że wyjaśnienia moje były przyjmowane na słowo, raczej grzecznościowo, bez głębszego przekonania. To, co mówiłem, nie mogło wnieść istotnej korektywy do obrazu, jaki dała lektura powieści Reymonta.

Każdy przejaw twórczości ludzkiej jest uwarunkowany historycznie. W szczególnym stopniu odnosi się to do powieści, zwłaszcza do powieści obyczajowej. Jest ona obrazem skrawka zmieniającej się rzeczywistości. Z tego nie zawsze zdaje sobie sprawę czytelnik, zwłaszcza gdy chodzi o rzeczywistość bardzo mu daleką, obcą, nieznaną. I gdy nie dostaje korektywy w postaci powieści (nie mówiąc o innych źródłach informacji), odnoszącej się do późniejszego odcinka czasu.

Do tej pory spotykam się z przyjezdnymi do Ameryki, którzy z największą nieufnością odnoszą się do amerykańskich konserw mięsnych. Jakże można to jeść? Przecież Upton Sinclair tak jasno pokazał, jak te paskudztwa są fabrykowane. I znów trzeba długo tłumaczyć, że od czasu, gdy Sinclair pisał „The Jungle'', minęło przeszło pół stulecia, że czasy zmieniły się radykalnie i że sam Sinclair i jego powieść miały duży wpływ na zupełną zmianę w amerykańskiej produkcji mięsnej. I tu, co mówię, jest raczej przyjmowane na słowo, bez głębszego przekonania. Tyle się przecież można było dowiedzieć od Sinclaira o rzeźniach chicagoskich i o trujących konserwach.

Żyjemy w czasach szalonych przemian. Powieść za nimi nadążyć nie może. Nigdzie, w żadnym kraju. Jakże naiwnie prezentują się nam dziś powieści Żeromskiego. Ani „Ludzie bezdomni'', ani „Uroda życia'', ani „Walka z szatanem'' z pewnością nie są już powieściami współczesnymi. Ani pod względem tematyki, ani pod względem problematyki. Wielkość talentu pisarskiego umie przezwyciężyć te przeszkody czasowe, stwarzając rzecz ponadczasową, która zawsze potrafi do nas przemówić. Cóż z tego, że rzeczywistość historyczna „Anny Kareniny'' utonęła w przeszłości, że Warszawa „Lalki'' jest tak różna od Warszawy dzisiejszej? Zostało się dzieło sztuki, mistrzowskie nakreślenie postaci i konfliktów. Ale wartość aktualno-poznaw-

cza tych powieści dawno się skończyła. Czy jednak w wypac „Lalki" skończyłaby się ona dla czytelnika amerykańskie gdyby powieść Prusa została mu udostępniona? A może rac potwierdziłaby opinię jego o Polsce, wyrobioną na podsta powieści Reymonta.

Zastanówmy się nad rozmiarami przemian, jakie nastą w życiu pokolenia, do którego ja należę. Warszawa mego d ciństwa była Warszawą Skałłona, Ochrany, pułków gwarc skich i Soboru na Placu Saskim. Później przyszła Warsza Beselera, Warszawa Witosa, Warszawa Piłsudskiego i Ryd Śmigłego. Aż wreszcie przyszła nieznana mi Warszawa Fran Bieruta i Gomułki. Nie tylko następstwo czasowe wyraża się tych nazwiskach. Każde z nich oznacza jakąś nową epokę his ryczną, każde jest symbolem całej rewolucji w stosunkach n dzyludzkich, w stylu życia, w ocenach, w kulturze. W żad bodaj z minionych epok historycznych rozmiar i tempo zm nie były tak fantastyczne, jak w naszej. Pamiętam warszaws tramwaje konne i jak lekcje odrabiałem przy lampie naftov Od tramwaju konnego i lampy naftowej do energii atomo i „Sputnika" droga nieprawdopodobnie daleka. W ciągu os nich lat pięćdziesięciu bez przerwy odbywała się rewolucja, kt obejmowała wszystkie dziedziny życia — od drobnych szcze łów tego życia do spraw najważniejszych. To, że ludzie wy zali taką zdolność przystosowywania się do tych zmian, czymś zdumiewającym. Choć — czy naprawdę się do nich p stosowali?

W tych warunkach powieść, która ma być odzwiercie niem życia, za tym życiem podążyć nie może. I tylko w wy kowych wypadkach, gdy jest dziełem nieprzeciętnej wart artystycznej czy ogólnoludzkiej, przechodzi do wielkiego P teonu sztuki. Dość systematycznie czytałem ponownie całą m powieści polskich okresu międzywojennego. Tylko dwie z — Dąbrowskiej „Noce i dnie" oraz Wittlina „Sól ziemi" dały mi świeże i prawdziwe przeżycie artystyczne. Z reszty c część — obejmując w tym rzeczy niezmiernie głośne i zna mitych autorów — była po prostu nie do czytania.

Przemiany amerykańskie zachodziły i zachodzą w inny s sób, niż przemiany w innych częściach świata. Ameryce c były zniszczenia dwóch wojen światowych. Ameryce obce krwawe rewolucje i przewroty, które wstrząsnęły tyloma n dami naszego globu. Ale przemiany amerykańskie były niem wielkie i niemniej wszechstronne. A może jeszcze większe i szcze wszechstronniejsze. Nie przychodziły one z zewnątrz, też nie były następstwami przewrotów, jakie z zewnątrz zos narzucone. Były to przemiany spontaniczne, wynikłe z sa dynamiki życia narodowego Stanów Zjednoczonych. A dynam ta jest czymś jedynym w swoim rodzaju. I gdzie jak gdzie, właśnie w Ameryce powieść nie potrafi nadążyć za szybko dzącym życiem.

II

Mówiliśmy, że Ameryka Uptona Sinclaira należy do przeszłości, bez mała — do zamierzchłej przeszłości. Ale po co mówić o autorze, którego główne powieści powstały przed półstuleciem? Weźmy powieść pisarza zdecydowanie współczesnego, powieść, która w formie wyjątkowo przekonywującej odtwarzała rzeczywistość. Mam na myśli ,,The Grapes of Wrath''.

Powieść Steinbecka była pisana przed drugą wojną, jakieś dwadzieścia lat temu. W ciągu tego czasu pewne zasadnicze elementy, w niej opisywane, zmianie nie uległy. Stan Oklahoma jest nadal *dust bowl* — krajem-kurzawicą, sezonowe migracje nadal istnieją. Ale jak zmienił się ich charakter, jakie społeczne zmiany tam zaszły! Owi wędrujący *pickers* to dziś przeważnie nielegalni emigranci z Meksyku. Dawni *pickers* z Oklahomy, dzięki kolosalnemu uprzemysłowieniu tej części Stanów Zjednoczonych, dziś pracują w przemyśle i prezentują się zgoła inaczej, niż w powieści Steinbecka. Są zorganizowani w związkach zawodowych, inaczej mieszkają, inaczej żyją, niż przed dwoma dziesięcioleciami.

W dużym stopniu powieści pisarzy Południowców przedstają odpowiadać rzeczywistości. Nastąpiło to w latach ostatnich, dzięki kolosalnej rewolucji w technice zbierania bawełny. Od czasów, gdy na Południu Stanów Zjednoczonych rozpoczęła się uprawa bawełny, zbiór jej odbywał się ręcznie. *Pickers* — na dawnych plantacjach czarni, później i biali — zrywali kwiat bawełniany, dochodząc w tym do szalonej wprawy. W czasie ostatniej wojny gruchnęła wiadomość, że została wynaleziona maszyna automatycznie zrywająca kwiat bawełny. Sprawność tej maszyny była tak wielka, że żaden *picker* nie mógł nawet marzyć o współzawodniczeniu z nią. Oczywiście *automatic picker* czynił zbędną armię ludzkich *picker*'ów i wybitnie obniżał koszta zbioru.

Oznaczało to, że milion ludzi straci pracę. Równocześnie biło to w małych farmerów, którzy na swoich półkach bawełnianych nie mogli zastosować drogiej maszyny. Co się stanie z tą wielką gromadą zbędnych robotników? Rozlegały się głosy, że *automatic picker* nie powinien być wprowadzony. Wojna rzeczywiście odroczyła nieco zastosowanie nowego wynalazku. Zwyciężył on po wojnie. Mały farmer musiał skapitulować, setki tysięcy ludzi straciło pracę. Ale równocześnie odbywał się proces wielkiego uprzemysłowienia Południa, w czym *automatic picker,* obniżając koszta zbiorów, miał swoją zasługę. W rezultacie dawni *pickers* przeszli do przemysłu, osiągnęli wyższy poziom życiowy i cały przewrót w skutkach swych okazał się dobroczynny.

Rzecz jednak w tym, że była to zarazem cała rewolucja spo-
łeczna i kulturalna. Nastąpiło zasadnicze przetasowanie zawo-
dowe: ludzie, których nawet w Ameryce można było zaliczyć do
kategorii lumpenproletariatu, przeszli teraz do pracy w przemy-
śle. Z okręgów wiejskich nastąpił odpływ do miast. Podniosła
się stopa życiowa, zaczęły się rozwijać nowe potrzeby i dążenia.
Jak zawsze w takich wypadkach, przemiana nie była rzeczą
łatwą. W parze z nią szło rozbicie tradycyjnego życia rodzinne-
go, przestępczość małoletnich, poważne konflikty osobiste, trud-
ności w przystosowywaniu się do nowych warunków. Ale były
to rzeczy nieuniknione i przejściowe. W ostatecznym wyniku
zmiana była korzystna dla tysięcy istot ludzkich.

Jest to jedna z wielu zmian, jakie ostatnio nadają Połud-
niowi nowe oblicze. Południe zmienia się w tak szybkim tempie
że powieść, opisująca sprawy południowe sprzed lat kilkunastu
dziś zaczyna być czytana jak powieść historyczna.

Jeszcze kilka lat — i tak właśnie będą mogły być czytane
takie powieści jak ,,The Native Son'' Wrighta czy ,,Strange
Fruit'' Lillian Smith. Albowiem nie może ulegać wątpliwości, że
kolosalne przemiany zachodzą i w sferze stosunków Biali-Czarni
Niewątpliwie wiele lat będzie musiało upłynąć zanim ta tragicz-
na sprawa zniknie z życia narodu amerykańskiego. Ileż jednak
tu się zmieniło w ciągu ostatnich lat kilkunastu! Opinia publicz-
na świata została głęboko poruszona wypadkami w Arkansas
i w Tennessee. I bezspornie to, co miało miejsce w Little Rock
stanu Arkansas, musi budzić oburzenie i obrzydzenie. Tak jak
budziło ono oburzenie i obrzydzenie na całym terenie Stanów
Zjednoczonych. Ale — czy na prawdę było aż tak źle?

Pisało się o wydarzeniach skandalicznych i obrzydliwych
mało jednak — a poza Ameryką wcale — pisało się o wspania-
łej postawie jednostek białych podczas tych wydarzeń i o tym
że w całym szeregu stanów integracja szkolna odbyła się spo-
kojnie, bez awantur, z wyraźną aprobatą białej ludności. Lat
temu kilkanaście byłoby to nie do pomyślenia. Dziś coraz bar-
dziej staje się rzeczą jasną, że Ameryka dojrzała do decyzji Sądu
Najwyższego. Oczywiście wypadki takie, jakie miały miejsce w
Little Rock, będą się jeszcze powtarzać. Na to nie ma rady.
Ale są to już ostatnie podrygi umierającej przeszłości, ginących
przesądów i uprzedzeń. A i w samym Little Rock wielka część
opinii była wyraźnie przeciwna awanturze szkolnej. Stare, tra-
dycyjne Południe, z jego sztywnym systemem kastowym, z jego
fanatyczną segregacją, zbliża się ku swemu końcowi. Od tra-
dycji potężniejsze okazują się te kolosalne przemiany gospodar-
cze i społeczne, które ogarniają życie całego narodu Stanów
Zjednoczonych, we wszystkich częściach tego olbrzymiego kon-
tynentu.

Bez końca można by mnożyć podobne przykłady. Literatu-
ra nie może dogonić szybko biegnącego życia. I dlatego prze-
staje być jego wiernym odbiciem, staje się zawodnym środkiem
zapoznawania się z nim.

Czytelnik rzadko kiedy z tego zdaje sobie sprawę. Bierze za dobrą monetę opisywane przez powieściopisarza stosunki sprawy ludzkie. Nie dostrzega, że odnoszą się one już do przeszłości. Jakże zmieniło się oblicze Ameryki od czasu, gdy Sinclair Lewis opisywał Main Street i Babbitta!

A jednak coś z Maint Street i z Babbitta zostało się w życiu amerykańskim. Jak niejedno zostało się i ze ,,Strange Fruit'' nawet z ,,American Tragedy''. To jednak, co się zostało, jest w stanie ciągłej przemiany, przetwarzania się, przechodzenia w coś nowego.

To wszystko — jak dotąd — stanowi uwagi wstępne do zasadniczego zagadnienia, któremu poświęcamy nasze rozważania. Jest to zagadnienie zmieniającej się Ameryki. Na czym polega jej zmienność, w jakich kierunkach ona idzie? Spróbujmy choćby z gruba zorientować się w tym zagadnieniu. Z gruba jedynie bardzo ostrożnie. Albowiem żaden człowiek współczesny wypadkom, które próbuje opisać czy omówić, i w jakiś sposób biorący w nich udział, nie może mieć ambicji pełnego i dokładnego ich ujęcia. Twierdzenie czegoś przeciwnego byłoby szczytem śmiesznej zarozumiałości. Z całą pokorą musimy przyjąć, że to, co powiemy, może być tylko próbą zorientowania się w szybko zmieniającej się rzeczywistości, niezwykle bogatej, płynnej, dynamicznej, a do tego pełnej konfliktów i sprzeczności.

I na to ostatnie trzeba zwrócić szczególną uwagę. W epokach wielkich przemian nie ma takiego pytania, odnoszącego się do życia i spraw jakiegoś kraju, na które można by dać jednoznaczną odpowiedź. Albowiem wypadki toczą się tu dialektycznie, są pełne głębokich konfliktów, nie dadzą się sprowadzić do jakiejś określonej formuły. W szczególnym stopniu da się to powiedzieć o Stanach Zjednoczonych — kraju tak rozległym, tak zróżnicowanym, tak pełnym kontrastów. I jednocześnie o takiej dynamice rozwojowej. Kto, szukając odpowiedzi na pytania, jakie Ameryka mu stawia, sądzi, że znajdzie je w prostych ,,tak'' i ,,nie'', ten bardzo się myli. Każda bowiem rzetelna odpowiedź będzie musiała w sobie zawierać i ,,tak'' i ,,nie''. I to mając na uwadze, spróbujmy się zbliżyć do zagadnienia zmieniającej się Ameryki.

III

O dynamizmie amerykańskim mówi cała historia Stanów Zjednoczonych. To, co w ciągu lat stu pięćdziesięciu zaszło w tym kraju, nie znajduje dla siebie precedensu w dziejach żadnego ze współczesnych narodów świata. Zdobywając niepodległość, Stany Zjednoczone liczyły niewiele ponad trzy miliony mieszkańców i zajmowały stosunkowo nieznaczne pasmo wschodniego

wybrzeża. Dopiero Jefferson, nabywając od Francji tzw. Luizja
nę (nie trzeba jej mieszać z obecnym stanem o tej samej nazwie)
stworzył możliwość penetracji ludzkiej w głąb kolosalnego kon
tynentu. Stany Zjednoczone czasów Washingtona zajmował
czwartorzędne miejsce w hierarchii mocarstw światowych. I wła
ściwie przez całe dalsze stulecie rola ich w polityce światowe
była zgoła podrzędna. Jeszcze na początku XIX stulecia, był t
kraj rolniczy, o gospodarce słabo rozwiniętej, kraj w rodzaj
tych, o których dziś się mówi, że są ,,underdeveloped''.

Skolonizowanie kontynentu, przetworzenie puszcz i prerii
największe na świecie centra produkcji przemysłowej, górnicze
i rolniczej, nie mający sobie nigdzie równego system dróg i środ
ków komunikacyjnych, kolosalne miasta, wspaniałe uniwersytet
i biblioteki, i — wreszcie — kierownicze stanowisko wśród na
rodów świata — wszystko to wygląda fantastycznie, jeżeli si
je zestawi z tym, czym Stany Zjednoczone były za czasów swyc
Ojców-Założycieli. A przecież w skali historii człowieka tak nie
wiele lat upłynęło od dnia, gdy w Filadelfii ogłoszono niepodle
głość nowego narodu. I rozmiary tego, co się stało, i temp
przemian — oto świadectwa tej wyjątkowej dynamiki życia na
rodu amerykańskiego.

Wśród jakich okoliczności mógł taki dynamizm się rozw
nąć? Na pytanie to od dawna i w Ameryce i poza Ameryką szu
kano odpowiedzi. Czy da się to sprowadzić do wyjątkowyc
uzdolnień rasy anglosaskiej? Dziś taka odpowiedź nikogo n
potrafi zadowolić. Co to jest ta ,,rasa'' anglosaska i jak możn
o niej mówić w odniesieniu do Ameryki? Tu dynamizm jes
wspólną cechą wszystkich tak nieskończenie różnorodnych etn
cznych elementów tego narodu. Wyjaśnień nam przeto wypad
nie szukać gdzie indziej.

Przede wszystkim same warunki geograficzne stwarzał
dogodny teren dla działalności dynamicznych gromad ludzkich
Kraj jest kolosalny — nie kraj, ale cały kontynent. Za czasó
kolonialnych Anglicy próbowali zatrzymać kolonizację w ramac
Wybrzeża Wschodniego. Appalachy miały stanowić barierę, poz
którą ziemie były pozostawione Indianom. Jak jednak możn
było dopilnować, by zakaz ten był faktycznie szanowany? Jakie
siły wojskowe czy policyjne były potrzebne dla obsadzenia lin
Appalachów? A góry te nie są istotną przeszkodą. Koloniści n
wiele robili sobie z nich, jak nie wiele sobie robili z rządowyc
zakazów. Po zdobyciu niepodległości i po nabyciu Luizjany, ca
wnętrze olbrzymiego kraju było dostępne dla kolonizacji (*).

A wnętrze to pociągało. Były tam żyzne, dziewicze ziemi
czekające na swych zdobywców. Były puszcze pełne zwierzą
i były stepy ze stadami bizonów i antylop. A z czasem możn
się było przekonać, że i wnętrze ziemi kryje fantastyczne b

(*) Obszernie to rozwija Paweł Zaremba w swej ,,Historii Stanów Zje
noczonych'', która ukazała się ostatnio w ramach ,,Biblioteki Kultury''
(przyp. red.).

gactwa: węgiel i żelazo w Pennsylwanii i Zachodniej Virginii, miedź w Montanie, złoto w Kalifornii, naftę w Texasie, Kalifornii i w ogóle na całym południowym Zachodzie. Praktycznie rzecz biorąc, w Stanach Zjednoczonych znajdują się wszystkie zasoby naturalne, jakie są niezbędne dla gospodarki współczesnej.

Można śmiało powiedzieć, że dzieje Stanów Zjednoczonych to dzieje opanowania i eksploatacji wielkiego kontynentu. Ten fakt zdobywania i zużytkowywania kontynentu miał wyznaczające znaczenie dla całego rozwoju Ameryki, dla jej instytucji politycznych, dla jej konfiguracji społecznej, dla całej jej polityki. Bez uwzględnienia tego faktu nie można zrozumieć sensu całej cywilizacji amerykańskiej.

Była to eksploatacja łupieska i bardzo lekkomyślna. Kraj był przecież tak wielki i bogactwa jego tak niezmierzone. Któż by się tu bawił w zapobiegliwość! Amerykanin nigdy nie przyswoił sobie wiary europejskich warstw ludowych, że oszczędzanie jest zasadniczą cnotą. Rzecz znamienna, że syn burżuazyjnej Filadelfii Benjamin Franklin swą filozofią oszczędzania nie wywarł ani w drobnej mierze takiego wpływu na swych rodaków, jaki wywarł na mieszczaństwo starej Europy. Jeżeli Franklin wszedł do narodowego Panteonu Ameryki, to z pewnością nie jako moralista. Oszczędzanie nigdy do Amerykanina nie przemawiało i nie przemawia. Mówi się przecież, że marnotrawstwo (*waste*) jest główną wadą Amerykanina. Niby jednak to się gani, ale na prawdę nikt marnotrawstwem się nie gorszy.

Co prawda konsekwencje takiej gospodarki nie były wesołe. Zrujnowała ona lasy amerykańskie, wytępiła zwierzostan, poczyniła spustoszenia w górnictwie. Najzgubniej jednak odbiła się na klimacie kraju. Katastrofalne powodzie i szalona erozja gleby są w dużym stopniu następstwami wyniszczenia lasów, o czym ciągle się dziś pisze i mówi. Dopiero od czasów Teodora Roosevelta zabrano się do konserwowania bogactw naturalnych. W ciągu ostatnich lat pięćdziesięciu zrobiono wcale poważne postępy w pracach nad np. zalesieniem Ameryki. Ale zniszczenia są wciąż kolosalne. I nie łatwo było przekonać społeczeństwo, że jakaś doza przezorności w gospodarowaniu skarbami przyrody jest naprawdę potrzebna.

Społeczeństwo amerykańskie miało więc gdzie zastosować swą dynamikę. Ale warunki geograficzne, ale fakt istnienia bogactw naturalnych — to jeszcze nie wszystko dla wywołania dążeń dynamicznych. Geografia i bogactwa dają tylko możliwości wyładowania się takich dążeń. Z warunków tych nie umieli skorzystać Indianie, jak z podobnych warunków dopiero teraz zaczyna korzystać ludność Ameryki Łacińskiej. Dynamika musi być w samych ludziach.

Wśród ludzi, którzy na mizernych statkach-łupinach przepływali Wielką Wodę, były wszelkiego rodzaju typy, natury i temperamenty. Nie wszyscy tam należeli do śmiałych zdobyw-

ców świata. Ale takich, którzy poślubili przygodę, było niemało. Nie każdy przecież umiał się zdecydować na taką przeprawę. Wielu zresztą szło na nią pod przymusem. Jednakże awanturników, ludzi przygody było stosunkowo bardzo dużo. Z nich też głównie rekrutowali się śmiali traperzy, którzy wbrew angielskim zakazom przekraczali pasma górskie, a później z tych samych ludzi rekrutowali się wszelkiego gatunku ,,pionierzy'' i ich następcy — ,,prospektorzy'', co szukali złota i nafty, kapitanowie przemysłu, budowniczowie wielkich linii kolejowych, założyciele miast. Ameryka była znakomitym terenem dla ludzi, którzy poślubiali przygodę.

Społeczności ustabilizowane, tradycjonalistyczne, oparte na mocno zakorzenionych systemach wartości nie sprzyjają ludziom przygody. Jeżeli ich wydają, to są to ludzie, którzy zbuntowali się przeciwko atmosferze konformizmu, jaka normalnie panuje w takich społecznościach. Człowiek przygody jest buntownikiem. To, że wybiera drogę przygody, najlepiej świadczy o tym, że nie przyjmuje konwencji, jakie bezapelacyjnie panują w jego środowisku rodzimym. Przygoda jest wyzwaniem, rzuconym tradycjom, utartym drogom, temu wszystkiemu, co jest uważane za właściwe i obowiązujące.

Niewątpliwie bywają społeczności ustabilizowane i tradycjonalistyczne, w których przygoda jest składnikiem obowiązującego wzoru postępowania. Jako przykład może posłużyć społeczeństwo rycerskie wczesnego średniowiecza. Ale błędne rycerstwo — a ono to właśnie poślubiło przygodę niekonwencjonalną — było produktem stosunkowo późnym i to produktem zaczynającego się rozpadu instytucji rycerskich. A i tu — jak to mamy w osobie rycerza z La Manchy — przygoda była usiłowaniem nawrotu do upoetyzowanej przeszłości, była romantyczną próbą buntu wobec panującej monotonii i prozy życiowej.

Społeczeństwa feudalne, stanowe, sztywne w swym podziale społecznym, społeczeństwa, w których każda jednostka miała wyznaczone swe miejsce, nie dawały pola dla przygody. Szukali jej tylko buntownicy. Tak było w przypadku Robinsona Crusoe i tak było w przypadku tych śmiałych awanturników, którzy budowali Hispanidad i którzy imię brytyjskie przenieśli na dalekie lądy i wyspy.

Dopiero rozpad cywilizacji feudalnej i tworzenie się kapitalizmu dały ujście dla energii ludzi przygody. Rewolucja przemysłowa niszczyła sztywne ramy tradycjonalistycznej społeczności, wyrzucała jednostki z kolein życia, odrzuca od stuleci uznawane za obowiązujące wzory postępowania. Przeciwnie, wysuwała nowy wzór, nakazujący inicjatywę osobistą, przedsiębiorczość, ruchliwość przestrzenną. W warunkach nowej cywilizacji ludzie przygody znajdowali dla siebie zastosowanie. Stawali się kapitanami przemysłu, handlu, bankowości, budowali linie kolejowe i okrętowe, spekulowali na giełdzie, robili majątki i je tracili. Była to epoka materialistycznego romantyzmu, błyskotliwych karier i dramatycznych katastrof.

Społeczność amerykańska od pierwszej chwili swego powstania była zbiorowiskiem ludzi przygody, awanturników, buntowników, jednostek wykolejonych. Oczywiście nie trzeba w tym popadać w przesadę. Ogromna większość ludzi, którzy wędrowali do Ameryki, nie z własnej woli ani nie z własnych inklinacji poślubiała przygodę. Prawdziwi awanturnicy w tej masie ludzkiej stanowili mniejszość. Ale było ich bez porównania więcej niż w jakiejkolwiek ustabilizowanej i tradycjonalistycznej masie społeczności Starego Świata, a wszyscy inni, którzy z przypadku poślubiali przygodę, tak czy inaczej musieli brać w niej udział. Przygodą była przecież sama podróż do Ameryki, obojętne czy odbyta na siedemnastowiecznej łupinie czy na międzypokładziu dziewiętnastowiecznego oceanicznego parowca. Każdy z tych ludzi przechodził przez wielką rewolucję osobistą. Coś musiał rzucić, coś musiał zostawić za sobą i coś musiał przyjąć, coś nowego i bardzo różnego od przeszłości. Mógł na nowej ziemi starać się o utrzymanie jakichś form dawnego życia, niemniej jednak wchodził w życie nowe, niemniej jednak poślubiał przygodę.

Ci ludzie stworzyli plebejską demokrację Stanów Zjednoczonych. Niewątpliwie w całej masie swych składników była ona konformistyczna i nawet bezwzględnie konformistyczna. Nigdy jednak nie była ona konformistyczna w zakresie działania gospodarczego. A jednocześnie obce jej były te sztywne ograniczenia społeczne i kulturalne, jakie tak bardzo cechowały cywilizację Starego Świata. Obcy jej był europejski feudalizm, obcy jej był europejski system sztywnych nawarstwień społecznych. Obce jej też były europejskie uprzedzenia odnośnie wyznania czy pochodzenia człowieka. Jakie zaś szkody uprzedzenia te poczyniły pewnym krajom starej Europy, o tym najlepiej mówi wkład wniesiony w rozwój Ameryki przez Żydów i katolickich Irlandczyków. Ludzie ci, którzy w dawnych ojczyznach nie mogli znaleźć zastosowania dla swych zdolności, na terenie amerykańskim potrafili je w pełni wykazać. Słowem, z samego swego założenia była to cywilizacja ludzi, którzy mieli wszelkie dane po temu, by tworzyć nowe układy wartości moralnych, politycznych, ekonomicznych, obyczajowych, nowe układy stosunków międzyludzkich.

Społeczność taka musiała być bardzo płynna. Przede wszystkim w swej konfiguracji topograficznej. Jej ludzie szukali dla siebie miejsca na nowej ziemi. A była to ziemia — zdawało się — bezgranicznie wielka. Jej obszary i zawarte w nich bogactwa maniły, obiecywały coś większego i lepszego. Kraj sam przez się był przygodą i wzywał do nowych przygód.

Od samego swego początku historia Ameryki jest wyznaczona przez fakt ciągłych wędrówek ludzkich. Pogranicze stale posuwało się w kierunku zachodnim, by dotrzeć do wybrzeża Pacyfiku. Ci, którzy osiadali na wybrzeżu atlantyckim, po pewnym czasie opuszczali swe osiedla, by iść w kierunku zachodnim w poszukiwaniu miejsc nowych. Późniejsze terytoria i stany były

kolonizowane i zakładane przez ludzi, którzy opuszczali Wybrzeże Wschodnie. Wiele ze stanów Unii można uważać niejako za przedłużenia niektórych stanów wschodnich. W rozmowach z farmerami górskiej części stanu New York oraz stanów Nowej Anglii nasłuchałem się fantastycznych opowieści o dziejach wędrówek rodzin moich rozmówców. To samo mówiły mi stare cmentarzyki wiejskie w tej części Stanów Zjednoczonych.

Oto krótkie dzieje rodziny farmerskiej z górskiej części stanu New York. Jest to rodzina stara: przybyli z Anglii w drugiej połowie XVIII wieku. Osiedlili się w dolinie Hudsonu. Ale na początku wieku XIX opuścili stan New York i udali się do Kentucky. Tam pozostawali aż do końca wieku XIX. W tym czasie ojciec mego rozmówcy postanowił wrócić do stanu New York, gdzie w górach kupił farmę. Inna część rodziny została się w Kentucky, by stamtąd powędrować do Arizony i Kalifornii. Typowa, zwykład historia amerykańska.

Albo stare cmentarzyki. Co się stało z rodziną Browna czy Smitha, który tu leży pochowany? Prawie z reguły taka odpowiedź: o, ich dawno już tu nie ma. Przenieśli się do Minnesoty, albo do Illinois, albo do jakiegoś innego stanu o tysiące mil odległego od kolebki rodzinnej. Jest coś bardzo smutnego w tych grobach: potomkowie tych, którzy w nich spoczywają, są gdzieś bardzo daleko i któż z nich kiedyś odwiedzi ten cmentarzyk, który na zawsze przytulił ich przodka.

Ruchliwość przestrzenna nadal cechuje Amerykanina. Nic dla niego nie znaczy przenieść się z New Yorku do Kalifornii, czy z Bostonu do Nevady. Bez wahania jedzie, jeżeli ma szansę osiągnięcia sukcesu na nowym miejscu. I w ogóle lubi jechać. Całe jego życie jest pod znakiem auta i ciągłego ruchu. Ruch daje mu wypoczynek. Jego typowe wakacje to w aucie, w którym przebywa tysiące mil, na krótko zatrzymując się po drodze. Nic dziwnego, że w Stanach Zjednoczonych musiał powstać tak fantastyczny system dróg bitych i takie środki komunikacyjne.

Ta skłonność do zmieniania miejsca i zdolność zmieniania go to zasadniczy składnik amerykańskiej dynamiki. Ludzie, którzy stale siedzą na jednym miejscu, nie są zdolni do szybkich i zasadniczych przeobrażeń.

Od samego też początku istnienia narodu amerykańskiego ruchliwość przestrzenna szła w parze z ruchliwością społeczną (*social mobility*). Oznacza to wyjątkową łatwość zmieniania zawodów i kondycji socjalnych. Gdy zapoznajemy się z życiorysami poszczególnych Amerykanów — obojętne czy bardzo wybitnych czy bardzo przeciętnych — zawsze jesteśmy uderzeni zmiennością losów danego osobnika, obfitością karier, które wybierał, różnorodnością jego zawodów i zainteresowań. Człowiek, który przez całe życie szedł jedną drogą i zawsze tkwił w tym samym zawodzie, jest w Stanach Zjednoczonych zjawiskiem raczej nie częstym. I człowiek taki nie budzi specjanego szacunku w otoczeniu. To nie jest człowiek przedsiębiorczy, człowiek inicjatywy, człowiek, który się ośmielał.

W społeczeństwie, w którym zawód jest oceniany wyłącznie ze względu na wyniki materialne jakie przynosi, i w którym zaadniczym miernikiem jest sukces osobisty wyrażony w dolaach, taka ruchliwość społeczna ma znakomite warunki rozwoju. Tak typowe dla Starego Świata ocenianie czynności gospodarczych pod kątem widzenia związanych z nimi wartości społecznych jest obce Ameryce. Oczywiście i tu pewne zawody są uważane za bardziej „respectable" od innych. Są to zawody, których wykonywanie oparte jest na zaufaniu ogółu do osób, które je wykonywują. Duchowny, bankier, agent ubezpieczeniowy, przedsiębiorca pogrzebowy (*undertaker*) należą do tej kategorii. Ale w kolosalnej większości wypadków zawód jest zawodem i nie idzie w parze z jakimiś ocenami pozagospodarczymi. Jeżeli, wykonywując swój zawód, osiągnąłeś w nim powodzenie, spotykasz się z uznaniem ogółu, osiągasz należyty prestiż społeczny.

Wkrótce po swym przyjeździe do Ameryki spotkałem w pewnym mieście Nowej Anglii rodzinę robotnika polskiego, jednego z tych, których do Stanów Zjednoczonych zagnała przegrana roku 1905. Był to stary pepeesowiec, wykwalifikowany mechanik. Powodziło mu się doskonale. Miał piękny dom, w garażu stały dwa auta — jedno jego i jedno żony. Mieli oni troje dzieci. Najstarszy syn był studentem West Point — kształcił się na zawodowego oficera. Córka kończyła *teacher's college* — miała być nauczycielką. A najmłodszy syn był robotnikiem w tej samej fabryce, co i ojciec. I to było dziecko najbardziej udane. „Zarabia już ładne pieniądze" — z dumą powiedział mi jego ojciec. A i starsze rodzeństwo z uznaniem patrzyło na brata. Stosunki między rodzeństwem były doskonałe. Brat — przyszły oficer był w najlepszej komitywie z bratem-robotnikiem. Po prostu wybrali różne zawody. Kariera oficerska nie była tu połączona z jakimś specjalnym wartościowaniem społecznym, które by oficera miało radykalnie odseparować od robotnika. A co do siostry-nauczycielki to nie ulegało wątpliwości, że jej kariera będzie daleka od świetności. Jednym z aspektów kryzysu szkolnego w Stanach Zjednoczonych jest to, że ludzie uciekają od zawodu nauczycielskiego i że czynni nauczyciele przerzucają się do intratniejszych zawodów, np. do zawodu kierowcy auta ciężarowego.

Oddzielenie wartościowań pozaekonomicznych od czynności ściśle gospodarczych stało się bardzo doniosłym czynnikiem amerykańskiej ruchliwości społecznej. Odpadały te momenty, które w krajach Starego Świata były tak ważnym ograniczeniem, często — zahamowaniem na drodze działalności gospodarczej i nie raz miewały głęboki wpływ na losy jednostki. Wokulski w Ameryce uniknąłby tragedii życiowej, jaka go spotkała. Amerykańska panna Izabella mogłaby być „lalką", ale zupełnie innego rodzaju niż bohaterka Prusa. Wokulski — *a successful businessman* — nie miałby żadnych przeszkód ani w osiąganiu

najwyższego prestiżu społecznego ani w zdobywaniu serca i rę
swej bogdanki.

Amerykański dynamizm to dynamizm społeczeństwa pleb
skiego, wolnego od rozgraniczeń społecznych Starego Świat
niezmiernie ruchliwego w czasie i w przestrzeni. Jest to spo
czeństwo ludzi, którzy pchają się naprzód, którzy nie cofają s
przed przeszkodami. I tylko w takim środowisku mogła się ro
winąć taka wiara w postęp, jaka cechuje Amerykanina. Spo
czeństwom arystokratycznym, ustabilizowanym, zamkniętym
sobie idea postępu jest obca. Rodzi się ona, gdy społeczeństw
takie zaczynają ulegać rozpadowi. Ale idea postępu, wiara,
czeka nas coś lepszego, jest niezmiernie typowa dla społeczno
plebejskich, słabo związanych więzami tradycji, płynnych i d
namicznych.

Można mówić o tej amerykańskiej wierze w postęp, że je
płytka i naiwna, że kryje w sobie poważne niebezpieczeństw
Będą to zastrzeżenia bezspornie słuszne. Ale nie o ocenianie
wiary w „bigger and better" nam tu chodzi. Podkreślar
jedynie, że jest ona niezwykle ważnym składnikiem ameryka
skiego dynamizmu — dynamizmu ludowego czy plebejskieg
Jest to wiara optymistyczna, z ufnością patrząca w przyszłos
choć nieraz zakłopotana ostrzegawczymi sygnałami, które zda
się mówić, że nie wszystko w przyszłości musi być dobre.

I wreszcie — rola purytanizmu. To, czym na terenie amer
kańskim stała się filozofia purytańska, musiało mieć znacz
wpływ na dynamizm narodu Stanów Zjednoczonych. Chwa
Bożej najlepiej służy się przez działanie — to było podstawo
wskazanie purytańskiego wyznania wiary. Działanie — prze
wszystkim działanie gospodarcze — nabiera tu charakteru s
kralnego, staje się obowiązkiem religijnym. Bierność, konsum
cyjny stosunek do życia — oto co Bogu nie jest miłe. Puryt
nizm — w założeniu swym tak bardzo ascetyczny — stał s
potężnym bodźcem aktywizowania jednostek i grup. Nie je
rzeczą przypadkową, że właśnie z grup purytańskich wys
najwięksi budowniczowie gospodarczej potęgi Stanów Zjedn
czonych, kolonizatorzy Pogranicza, twórcy wielkich system
bankowych i kolejowych. Wydawać się to może paradoksem
ale w swych konsekwencjach purytanizm walnie przyczynił s
do poślubienia przygody przez społeczeństwo Stanów Zjedn
czonych.

To są zasadnicze cechy tego dynamizmu, jaki wyznac
bieg dziejów narodu amerykańskiego. Dynamizm ten znajdu
dla siebie wyraz w tych wyjątkowo szybkich a wszechstronny
przemianach, które w Stanach Zjednoczonych sięgają do wsz
stkich dziedzin życia jednostkowego i zbiorowego. Nie będ
od rzeczy, jeżeli zatrzymamy się przy najbardziej istotny
z tych przemian, przy tych, które właśnie *teraz* następują i
w takim tempie, że pisarz, usiłujący je rejestrować, nie potr
za nimi nadążyć.

IV

Ilekroć czytam sprawozdania z posiedzeń Narodów Zjedno-
zonych, tylekroć w dobry humor wprawiają mnie pewne frazesy
tałe używane przez dyplomatów krajów wschodnioeuropejskich.
W przemówieniach tych z pewnością znajdziecie sakramentalną
ormułkę o ,,kołach rządzących w Stanach Zjednoczonych'', z
iedwuznaczną aluzją, że koła te marzą tylko o jednym —
rozpętaniu nowej wojny światowej, skierowanej przeciwko
Związkowi Radzieckiemu.

Jest rzeczą jasną, co dyplomaci ci mają na myśli, mówiąc
,,kołach rządzących Stanami Zjednoczonymi''. W ich krajach
est jako dogmat przyjęty wyraźny i nie budzący wątpliwości
obraz struktury politycznej Stanów Zjednoczonych.

Obraz ten w najbardziej schematycznym ujęciu daje się
sprowadzić do następujących elementów: Stany Zjednoczone są
krajem najbardziej rozwiniętego kapitalizmu. Kapitalizm ten
reprezentuje późny okres, którego treść jest wyznaczona przez
akt dyktatury kapitału finansowego, monopolistycznego. W pa-
rze z tym idzie zaostrzona walka klasowa, w której ,,koła rzą-
dzące'' posługują się najbardziej brutalnymi środkami. Faktycz-
nie Ameryka jest na drodze do faszyzmu, czego dowodem był
MacCarthy. W tym okresie kapitalizm wstępuje na drogę krań-
cowego imperializmu i musi prowadzić wojny zaborcze. I dlatego
też Stany Zjednoczone stanęły na czele obozu wojennego.

Politycznie rzecz biorąc, w Stanach Zjednoczonych panuje
dyktatura grup wielkokapitalistycznych, których bazą operacyj-
ną jest Wall Street. Demokracja jest tu tylko fasadą, pozorem.
Posługują się nią dla swych niegodnych celów nieliczni potentaci
z Wall Street — owe ,,koła rządzące w Stanach Zjednoczonych''.

Przedstawiłem to w postaci nieco symplicystycznej. Nie ule-
ga jednak dla mnie wątpliwości, że stereotyp Ameryki, jaki pro-
paganda komunistyczna stara się utrwalić w umysłach milionów
ludzi na świecie i jaki wyznacza myślenie polityków komunistycz-
nych, jest właśnie tego rodzaju. Opiera się on na tej analizie
rozwoju kapitalizmu, jaką dał przede wszystkim Lenin, w dużym
stopniu zapożyczając ją od socjalistycznego teoretyka Rudofa
Hilferdinga. Jednakże w tym micie Ameryki elementy racjonalne
dawno zeszły na plan daleki. Mit utrzymuje się siłą momentów
emocjonalno-propagandowych, jakie koło niego się rozwinęły.
Jest też rzeczą wysoce prawdopodobną, że dyplomaci i politycy,
posługujący się tą frazeologią, są głęboko przekonani, iż odpo-
wiada ona rzeczywistości. Nie jest to wesołe. Sądzę, że Związek
Radziecki uniknąłby wielu błędów w swej polityce wobec Ameryki
gdyby poddał rewizji to wskazanie leninowskiego creda. Kłopot
bowiem w tym, że nie jest ono zgodne z rzeczywistością, a ra-

czej — że to, co w nim może być uznane za słuszne, odnos
się do rzeczywistości historycznej, która już przeminęła.

Czy dziś można powiedzieć, że Wall Street rządzi Stanam Zjednoczonymi? Tak niewątpliwie było za czasów McKinley'a Ale od czasów prezydentury McKinley'a minęło lat sześćdziesiąt Długi to odstęp, który był świadkiem nie byle jakich przemian na całym świecie. A również i w samych Stanach Zjednoczonych. Był wielki kryzys roku 1929, który tak potężnie wstrząsnął fundamentami Wall Street, był New Deal, były dwie wojny światowe, rozwinął się potężny ruch robotniczy itd., itd. Ameryka dzisiejsza jest bardzo różna od tej, którą się interesowa Karol Marks i od tej, o której wiedział Lenin.

Komunistyczny stereotyp rodzi obraz małej grupy złowrogich a bardzo przebiegłych kapitalistów, miliarderów, władców banków, fabryk i kopalń, którzy zbierają się gdzieś na Wal Street, by snuć plany ujarzmienia całego świata. Złoczyńc ci rządzą w Ameryce wszystkim. Każdy działacz publiczny — Prezydent Stanów Zjednoczonych, Kongresmani, przywódc związków zawodowych z Walterem Reutherem na czele — t posłuszne marionetki w ich rękach. Coś więc w rodzaj Mędrców Sjonu. Zresztą Hitler był przekonany, że to Mędrc Sjonu rządzą Ameryką. Nie widzę, by stereotyp komunistyczn zbytnio różnił się od hitlerowskiego!

Jeżeli dyktatura kapitału finansowego jest ostatnim stadiun w rozwoju kapitalizmu, to w Stanach Zjednoczonych stadiun to zostało przekroczone. Krach roku 1929 zadał Wall Stree potężny cios i banki amerykańskie nie potrafiły już odzyska tej pozycji, jaką do tego czasu zajmowały. Jest rzeczą interesującą, że Wall Street przestało być stolicą całej bankowośc amerykańskiej. Największy bank amerykański — Bank of America — nie mieści się na Wall Street, koncentrując swą działalność na Wybrzeżu Zachodnim. W czasach dzisiejszych kapita przemysłowy nie tylko że zdołał się wyzwolić od supremac kapitału finansowego, ale na ogół umiał go sobie podporządkować. W hierarchii kolosów amerykańskich nie First Nationa City Bank of New York, nie Chase, nie Dom Morgana, ale General Motors, General Electric, U. S. Steel, Alcoa, Anakond nadają ton światu *big bisiness*'u. Jeżeli Eisenhower w swyn gabinecie zebrał przedstawicieli kolosów gospodarki amerykańskiej, to panują tam nie potentaci bankowi ale potentaci przemysłowi.

Znany magazyn „Fortune" ogłosił niedawno listę siedem dziesięciu sześciu najbogatszych Amerykanów. Na liście t znaleźli się ludzie, których *osobisty* majątek wynosi od 75 milionów dolarów wzwyż. Otóż tylko w czterech wypadkach wykazane tam były związki z kapitałem finansowym. Bez mała połowę stanowili nafciarze, resztę — spekulanci gruntowi ora przedstawiciele różnych działów kapitału przemysłowego. N marginesie trzeba dodać, że lista ta ma charakter wybitn

„rodzinny": powtarzają się tam nazwiska Rockefellerów, Du Pontów, Fordów i Mellonów. We wszystkich tych wypadkach podstawą majątku jest ciężki przemysł i nafta, nie zaś bankowość. O liście tej zresztą wypadnie nam jeszcze pomówić.

Czy *big business* jest krwiożerczy i całą swoją energię skierowuje na szykowanie się do nowej wojny imperialistycznej? Jest to bardzo wątpliwe. Nie chodzi o to, że amerykańscy kapitanowie gospodarki są pacyfistami, humanitarystami, ludźmi gołębiego serca. Są po prostu ludźmi interesu. A w całym szeregu kluczowych przemysłów wojna wcale nie jest dobrym interesem. I to dla kilku przyczyn.

Przede wszystkim wojna oznacza wzrost kontroli rządowej nad przemysłem. Wykazały to obie wielkie wojny, w których Stany Zjednoczone brały udział. Kierownicy gigantów przemysławych umieli wyciągnąć stąd odpowiednie wnioski. Kontrola rządowa jest już i tak bardzo wielka — nie chcą jeszcze większej. Są mniej pewni od różnych „znawców" Ameryki, że kontroli tej mogą się nie obawiać, bo i tak do nich samych należy...

A druga rzecz to sprawa inwestycji wojennych i konieczności ogromnej rozbudowy na cele obrony. Otóż *business* amerykański dawno już stwierdził, że inwestycje i ekspansja opłacają się tylko do pewnych granic. Przestają się opłacać, gdy granice te są przekroczone. A w czasie wojny muszą one być przekroczone. Jak ta sprawa wygląda, jako przykład może posłużyć walka między rządem federalnym a Alcoa.

Było to w czasie drugiej wojny światowej. Zapotrzebowanie na aluminium było kolosalne i stale rosło. Prawie cała produkcja aluminiowa w Stanach Zjednoczonych jest w rękach Alcoa. Tymczasem Alcoa nie spieszyło się z wykonywaniem zamówień. Albowiem jego kierownictwo obliczyło sobie, że dalsze rozszerzanie produkcji i nowe inwestycje przestają się kalkulować. Rząd federalny musiał zagrozić użyciem drastycznych środków, by zmusić Alcoa do przyjęcia zamówień i rozszerzenia produkcji.

W podobnej sytuacji jest bardzo duża ilość kluczowych przemysłów. Wojna nie jest dla nich dobrym interesem. Nie jest rzeczą przypadkową, że filozofia izolacjonistyczna ma wielu zwolenników w świecie amerykańskich wielkich interesów. Przemysł Środkowego Zachodu jest wyraźnie izolacjonistyczny.

Amerykański *big business* nie jest monolitem. Kierownicy jego nie tworzą kliki konspiratorów na wzór owych Mędrców Sjonu. Są tu daleko posunięte zróżnicowania i konflikty, zwłaszcza natury regionalnej. Interesy nafciarzy Texasu wcale nie są identyczne z interesami przemysłu stalowego Pennsylwanii. W obrębie tego samego przemysłu dochodzi do zaciętych walk konkurencyjnych, do konfliktów regionalnych i międzyregionalnych.

Nie ma tu też jednolitości, gdy chodzi o sprawy polityki Stanów Zjednoczonych. Popierający Eisenhowera *big business* Wybrzeża Wschodniego wyraża inne poglądy niż *big business*

Środkowego Zachodu, gdzie tradycje Tafta są wciąż bardz
silne. Żadni Mędrcy Sjonu z Wall Street nie tworzą tu egzeku
tywy, która ustala wytyczne dla całego *big business'u* i dla ca
łych Stanów Zjednoczonych.

Nie wynika stąd, by świat amerykański wielkich kapita
łów nie był niesłychanie ważnym czynnikiem w kształtowaniu
się polityki amerykańskiej. Negowanie tego byłoby absurdem
Zwłaszcza dziś, gdy za rządów Eisenhowera polityczna rola
big businessu tak bardzo urosła. Polega to jednak przede wszyst
kim na wywieraniu nacisku przez zainteresowane koła *big bu
sinessu* — koła, a nie całość — na rząd federalny i na rządy
stanowe. *Big business w* Waszyngtonie to szereg potężnych
pressure grups, potężnych *lobbies,* które starają się o zdo
bycie wpływów w Białym Domu, w Kongresie, w aparacie admi
nistracyjnym. Wywierają one nacisk na polityków, starają się
ich pozyskać dla swoich celów, używając przy tym środków mnie
lub więcej godziwych, starają się zdobywać sobie wpływy w obu
wielkich partiach. Ale nie dyktują, co ma być robione .To było
możliwe, gdy w Białym Domu zasiadali prezydenci w rodzaju
Granta czy McKinley'a. Dziś już nie jest to możliwe.

Albowiem na scenie amerykańskiego życia politycznego wy
stąpiły i inne siły, które również dbają o swe interesy i w tym
celu potrafią skutecznie naciskać na polityków, na rząd federal
ny i na rządy stanowe. Są to przede wszystkim związki zawo
dowe i organizacje farmerskie.

Naturalnie można sobie mówić, że George Meany, Walte
Reuther czy David Dubinsky są marionetkami w rękach kapi
talistów, że są zdrajcami klasy robotniczej. Nie przypuszczam
by któryś z tych wybitnych przywódców amerykańskiego świata
pracy brał sobie poważnie do serca takie oskarżenia. Oczywiści
są one absurdalne. Taktyka amerykańskich związków zawodo
wych jest różna od taktyki ich europejskich odpowiedników
albowiem cała rzeczywistość amerykańska jest różna od rzeczy
wistości Starego Świata. Amerykańskie związki zawodowe bar
dzo skutecznie bronią interesów robotników amerykańskich i po
trafią oddziaływać na aparat państwowy. Siedemnaście milionów
zorganizowanych ludzi jest siłą, z którą każdy musi się liczyć —
politycy i *big business*.

Związki zawodowe nieraz ponoszą porażki. Taką porażk
poniosły, gdy Kongres uchwalił słynny Akt Tafta-Hartleya. Cz
jednak była to porażka bardzo poważna? Ostatecznie ów słynn
Akt związkom mało co zaszkodził, a walka z nim skupiła prz
związkach bardzo dużą część opinii. Dziś ustawa ta jest racze
na papierze i jeżeli się na nią pomstuje, to bardziej dla zasad
niż z rzeczywistej potrzeby.

Wbrew związkom zawodowym w Ameryce dziś rządzić ju
nie można. Wie o tym *big business,* którego młodsze i bardzie
liberalne elementy szukają stworzenia jakiegoś modus vivend
między światem wielkich interesów a światem zorganizowane
pracy.

I tak samo nie można rządzić wbrew organizacjom farmerskim. Niewątpliwie sytuacja farmerów w Stanach Zjednoczonych jest znacznie trudniejsza niż robotników. Mały farmer schodzi z widowni, wypierany przez wielkiego farmera, za którym stoją banki (tu kapitał finansowy ma znacznie więcej do powiedzenia niż na terenie przemysłu i górnictwa). Ale farmerzy — nawet wielcy — nie idą ręka w rękę z wielkim przemysłem. Są tu między nimi rozdźwięki, są znaczne konflikty. Nie, ani National Grange, ani Farm Bureau nie są marionetkami *big business*'u. Są to potężne organizacje, które mają wielkie wpływy w całym aparacie rządowym. W Kongresie „blok farmerski" jest siłą, z którą każdy liczyć się musi.

I farmerzy nieraz ponoszą porażki. Tak samo zresztą, jak je ponosi i *big business*. Nie są zadowoleni z polityki agrarnej rządu Eisenhowera. Ale w sumie potrafią stać na straży swych interesów i trudno mówić, by cierpieli wielką krzywdę.

Oczywiście istnieje coś takiego jak „koła rządzące Stanami Zjednoczonymi". Tylko że dziś nie można ich sprowadzić ani do Wall Street ani nawet do *big businessu*. Amerykańska scena polityczna jest miejscem wielkiej rozgrywki, której głównymi partnerami są różne ośrodki *big business*'u, związki zawodowe oraz farmerzy. To, co się dzieje na Kapitolu i w Białym Domu, jest *wypadkową* tej rozgrywki. Jest tu kilku protagonistów i całej gry nie można sprowadzić do jednego.

Są też i mniejsi protagoniści. Są zawodowi politycy, tworzący „maszyny" partyjne, jako odrębna siła zaczyna występować biurokracja, za czasów Franklina Roosevelta miejsce wśród protagonistów usiłowały zająć grupy inteligenckie. Nie można też sobie lekceważyć roli grup wyznaniowych, związków ideologicznych, grup interesów lokalnych, sił zbrojnych jako całości. Wszyscy oni biorą udział w tym wielkim widowisku, w którym ścierają się różne sprzeczne siły. Wypadkową jest to, co znajduje dla siebie wyraz w linii politycznej Stanów Zjednoczonych.

Tylko od tej strony patrząc, można zrozumieć to, co dziś dzieje się na terenie wielkiej republiki. I to wyznacza sens społeczny demokracji amerykańskiej. Oczywiście można postawić pytanie, czy w ostatecznym wyniku na placu nie zostanie się tylko jeden z tych głównych protagonistów. Na to zdecydowanej odpowiedzi dać dziś nie można. Wydaje się jednak rzeczą wysoce nieprawdopodobną, aby mógł nastąpić nawrót do epoki McKinley'a, choćby najbardziej zmodernizowanej. Nie, w Stanach Zjednoczonych nie będzie można rządzić przeciwko związkom zawodowym. *Big business* może robić wszelkie wysiłki, by utrzymać swe wpływy, ale trudno uwierzyć, by mogło dojść do jego dyktatury. W rzeczywistości od czasów New Deal'u zajmuje on raczej pozycję obronną, wyrzekł się agresywności, próbuje iść po drodze kompromisu. W tym ostatnim zresztą łatwo mu znaleźć wspólny język z robotnikami. Związki zawodowe przyjęły, że Ameryka jako scena rozgrywki interesów wielkich

środowisk społecznych i gospodarczych wcale nie najgorz służy sprawie dobrobytu amerykańskiego świata pracy.

V

Big business i związek zawodowy. Potentaci przemysłov i robotnicy. Dwa różne światy, kompletna przeciwstawność int resów. Tak by się przynajmniej mogło zdawać komuś, kto wszys ko mierzy miarą doświadczeń Starego Świata. I tak w rzeczy wistości było w Stanach Zjednoczonych przed niezbyt wie dziesięcioleciami. Dziś jednak i tu zachodzą zmiany.

Amerykański ruch robotniczy stworzył rozległą gamę t pów czy rodzajów związków zawodowych. Są tam małe, ekskl zywne związki branżowe i są kolosalne związki „przemysłowe niektóre z nich liczące ponad milion członków. Ot, choćby ta związek robotników automobilowych. Amerykański związek z wodowy tego typu jest olbrzymią maszyną. Celem jego jest zo ganizowanie robotników danego działu produkcji i obrona ic interesów. Wszechstronna obrona ich różnorodnych interesóv Powoduje to różnorakość zadań, jakie związek ten postaw przed sobą. I sprawia, że związek taki staje się mechanizme działania niezliczonej ilości celów i dążeń. Sprawia także, jest to mechanizm bardzo skomplikowany i sprawny.

Dokoła takiej organizacji robotniczej powstaje cały szere instytucji przez nią powołanych do życia i pozostających p jej kontrolą. Jeden ze związków krawieckich utrzymuje du bank. W każdym związku jest bardzo rozwinięty dział ubezpi czeniowy, obejmujący różnego rodzaju ubezpieczenia. Wie związków stworzyło spółdzielnie mieszkaniowo-budowlane. Sp dzielnie mieszkaniowo-budowlane, jakie w New Yorku zorgan zowały dwa ogromne związki krawieckie, to prawdziwe kolos Ich dziełem jest zburzenie całych dzielnic *slums* i postawien na ich miejscu imponujących *housing projects*. Są to całe miast gdzie wśród drzew i zieleni wznoszą się ultranowoczesne dom kolosy, zaopatrzone we wszystkie te urządzenia, bez który Amerykanin nie rozumie przyzwoitego życia. Związki zakłada szkoły i biblioteki, szpitale i sanatoria, utrzymują teatry, wyda pisma. Trudno po prostu jest wyliczyć wszystkie rodzaje i działalności.

Naturalnie są związki i związki. Wciąż — i słusznie mówi się o *union racket*, wciąż wybuchają skandale w tak czy innym związku. Ale — jak zawsze — głośne są skanda najwięcej wie się o skorumpowanych związkach i o bandycki przywódcach. Jednakże ogromna większość amerykańsk związków zawodowych jest wolna od takich praktyk i może poszczycić i uczciwymi przywódcami i pięknymi wynikami sv pracy.

Robotnik amerykański nauczył się cenić wartość swych organizacji zawodowych. Wie, że te nadzwyczajne osiągnięcia, jakie dziś przypadają mu w udziale, ta wysoka stopa życiowa, to zabezpieczenie — wszystko to jest w ogromnej mierze zasługą amerykańskich związków zawodowych. Gruntownie zmieniły one położenie amerykańskiego świata pracy, dając mu zdobycze, o jakich nie mógł marzyć jakieś trzydzieści lat temu.

Te wielkie poczynania amerykańskich związków zawodowych wymagają fachowego podejścia, umiejętności i doświadczenia. Nie mogą być prowadzone po amatorsku. Związek musi działać *in a businesslike fashion* — w sposób zgodny z regułami *business'u*. Słowem, musi być ogromnym *business'em*, a jego kierownicy muszą być wykwalifikowanymi *businessmanami*. Tu już nie wystarczają walory ideologiczne, zdolności oratorskie, sztuka trafiania do mas i ich organizowania. Tu trzeba być świetnym organizatorem, trzeba się doskonale rozumieć na sprawach gospodarczych, trzeba być człowiekiem interesu — *businessmanem*. Nowa generacja kierowników amerykańskich związków zawodowych to *businessmani*. A same związki coraz chętniej zatrudniają ludzi, którzy by w innych warunkach poszli do zwykłego *businessu*.

Mówiąc inaczej, amerykański ruch zawodowo-robotniczy coraz bardziej staje się *businessem*. Niewątpliwie *business* ten służy bezpośrednim interesom siedemnastu milionów członków i ich rodzin, ma charakter społeczny, publiczny. Ale każdemu ze swych członków indywidualnie zapewnia zysk i dlatego może być mierzony skalą kapitalistyczną. Czegoś innego zresztą nie chciałby robotnik amerykański. Przyjął on związki zawodowe dlatego że służą jego indywidualnym interesom, że umożliwiają mu osobiście osiągnięcie dobrobytu.

Słowem, nastąpiło znaczne zbliżenie się między tym, co określa, się jako *big business*, a związkami zawodowymi. Na czele jednego i drugiego stoją ludzie zbliżonej konstrukcji psychicznej, podobnego przygotowania życiowego, o niezbyt różnych doświadczeniach. Oczywiście w ogromnej ilości wypadków ich doraźne cele mogą się krzyżować. To, czego chcą związki, i to, do czego dąży *business*, nie bywa identyczne. Ale jedni i drudzy mogą się jakoś ze sobą porozumieć, albowiem rozumieją i działają w zbliżony sposób. Kierownik wielkiego koncernu przemysłowego i kierownik wielkiego związku zawodowego mogą zasiąść przy stole konferencyjnym, wiedząc, że będą mówili podobnym językiem i że będą mogli dojść do jakiegoś porozumienia. A jeżeli do niego nie dojdą, jeżeli wybuchnie strajk, to wszystko to będzie się odbywać w ramach powszechnie przyjętych reguł, obowiązujących *każdą* rozgrywkę gospodarczą.

Mam wrażenie, że to upodobnianie się amerykańskiego ruchu zawodowego do *big businessu* jest jedną z najważniejszych tendencji życia zbiorowego współczesnych Stanów Zjednoczonych. Konsekwencje tego mogą być kolosalne.

Ameryka stwarza tu zupełnie nowy typ stosunków międz
kapitałem a pracą, gdzie sprzeczności i konflikty interesów —
są one bardzo znaczne i nieraz bardzo dramatyczne — przechodz
na wspólną platformę, wyznaczoną przez fakt uczestnictwa ob
stron w tym samym systemie stosunków gospodarczych.

Takie przejście jest umożliwione przez zasadnicze zmiany
jakie zachodzą i w świecie robotników i w samym *business*'ie
Zmiany te są nadzwyczaj istotne, a tempo ich zachodzenia —
bardzo szybkie.

Walki i konflikty klasowe Starego Świata tylko w pewnej —
choć bardzo ważnej — części były wyznaczone przez fakt róż
nych kondycji gospodarczych. Jest to okoliczność, której nale
życie nie umiał uwzględnić tradycyjny marksizm. Dla marksistów
fakt walki klasowej był wyłącznie pochodną niejednakoweg
udziału poszczególnych grup społecznych w procesie produkc
i związanego z tym wyzysku. Przeoczono, że niejednakowoś
udziału w procesie produkcji i wyzysk były również związan
z całą organizacją społeczną Starego Świata.

Pozycja, jaką zajmował robotnik europejski, była wyzna
czona nie tylko przez fakt najmictwa i wyzysku. Była ona takż
wyznaczona przez fakt, że robotnik był członkiem warstwy, któr
w organizacji, jaką stworzyła cywilizacja Starego Świata, zajmo
wała miejsce najniższe w hierarchii społecznej. I najmictwo robot
nika i wyzysk, jakiemu ulegał, były pochodnymi jego uczestnic
twa w warstwie najniższej, społecznie zakwalifikowanej jak
,,lud''. W epoce, gdy rozpoczęła się rewolucja przemysłowa, lu
był naturalną bazą rekrutacyjną dla przemysłu. Robotnikie
stawał się człowiek ludu, albo człowiek, który w wyniku niepo
myślnych dla niego okoliczności życiowych spadł do poziom
ludu. Ludzie ludu z natury rzeczy byli predystynowani do teg
by stać się najmitami i być wyzyskiwanymi.

Dzieje europejskich walk klasowych, dzieje dążeń emancy
pacyjnych europejskich mas robotniczych są nierozdzielnie zwią
zane z tą organizacją społeczną, jaką nowożytna Europa otrzy
mała w spadku po wiekach średnich. Historyczna zasługa euro
pejskiego socjalizmu polega na tym, że podjął walkę przeci
tej tradycyjnej organizacji społecznej. Nie zawsze filozoficzn
słusznie ujmując to zagadnienie, socjalizm europejski wiedzi
jednak, że bez obalenia tej tradycyjnej organizacji społeczn
robotnik nie osiągnie swego wyzwolenia ekonomicznego. T
ostatnie mogło nastąpić tylko wtedy, gdy robotnik europejs
osiągnął swą emancypację społeczną, gdy sztywny podział sp
łeczny, dzielący ludzi na warstwy ,,wyższe'' i ,,niższe'', uleg
zanikowi. Socjalizm europejski odegrał w tym wielką rolę hist
ryczną i zasługi jego na tym polu są nieocenione.

Ale taka organizacja społeczna była obca Stanom Zjedn
czonym. Nie znana im była sztywna stratyfikacja społeczn
Starego Świata. Naród amerykański kształtował się jako sp
łeczność plebejska, głęboko demokratyczna, w której nie by

miejsca na przytwierdzenie jednostki do warstwy wyższej czy niższej. Miało to kolosalny wpływ na rozwój robotnika amerykańskiego i na całe dzieje jego organizacji.

Robotnik amerykański mógł się czuć najmitą i mógł się czuć ofiarą wyzysku, alle nigdy nie czuł się czymś gorszym od tego, u kogo był najmitą i który go wyzyskiwał. Był też zawsze przekonany, że może sobie poprawić warunki istnienia, że może stać się czymś gospodarczo lepszym. Cała cywilizacja amerykańska mówiła mu o równości startu i o tym, że trzeba dążyć do coraz lepszych warunków gospodarczych i że należy o nie walczyć.

Nie jest rzeczą przypadkową, że amerykański ruch robotniczy wyraził się wyłącznie w postaci związków zawodowych i że w Stanach Zjednoczonych nie było miejsca na silne partie socjalistyczne. Socjalizm amerykański był importem z Europy, był próbą utrzymania przez emigrantów ciągłości ze Starym Światem. Był poza tym — podobnie jak to miało miejsce z amerykańskim komunizmem — formą protestu pewnych kół intelektualnych. Zasadnicza funkcja socjalizmu europejskiego — walka z porządkiem społecznym, przekazanym przez średniowiecze — w Stanach Zjednoczonych nie mogła być spełniona. Porządek taki tu nie istniał. A dla celów walki gospodarczej najzupełniej wystarczały związki zawodowe.

W tym też leży przyczyna, dla której w robotniku amerykańskim nie rozwinęło się to, co w Europie było określane jako świadomość klasowa proletariatu. Robotnik amerykański bardzo wcześnie zaczął patrzeć na fakt, że jest robotnikiem, nie jako na określoną i wyraźnie wydzieloną kategorię socjalną, ale jako na jeden ze sposobów zarobkowania, na zawód, zajęcie, czynność gospodarczą, jaką wypadło mu w danym momencie wykonywać. (*job*). Wykonywując tę czynność, chciał oczywiście, by dawała mu ona jak najlepsze wyniki. I przekonał się, że w tym związek zawodowy może mu być bardzo pomocny. Zawsze jednak czuł się po prostu jednym z Amerykanów, jednym z wielomilionowej rzeszy ludzi, składających się na obywateli Unii.

Musimy sprawę tę postawić bardzo jasno. W Stanach Zjednoczonych robotnik nie jest społecznie klasyfikowany jako przedstawiciel swoistej kategorii społecznej — klasy w sensie Starego Świata. Ani też sam siebie w ten sposób nie definiuje. Uważa siebie za członka wielkiego zespołu, który jest powszechnie określany jako ,,amerykański świat pracy'' (*American Labor*). Udział w tym zespole jest jednak wyłącznie wyznaczony przez fakt wykonywania określonego zawodu. Oczywiście ludzie tego zespołu mają wspólne interesy i dążenia, jak mają je ludzie wszelkich innych zespołów. Jest to jednak bardzo dalekie od tego, co gdzie indziej jest określane jako ,,klasowa świadomość proletariatu''.

Niewątpliwie można wśród robotników amerykańskich znaleźć grupy, które dadzą się określić jako proletariat czy nawet Lumpenproletariat. *Pickers i sharecroppers* na Południu, świeży

emigranci portorikańscy i meksykańscy w innych częściach kra
mogą być podciągnięci pod tę kategorię. Ale jest to katego
stosunkowo nieliczna i — co ważniejsze — przejściowa.
„proletariusze" dość szybko są wciągani w procesy życia pr
mysłowego i nabierają cech typowych dla masy robotnik
amerykańskich.

A masy te trudno nazwać proletariatem. Olbrzymia wię
szość robotników amerykańskich mieszka we własnych doma
których umeblowania i zaopatrzenia we wszelkiego rodza
gadgets nie powstydziłby się żaden europejski dom burżuazyj
Spora część robotników mieszka w domach spółdzielczych, k
rych liczba ostatnio stale rośnie. Posiadanie auta uważane j
za rzecz oczywistą. Przybysza z innych krajów świata ude
widok tych kolosalnych placów, przeznaczonych na parkowa
aut, jakie istnieją przy każdej fabryce w Stanach Zjednoc
nych. To *parking space* — mieści ono nieraz tysiące aut — m
być uwzględnione w planie budowania fabryki. Do pracy rob
nik jedzie autem. Co wcale nie oznacza, że jest to jedyne au
jakie posiada. Cały tryb życia robotnika Stanów Zjednoczony
— jego mieszkanie, ubieranie się, odżywianie, jego wczasy, je
rozrywki — niczym nie różni się od trybu życia każdego inne
Amerykanina tej samej kategorii zarobkowej.

Robotnik amerykański pracuje pięć dni i czterdzieści god
tygodniowo. W całym szeregu przemysłów jest zabezpieczo
przez umowę zbiorową. Ma wszędzie ustawowo zapewnione n
nimum płacy. Korzysta z ubezpieczenia na wypadek bezrobo
i starości. Ma ubezpieczenie chorobowe. Jego stawki zarobko
— zwłaszcza w pewnych zawodach — są bardzo wysokie. Pr
chodzenie od zawodów „inteligenckich" do pracy fizycznej j
w Stanach Zjednoczonych zjawiskiem bardzo powszechnym i n
kiedy — jak na przykład w wypadku nauczycieli — społeczn
niepokojącym.

Coraz też częściej spotykanym zjawiskiem jest to, że rob
nik posiada akcje przedsiębiorstwa, w którym pracuje. I
w ogóle posiada różnego rodzaju akcje i papiery wartościow
Nieraz stwarza sobie źródło pobocznego dochodu w postaci jak
goś zajęcia dodatkowego. Wśród moich znajomych robotnik
mógłbym wyliczyć długi szereg posiadaczy małych farm (w s
nie Michigan poznałem robotnika, który miał farmę „żabią
hodującą żaby jadalne), warsztatów reparacyjnych itp.

Wszystko to sprawia, że robotnik amerykański ma co
mniej z „proletariusza", a coraz więcej z businessmana. J
posiadaczem, człowiekiem interesu, jest osobiście zainteresowa
w utrzymaniu tej organizacji gospodarczej, która istnieje w S
nach Zjednoczonych i której zawdzięcza niemało. Jest rzec
znamienną, że Partia Republikańska ostatnio zaczyna zdobyw
sobie pewne wpływy w środowiskach robotniczych, dotąd trad
cyjnie demokratycznych. Prosperujący robotnik-posiadacz, rob
nik-businessman zaczyna w Republikanach widzieć obrońc
swych interesów.

W tych warunkach tylko jakaś zupełna katastrofa gospodarcza mogłaby robotników amerykańskich skierować w stronę komunizmu. Ale katastrofy tej jakoś nie widać i robotnik amerykański jest usposobiony bardzo antykomunistycznie. Można śmiało powiedzieć, że to interesy *klasowe* zrobiły robotnika amerykańskiego wrogiem idei komunistycznej.

W takim kierunku — jak sądzę — idą przeobrażenia amerykańskiego świata pracy. Jest to kierunek wiązania się robotnika z istniejącym systemem gospodarczym, afirmowania tego systemu, jako dającego okromne korzyści. Przepaść pomiędzy wyzyskiwanym najmitą, a wyzyskującym kapitalistą wyraźnie się zmniejsza. Najmita — w praktyce jest on często również posiadaczem i kapitalistą — przestaje odczuwać swą sytuację jako ofiary wyzysku, nabiera cech businessmana. I to z kolei odbija się na jego organizacji zawodowej.

Ale zasadnicze przemiany zachodzą i po stronie kapitału. Są one tak wielkie, że coraz częściej można mieć wątpliwości, czy rzeczywiście ustrój gospodarczy dzisiejszych Stanów Zjednoczonych daje się zamknąć w definicji kapitalizmu. W Stanach Zjednoczonych nieraz mówi się o ,,kapitalizmie ludowym'' jako o formie utrwalającego się nowego systemu gospodarczego. Że w każdym razie system ten jest bardzo różny od dawnego kapitalizmu, to zdaje się nie ulegać wątpliwości.

VI

Nawet w samych Stanach Zjednoczonych — a cóż dopiero poza nimi! — nie zawsze uświadamiane są te przeobrażenia, jakim uległ i wciąż ulega amerykański ,,człowiek bogaty''. Na rewolucyjny charakter tych zmian decydujący wpływ miało amerykańskie ustawodawstwo podatkowe i spadkowe.

Federalny podatek dochodowy i podatek od spadków są podatkami progresywnymi, przy czym na szczeblach najwyższych progresja dochodzi do 90 procent. Wytwarza się tu taka sytuacja, że często kalkuluje się zarobić mniej, aby zatrzymać dla siebie większą sumę, czy zostawić po sobie mniejszy spadek, aby spadkobiercy mogli otrzymać więcej. Jest nielada kunsztem — wielkie firmy i ludzie bogaci zatrudniają w tym celu całe sztaby fachowców — ustalić dochód na poziomie, który by płatnikowi podatków zapewnił najlepszy wynik. I choć nadużycia są na porządku dziennym, to jednak zestawienie nie może być dowolne i — szczególnie gdy chodzi o bardzo wielkie sumy — nieuczciwość nie jest łatwa. Amerykańskie przepisy podatkowe są bardzo elastyczne i liberalne. Niemniej kontrola jest ścisła i kary za nadużycia bardzo duże. Wielcy płatnicy wiedzą, że prawo federalne w tych sprawach nie żartuje.

W każdym razie w bardzo dużej ilości wypadków — ocz wiście mowa tu o wielkich podatnikach — bardziej kalkulu się zarobić mniej niż więcej. Co jednak zrobić, gdy zysk je bardzo duży, tak duży, że wchodzi na najwyższy szczebel pr gresji? A zmniejszenie go przez ograniczenie produkcji nie zav sze jest możliwe. Bardzo często przedsiębiorstwo nic na to n może poradzić, że ma aż tak wielki zysk.

Ale suma podlegająca opodatkowaniu może być zmniejsz na. Ustawa daje tu szereg możliwości. Nie będziemy ich wszystkich roztrząsali. Jedną z nich na przykład jest przeznacz nie dużej części zysku na inwestycje. Ale — jak już przed ty była mowa — w inwestycjach muszą być zachowane granic Nie można inwestować bez końca, gdyż może to grozić kat strofą.

Prawo jednak daje inne wyjście: od opodatkowania zwolnione sumy ofiarowane na cele dobroczynne, na *charities*. zaś może być traktowane szeroko, obejmując wszellkie cele n przynoszące zysku i służące ogółowi.

Rok rocznie przy opracowywaniu bilansu w każdym wielki przedsiębiorstwie sztaby specjalistów głowią się nad tym, jak sumy mają być przeznaczone na *charities*. A inni specjaliści ukł dają listy instytucji, które mają być obdarowane. W tym ce tworzone są fundacje, których zadaniem jest finansowanie okr ślonych przedsięwzięć publicznych lub też prowadzenie prac własnym zakresie. Za pośrednictwem fundacji lub też bezpośre nio miliardy dolarów idą do uniwersytetów, muzeów, bibliote ośrodków badań, szpitali, instytucji dobroczynnych, kościołó itd., itd. A jakie sumy wchodzą tu w grę, o tym powie to, dwa lata temu Ford przeznaczył przeszło pół miliarda dolaró na uniwersytety i szpitale.

Daleko poza granicami Stanów Zjednoczonych znane takie fundacje, jak Forda, Rockefellera, Carnegiego czy Gugge heima. Ale wszystkich fundacji w Ameryce jest około pięc tysięcy. Nie ma takiej dziedziny życia naukowego, artystyczneg oświatowego, charytatywnego, społecznego, która nie była przedmiotem zainteresowania jakiejś fundacji.

Sumy, jakie *big business* przeznacza na cele ogólne czy za pośrednictwem fundacji czy bezpośrednio, są fantastyczn Carnegie siecią bibliotek publicznych pokrył całe połacie Stanó Zjednoczonych,a wśród tych bibliotek są takie kolosy jak miejs biblioteka publiczna w Pittsburghu. W roku 1956 Funda Rockefellera wydatkowała przeszło 30 milionów na różne ce Fundacja ta od czasu swego powstania w roku 1913 wyda łącznie 565 milionów dolarów. Milionom, jakie Mellon przezn czył na swe zbiory, zawdzięcza waszyngtońska National Art G lery zasadniczą część swych skarbów. Bardzo niedawno zdarz się, że pewien nafciarz w Texasie darował 36 milionów dolar uniwersytetowi w mieście Houston. Uniwersytet ten, lat te nie wiele czwartorzędny *college*, mógł się zreorganizować w ważny ośrodek pracy naukowej, pierwszorzędnie wyposażon

ι uniwersytetów, które tak powstały czy rozwinęły się, jest ν Ameryce cały szereg. Dość wymienić choćby Duke czy Brown.

Wytwarza się więc sytuacja niezmiernie interesująca, której onsekwencje społeczno-gospodarcze nie zawsze są należycie ceniane. Te fantastyczne miliardy, które otrzymują wszelkiego odzaju instytucje, w zasadzie powinnyby były przypaść rządowi ederalnemu. Gdyby bowiem nie były oddane na cele publiczne, nusiałyby być zapłacone jako podatki. Jest więc pytaniem, kto łaściwie finansuje te wszystkie uniwersytety, biblioteki, muzea, zpitale, centra badań — rząd federalny czy bezpośredni ofiaroawcy? Ustawodawstwo podatkowe i spadkowe sprawiło, że ieniądze, które by w innym wypadku przypadły rządowi, muszą yć w taki sposób zużytkowane przez ofiarodawców.

Ale nie to jest najważniejsze. Istotne jest to, że w Stanach Zjednoczonych powstają kolosalne fortuny publiczne w postaci undacji, uniwersytetów, bibliotek itp. Majątki, jakie posiadają akie uniwersytety jak Harvard, Columbia, Yale, Princeton, tanford itp., są szalone. Uniwersytet Kolumbijski jest właściielem całych połaci New Yorku. Instytucje wszelkiego rodzaju osiadają nieruchomości, pakiety akcji, są zaangażowane w rozaitych przedsiębiorstwach. Statuty tych instytucji zazwyczaj warantują ofiarodawcom jakiś udział w zarządzie, alle udział en nie sięga zbyt daleko i tylko w pewnych wypadkach ma decyujące znaczenie w gospodarce instytucji.

W praktyce zarządzanie takimi instytucjami wymaga nie yle jakich kwalifikacji finansowych czy handlowych. Są to rzecież kolosalne przedsiębiorstwa, albo też ośrodki kierowicze dla całych kompleksów przedsiębiorstw. Nic też dziwnego, e w Stanach Zjednoczonych kierownikami uniwersytetów (preydentami — nie trzeba ich utożsamiać z rektorami uniwersyetów w innych krajach) zostają ludzie ze świata *business*'u. Vpływ ich na nauczanie i kierunek badań nieraz jest znaczny nie zawsze szczęśliwy. Nieraz nawet zgoła nieszczęśliwy. Ale ie jest to regułą i wiele amerykańskich instytucji naukowych cale źle nie wychodzi na tych prezydentach z *business*'u.

W rezultacie więc znaczna część narodowego majątku Staów Zjednoczonych faktycznie nabrała charakteru publicznego. część ta stale rośnie. Fundacje i instytucje z nimi związane ale powiększają swe kapitały, rozszerzają zakres swych działń gospodarczych, stają się potęgami nie tylko w dziedzinie ulturalnej ale i ekonomicznej.

I tu musi panować zasada, że administracja takimi majątmi musi być prowadzona *in a businesslike fashion. Business* szedł tu do dziedzin,które z operacjami bankowymi, z giełdą, produkcją przemysłową, z budownictwem — zdawałoby się, nie iele mają wspólnego.
y nimi kierują. Tu dochodzimy do sprawy przeobrażeń w typie nerykańskiego bogacza.

Ale jest to dopiero jedna strona zagadnienia. Drugą stronę anowią owi ofiarodawcy — same przedsiębiorstwa i ludzie, któ-

Do folkloru europejskiego przeszedł obraz amerykańskieg miliardera. ,,Król'' stalowy, ,,król'' kolejowy, ,,król'' bawe niany — o takich to amerykańskich ,,królach'' pełno niegdyś by i w prasie i w opowieści. Za lat mojej młodości popularna by sztuczka teatralna (czy może był to film?) ,,Jedynaczka kró smalcu''. Powieść amerykańska — szczególnie Uptona Sinclai uwieczniła tych ,,królów'', pokazując ich jako prawdziwych wła ców Ameryki.

Jednakże w dzisiejszej Ameryce ten typ ,,króla'' spotyka jest coraz rzadziej i wyraźnie jest w stanie zanikania. Nie zna to, aby w Stanach Zjednoczonych brakło ludzi szalenie bog tych. Sama tylko lista ,,Fortune'' wymienia 76 nazwisk osó których osobiste majątki są zawrotne. A mniejszych bogaczó jest niemało. Ale typ ,,człowieka bogatego'' ulega wyraźny przeobrażeniom.

W spisie ,,Fortune'' wyliczone są majątki, które dany oso nik już przeznaczył dla fundacji. W jednym wypadku jest prawie 150 milionów dolarów. W innych wypadkach jest wiad me, że ogromne części tych fortun osobistych są w trakcie prz chodzenia na cele fundacyjne. A we wszystkich wypadkach je rzeczą pewną, że stosunkowo nieznaczna część fortuny przypa nie w udziale spadkobiercom.

Prasa amerykańska systematycznie podaje dane o testame tach i spadkach po zmarłych bogaczach. Również systematyczn ogłaszane są dane o sumach płaconych przez największych p datników. Jeżeli chodzi o spadki, to z reguły to co zmarły z stawia swym spadkobiercom, jest znacznie mniejsze od teg czego można by się było spodziewać. W niektórych wypadka różnica między przypuszczeniami a stanem faktycznym jest wrę zdumiewająca. Jeżeli zaś chodzi o dochody, to z reguły czoło miejsca zajmują gwiazdy filmowe i potentaci hollywoodzcy. Zys potentatów przemysłowych i bankowych są mniej imponują i rzadko kiedy dorównywują Hollywoodowi.

Oczywiście liczb tych — zwłaszcza gdy chodzi o spadki nie trzeba traktować zbyt dosłownie. Są niezliczone sposo przekazania fortuny spadkobiercom bez przykrej konieczno przeprowadzenia jej przez masę spadkową. Ale sposoby te mo prowadzić tylko do uratowania pewnych sum. W każdym w padku lwia część majątku zmarłego przypada państwu. I to sa odnosi się do podatku dochodowego.

Ten stan rzeczy wybitnie utrudnia tworzenie się ,,królów i powstawanie ,,dynastii''. Oczywiście ,,dynastie'' takie istnie Spis ,,Fortune'' wymienia tu Fordów i Rockefelerów, Du P tów i Mellonów. Jednakże te ,,dynastyjne'' fortuny coraz rzadz mają charakter własności *osobistej,* będącej w indywidualn posiadaniu Iksa czy Ygreka. Jest to najczęściej majątek fun cyjny, w którym Iks albo Ygrek mają zapewniony jakiś g kierowniczy. Przede wszystkim jednak spadek polega na zape nieniu potomkom udziału w zarządzie i wpływów w niezlic nych koncernach i organizacjach gospodarczych ,,kontrolo

ych'' przez zmarłego potentata. To, co w spadku jest istotne,
nie tyle ilość dolarów, nie tyle dający się wymierzyć majątek
sobisty, ile najrozmaitsze stanowiska i wpływy, jakie zmarły
nógł zabezpieczyć dla swych potomków i spadkobierców. Ame-
ykański potentat w coraz mniejszym stopniu jest ,,królem'',
anem wielkiej osobistej fortuny, a coraz bardziej staje się *ma-
agerem*, skupiającym w swym ręku kierownictwo kolosalnego
rganizmu gospodarczego. Ewolucja, jaką w ciągu ostatnich
ziesięcioleci przebył amerykański *rich man*, da się sprowadzić
o formuły ,,z króla — *manager*''.

W rodzinie Du Pontów — a jest to rodzina bardzo rozro-
zona — każdy od lat bardzo wczesnych otrzymuje jakieś —
hoćby nominalne — stanowisko w zarządach niezliczonych przed-
ębiorstw ,,kontrolowanych'' przez tych potentatów z Delaware.
Jatomiast osobisty majątek, jaki zostawiają po sobie umiera-
ący Du Pontowie, jest stosunkowo niewielki.

Oczywiście ze stanowiskami tymi połączone są nie byle jakie
ochody. W dzisiejszych Stanach Zjednoczonych pozycja mate-
ialna jednostki jest mierzona nie tyle jej majątkiem osobistym
e sumą dochodu. Ale i z tymi dochodami osobistymi nie jest
atwo. Lwią część zabiera tu zarząd federalny, a i rządy stano-
e też dbają o swój udział. Człowiek o wielkich dochodach musi
orządnie nagłowić się nad tym, ile ma przeznaczyć na *charities*,
y zostawić sobie możliwie jak najwięcej.

Wszystko to odbija się na zmianie stylu życia amerykań-
kiego człowieka bogatego. Epoka fantastycznych pałaców i zam-
ów, które w kawałkach były przywożone z Europy, przechodzi
o przeszłości. Jeden po drugim pałace te i zamki przechodzą na
łasność fundacji, mieszczą w sobie biblioteki, muzea, szkoły,
nstytucje publiczne. Jakże zmieniła się słynna nowojorska Piąta
venue! Wszystkie te pałace, ongiś zamieszkałe przez milionerów
zy miliarderów, dziś mieszczą w sobie konsulaty, delegacje do
Jarodów Zjednoczonych, muzea, instytucje naukowe i artystycz-
e. W takim pałacyku mieści się Fundacja Kościuszkowska,
Żydowski Instytut Naukowy (znane z przedwojennej Polski
IVO) zajmuje nawet cały pałac. Tu jest Instytut Chiński, tam
elegacja Sowiecka, tu Alliance Française, gdzie indziej Muzeum
ydowskie. Tak wygląda dzisiejsza Piąta Avenue. A perła jej —
om Fricka — jest dziś po prostu siedzibą jednej z najpięk-
iejszych na świecie kolekcji dzieł sztuki.

Jedynie tylko w mniejszych miastach ludzie bardzo bogaci
ciąż jeszcze mogą sobie pozwolić na bardzo okazałe budynki
ieszkalne. Choć i tu właściwych pałaców jest coraz mniej. Wy-
tkiem jest Hollywood. Tu jeszcze utrzymuje się styl życia,
rzypominający dawną Amerykę ,,królów'' stali czy smalcu.

Amerykański *rich man* najczęściej zajmuje luksusowy apar-
ment w wielkim domu mieszkalnym, ma *penthouse* czyli własny
omek na dachu kolosalnego budynku. W New Yorku Park
venue — ulica takich domów-kolosów — stała się siedzibą

ludzi bogatych. Bardzo wielu wynajmuje apartamenty w wie kich hotelach. Inni mają własne domy, urządzone wspaniale, al dalekie od tej pompy i zbytku, jakie cechowały „pałac'' milic nera amerykańskiego przed laty. Kto zresztą w Ameryce moż sobie dziś pozwolić na utrzymanie sztabu służby?

Oczywiście człowiek bogaty ma rezydencję wiejską. M *estate,* zajmujące nieraz bardzo duży obszar ziemi. Ma tar wspaniały dom, zaopatrzony we wszelkie możliwe udogodnienia Często ma willę na Florydzie, często ma kilka domów letnic w różnych pięknych okolicach kraju. Na te rzeczy go stać. Al wszystko to jest dalekie od tego fantastycznego zbytku, jak kiedyś panował w świecie magnatów amerykańskich.

Zdolności nabywcze bogatego Amerykanina są potężne. Ku puje rzeczy najdroższe, importuje wspaniałe auta europejskie ma yacht, podróżuje własnym samolotem. Z reguły jednak star się najwięcej swych wydatków przerzucić na koszta handlow swego interesu. Albowiem stale musi myśleć o zeznaniu poda kowym! I myśląc o tym, musi zachowywać ostrożność. N wszystko bowiem da się przerzucić. Czasy ekstrawagancji daw nych pokoleń przeminęły. Bogacz dzisiejszy nie zapełnia ju swego domu skupowanymi w Europie czy w Azji dziełami sztuk Nie ma na nie nawet miejsca. Jeżeli je kupuje, to przede wszys kim z myślą o swym zeznaniu podatkowym. To jest kupuje j by je umieścić w jakimś muzeum. Prywatnych zbieraczy, kupu jących dla siebie, dla swego mieszkania, jest w Stanach Zje noczonych coraz mniej.

Niedawno zostało ogłoszone w prasie obliczenie zmia w amerykańskim stanie własności prywatnej. Przed laty trz dziestu trzecia część majątku narodowego Stanów Zjednoczonyc należała do 5 procent ludności. Obecnie 5 procent ludności p siada tylko 18 procent całego amerykańskiego majątku narod wego.

Można mieć bardzo duże wątpliwości co do dokładności t statystyki. Jak zresztą warto je mieć w stosunku do każdej st tystyki. Nie wnikając jednak w dokładność jej liczb, możn przyjąć, że wyniki jej odpowiadają pewnej zasadniczej tendenc jaka istnieje w Stanach Zjednoczonych. Własność osobista z czyna się rozkładać bardziej równomiernie. Zmniejsza się ilo ludzi z ogromnym majątkiem osobistym, powiększa się ilo ludzi, których można określić jako zamożnych i bardzo zamo nych. Przy czym we wszystkich tych wypadkach miernikiem b gactwa czy zamożności jest nie tyle nagromadzony mająt osobisty, ile wysoka skala dochodu.

Nie oznacza to, by nie było wzrostu wielkich gigantó przemysłowych, górniczych czy bankowych. Wręcz przeciwnie giganty te wykazują stałą ekspansję, stają się supergigantan *Big business* ma okres znakomitego rozkwitu. Ale w coraz mni szym stopniu może on być utożsamiany z osobą jakiegoś Ik czy Ygreka, czy z jakąś „dynastią'' potentatów. A te „dyn

tie'', które wciąż istnieją, są o wiele bardziej dynastiami managerów niż królów. Zmiany, jakie zachodzą w ,,państwie'' Forda, są tu szczególnie znamienne.

Amerykański *big business* instytucjonalizuje się. Staje się coraz bardziej bezosobowym. Naturalnie kontrola w nim jest w rękach określonych jednostek czy grup. Jednostki te jednak coraz wyraźniej stają się funkcjonariuszami, coraz mniej są posiadaczami. Mówi się przecież, że Ameryka przechodzi przez okres *managerial revolution.*

VII

Ameryka zmienia się. Dzisiejsza Ameryka jest zupełnie inna od tej, jaką opisywał Upton Sinclair. I jest nawet inna od Ameryki, opisywanej przez Sinclaira Lewisa i pisarzy jego epoki. Nawet tak zwana powieść współczesna, ale pochodząca z okresu przedwojennego, opisuje stosunki, które dziś przechodzą do przeszłości. Tempo zmian jest ogromne.

Są to zmiany niezwykle różnorodne i wszechstronne. To, cośmy w tych rozważaniach omawiali, nie wyczerpuje wszystkiego. Zdaje mi się jednak, że przeobrażenia, któreśmy tu rozpatrywali, są specjalnie doniosłe i najsłabiej — zwłaszcza po za Ameryką — dostrzegane.

W każdym razie to, co się określa jako kapitalizm, w Stanach Zjednoczonych ulega wielkim przemianom. Z pewnością nie jest to ów tradycyjny, ,,klasyczny'' kapitalizm, jaki opisywały dawne podręczniki ekonomii politycznej.

Amerykanin wciąż mówi o *free economy,* o wolnej grze sił gospodarczych, wciąż określa swój ustrój jako *a competitive society*. Ale nasze idee o rzeczywistości, w której żyjemy, są zawsze poza tą rzeczywistością. Z trudem rejestrujemy zmiany, jakie zachodzą, i wierzymy w idee, które przestały już mieć pokrycie w faktach. Mam wrażenie, że gospodarka amerykańska i jej opisy nie pokrywają się ze sobą.

Jestem przekonany, że w Stanach Zjednoczonych — w obecnym etapie ich rozwoju — wytwarza się jakaś nowa forma organizacji społeczno-gospodarczej. Nie jest to socjalizm, choć ma wiele treści socjalistycznych, i nie jest to kapitalizm, choć ma z kapitalizmem bardzo wiele wspólnego. Nie silę się na nadanie temu jakiejś nowej nazwy. Nie przywiązuję do nazw zbyt wielkiego znaczenia. Jedno dla mnie jest pewne — że wytwarza się tu coś nowego.

Jak każda rzecz na tym ułomnym świecie, to nowe z pewnością nie jest doskonałe. Jest pełne sprzeczności, masę rzeczy zostawia na stronie, masy zagadnień nie umie rozwiązać. Słowem, jest czymś ludzkim.

Równocześnie jednak zdaje mi się, że to nowe wcale nie najgorzej spełnia zasadnicze zadanie, jakiego należałoby oczekiwać od każdego systemu społecznego. Zapewnia ono dobrobyt, zapewnia przyzwoite warunki życiowe coraz większej ilości istot ludzkich. Poziom życiowy *przeciętnego* Amerykanina jest wyjątkowo wysoki. Amerykanin odżywia się dobrze (bodaj nawet za dobrze!), mieszka bardzo wygodnie, doskonale się ubiera, stosunkowo mało choruje, długo żyje. Pracuje ciężko, ale nie przepracowuje się, ma wszelkie możliwości odpoczynku. To, co w Stanach Zjednoczonych określane jest jako ubóstwo, w wielu innych krajach świata byłoby przedmiotem zazdrości milionów istot ludzkich.

Powtarzam — ten rodzaj życia nie jest doskonałością. Obraz ten ma liczne ciemne i przykre plamy. W życiu amerykańskim jest pełno podstaw do protestu i do walki. I wciąż słychać tu protesty i wciąż toczy się jakaś walka. Ale Ameryka stworzyła już możliwości, które ułatwiają i uprzyjemniają życie olbrzymiej gromadzie ludzkiej. Zmiany, jakie tu zachodzą, zdają się przemawiać za tym, że możliwości tych będzie więcej, nie zaś mniej.

Ta wielka, dynamiczna demokracja plebejska potrafiła wykorzystać te szanse, jakie natura stworzyła na tym kolosalnym kontynencie. A wykorzystując je, plebejska demokracja Ameryki poszła po drodze przygody i eksperymentu. Przygoda wypadła fascynująco, a eksperyment dał wyniki wcale nie najgorsze. I przygoda i eksperyment nie są bynajmniej zakończone. Pod ich znakiem wciąż odbywają się przemiany, jakie zachodzą w całym życiu narodu Stanów Zjednoczonych. Jaki będzie dalszy kierunek tych przemian — to zobaczą przyszłe pokolenia.

Aleksander HERTZ

Zwycięstwo Borysa Pasternaka

So mnoju liudi bez imion,
Dierewia, dieti, domosiedy.
Ja imi wsiemi pobieżdion,
I tolko w etom moja pobieda (*).

Pasternak: „Rasswiet''.

I

Poezja Wielkiego Niemowy literatury rosyjskiej „epoki stalinizmu'' jest przedmiotem wielu nieporozumień. Nad głównym nieporozumieniem oficjalnym (które sprowadza się do tego, że Stalin, przez jakąś słabość osobistą do Pasternaka, darował mu wprawdzie życie oraz pozwolił mu pisać do szuflady i tłumaczyć Szekspira, Goethego i Schillera, ale wydał zakaz — w praktyce obowiązujący do dziś — drukowania jego oryginalnych utworów) nie warto zatrzymywać się zbyt długo. Załatwia je najlepiej króciutki wierszyk anonimowy kursujący w Moskwie:

Mnie kritiki twierdiat iz goda w god:
narod nie ponimajet Pastiernaka.
No ja ponimaju Pastiernaka;
tak czto-że ja umnieje czem narod?

(*) *Ze mną są ludzie bezimienni,*
Drzewa i dzieci, domatorzy.
I przez to wszystko-m zwyciężony,
I tylko w tym moje zwycięstwo.

Pasternak: „Świt''.

W tym wierszyku mowa oczywiście o ,,krytykach'' z urzę du, tak jak się mówi o sekwestratorach z urzędu. Ale zdarz się, że pojętniejsi od nich krytycy z powołania bywają dla od miany za bardzo ,,umnyje'' i rozumieją Pasternaka w sposób który musi go czynić dość niezrozumiałym i zaciemnionym nie potrzebnie tam, gdzie — jak każe się domyślać moskiewsk drwinkarz — wszystko wydaje się jasne przeciętnym czytelni kom.

Ich błąd polega na tym, że przywiązują zbyt dużą wagę d tzw. kubofuturystycznych źródeł poezji Pasternaka, do teori ,,słów na wolności'', która w utworze poetyckim znaczy jeszcz mniej, niż teoria ,,kolorów na wolności'' w malarstwie. Młody lecz wysoko już ceniony rusycysta rzymski, A. M. Ripellino, pod kreśla słusznie w przedmowie do swojego włosko-rosyjskieg wyboru wierszy Pasternaka, że w jego poezji ,,rzadkie są stro nice, w których wybuch słów bez związku odbywa się z miłośc do czystego dźwięku''; Pasternak — pisze on — ,,był od po czątku mało skłonny do odczłowieczania słowa, do wydrążani go z myśli i zawartości, i starał się prawie zawsze nadać treś pojęciową swoim tkaninom fonetycznym. Stała obecność pod kładu logicznego w wierszach Pasternaka jest tym godniejsz uwagi, że wzory jego tkactwa fonetycznego należą do najinten sywniejszych wśród wszystkich tego rodzaju prób kubofuturys tycznych''.

Bez wdawania się w drobiazgowe wywody, można powie dzieć, że jeśli już koniecznie poezja Pasternaka wymaga zakla syfikowania, to najmniejszą stosunkowo pomyłkę popełni si wkładając ją do szufladki akmeistów, z ich wiarą w słowo jak narzędzie poznania świata obiektywnego, z wiarą Mandelszta ma w słowo utożsamiające się ze stworzonym przez nie wszech światem. Ale jakże łatwo wykazać połowiczność i niedokładnoś takiego określenia w tych wierszach Pasternaka, które w duch zbliżonym do symbolizmu usiłują sięgnąć *poza* i od słowa ocze kują spełniania funkcji odkrywcy związków metafizycznych. Ki dy zawodzą formułki i nazwy, pozostaje jedyne wyjście: opis.

Rojowisko metafor, drgające mrowisko pierwotnych i el mentarnych wrażeń, śledzone jak w polu widzenia mikroskop — powiada Ripellino i ma rację. Ma rację także, gdy ciągni w tym impresjonistycznym stylu dalej: ,,Przedmioty nabiera nowej wyrazistości konturów, jakby poeta wyzwolił je z pleś czasu... Pasternak błąka się w tym świecie po omacku jak czł wiek oszołomiony, który na każdą napotkaną rzecz patrzy po r pierwszy w życiu. Jest w jego wierszach atmosfera Dnia Stw rzenia. Wyraja się przed naszymi oczami rozdygotany wszec świat ledwie dostrzegalnych zjawisk, rzeczy niezmiernie dro nych, szczegółów obserwowanych przez szkło powiększające'' I ma wreszcie rację pasując Pasternaka na największego rosy skiego piewcę deszczu i przypominając porównanie, jakiego d oddania istoty jego poezji użyła Maryna Cwietajewa: świetlis ulewa.

Brak jednak temu wszystkiemu wspólnego mianownika. Oprócz deszczu, drugim ulubionym tematem Pasternaka jest krajobraz zimowy. Po zapoznaniu się z kilkudziesięcioma najbardziej udanymi okazami tej kategorii, łatwo zrozumieć dlaczego: na podobieństwo bursztynu unieruchomiającego przelotny i nieuchwytny wygląd owadu, krajobraz zimowy zatrzymuje i utrwala jak we szkle zmienne kształty przyrody. Pasternak rysujący cienkim piórkiem brzózkę na styku zbielałego nieba ze śniegiem robi wrażenie kaligrafa poetyckiego, kopisty iluminowanych manuskryptów. Pragnienie absolutnej dokładności łączy się tu z nadzieją odsłonięcia jakiejś tajemnicy. Bohater jego powieści (którą zajmiemy się później), lekarz i poeta Jurij Andrejewicz Żiwago, notuje w swoim dzienniku:

„Jasna mroźna noc. Niezwykła świetlistość i precyzja konturów we wszystkim co się widzi. Ziemia, powietrze, księżyc, gwiazdy są przygwożdżone, przybite do siebie mrozem. W alejach parku odciskają się wyraźne cienie drzew, które wydają się utoczone w swej wypukłości. Duże gwiazdy wiszą między konarami lasu, jak błękitne latarnie z miki. Całe niebo jest letnią łąką usianą małymi stokrótkami".

I zaraz potem:

„Do poezji Puszkina, jak do pokoju przez otwarte okno, wdziera się z ulicy światło i powietrze, gwar życia i istota rzeczy. Przedmioty świata zewnętrznego, przedmioty codziennego użytku, *rzeczowniki* — kłębiąc się i tłocząc — biorą w swoje władanie strofy wiersza i przepędzają z nich na cztery wiatry wszystko, co mniej określone. Przedmioty, przedmioty, przedmioty równają szereg w rymowanej kolumnie pod sznurek poezji".

W natchnieniu według doktora Żiwago

„pierwszeństwo nie należy już do autora i do stanu duchowego jaki próbuje on przekazać, ale do języka jakim chce go wyrazić. Język, z którego rodzi się sens nadający kształt pięknu, zaczyna sam myśleć i mówić i staje się cały muzyką, nie w znaczeniu zwykłej dźwięczności fonetycznej, lecz jako trwałe następstwo własnego strumienia wewnętrznego. A wówczas — podobny w tym do gwałtownej masy wód w rzece, która swoim spływem wygładza kamienie na dnie i porusza koła młyńskie — wylewający język tworzy sam i prawie niepostrzeżenie, siłą swoich praw i kierunkiem swego biegu, metr i rym i tysiące innych form i bardziej tajemnych związków, dotąd nieuprawianych, niespotykanych i bezimiennych".

W tak ujętym ideale poezji dostrzega się raczej podskórną i zagadkową dyscyplinę wiersza, niż anarchię i przypadkowość „słów na wolności". Dwie są podstawowe struny lutni Pasternaka: żywiołowa, elementarna konkretność i wezbrany do granic powodzi liryzm, który w budowaniu kamyk po kamyku, drobiazg po drobiazgu, własnego wszechświata poetyckiego szuka klucza do tajemnicy istniejącego. Jego cały dorobek można by objąć mianem „Dzień Stworzenia", tak jak jego ostatni tomik nosi nazwę „Dzień Poezji". Między Poezją a Stworzeniem pojawia się znak równości.

O tym jak wizja poetycka Pasternaka jest przedmiotowa, zmysłowa i konkretna dadzą może pewne pojęcie nawet cztery (wybrane na chybił-trafił i przełożone przeze mnie niezręcznie) strofy z jego różnych wierszy.

Trotuar w pagórkach. W śnieżne koleiny
wmarznięte butelki — nagie czarne kry.
Bułki latarni. Na kominie
puchacz wtulony w pióra — samotny dym.
(„Zimowa noc")

Lód przedtem nim drgnąć
sokami puchł i trzeszczał.
Jak pociemniały paznokieć
jęczała woda w kleszczach.

.. ..

Niebu chciało się pod śnieg,
ulicą szły ciarki.
Wiatr potrącał gdy biegł
szyldy, blachy i klamki.
(„Odwilżą ze sklepów...")

I błyszczą, błyszczą jak usta,
nieotarte dłonią,
gałęzie wierzb i dębu liście,
i ślady gdzie poją konie.
(„Trzy warianty")

Drugi biegun poezji Pasternaka, oscylujący na religijnym pograniczu Nieznanego, ukazują przykładowo dwie ostatni strofy „Wesela", z cyklu dołączonego do „Doktora Żiwago".

Także życie tylko błysk,
tylko roztopienie
samych nas we wszystkich innych
jakby im w podarku.

Tylko wesele co ku oknu
podpływa gdzieś z dołu,
tylko pieśń, tylko sen,
tylko gołąb siwy.

Jest to poezja, którą miałoby się ochotę nazwać *naturalną* w takim sensie jaki nadajemy temu słowu, gdy mówimy o dziel stworzenia, o prawach rządzących na równi wegetacją roślinną zwierzęcą i ludzką; poezja zachwytu dla nieustannego „prąd życia", „strumienia życia", „potoku życia", w którym każd kropla uwięziona pod mikroskopem artysty przechowuje w sob prócz własnych sekretów odbity obraz całości, a „gwałtown masa wód", oglądana przez artystę z daleka, przewala się, p dzi naprzód i zrywa przeszkody w mgnieniu oka.

II

Panując nad światem budowanym z drobin lirycznych w małych wierszach, Pasternak ulega mu w większych utworach — w dwóch poematach o 1905 roku; kamyki nie układają się w dużą i konsekwentną kompozycję mozaikową, lecz tworzą co najwyżej barwne fragmenty.

Nie sądzę jednak, by trafna tu była sugestia Ripellina, że nad „Rokiem 1905" i „Porucznikiem Szmidtem" zaciążyła technika montażu filmowego w stylu eisensteinowskiego „Pancernika Potiemkina". To co wiemy o istocie poezji Pasternaka, skłaniałoby bardziej do przypuszczenia, że sama natura jego talentu odbiera mu oddech epicki. Mamy do czynienia z poetą, dla którego nie istnieje nic pośredniego między ułamkiem i nieskończonym ogromem, między odpryskiem i żywiołem. Nie jest to dobra pozycja wyjściowa do komponowania rzeczy dłuższych, posłusznych prawom ładu artystycznego, wewnętrznej harmonii i samoograniczenia. Jego prawdziwy poemat to setki wierszy, pisanych bez myśli o poemacie, jak prawdziwa zima to setki wariantów pejzażu zimowego, a prawdziwa jesień to setki odmian deszczu jesiennego. W „Roku 1905" i w „Poruczniku Szmidtcie" Pasternak wydaje się kimś, kto drży od przeczuwanej wizji całości a zapomina o niej ledwie się pochyla nad jakimś jej szczegółem.

W poematach o tematyce historycznej ta postawa czysto poetycka znajduje swój odpowiednik w specyficznym spojrzeniu na historię. Porucznik Szmidt, dość mimowolny przywódca sewastopolskiego buntu marynarzy z listopada piątego roku, mówi po klęsce do sędziów:

„Na próżno by w latach zamętu szukać szczęśliwego końca. Dla jednych — karać i kajać się, dla innych — ginąć na Golgocie. Jak wy, jestem *cząstką wielkiego przesunięcia dat* i przyjmę wasz wyrok bez gniewu i żalu. Na pewno nie drgniecie, zmiatając człowieka. No cóż — męczennicy dogmatu, także wy jesteście ofiarami czasów... W te dni — a widzieliście je i pamiętacie w jakie — wyrwała mnie z szeregu *fala samego żywiołu*. Nie powstać z całą ojczyzną byłoby mi znacznie trudniej i nie żałuję teraz przebytej drogi. Wiem, że słup, pod którym stanę, będzie kiedyś granicą dwóch różnych epok historii i cieszę się z mego wyboru".

Tak może mówić tylko człowiek, który w rewolucji widzi przede wszystkim potężny i niepowstrzymany, ale groźny zarazem i przerażający żywioł; który jest jednocześnie świadomym uczestnikiem i tragiczną ofiarą nieuniknionej, podobnej do przeznaczenia lawiny historycznej. Poezja naturalna rodzi więc *historię naturalną* Pasternaka, w takim sensie jaki nadajemy tym słowom gdy godzimy się, że przyczyny wielkich ruchów narodów znajdują się w równej mierze poza zasięgiem kontroli ludzkiej, co przyczyny burz, huraganów i nawałnic.

III

Nie spostrzegłszy się nawet, jak i kiedy, rzuciliśmy już na papier parę pierwszych kresek szkicu do portretu doktora Żiwago, bohatera olbrzymiej (ponad 700 stronic!) powieści Pasternaka, która ukazała się ostatnio we Włoszech jako „światowa prapremiera wydawnicza" (1). Właśnie Jurij Andrejewicz Żiwago, syn bogatego przemysłowca moskiewskiego, bierze udział w „historii naturalnej" Rosji ostatniego półwiecza i pada w końcu jej ofiarą. I właśnie w tej powieści Pasternaka rewolucja występuje najjaskrawiej w roli niepohamowanego żywiołu, niosącego śmierć i zniszczenie wraz z nowym życiem i odrodzeniem.

Podobnie jak poematy Pasternaka, „Doktór Żiwago" jest jako okaz tradycyjnego gatunku literackiego, do którego *ex definitione* należy, powieścią chybioną, zatłoczoną tłumem postaci o ledwie podcieniowanej lub brulionowej psychologii, chaotyczną i rozwichrzoną kompozycyjnie, tonącą bez widoków ratunku w poezji (chciałoby się powiedzieć: w świetlistej ulewie lirycznej), nieutrzymaną ani razu na przestrzeni swego siedmiuset-stronicowego galopu w cuglach najskromniejszej choćby dyscypliny epickiej. Ale w pewien sposób jest to książka — nie waham się użyć tego słowa — wielka: w swej bezkształtności ma przecież jakąś trudną do uchwycenia formę potwora flory głębinowej — oplątuje, dusi, wchłania. Chwilami przypomina świeży i ciepły jeszcze strzęp mięsa, wyrwany z życia Rosji, nawiązując do najlepszych tradycji prozy rosyjskiej ubiegłego stulecia. Kiedy indziej odurza bogactwem tego, co my nazywamy surowcem, a co tu znacznie celniej oddaje włoska „materia prima". I zapewne bogactwu tej „materii pierwszej" przypisać należy, że nigdy dotąd nie czytałem na emigracji książki „stamtąd", która by mi tak boleśnie, jak „Doktór Żiwago", uświadomiła półkalectwo pisarza skazanego na wygnanie z własnego kraju.

---

(1) Warto po krótce opowiedzieć dzieje włoskiego wydania „Doktora Żiwago". Pasternak zaczął pisać swoją powieść natychmiast po wojnie i pracował nad nią dziesięć lat. Na przełomie 1956/57 radio moskiewskie i miesięcznik „Znamia" zapowiedziały wydanie rosyjskie na wiosnę 1957 roku. Komunistyczny wydawca mediolański, Feltrinelli, zapewnił sobie z miejsca prawa przekładu włoskiego, podpisał umowę z autorem i otrzymał od niego manuskrypt. Tymczasem w Moskwie nastąpił „przymrozek" i Pasternak (zmuszony do tego przypuszczalnie przez władze sowieckie) zażądał zwrotu rękopisu pod pretekstem planowanych zmian i przeróbek autorskich. Ale Feltrinelli, który po wypadkach węgierskich i polskich odsunął się od partii odmówił. Nie pomogła ani wizyta Surkowa w Mediolanie, ani naciski Togliattiego. Przekład włoski jest pierwszy, w ślad za nim pójdą inne (francuski, szwedzki, angielski). Oryginał rosyjski nie ukaże się albo w ogóle, albo w każdym razie nie w tej formie co jego tłumaczenia obcojęzyczne.

Wróćmy jednak do „historii naturalnej" i rewolucji w powieści Pasternaka. Czytelnik o wrażliwym uchu dosłyszy wielokrotnie w „Doktorze Żiwago" dalekie echa „Wojny i pokoju": Misza Gordon, odwiedzający front rosyjski w czasie pierwszej wojny światowej, jest krewnym zabłąkanego w mgle bitewnej Piotra Bezuchowa, Tonia Żiwago, przygotowująca bagaże rodzinne przed wyjazdem z rewolucyjnej Moskwy, może uchodzić po trosze za skrzyżowanie Nataszy i starej Rostowej z moskiewskiego roku 1812, jej ojciec ma w tym samym czasie rysy hrabiego Rostowa, Jurij Żiwago bywa na froncie podobny w refleksjach i milczącej zadumie do młodego księcia Bołkońskiego. Ale tołstojowskie echo staje się o wiele bliższe i wyraźniejsze, gdy w grę wchodzi Historia.

„Żiwago uprzytomnił sobie jeszcze raz, że nie potrafi pojąć historii, tego co się powszechnie nazywa biegiem historii, i że w jego myślach pojawia się ona jako rozwój życia w królestwie roślinnym. Zimą pod śniegiem nagie gałęzie kruchego lasu są cienkie i żałosne jak włoski na starczej brodawce. Wiosną w ciągu paru dni las zmienia postać, wznosi się aż do nieba, w gąszczu jego listowia i igliwia można się zgubić, można się ukryć. W tym przeobrażeniu las porusza się z szybkością większą niż zwierzęta, gdyż zwierzęta nie rosną tak szybko jak rośliny. A przecież jego ruchu nikt nie jest w stanie dostrzec: las nie zmienia miejsca, nie możemy zaczaić się i przychwycić go na gorącym uczynku. Pozostaje zawsze nieruchomy. W takim samym bezruchu trwa życie społeczeństwa, historia, która jednak wiecznie się porusza, ulega wiecznym przemianom, nawet jeśli nie zaraz są one dostrzegalne. Tołstoj nie doprowadził swej myśli do kropki, kiedy odmawiał miana twórców Napoleonom, mężom stanu, przywódcom. To właśnie chciał powiedzieć, ale zabrakło mu dostatecznej jasności. Nikt nie robi historii, historii się nie widzi, jak nie widzi się rośnięcia trawy. Wojna, rewolucja, królowie, Robespierre'owie to organiczne pobudki historii, jej drożdże. Rewolucje robią ludzie czynu, sekciarscy fanatycy, geniusze samoograniczenia. W ciągu paru godzin lub paru dni wywracają oni do góry nogami stary porządek rzeczy. Przewroty trwają kilka tygodni, bądź przeciągają się do kilku lat; potem, przez dziesięciolecia i stulecia, ludzie czczą jak relikwię ducha ograniczenia, który doprowadził do przewrotu".

Jurij Żiwago nie jest komunistą, ani nawet marksistą. Wychował się pod wpływem swego wuja, znanego filozofa Wiedenjapina, głęboko przekonanego o tym, że „tylko ludzie żyjący w odosobnieniu szukają prawdy i zrywają z każdym kto ją nie dość kocha", proroka chrześcijańskiego indywidualizmu dla którego upadek Rzymu i przyjście Chrystusa były równoznaczne ze śmiercią narodów i Bogów i z narodzinami jednostki.

„Marksizm i wiedza?" — wzrusza w rozmowie ramionami Żiwago już po rewolucji październikowej. — „Dyskutować na ten temat z osobą którą się zaledwie zna jest rzeczą co najmniej nierozważną. Ale mniejsza o to. Marksizm zbyt słabo panuje nad samym sobą, żeby być wiedzą. Cechą każdej wiedzy jest równowaga. Marksizm i obiektywizm? Nie znam kierunku, który by był bardziej izolowany i oddalony od faktów, niż marksizm. Wszyscy mają manię potwierdzania samych siebie na gruncie praktyki, ci co rządzą natomiast robią — dla zachowania legendy o własnej nieomyl-

ności — wszystko by odwrócić się plecami do prawdy. Gardzę polityką. Nie znoszę ludzi, którzy nie kochają prawdy".

Ale równocześnie posłuszny prawom „historii naturalnej", czuje się u progu rewolucji „pigmejem w obliczu monstrualnej machiny przyszłości, która przejmowała go lękiem". Uważa za „małoduszność szperanie w przyczynach wydarzeń cyklopicznych, gdyż nie posiadają one przyczyn". I także on wierzy, że

„przeznaczeniem Rosji jest stać się pierwszym królestwem socjalizmu od kiedy istnieje świat. Gdy to nastąpi, pozostaniemy długo oszołomieni a ocknąwszy się, nie odzyskamy już części naszej pamięci. Zapomnimy co było dawniej i nie będziemy szukać wyjaśnień rzeczy niesłychanych. Porządek, który nastanie, otoczy nas z taką samą normalnością, jak las na horyzoncie i chmury nad głową. Otoczy nas ze wszystkich stron. Nie zobaczymy dokoła nic innego".

Nadchodzi okres weryfikacji rewolucji na gruncie praktyki. Doktór Żiwago zdaje sobie z każdym dniem jaśniej sprawę, że należy do odrębnego świata, którego mieszkańcy różnią się między sobą „stopniem w jakim przyjęli to co się stało". Posuwa się jeszcze dalej: „byłem zwolennikiem rewolucji — mówi — ale teraz myślę, że gwałtem nie można osiągnąć niczego; do dobra trzeba iść przez dobro". Podczas wojny domowej, jako lekarz partyzantki leśnej za Uralem, wdaje się w rozmowę z jej dowódcą:

„Po pierwsze, teorie kolektywnego doskonalenia się, tak jak zaczęło się je pojmować po Październiku, nie wprawiają mnie w zachwyt. Po drugie, wszystko jest jeszcze odległe od urzeczywistnienia a za samo gadanie zapłaciło się już takim morzem krwi, że doprawdy cel nie uświęca środków. Po trzecie — i to jest najważniejsze — kiedy słyszę o przerabianiu życia, tracę panowanie nad sobą i wpadam w rozpacz. Przerobić życie! Mogą w to wierzyć tylko ludzie, którzy sami może z niejednego pieca chleb jedli, ale nigdy nie poznali życia, nie zrozumieli jego ducha. Dla nich byt jest bryłą surowego materiału, której nie uszlachetniło jeszcze zetknięcie z nimi i którą trzeba wobec tego oszlifować. Lecz życie nie jest materiałem. Życie jest samo żywiołem, który ciągle się odnawia i oszlifowuje; życie samo wiecznie się przerabia i przetwarza, i o ileż jest wyższe od wszystkich naszych ciasnych teorii".

Pod koniec wojny domowej wraca z lasu do małego miasteczka na Uralu i czyta rozlepione na murach teksty odezw i dekretów zwycięskiego rządu rewolucyjnego.

„Niegdyś urzekła go nieodpartość tego języka i wyrazistość zarysu tej myśli. Czyż możliwe by za swój nieostrożny entuzjazm miał teraz płacić słuchaniem przez całe życie wyłącznie tych obłędnych krzyków i uroszczeń, które nie zmieniały się z biegiem lat ani na pół słowa, przeciwnie — stawały się z upływem czasu coraz mniej żywotne, coraz bardziej niezrozumiałe i abstrakcyjne? Czyż możliwe by w owej chwili namiętnego porywu stał się niewolnikiem na zawsze?"

W swoich niekończących się rozmyślaniach w prowincjonalnym uralskim Juriatinie dochodzi też do wniosku, że inspiratorzy rewolucji nie czują się wcale źle w atmosferze marazmu przewrotów i przeobrażeń: nie dla nich zwykły chleb powszedni, trzeba im czegoś co zakrojone jest przynajmniej na skalę globu ziemskiego; budowa nowych światów, stadia przejściowe — oto godny przedmiot suwerennego rojenia rewolucyjnego, cel sam dla siebie. Ale człowiek rodzi się by żyć, a nie by przygotowywać się bezustannie do życia.

Żiwago wyrusza w końcu w drogę powrotną z Uralu do Moskwy i zjawia się w stolicy w początkach Nepu, ,,tego najbardziej dwuznacznego i fałszywego ze wszystkich okresów sowieckich''. Porzuca medycynę na rzecz poezji, a utrzymuje się z pisania broszurek teoretyczno-filozoficznych.

(,,W owej epoce wszystko przybierało charakter specjalizacji: poezja, sztuka tłumaczenia; na temat wszystkiego się teoretyzowało, dla każdej rzeczy tworzyło się instytuty; wszędzie powstawały Pałace Myśli i Akademie Estetyki'').

Pędzi życie odludka — sam sobie sterem, żeglarzem, okrętem. Żona z dwojgiem dzieci i ojcem wyjechała po rewolucji do Paryża; jedyna kobieta którą naprawdę kochał, Lara, przepadła gdzieś na Dalekim Wschodzie. Z nielicznymi przyjaciółmi młodości — bardzo teraz prawowiernymi — nie może znaleźć wspólnego języka. Jeden z nich, Dudorow, przestał być wkrótce po jego przyjeździe ,,liszeńcem'' i wrócił z zesłania do Moskwy, chwaląc sobie te lata ,,reedukacji politycznej'' pod kierunkiem sędziego śledczego.

,,Błagonadiożne tyrady Dudorowa odpowiadały duchowi czasów. Ale właśnie naturalna oczywistość ich bigoterii doprowadzała doktora Żiwago do rozpaczy. Człowiek pozbawiony wolności idealizuje ciągle własną niewolę. Tak było w Średniowieczu i na to liczyli zawsze jezuici. Jurij Andrejewicz nie mógł znieść mistycyzmu politycznego inteligencji sowieckiej, tego co było jej najwyższą zdobyczą lub — jak się podówczas mówiło — pułapem duchowym epoki, lecz milczał, by nie być zmuszonym do dyskusji''.

Klimat ,,ustawicznej hipokryzji podniesionej do rangi systemu'' podkopuje jednak dzień po dniu jego słabe zdrowie. Nie można bowiem bez zgubnych następstw dla ustroju nerwowego ,,postępować codziennie nie tak jak dyktuje uczucie, poświęcać się dla tego czego się nie kocha, cieszyć się tym co jest źródłem nieszczęścia''. Któregoś dnia sierpniowego 1929 roku Żiwago czuje w tramwaju przeszywający ból w okolicach serca. Dąży jeszcze wysiąść na najbliższym przystanku i osuwa się na chodnik bez życia.

Czy przegrał wszystko? Nie. Aż do śmierci wierzy w odradzającą się wiecznie siłę żywiołu, w ,,światło, które nigdy nie zachodzi''. Lecz rewolucja wprowadziła do jego ,,historii naturalnej'' nowy ton, trochę z Dostojewskiego: trzeba żyć tak ,,aby tajemny prąd cierpienia ogrzał chłód naszego istnienia''.

IV

Lara Antipow, opuszczona dla rewolucji przez męża — syna kolejarza moskiewskiego i bezpartyjnego fanatyka — znajduje w miłości do Juroczki Żiwago to, czego dotąd daremnie szukała: dojrzałe potwierdzenie swojej instynktownej mądrości życiowej. Tylko człowiek, którego nie można skatalogować, który wymyka się wszelkim definicjom, jest dla niej ,,człowiekiem wolnym i kryje w sobie ziarnko absolutu''. Jej instynkt wyprzedza czasem doświadczenia i rozumowanie doktora. Nie trzeba jej doświadczeń by wiedzieć, że rewolucja integralna i całkowita musi wyzwolić nagie, prymitywne moce, nie związane z życiem codziennym i elementarnym porządkiem ludzkim. Dlatego z takim przerażeniem śledziła od początku pojawienie się w oczach Paszy Antipowa cienia czegoś abstrakcyjnego, patrzyła jak jego żywą i miękką twarz ściął nagle lodowaty wyraz personifikacji jakiejś zasady, ucieleśnienia jakiejś idei. Przeczuwała, że wpadł w sidła tych mocy — potężnych ale bezlitosnych, które kiedyś nawet jemu samemu nie okażą ni krzty litości.

,,Jego sojusz z bolszewikami'' — zwierza się po wybuchu wojny domowej ze swych przeczuć kochankowi — ,,jest chwilowy. Dopóki wyda im się nieodzowny będą go popierać, gdyż obie strony obrały jednakową marszrutę. Ale przy pierwszym wygaśnięciu tej konieczności przegnają go bez litości, zadepczą go tak jak to już zrobili z wieloma innymi dowódcami wojskowymi''.

Traf chce, że Lara przyjeżdża po latach do Moskwy tuż przed pogrzebem doktora Żiwago. Zostaje w stolicy, ale nie na długo.

,,Pewnego dnia wyszła z domu by nigdy więcej nie wrócić. Może aresztowano ją na ulicy. Umarła lub przepadła gdzieś bez śladu — pierwszy lepszy numer spisu zagubionego w jednym z niezliczonych łagrów kobiecych czy ogólnych Północy''.

Jej przeczucia spełniły się co do joty. Pasza Antipow — czysty rewolucjonista i bezpartyjny wielbiciel Lenina (2), chluba czerwonych jako nieustraszony i bezwzględny pogromca band kontrrewolucyjnych na Uralu pod przybranym nazwiskiem Strelnikow, postrach białych pod uzasadnionym w pełni przezwiskiem Rasstrelnikow — staje się najpierw zbędny, potem niewygodny i wreszcie podejrzany nazajutrz po zakończeniu wojny domowej.

---

(2) W historycznej bądź co bądź powieści Pasternaka pojawia się tylko raz i tylko to jedno nazwisko historyczne z rewolucyjnych i porewolucyjnych dziejów Rosji. Nawet w epilogu poświęconym wojnie z najazdem hitlerowskim nie pada nazwisko Stalina. W imię zupełnej ścisłości trzeba dodać, że w rozmowie Dudorowa z Gordonem (którą przytoczymy później) wymienione jest jeszcze ,,en passant'' nazwisko Jeżowa...

Bolszewicy osaczają go w tajdze syberyjskiej i ścigają jak zranionego, odciętego od stada wilka. Którejś nocy udaje mu się zmylić trop, przebija się przez pierścień obławy i wyrasta jak spod ziemi w domu na odludziu za Juriatinem, gdzie po wyjeździe Lary na Daleki Wschód mieszka samotnie Żiwago. Doktór odgaduje od razu, że legendarny Strelnikow przywlókł się tu nie by wyłudzić od losu jeszcze parę dni życia, ale gnany nieodpartą potrzebą spotkania na chwilę przed śmiercią żywego słuchacza swojej spowiedzi.

,,Była to choroba wieku, gorączka rewolucyjna epoki. Każdy był inny ze sobą samym, a inny w słowach i na zewnątrz: każdy miał utytłane w brudzie sumienie i mógł nie bez powodu czuć się winnym wszystkiego, niezauważonym złoczyńcą, nie zdemaskowanym kłamcą. Z byle pretekstu furia samookaleczającej się wyobraźni zrywała się łamiąc wszelkie hamulce. Ludzie bredzili, brali na siebie winy nie tylko pod naciskiem terroru, ale opanowani chorobliwym pragnieniem samozniszczenia, w stanie transu metafizycznego, wydani na łup tej pasji obwiniania samych siebie, którą wystarczy odkorkować, by nie móc jej więcej powstrzymać. Ileż takich zeznań złożonych przed śmiercią ustnie lub na piśmie słyszał i czytał w swoim czasie wysoki dostojnik wojskowy a niekiedy także sędzia wojenny Strelnikow! Teraz to on był opętany szałem samooskarżania się: przesłuchiwał samego siebie, pod wszystkim wpisywał ostateczne sumy, wszystko widział w świetle rozpalonej, potwornej i majaczącej deformacji".

,,Jutro mnie wezmą" — mówi po spowiedzi na pół do siebie a na pół do doktora Strelnikow. — ,,Wezwą mnie i nie dadzą mi nawet czasu na usprawiedliwienie. Rzucą się na mnie, zatykając mi usta wrzaskami i wyzwiskami. Kto jak kto, ale chyba ja powinienem wiedzieć jak się odbywają te rzeczy?"

Nie dał się jednak wziąć żywym. Wiedząc dobrze, że przegrał wszystko, mąż Lary potwierdził sam tę przegraną strzałem w skroń obok zamarzniętej studni przed domem, w którym mieszkał Żiwago.

V

Latem 1943 roku wracają z urlopu do swoich oddziałów dwaj ,,błagonadiożni" przyjaciele zmarłego przed czternastu laty Jury Żiwago — profesorowie uniwersytetu moskiewskiego w cywilu, major Gordon i podporucznik Dudorow w wojsku. Na jednym z postojów idą nad rzekę i Dudorow bierze się do prania swojej bielizny.

— Gdzieś się nauczył prać? — pyta Gordon.

— Konieczność uczy wszystkiego — odpowiada Dudorow. — Nie mieliśmy szczęścia. Wylądowaliśmy w najstraszniejszym łagrze. Niewielu z pierwszego transportu przeżyło. Wyładowano nasz transport z wagonu. Śnieżna pustynia i w oddali las. Konwojenci z opuszczonymi lufami karabinów, sfora psów. W równych odstępach czasu przyjeżdżały ciągle nowe grupy.

Ustawiono nas w trójkąt na środku pola odwróconych do siebie plecami, żebyśmy się nie mogli nawzajem widzieć. Kazano nam uklęknąć i pod groźbą użycia broni nie rozglądać się dokoła. Zaczęła się upokarzająca i niekończąca się procedura apelu, która ciągnęła się godzinami. Ciągle na kolanach. Wreszcie pozwolono nam wstać; inne grupy odprowadzono, a nam powiedziano: „Oto wasz obóz. Urządźcie się jak umiecie". Ten nasz obóz to był śnieg pod gołym niebem, po środku słup, a na słupie tabliczka z napisem: „Gułag 92 Ja N 90". I nic więcej.

— Nam — przerywa mu Gordon — poszczęściło się lepiej. Ja, rozumiesz, odsiedziałem drugi wyrok, ten który bez pudła przychodzi po pierwszym. Ale inny paragraf, inne warunki. Kiedy mnie wypuszczono na wolność, zrehabilitowano mnie jak za pierwszym razem i pozwolono mi wykładać na uniwersytecie. W czasie wojny dostałem powołanie w stopniu majora, a nie jak ty skierowanie do oddziału karnego.

— Tak — ciągnie Dudorow — słup z napisem „Gułag 92 Ja N 90" i nic więcej. W pierwszych dniach odłamywaliśmy gołymi rękami gałęzie z drzew na szałasy. No i nie uwierzysz, ale powolutku urządziliśmy się naprawdę sami. Zbudowaliśmy cele, ogrodzenia, karcery, bociany — wszystko sami. Pracując jednocześnie w lesie. Piłowaliśmy jodły, zaprzęgaliśmy się do sani w ośmiu i ciągnęliśmy pnie, zapadając się w śniegu po piersi. Przez długi czas nie wiedzieliśmy nic o wybuchu wojny. Ukrywano go przed nami. Ni stąd ni zowąd propozycja: kto chce, może iść na front w batalionach karnych i jeśli wyjdzie z życiem, nie wróci już do łagru. A potem? Ataki za atakami, kilometry naelektryzowanych zasieków z drutu kolczastego, miny, moździerze, miesiące i miesiące piekielnego ognia. Nie na darmo nazywano nas „morituri". Niemcy kosili nas do ostatniego człowieka. Sam nie wiem jakim cudem wyszedłem z tego cało. A przecież zapewniam cię, że to piekło było szczęściem w porównaniu z potwornościami łagru, i to nie z racji nieludzkich warunków życia, ale z racji czegoś zupełnie innego.

— Tak, bracie — wyrywa się Gordonowi — przełknąłeś niejedno.

— Nauczyłbyś się tam nie tylko prać — dorzuca Dudorow.

— To niezwykłe — mówi Gordon. — Nie tylko w porównaniu z twoim losem zesłańca, ale także w porównaniu z całym poprzednim życiem w latach trzydziestych — nawet na wolności, nawet w błogiej atmosferze pracy uniwersyteckiej, książek, zamożności i wygód — wojna była oczyszczającą śnieżycą, prądem świeżego powietrza, zapowiedzią ocalenia. Moim zdaniem kolektywizacja okazała się błędem, bankructwem, a nie można się było do tego przyznać. By ukryć to bankructwo, trzeba było wszelkimi środkami terroru oduczyć ludz. myślenia i rozumowania, zmusić ich by widzieli to co nie istniało i stawiać na głowie oczywiste dowody. Stąd bezprzykładne okrucieństwo okresu Jeżowa, stąd ogłoszenie konstytucji, o której wiadomo było już z góry że nie będzie stosowana w praktyce, stąd wybory nie oparte na zasadach wyborczych. I kiedy wybuchła wojna, jej realne okropności, realne niebezpieczeństwo i groźba realnej śmierci były dobrodziejstwem w porównaniu z nieludzkim panowaniem abstrakcji, przyniosły ulgę, kładąc kres diabolicznej sile martwej litery. Nie tylko tacy jak ty zesłańcy, ale wszyscy, na tyłach i na froncie, odetchnęli swobodniej, pełnymi płucami, rzucając się jak pijani i z uczuciem prawdziwego szczęścia w wir straszliwej, śmiertelnej i zbawiennej walki.

— Wojna — uzupełnia go Dudorow — jest wyjątkowym ogniwem w łańcuchu lat rewolucyjnych. Skończyło się działanie przyczyn tkwiących w samej naturze przewrotu. Zaczęły dochodzić do głosu skutki pośrednie, owoce owoców, następstwa następstw: kruszec charakterów zahartowany w przeciwnościach, prostota obyczajów, heroizm, gotowość służenia rzeczom wielkim, rozpaczliwym, nie mającym sobie równych. Zalety mityczne, które napełniają zdumieniem i stanowią wykwit moralny pokolenia.

W pięć czy dziesięć lat po tej rozmowie (jak w sposób dość nieokreślony informuje powieść) Gordon i Dudorow siedzą w pogodny letni wieczór obok okna, z którego widać układającą się do snu Moskwę. Wojna już dawno się skończyła.

„Choć przejaśnienie i wolność nie przyszły po wojnie wraz ze zwycięstwem, jak tego oczekiwali dwaj starzejący się już przyjaciele, nie miało to znaczenia: przedsmak wolności wisiał w powietrzu, wypełniał lata powojenne jako ich jedyna treść historyczna".

VI

Możemy nareszcie sięgnąć po ramę do gotowego portretu Pasternaka, cofając się do wiersza „Świt" którego ostatnia strofa posłużyła nam za motto do tego szkicu. Wszystko czego do śmierci wypatrywał na horyzoncie z resztkami nadziei w sercu rozbitek „historii naturalnej", Jurij Żiwago, przypływa jak powracająca fala w rozmowach jego dwóch przyjaciół: i koniec działania przyczyn tkwiących w samej naturze przewrotu, i owoce owoców, i następstwa następstw, i oczyszczająca śnieżyca, i prąd świeżego powietrza nasycony przedsmakiem wolności, i przejaśnienie z łaski światła które nigdy nie zachodzi, i nawet wojna ze swoim tajemnym prądem cierpienia ogrzewającym chłód naszego istnienia. Ale na pół zrezygnowany i niepewny ton ostatnich słów powieści budzi obawy, że trudno mieć pewność czy będzie to fala, która wyrzuca na bezpieczny brzeg, czy fala która zatapia.

Co pozostaje? Wiersz „Świt" (dołączony do „Doktora Żiwago") jest króciutką opowieścią liryczną. Zaczyna się od inwokacji do kogoś, kto był wszystkim w losach poety, a potem „przyszła zawierucha i wojna, i długo, długo o tobie ni słychu było ni dychu". I oto „po wielu, wielu latach twój głos znowu mnie zatrwożył, całą noc czytałem twój testament i wstałem, jak z omdlenia" (3). Poetę ciągnie ku ludziom, ku tłumowi, chciałby wszystko rozbić w drzazgi i wszystkich rzucić na kolana. Zbiega po schodach i staje na ulicy: czuje się tak, jakby pierwszy raz

(3) Mógł to być, na przykład, Osip Mandelsztam — najbliższy towarzysz literacki Pasternaka, zamęczony w łagrach w okresie wielkich czystek. Istnieje potwierdzona z wielu źródeł wersja, że po aresztowaniu Mandelsztama Stalin — z tą typową dla wszystkich despotów sadystyczną skłonnością do igrania z myszą — zwrócił się telefonicznie po opinię o nim do Pasternaka. Przerażony Pasternak starał się zminimalizować swoją przyjaźń z „zadżumionym". Stalin wysłuchał go do końca bez słowa, potem powiedział: „Ja lepiej bronię moich przyjaciół" i odłożył słuchawkę. Jest to podobno niezagojona po dziś dzień rana sumienia Pasternaka, choć w owych czasach rozmnożonych Judaszów nie było żadną zbrodnią powtórzyć *tylko* gest Piotra.

wyszedł ,,na te ulice zaśnieżone, na wymarłe bruki''. Wszędz w oknach zapalają się światełka, ludzie piją herbatę i spieszą s do tramwajów. Na progach śnieżyca rozstawia sieci z gęsto pa dających płatków; żeby zdążyć na czas wszyscy pędzą niedopiw szy i niedojadłszy. Poeta ,,czuje za nich wszystkich jakby b w ich skórze, i odtaja sam jak odtaja śnieg, i sam jak rane chmurzy brwi''. Z nim są ludzie bezimienni, drzewa i dziec domatorzy. I przez to wszystko jest zwyciężony...

...i tylko w tym moje zwycięstwo.

Takie jest zwycięstwo Borysa Pasternaka. Ludziom patrza cym z Zachodu może się ono wydawać klęską; w Rosji jest t prawdziwe i wielkie zwycięstwo. Gdyż pisarz pozbawiony wolno ści ma do wyboru tylko dwie drogi: albo ,,idealizuje ciągle własn niewolę'', albo ,,szuka w osamotnieniu prawdy i zrywa z każdy kto ją nie dość kocha''.

Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI

Sulmona

Sulmona jest małym miasteczkiem leżącym w zielonej dolinie Abruzzów, na linii kolejowej Rzym — Pescara, przy zbiegu jej z szosą łączącą to ostatnie miasto z Neapolem. Autobusy międzymiastowe zatrzymują się w nim na Piazza, aby włoskim obyczajem dać podróżnym możność wypicia w Gran Caffé małego espresso. Po kilku minutach pasażerowie wracają na swe miejsca; nikt nie zostaje w Sulmonie. Wyjątek stanowi grupa turystów niemieckich, którą monachijski autobus przywozi co kilka tygodni wieczorem do Albergo Italia. Są to podróżni oszczędni, unikający noclegów w drogich hotelach. Ale i ci odjeżdżają następnego ranka, nie interesując się bliżej miasteczkiem nieodkrytym dotąd przez turystów. Sam Gregorovius poświęca mu zaledwie jedną stroniczkę.

Sulmona posiada wprawdzie stare kościoły romańskie i gotyckie, zrujnowane częściowo przez trzęsienia ziemi, posiada *Museo civico* przechowujące różne osobliwości i liczne zabytki architektury z XVI-XVIII wieku, ale wszystko to można znaleźć w każdym niemal mieście włoskim. W innym kraju tak pięknie zachowane miasto byłoby zapewne celem pielgrzymek. Turyści, śpiesząc w ciągu krótkich wakacji zwiedzić tyle sławnych miast i nie znajdując Sulmony w przewodnikach i podręcznikach historii, poprzestają tam na małym espresso.

Mimo milczenia podręczników miasto posiada historię, zachowującą na przestrzeni dwudziestu kilku wieków zdumiewającą ciągłość. Miewało swoje lepsze okresy. W XV wieku posiadało zaczątek uniwersytetu. W *Museo civico* oglądać można dyplom z 1413, którym Władysław król węgierski upoważnia kancelarię tej uczelni do używania pieczęci z literami S.M.P.E., do których później wrócimy. Nawiasem mówiąc, ów Władysław Andegaweńczyk nie był wcale królem węgierskim, lecz neapolitańskim, synem i następcą Karola III. W pewnej chwili kazał się usłużnym biskupom koronować w Zarze na króla Węgier i odtąd

używał tego tytułu nawet w ojczystym Neapolu. Widoczn
Węgry nie znajdowały się wówczas poza zasięgiem „system
europejskiego" — jak tego później dowodził Bolinbroke — kied
księciu Anjou tytuł króla węgierskiego, nawet imaginacyjn
wydawał się więcej wart od prawdziwego tytułu króla Neapol

Uniwersytet sulmoneński znikł wprawdzie w czasach inwaz
francuskiej, w końcu XV stulecia, coś pozostało zeń jednak
pamięci mieszkańców. Liczące dziś koło 30.000 ludności mias
posiada wiele szkół licealnych, artystycznych, technicznych i rz
mieślniczych. Uczenie się i czytanie zajmuje tam w obyczaja
miejsce, jakie w innych krajach przypada sportom i rozrywkon
Zresztą wyszkolenie techniczne stanowi tam rodzaj kapitał
Tysiące Włochów mogły dzięki niemu znaleźć zagranicą dobr
wynagradzaną pracę w przemyśle mechanicznym. Na Piazza w
dać stacjonujące tam często nowe wozy amerykańskie. Są
synowie Sulmony, którzy, dorobiwszy się za oceanem, przyje
dżają w odwiedziny do krewnych.

Od dwudziestu paru wieków Sulmona stoi wciąż na ty
samym miejscu, na niewielkim wzniesieniu terenu między dw
ma strumieniami — Gizio i Vella — w których latem płyn
trochę błotnistej wody. Koliste mury otaczające niegdyś mias
rozpadły się lub znikły pod zabudowaniami. Pozostały po ni
bramy — Porta Roma, Porta Napoli i Porta Pacentro — or
via di Circonvallazione, biegnąca dawniej wzdłuż wewnętrzn
strony murów. Ulica ta stanowi dotąd właściwą grani
miasta; dzielnice zewnętrzne zaczynają się dopiero zabudowywa
Miasto wypełnia labirynt wąskich uliczek, wzdłuż których wzn
szą się w półmroku żółte, szare lub pomarańczowe fasady bar
kowych domów, spłowiałe w pochodzie wieków. Co kilkadziesi
kroków przechodzień wynurza się z półmroku na jasne *larg*
niewielki czworokątny plac, jakich pewna ilość rozsiana jest ni
regularnie wśród ulic. Całość, w nieco zmniejszonym formaci
przypomina *vicoli* Neapolu lub labirynt ulic rzymskich w oko
cach Panteonu.

Ruch skupia się na jedynej przelotnej ulicy — Corso O
dio — przecinającej falistą linią całe miasto. Przy niej sto
jego główne zabytki architektoniczne. Jak ulice innych mia
południowych, Corso nie ma chodników dla pieszych; samocho
przesuwają się po nim powoli wśród tłumu przechodniów.

Obcego uderza osobliwa funkcja społeczna tych ulic. W kr
jach północnych ulica przeciwstawia się porządkowi i atmosfer
domu; jest tradycyjnie królestwem dorożkarzy, strzelania z ba
i szpetnego języka. Pijani wymiotują spokojnie na ulicy; wol
tam wszystko czego nie wypada robić w domu. Przechodn
śpieszą nie oglądając się za siebie; kto zwalnia kroku zapozna
się z mniej uciesznymi stronami życia, z filmem zabroniony
dla nieletnich.

Inaczej na Corso. Puste w godzinach siesty, Corso zaludn
się pod wieczór. Po skończonej pracy wszyscy przechadzają
tam przez godzinę lub dwie. Znajomi tworzą grupy, zawiązu

się rozmowy, wszyscy witają się wzajemnie; różnice dzielące obywateli wyrażają się w odcieniach uprzejmości nieuchwytnych dla obcych. Niejednego z tych ostatnich zdziwiłaby życzliwa rezerwa, z jaką mówi się tam o nieobecnych. Corso spełnia rolę powszechnego salonu. Słowo mówione zachowała tam swą wagę; nie zdeklasował go druk, jak w krajach północnych, gdzie w kawiarniach czytają gazety w milczeniu. Nawet artykuły drukowane w miejscowym miesięczniku *Dimensioni* mają w sobie coś z przemówienia improwizowanego w kole przyjaciół. Odszukanie w tym mieście znajomych nie wymaga posiadania ich adresów; między siódmą i ósmą wieczorem można ich znaleźć na Corso.

Corso odjęło część znaczenia mieszkaniom; zamożne mają w sobie coś zabytkowego; składają się z wysokich sal, w których łatwiej sobie wyobrazić jakieś uroczyste zgromadzenie niż dzień powszedni; uboższe mają w sobie coś niezagospodarowanego, jak mieszkania zmarłych rodziców utrzymywane z pietyzmem przez mieszkające gdzie indziej dzieci.

Liczne miasta włoskie — jak Wenecja, Mediolan, Ferrara, Parma, Rawenna, Florencja, Neapol, Gaeta, Bari itd. — posiadają tradycję niezależności. Były kiedyś stolicami suwerennych księstw i republik. Sulmonie brak takich wspomnień. Sam wygląd miasta mówi o przeszłości pokojowej. Brak mu warownego zamku, jaki widzimy w tylu innych miastach włoskich, grożącego tyle samo swoim co obcym. W murach Sulmony nie urodził się żaden ambitny dyktator, nie powstało żadne rewolucyjne zgromadzenie. Tym bardziej musiały mu ciążyć rządy obcych, którzy kolejno sprawowali władzę na półwyspie: Gotów, Longobardów, Bizantyńczyków, Franków, Normanów, cesarzy niemieckich, królów francuskich i hiszpańskich. Wobec tych potęg obywatele Sulmony musieli manewrować przezornie, obliczać bez błędu szanse każdego pretendenta do władzy i starać się wyjść najtańszym kosztem z sytuacji słabszego kontrahenta. W czasach feudalnych cesarze niemieccy i królowie neapolitańscy oddawali kilkakrotnie miasto w lenno swym faworytom, z których jeden nosił nawet tytuł księcia Sulmony.

Dwa razy Sulmończycy odmawiali posłuszeństwa i stawili opór: w czasach Republiki rzymskiej, która odmawiała ludom italskim praw obywatelskich, i w 1957, gdy rząd włoski, zajęty innymi sprawami, zdawał się zaniedbywać trawione przez kryzys doliny Abruzzów, faworyzując inne regiony. W obu wypadkach walczyli o równouprawnienie. Dla ambitnych formuła ta jest pełna rezygnacji, bo program równych praw nie przewiduje żadnych satysfakcji dla tych, którzy wolą być pierwsi na wsi niż drudzy w stolicy.

Bunty Sulmony nasuwają różne refleksje. Wydaje się, że republiki i parlamenty wolały zawsze uśmierzać zbrojnie zależne od nich ludy i mniejszości, niż przyznawać im prawa. Republika rzymska powoływała do załatwiania tych spraw dyktatorów. Nie umiejąc im sam dać rady, senat rzymski rozpoznawał przynajmniej trafnie doniosłość tych spraw. Rozszerzenie praw obywa-

telskich na inne ludy półwyspu miało istotnie najdonioślejsz
skutki, z których wymienimy tu jeden, należący trochę do na
szego tematu.

Żaden z poetów rzymskich wieku Augusta nie urodził się n
pierwotnym terytorium Republiki; wszyscy pochodzili z prowinc
niedawno podbitych i zaledwie od jednego lub dwóch pokole
korzystających z praw obywatelskich. Większość ich pozostał
w pamięci wierna swej bliższej ojczyźnie. Owidiusz pisał, *Sulm*
mihi patria est, jak Mickiewicz: „Litwo, ojczyzno moja".



Za żadnych czasów Sulmona nie mogła ofiarować swyn
obywatelom godnych zazdrości honorów i fortun. Tym mnie
potrafiłaby to dziś, po latach gospodarczego kryzysu, który o
ostatniej wojny trawi doliny Abruzzów. Odległe początki jeg
sięgają zapewne czasów Królestwa Neapolitańskiego, w któryn
przepych pałaców i tłumy żebraków łączyły się z sobą, jak dwi
strony medalu. Obecnie dochody lub raczej ich skromność zdaj
się być równiej podzielone. W mieście nie ma nikogo, kt
mógłby własnym kosztem zbudować lub chociażby odnowić jede
z licznych pałaców z XVI-XVIII wieku; mieszczą się w nic
przeważnie urzędy. Stan ten budzi zrozumiałe niezadowoleni
W lutym 1957 miasto pokryło się barykadami; grad kamien
i dachówek powitał zmotoryzowane oddziały policji. Na zna
protestu rada miejska podała się do dymisji, i miasto znalazł
się pod zarządem komisarycznym. W listopadzie tegoż rok
odbyły się wybory administracyjne, podczas których niemal poło
wa głosów padła na komunistów i sprzymierzonych z nimi socja
listów lewicowych.

Wszystko to razem układa się w pozornie koherentną ca
łość; jeden szczegół podpiera drugi. Włoski minister, który
przeddzień wyborów przemawiał w teatrze miejskim, ten właśn
obraz miał na myśli, obiecując wyasygnować znaczne sumy n
uprzemysłowienie doliny, na melioracje rolne i zatrudnienie be
robotnych. Stanowi to wszakże tylko jeden z aspektów życi
Nawet przyjezdny, patrzący z tarasu Gran Caffé, spostrzega,
pełne prostoty i umiaru gesty i słowa mieszkańców są zjawiskie
złożonym. Wytarte ubranie i elegancja w noszeniu go nale
do różnych kategorii zjawisk. Wzajemne przecinanie się odmie
nych porządków rzeczy uderza go jeszcze bardziej, gdy dowi
duje się, że podczas lutowej rewolucji i walk na barykada
nie padł ani jeden strzał, jak gdyby w tej części kra
nie znano wcale rewolwerów. Nawet banalne szczegóły życ
zdają się tu być, jak w powieści naturalistycznej, ustawione
porządku innym od tego, z jakiego zostały wyjęte.

Jest to zapewne wynikiem długiej, zmiennej a zarazem ci
głej, historii tych miejsc. Zamieszkiwał je kiedyś lud Pelignó
którzy zbudowali miasto i zagospodarowali dno doliny. Kapła
ich składali tu ofiary, patrycjusze sprawowali urzędy. Ten sta

twór roztopił się w cywilizacji grecko-rzymskiej. Na rynku, gdzieś o 2 — 3 metry poniżej obecnego poziomu miasta, pojawili się filozofowie i sofiści; jedni zalecali naśladowanie zwierząt, umiejących zachować się z godnością w skromnych warunkach, inni mówili o tajemnej potędze liczb. Rozwijając nawiniętą na drewniany wałek wstęgę papieru, czytano tu Senekę. W tym samym miejscu zbrojni barbarzyńcy dyktowali z konia rozkazy. Stąd świątobliwi eremici, sprzykrzywszy sobie życie miejskie, udawali się do skalnych pustelni, gdy złotnicy w swych warsztatach, mrużąc oczy, patrzyli na grę świateł, biegnących po filigranach z bezcennego metalu. W tych samych murach humaniści czytali potem w rękopisach o złotowłosych boginiach rodzących się z piany morskiej.

Nie wszędzie historia posiada równą ciągłość. Wiele miast przebyło w ciągu tych wieków tragiczne oblężenia, po których mężczyzn zabijano, kobiety i dzieci zaś sprzedawano w niewolę. Inne równano z ziemią, osadzając na tym miejscu obcych kolonistów. Przeszłość Sulmony nie wykazuje luk, po których wszystko zaczyna się na nowo.

Historii tej nikt już dokładnie nie pamięta, jak nikt nie potrafi odróżnić potomków Pelignów od potomków przybyłych tu później Rzymian, Gotów, Longobardów, Bizantyńczyków i Normanów. W rozmowach powraca często nazwa Pelignów, nie znaczy to jednak, aby to najdawniejsze nawarstwienie przeszłości zostawiło tu określone tradycje; jak inne regionalizmy, jest to odruch wywołany niwelującym charakterem państwa współczesnego. Widać zeń tylko, że nawet najstarsze i bajeczne fragmenty przeszłości nie znikły bez śladu i pozostają wciąż obecne w pamięci.

Na tym samym miejscu, gdzie między strumieniami Gizio i Vella stoi miasto z kamienia i cegły, wznosi się Sulmona niewidzialna, twór wyobraźni luźno tylko przylegający do murów, utkany z wspomnień, legend, aluzji, bełkotu snów i strzępów majaczeń wszystkich pokoleń poprzednich. Pisząc prozą, mogę dać o nim tylko najogólniejsze pojęcie.



Od najdawniejszych czasów miasta półwyspu posiadały swe bóstwa opiekuńcze, którym składano ofiary i za pośrednictwem, których mieszkańcy wchodzili w rodzaj umowy ze światem sił nadprzyrodzonych. W czasach chrześcijańskich rolę tę przejęli święci, których cudowne relikwie broniły miast od wrogów i klęsk. Kult św. Antoniego w Padwie daje pojęcie o nieprzerwanej ciągłości tych zjawisk. W niektórych miastach, po Olimpijczykach i świętych, miejsce bóstw opiekuńczych zajęli poeci.

Pośrednictwo poetów nie sięga być może potęg nadprzyrodzonych i prowadzi jedynie do świata wyobraźni. W charakterze patronów miasta poeci mogli zastąpić bogów i świętych tylko tam, gdzie zachowały się jeszcze żywe wspomnienia Olim-

pijczyków, należących tyle samo do świata sił nadprzyrodzonych co do świata wyobraźni.

Znany jest spór Florencji z Rawenną o prochy Dantego. Wygnany z rodzinnej Florencji i skazany tam zaocznie na śmierć, autor ,,Boskiej Komedii'' zmarł w Rawennie, i tam znajduje się dotąd jego grób, uważany za jeden z najważniejszych zabytków miasta. Wielokrotnie Florentyńczycy usiłowali odzyskać prochy poety, ale lud Rawenny bronił ich jak relikwii, od której zależała sława i pomyślność miasta, nie cofając się nawet przed oporem zbrojnym. Gdy wreszcie, pod obcym panowaniem, Rawenna nie mogła ich dłużej bronić, prochy Dantego znikły i przez długi czas pozostawały ukryte w klasztorze Franciszkanów.

Równie znany jest kult Wirgiliusza w Neapolu, gdzie znajduje się grób poety.

Są przykłady nowsze. Ktokolwiek zatrzymał się był, choć ciażby na jedną godzinę, w Pescarze, wie, że miasto to nazywane jest potocznie *città d'annunziana,* i że tam przyszedł na świat zapalny autor *Il fuoco. L'imaginifico* nie wrócił wprawdzie do Pescary, ale zostawił tam dom, zmieniony ostatnio na muzeum i żółwia, którego historię znają wszyscy mieszkańcy.

Sława poetów udziela się także prozaikom. W Aquili na środku miasta stoi pomnik Sallustiusza, który urodził się niedaleko od tego miasta. Ktokolwiek kąpał się w Abano, wie, że tam przyszedł na świat Liwiusz.

Pamięć ludowa ma w sobie coś z miłości pogańskiej, przywiązanej do ciała i nie dającej się odeń odwieść obietnicą obcowania z cieniem lub duchem. Lud otacza kultem autorów samych, mniej licząc się z ich pismami. Miejsca, przez które przechodzili, przedmioty, których dotykali, świecą się długo w ludowej pamięci.

Wśród miast, które geniusza opiekuńczego szukały nie na Olimpie i nie w ,,Złotej legendzie'', lecz na Parnasie, pierwsze miejsce przypada Sulmonie. Jest to przede wszystkim *città ovidiana,* miasto Owidiusza, czerpiące swą dumę, a być może nawet swą rację bytu z urodzonego w jego murach poety. Na bramach miasta i budynkach publicznych widzimy wszędzie litery S.M.P.E. — *Sulmo mihi patria est,* jak w Rzymie S.P.Q.R. — *Senatus populusque romanus.* S.M.P.E. jest godłem miasta, jego tytułem szlacheckim, gwarancją godności. *Il nostro Ovidio,* mówią o nim mieszkańcy. Tytułu do sławy zapisanego wielkimi literami na Parnasie nikt nie może odebrać. Kto go posiada — wznosi się ponad przeciwności losu i mierność fortuny. Kult sulmoneńskiego poety nie był dziełem humanistów. Najstarszy z istniejących w mieście napisów S.M.P.E. datuje z XIII wieku, to jest z czasów, kiedy dzieła poety znane były tylko z rzadkich i pełnych błędów rękopisów. Nie tyle więc być może znajomość pism poety, ile nieomylny instynkt przywiódł Sulmoneńczyków do posiadania tego talizmanu.

Głównych wiadomości o swym pochodzeniu z Sulmony i o tym mieście w ogóle dostarcza sam Owidiusz, który wielokrotnie w różnych pismach wraca do tego tematu. Urodził się w rodzinie zamożnej, należącej do *ordo equestris* i posiadającej wiele wolnego czasu; o przywileju wolnego czasu poeta wspomina kilkakrotnie. Zebrane przez Mommsena napisy z czasów Republiki mówią, że Ovidii — nazwisko nie spotykane w innych częściach półwyspu — byli rodziną patrycjuszy sprawujących w Sulmonie różne godności.

Według miejscowej tradycji majątek Owidiuszów leżał na stoku Monte Morrone, o parę kilometrów od miasta. Miejsce to nazywa się dotąd Poteche Ovidio, od greckiego *apotheke*, słowa oznaczającego pierwotnie śpichlerz lub piwnicę na wino, później zaś skład roślin leczniczych i piwnicę, gdzie destylowano z nich dekokty. Całe to zbocze jest dziś jałowym rumowiskiem, pokrytym dzikimi krzewami. Osuwające się z Monte Morrone zwały kamieni i gliny zasypały budynek zwany willą Owidiusza. Wystaje zeń nad ziemię tylko jedna ściana, imponujących rozmiarów *opus reticulatum* długości 70 i wysokości 9 metrów. Na tym fundamencie stoją ruiny 12 pokoi niewiadomego przeznaczenia; żadne drzwi nie prowadzą z nich do wnętrza zasypanego budynku.

U stóp zbocza znajduje się źródło zwane *Fonte d'amore*. Tam Owidiusz miał się spotykać z Korynną. Wchodzimy tu jednak na teren legendy, bo tekst ,,Amorów'' nie daje powodu do takich przypuszczeń.

W pamięci ludu zamieszkującego tę część doliny przechowały się o poecie niezliczone legendy. Owidiusz występuje w nich bądź jako mag, bądź jako filozof podróżujący w towarzystwie Cycerona, bądź jako doradca i przyjaciel św. Celestyna, bądź wreszcie jako czarownik i zły duch strzegący skarbów ukrytych w willi. Ta ostatnia metamorfoza poety świadczy o bardzo dawnym pochodzeniu legendy.

Bogowie Olimpu nie od razu znikli z pamięci chrześcijan, zmieniła się tylko ich rola. Lud nie odrzucał ich jako tworów wyobraźni; bogowie istnieli nadal, lecz jako demony i istoty złośliwe nastające na cnotę wiernych. Tej samej przemianie uległ wraz z nimi ich poeta. Niektórzy ojcowie kościoła potępiali go zresztą jako autora odwracającego uwagę od zbawienia duszy i wiodącego wyobraźnię czytelników na manowce.

Jeszcze przed kilkudziesięciu laty Owidiusz w postaci złego ducha o świecących oczach ukazywał się wieśniakom mieszkającym koło Fonte d'amore i straszył poszukiwaczy skarbów zbliżających się do ruin willi. O potędze legend świadczą dwa głębokie otwory w *opus reticulatum* willi, przez które poszukiwacze skarbów starali się dostać do domniemanych piwnic. Jednemu z nich, mówi legenda, udało się dotrzeć do lochu pełnego worków ze złotem, lecz duch Owidiusza zastąpił mu drogę: ,,To złoto nie jest dla ciebie; przeznaczone jest na odnowienia świata''.

Nie wiele zostało w Sulmonie pamiątek bezpośrednich p Owidiuszu, a i te są wątpliwej autentyczności. Filolodzy klasycz ni są zgodni w tym, że nie ma tam nic do widzenia. Brak pa miątek bezpośrednich nie zniechęca jednak czytelnika „Meta morfoz". Drzewa, krzewy, łąki, kwiaty, źródła i groty są wcią takie same. Pisząc o nich, poeta miał zapewne przed oczam wzory widziane w młodości. Tylu bohaterów „Metamorfoz" zmie nionych zostało w drzewa, krzewy i kwiaty, że poeta radzi ni łamać gałązek i nie zrywać kwiatów, aby nie zranić zaklętyc w nie półbogów i ludzi. Jak wyglądają drzewa, z których sfru nęła kiedy lotna fantazja poety?

Cała barokowa symbolika drzew, z której zrodziły się niezl czone parki Europy — od Wersalu do Zofijówki — ma sw źródło w „Metamorfozach". Symboliczny język drzew został o kryty i zrozumiany już przedtem, lecz Owidiusz pozostawił na kompletniejszy słownik tej mowy. Wzrok jego zatrzymywał si zapewne długo na otaczających go drzewach. Myśląc o tym, rozu miemy, czemu przypisywał największą wagę swobodnemu ro porządzaniu czasem. Nieśpieszne oglądanie nie tych samyc wprawdzie, lecz takich samych drzew, rosnących w tym samy miejscu, powinno ożywiać bajecznie lekturę „Metamorfoz".

Pierwszy kontakt z krajobrazem owidiańskim przynosi za wód. Od tamtych czasów dolina Sulmony i jej szata roślinna uległy wielkim przemianom. Nie zmieniło się zapewne tylko sa mo dno doliny, pocięte gęstą siecią mruczących kanałów, le o kilka kroków dalej otwiera się szaro-żółte, spalone słońce pustkowie.

Cały basen Morza Śródziemnego, kolebka naszej cywiliza cji, został spustoszony. Kwitnące niegdyś prowincje i miast rzymskiego imperium pokryły lotne piaski. Dewastacja pos wała się przez wieki w głąb lądu. Lasy i drzewa zachowują s tylko tam, gdzie gminy rolnicze posiadają pewien udział w wła dzy, jak to miało miejsce np. w Szwajcarii. Obcy nie krępowa się nigdy rąbać bez pardonu; znikły nie tylko lasy, ale tak drzewa pamiątkowe i symboliczne, jakie posiadali niegdyś ko swych domów wszyscy rolnicy. W suchym klimacie południo wym wyrąbany las nie odrasta; na pozbawionej dobroczynneg cienia ziemi, słońce spala resztkę roślinności; zostaje ziemia n ga, którą deszcze spłukują, zostawiając tylko martwicę i skał

Proces ten zmienił całkowicie stoki Monte Morrone, p kryte niegdyś lasem. Gdy tego ostatniego nie stało, ziemia zj chała ze stromizn na dół, odsłaniając szeroki pas skał i prz krywając niższą część stoków wielometrową warstwą kamie i martwicy. Pod warstwą to znikły nie tylko Poteche Ovidi ale i wiele innych starszych budynków. W miejscu zwanym C sino Pantano widać ruiny willi rzymskiej, wystające z kilkum trowej warstwy iłu.

Zniknięcie otaczających lasów zmieniło także drzewost dna doliny, zmuszając ludność do sadzenia wzdłuż dróg i kan

łów szybko rosnących topoli, których drzewo jest jedynym tam materiałem opałowym. Topola wyparła drzewa trwalsze, które dawniej otaczały domy mieszkalne. Z rzadka tylko widać koło nich lipy i orzechy, należące do rzymskiej tradycji.

Pocięte kanałami nawadniającymi dno doliny otaczał niegdyś pas lasów, pastwisk usianych drzewami, gajów oliwnych, ogrodów owocowych. Tam zapewne Owidiusz widział wzory swych drzew. Cały ten pas jest dziś pustkowiem. Wspinając się nań kamienistą ścieżką przechodzień mija pas zniszczonych przez mrozy ostatnich lat oliwek, potem rzędy najodporniejszych na suszę drzew migdałowych, wreszcie widzi przed sobą tylko z rzadka rozsiane *spine*, krzewy kolczaste i badyle spalonych przez słońce roślin. Suche krzewy i badyle usiane są tysiącami opalizujących w słońcu pereł. Są to malutkie ślimaki, które z początkiem suszy przykleiły się do zielonych jeszcze wówczas roślin. Cisza i samotność są tu doskonałe.



Wiosną 1956 zawiązał się w Sulmonie komitet obchodu przypadającego na 1958 2000-lecia urodzin Owidiusza. Będzie to przede wszystkim ludowe święto regionalne, odnawiające wiekowe tradycje i najgłębsze aspiracje miasta, wielki dzień Sulmony niewidzialnej, o której była mowa wyżej.

Poza Sulmoną obchód tej rocznicy stoi pod złymi auspicjami. Kiedy w 1936 świętowano 2000-lecie Horacego, rocznica ta znalazła pewien oddźwięk. Wzmiankowały ją czasopisma literackie, o Horacym napisano kilka książek, nie licząc tez i przyczynków. Od tego czasu minęły jednak lata mało sprzyjające wspominaniu autorów klasycznych. Dla innych zresztą ważnych względów Owidiusz nie może liczyć na życzliwość publiczności literackiej; od przeszło stu lat posiada mianowicie bardzo złą prasę u krytyków i historyków literatury. Literat, wierszopis, mówi o nim z pogardą Sainte-Beuve. Autorzy podręczników zarzucają mu jednomyślnie retorykę, nadużywanie łatwości w wierszowaniu, brak jakiegokolwiek głębszego uczucia.

W okresach zmiany mody sądy literackie ferują swe wyroki jeszcze lekkomyślniej od sądów koronnych. Strącając Owidiusza z Parnasu, krytycy epoki romantycznej nie wysłuchali nawet głównych świadków, za jakich słusznym tytułem mogliby uchodzić Goethe, wielki wielbiciel autora „Metamorfoz", i Byron, którego powinowactwo literackie z tym ostatnim nie uszło uwagi uważniejszych czytelników.

Na pierwszy rzut oka trudno jest zrozumieć przyczyny szybkiego rozpowszechnienia się tego sądu, przekazywanego odtąd z pokolenia w pokolenie, z podręcznika do podręcznika. Łatwiej zrozumieć jego trwałość, Owidiusza bowiem nikt więcej nie czyta. Brak w handlu jego tekstów. Wielu utworów brak też w wydaniach dwujęzycznych — jak Collection Guillaume Budé

i Loeb Classical Library — w których klasycy trafiają czasami do szerszej publiczności. Nikt więc nie miał dotąd okazji do zrewidowania sądu krytyki romantycznej.

Kiedy w 1956 zetknąłem się z komitetem obchodu, ten ostatni liczył poza Sulmoną tylko na jednego sojusznika. Wiadomo mu było mianowicie, że w Konstancy nad Morzem Czarnym znajduje się taki sam pomnik Owidiusza jak w Sulmonie, dzieło tego samego rzeźbiarza, i że w Rumunii również zawiązał się komitet obchodu 2000-lecia poety.

Uroczystości w Sulmonie rozłożone zostały na cały rok. 1-go października 1957 nastąpiła inauguracja *anno ovidiano*, w listopadzie otwarto wystawę starych druków i innych pamiątek dotyczących poety, na maj 1958 projektowany jest zjazd filologów itd.



W dniu otwarcia *anno ovidiano* koło dwustu miejscowych honoratiorów zebrało się rano w Sulmonie na ratuszu, aby przy lampce wina wysłuchać krótkich przemówień prezesa komitetu obchodu i kierownika zarządu komisarycznego miasta. Zdawało się, że uroczystość ta będzie miała charakter intymny, niemal rodzinny. Wychodząc jednak z ratusza, uczestnicy zgromadzenia zobaczyli, że posąg Owidiusza na Piazza XX Settembre przybrany został w laurowe wieńce o barwnych wstęgach i złoconych napisach, złożone przez przybyłych do Sulmony gości. Oto ich lista: dwudziestu emigrantów rumuńskich (1), trzech urzędników poselstwa rumuńskiego z Rzymu oraz czeska orkiestra i chór z Brna, które wieczorem tegoż dnia wykonały w teatrze miejskim dwie kompozycje renesansowe do słów Owidiusza. Do tej listy dodać mogę starego *pellegrino ovidiano* czyli piszącego te słowa.

W Polsce, Rumunii, Czechosłowacji i na Węgrzech czytelnicy sulmoneńskiego poety muszą być dziś równie rzadcy jak na Zachodzie. Kraje te posiadają natomiast starą legendę Owidiusza, dziś zapomnianą, lecz tlejącą gdzieś być może pod gruzami przeszłości. W Polsce znaleźmy tylko jej ślady. Nad Kutami, gdzie w 1939 Polacy żegnali się z krajem jadąc na emigrację, wznosiła się góra Owidiusza. Wieś Obidowa, leżąca koło sławnej w literaturze Naprawy i której nazwa według wszelkich rozsądnych przypuszczeń powinna była pochodzić od „bidy", starsze dokumenty nazywały „Owidową". Według świadectwa Syrokomli, koło Dawidgródka znajdowała się również góra Owi-

(1) Wielkie dzienniki rzymskie, omawiając szczegółowo przebieg uroczystości w Sulmonie, przemilczały całkowicie udział w nich rumuńskich emigrantów. Trudno opędzić się natrętnemu pytaniu, czy gazety wychodzące w Warszawie byłyby również zobowiązane do takiej dyskrecji.

diusza (2). W starych książkach znajdują się liczne relacje o grobach Owidiusza, znalezionych w Polsce, na Węgrzech, w Czechach lub *in finibus Graeciae et Valachiae*, „o sześć dni drogi od Dniepru". Jeden z nich, z łacińskim epitaphium, oglądać można na sztychu z końca XVI wieku. Węgierska królowa Izabella posiadała nawet srebrny stylos poety, znaleziony w jednym z tych grobów.

Wytłumaczenie legendy i obecności tylu grobów i gór Owidiusza w tej części Europy znajduje się w „Tristiach" i „Listach z Pontu", pisanych przez poetę z zesłania. Dowiadujemy się z nich, że Sarmaci i Goci, z których składała się ludność pogranicznego miasteczka Tomi, starali się złagodzić los zesłańca; zarząd miasta uwolnił go od podatków. Owidiusz nauczył się wkrótce ich języka. Skarży się, że nie znajduje więcej w pamięci słów łacińskich, i że łatwiej byłoby mu pisać po sarmacku. Później dodaje, że z okazji śmierci Augusta napisał istotnie wiersz w tym języku.

Jeden z listów skierowany jest do barbarzyńskiego króla Kotysa, który w wolnych chwilach pisywał wiersze, i do którego poeta zwraca się jako do kolegi po piórze. Jedno zdanie tego listu zdaje się dawać do zrozumienia, że Owidiusz zamierzał w pewnej chwili uciec z Tomi i szukać schronienia u Kotysa.

Sarmaci... sarmatyzm... wyrazy dobrze nam znane. Polacy, jak wiadomo, uważali się przez kilka wieków za potomków Sarmatów. Z „Listów z Pontu" wynikałoby zatem, że nie kto inny tylko sam Owidiusz wtajemniczyć ich musiał w arkana łacińskiej gramatyki i że on również nauczył ich pisać mową wiązaną w ich własnym języku. Powyższa interpretacja faktów otacza takim splendorem początki poezji w Polsce i stosunków Sarmacji z Zachodem, że trudno rozstać się z nią bez żalu. Toteż nawet August Bielowski w swym „Wstępie krytycznym do dziejów Polski" — z 1850 sądzi, że list Owidiusza do króla Kotysa skierowany był do bajecznego Popiela II Kotyski. „Dwór, pisze, na którym wygnany Owidiusz ostatnie lata przepędził, był to dwór naszego Popiela Kotyski".

W świetle legendy rozumiemy lepiej motywy, dla których Paweł Uchański, poseł Stefana Batorego w Rzymie, poznawszy

---

(2) W fraszce o Owidiuszu na Polesiu Syrokomla opowiada o kłopotach Augusta, któremu poeta bałamucił córkę Julię, i który, po naradzie z przyjaciółmi, wysyła go w dalekie kraje. Dalej czytamy:

Już Nazon w pińskich błotach zbiera muchomory,
Łowi wiuny i raki Cezarów dworaczek
I z sarmackiego łuku pudłuje do kaczek,
A co poczta, przyjaciół swymi listy nudzi.

Julia — puchu marny! istoto kobieca! —
Do junkra pretoriańskiej straży się zaleca...
A poeta wygnaniec z głodu i ze smutku
W dobrach Radziwiłłowskich umarł w Dawidgródku.
Dotąd jego imieniem góra się nazywa.

tam humanistę z Sulmony, nazwiskiem Ercole Ciofano, pokrył koszty druku książki tego ostatniego o Owidiuszu. Sława poety rzucała wówczas pewien blask także na kraj, który Uchański reprezentował w Rzymie.

Żałować zapewne wypada, że kult Owidiusza w Polsce miał przesłanki pozaliterackie, i że ślad autora „Metamorfoz" w literaturze polskiej wydaje się nikły w porównaniu z autorytetem jego nazwiska. Spełniła się w ten sposób obawa, wypowiedziana przez poetę w liście do żony, że, jeżeli prochy jego nie wrócą z wygnania, jego rzymski cień będzie błądził, zawsze obcy, wśród cieni sarmackich:

Inter Sarmaticas Romana vagabitur umbras.

Trudno nie zwrócić uwagi na pewne zbieżności, łączące kult Owidiusza w Sulmonie i w odległych krajach Europy Wschodniej. I tu i tam legenda poety rozwiała się bezpowrotnie, dzieła jego zna tylko mała garstka czytelników, lecz imię jego wiąże się wciąż z głębokim kompleksem spraw ludzkich, którego historia nie jest jeszcze zakończona.

Paweł HOSTOWIEC

W Nowosiołkach

Byłem kiedyś na przykrym pogrzebie, który zapadł mi w pamięć bardziej od innych, w jakich uczestniczyłem.

Umarła żona ekonoma. Właściwie: byłego ekonoma. Człowiek ten, jeszcze młody, miał z nią dwoje dzieci, siedmioletniego syna Stasia i córkę, dziewięcioletnią Zosię. W roku 1939, dwór jako własność prywatna, przestał istnieć. Właściciele uciekli przed bolszewikami. Starego pana ponoć gdzieś ubili po drodze, zaś pani, o lat dwadzieścia odeń młodsza, przeszła, powiadają, w straszną tę noc, na tyły nieznanej jej wsi, i poza odrynami wydostała się w końcu aż do Wielkiej Brytanii. Ale to są szczegóły uboczne.

Dom ekonoma nie znajdował się w obrębie zabudowań dworskich. Stał daleko, prawie pod lasem. Kiedyś w nim mieszkał leśniczy, ale później właściciele zbiednieli, leśniczego zlikwidowali i w jego domu osadzili ekonoma. Człowieka sprowadzonego aż znad brzegów dolnego Sanu, wskutek przypadkowej protekcji. Był więc na naszym, białoruskim terenie zupełnie obcy. Nazywał się też dziwacznie: Marceli Swat. Początkowo ludzie stroili z tego nazwiska żarty. Zajdzie on, bywało, do czyjejś chaty, czy do pracowni rymarza albo stelmacha dworskiego, przypilnować roboty, przechodząc. A później ktoś inny, zachodząc, zapyta:

— Kto to był u ciebie?

Człowiek roboczy, zgięty nad chomątem, czy pochylony nad heblem, odburknie:

— Ech, tam. Swat, był.

— Cóż to, córkę myślisz już zamąż wydawać, czy może rodzoną żonę?... Że swaty do ciebie chodzą?... Ha-ha i ha-ha! — Zawsze ten sam śmiech.

Ałe żarty wkrótce ustały. Ludzie się przyzwyczaili do tego stopnia, że po upływie pół roku i we dworze i we wsi Nowosiołkach, Swat — to zdawał się być przede wszystkim on, ekonom, a swat-od-swatania to śmieszne tylko przezwisko, zbieg taki okoliczności językowych. Ludzie przyzwyczaili się tym

prędzej ponieważ ekonom ten był na ogół lubiany i, co ważniejsze, poważany wśród chłopów. Obcość, jak wiadomo, ma znaczenie tylko w polityce. W życiu codziennym nie tyle zależy od narodowości, wyznania czy obcych stron i obyczajów, ile od charakteru. Bądź-ty-swoim z dziada pradziada ale słabego charakteru, albo niesprawiedliwy, a nikt ciebie poważać nie będzie. A przyjedzie ktoś z końca świata, natomiast: to co się nazywa, jednym słowem — człowiek! — i od razu z nim będą trzymać wszyscy. Tak też mówiono w Nowosiołkach i właściwie trafnie mówiono.

Tak również było z Marcelim Swatem. Naturalnie z natury swego stanowiska nie mógł się obejść bez wrogów. Ale znowuż na to jest powiedzenie inne: „Kto ich nie ma, ech..." Swat zaś umiał ze swej strony trzymać z tymi, którzy coś znaczyli, a jeżeli lekceważył to takich, których właściwie cała gromada lekceważyła. Natomiast dla wszystkich potrafił być jakoś uprzejmy. Może on tam, sam w sobie, był i skryty, i chytry, i o własnym interesie nie zapomniał, ale że człowiek uprzejmy to fakt.

Na samym skraju, prawie poza wsią, mieszkał znany złodziej. Za oczami nawet go w ten sposób we wsi określano: Hołub-złodziej, dla odróżnienia od innych Hołubów, których we wsi było więcej. Złodziej jednak kiepski, bez talentu i wskutek tego biedniak, pijanica trochę, nieumiejętny życiowo. — („To co dziwo, że i biedniak") — Po zlikwidowaniu leśniczego do kompetencji Swata należał również i las dworski. Otóż, powiadają, że ekonom raz umyślnie poszedł w zamieć śnieżną do lasu w nocy, bo już wiadomo, że Hołub niczego oryginalniejszego nie wymyśli jak w taką właśnie noc jechać kraść drzewo. Inaczej przecie nie bywało ani za ojca, ani za dziada. Naturalnie Swat go przyłapał. Dalej opowiadano, że gdy Hołub („złodziej" naturalnie nie inny Hołub) speszył się zupełnie, stracił się i czapkę nawet zdjął na sypiącym ze wszystkich stron śniegu, przed naładowanymi już rozwalinami, Swat miał nagle machnąć ręką i powiedzieć:

— Jeeedź już! Tylko żeby nikt nie widział.

Mało tego: gdy Hołub w pośpiechu nie zdążył nawet podziękować i czapkę zamiast na głowę w roztargnieniu wpakował dlaczegoś pod pachę, chwycił lejce i pokierował z tego pośpiechu właśnie w największą zaspę, a jego lichy, ryży konik nie mógł wyciągnąć — Swat, podobno, sam podparł ramieniem i pomógł wypchnąć sanie.

Te „powiadania" powtarzane były przed wojną naturalnie tylko szeptem. Ale gdy przyszli bolszewicy zostały ujawnione przez samego Hołuba i stały się faktem. Wprawdzie o wypchnięciu sań ze śniegu przyznał się raz, dopiero po pijanemu, gdyż po trzeźwemu obawiał się żartów ze swej nieudolności życiowej. Nawiasem trzeba dodać, że z nastaniem „wyzwolenia" Hołub porzucił złodziejstwo i całkowicie zajął się potajemnym pędzeniem samogonu na większą skalę.

Szereg podobnych szczegółów tyczących przeszłości Swata uratował go przed represjami ze strony nowej władzy, która wydzieliła mu nawet działkę przy domu z b. dworskiej ziemi, w czasie jeszcze przed-kołchozowym. Po prostu ludzie się za nim wstawili. Potem takie wstawiennictwo mogło być rzeczą niebezpieczną, gdyż nowa władza nie lubiła osób cieszących się powszechną popularnością u sąsiadów. Ale wtedy był dopiero początek.

Dom jego stał przy drodze o dziwnych koleinach. Nikt tamtędy dużo nie jeździł. Dróżka była polna, zarosła trawą, pomiędzy rolą dochodzącą lasu i pastwiskiem na prawo, skłaniającym się ku porosłej łoziną rzeczki, za którą dopiero leżała wieś. Koleiny nie tylko były głębokie, ale o głębokości nie równej, więc jadąc wozem, kiwało i szarpało jak łódką na krótkiej fali. Poza tym gdy w jednej dziurze stała woda, w drugiej leżał kamień, a w trzeciej grząskość, lub pozostałość korzenia, i dojechać do Swata łatwiej było po zaoranym niźli drogą. Ale nikt jej naturalnie nie poprawiał, a na zapytanie: „Od czego one takie wyboiste, te koleiny?" — Słyszało się zazwyczaj odpowiedź: „Pan Bóg święty raczy wiedzieć".

Czasem, gdy człowiek zmruży oczy i zechce sobie uprzytomnić, wyobrazić: O jakich to wszystkich szczegółach w życiu kuli ziemskiej Pan Bóg musi wiedzieć, to aż się w głowie zakręci. A przecież nie jedna kula ziemska! Jest jeszcze: księżyc, gwiazdy, słońce... Można stracić wiarę w taką możliwość.

Znałem dobrze Marcelego Swata. Wzrostu średniego, głowę przykrywał cyklistówką; pod nią twarz chuda, powiedziałbym: prawie lisia. Oczy wąskie, uśmiechnięte, nieomal pozbawione brwi. Bardzo kochał dwoje dzieci i grzeczny był dla swojej matki. Z tą matką było tak: staruszka przyjechała na pół roku przed wybuchem drugiej wojny światowej, ażeby odwiedzić syna z synową i wnuków. Przyjechała z obcych stron i akcent miała inny niz tutejsze baby, choć po sylwetce, otoczonej grubą chustą, jak szła przez pole miedzą, nie poznać różnicy. Czy to ze starości, czy raczej z braku zainteresowania, ale pomieszały się w jej głowie te ciągłe u nas wojny. Od wojny japońskiej począwszy, rosyjsko-austriacko-niemiecka, polsko-ukraińska, polsko-bolszewicka, pierwsze najście bolszewików, drugie najście Niemców, drugie najście bolszewików, wszystko to splątało się w łańcuch, w którym nie bardzo rozróżniała kolejność przyczyn i celów poszczególnych ogniw dziejowych. Zdaje się, że wojna i pokój stanowiły dla niej pojęcie niezbędnego następstwa, jak logiczne się wydaje, że po zimie następuje lato i odwrotnie. Nie traktowała też tych zjawisk chronologicznie tylko okresowo. Zmartwienia, ucieczki, chowanie się po lasach, strzelanie nad głowami, czy daleki grzmot dział były dla niej jak burza i deszcz letni, mgła jesienią, śnieg zimą. Z pokojem związane były pojęcia takie jak: ceny, zarobki, narzekania na ciężkie czasy, ciułanie pieniędzy i pogodna pogawędka na temat, że kiedyś bywało lepiej.

Za jej młodych czasów, utarła się też tradycja, którą niewątpliwie przejęła od matki, dotycząca zalet żony. W myśl tych utartych poglądów, nie jest ważne czy żona jest ładna czy brzydka, blondynka czy brunetka, bo to są rzeczy ważne dla dziewcząt, podobnie jak: chuda czy gruba. Natomiast jedyną ważną zaletą żony jest to, aby była — zdrowa. A właśnie żona syna, nawiasem mówiąc jasna blondynka, okazała się suchotnicą, więdnącą w oczach. I na tym to tle zaistniała największa rozbieżność nie tylko pomiędzy świekrą i synową, ale rzucająca głęboki cień na pożycie całego domu. Póki jeszcze trwało takie „miejsce" jak posada ekonoma, rzecz drążyła podskórnie. Dopiero po przyjściu bolszewików, gdy krzywa perspektywy szła stale w dół, choroba żony uzewnętrzniła się jako fatalny balast w codziennych troskach.

Swat umiał sobie dawać rady. Miał małe gospodarstwo, konia. Jeździł na zarobki. Posiadał stosunki we wsi, w miasteczku, w gminie, leśnictwie rządowym, wśród Żydów w okolicy. Pozostał uprzejmy i potrafił jednać ludzi. Więc kręcił się jak mógł, zarabiał, podrabiał, pośredniczył i — jak wszyscy, czekał powrotu lepszych czasów. Był on jednak, ten powrót, w mgle oddalenia; czasem zdawało się, że wręcz nigdy się z niej nie wyłoni, że jest po prostu nieprawdopodobny. I wtedy szczególnie drażniło, gdy żona mówiła z westchnieniem:

— Ja już chyba nie doczekam...

Drażniło dlatego, gdyż nasuwało przypomnienie powszechnej wątpliwości w możliwość doczekania: być może nikt w ogóle nie doczeka. Swat zaciskał szczęki, odwracał prawie z odrazą wzrok od jej rąk, które stawały się coraz chudsze, coraz bardziej przezroczyste. Matka stukała dzieżą, albo jakim garnkiem, który się nawinął, ażeby dać do zrozumienia ile to na starość musi pracować, ażeby wyręczyć niezdolną do pracy synową. Dzieci bawiły się po kątach, czy na podwórzu, jak dzieci zajęte swoimi sprawami. One jedyne w tym domu mówiły już dawno akcentem tutejszym, nie różniącym je od dzieci Nowosiołek.

Po policzkach suchotnicy cicho spływały łzy. Za oknami widać było w niejakim oddaleniu ciężką zieleń świerkowego lasu, przesłoniętą ukośnie lecącym, podobnym do białej manny, jesiennym śnieżkiem. W ukosie tym gięły się na wietrze gałązki jarzębiny rosnącej u płotu. Ziemia była skuta na suchą grudę i śnieżek posypywał ją jak cukrem. Skrzypiały gdzieś w zawiasach niedomknięte wrota. Niebo było tak jednostajne, że ciemniejsze lub jaśniejsze na nim plamy nie wydawały się chmurami, a właśnie tylko rozmazanymi plamami. A przecież za oknem wiało świeżością, zdrowym zimnem ziemi i smolnym zapachem lasu. Niestety, żonę Swata ziębiło i przejmowało tylko przykrą wilgocią; kaszlała.

Raz pamiętam, w podobny dzień odwiedziłem Swata. Wiatr pędził nowe zapasy chmur bardzo nisko; palił twarz nie opalając jej. Znad rzeki dochodziły krzyki wron i mimo zimna, stuk

pojedyńczej kijanki o bieliznę. W powietrzu czuć było z jednej strony dymem wsi, z drugiej świerkową jedliną.

Marceli na mój widok ubrał twarz w wyraz uprzejmy, wesoły nawet i trudno byłoby sobie wyobrazić, ażeby ten człowiek potrafił mówić coś przykrego do swej chorej żony. Ona wyszła po przywitaniu do drugiej izby. O ile wiem, nigdy nie lubiła gości, choć właściwie nie znałem jej dobrze, ani jej życia. Zapewne w owe czasy musiała ją najbardziej deprymować krótkość dni pomiędzy niewidocznym wschodem i ospale zapadającym zmrokiem.

Swat bawił niedawno w miasteczku i opowiadał mi naiwne plotki. Stara układała wnuka do snu. Słyszałem pojedyńcze słowa ich rozmowy przyciszonej, ale nie pamiętam żadnego. Wiem tyle, że ów półszeptany dwugłos, zarówno w pytaniach dziecka jak strasznie niemądrych odpowiedziach babki, był przygnębiająco jednostajny. W domu było ciepło, duszno i nudno. Nagle, za przepierzeniem, ciężkim, rozdzierającym szlochem rozpłakała się żona.

— O jej, o jej... — powiedział Swat wstając z krzesła, tonem na wpół usprawiedliwiającym, na wpół karcącym.

Wstałem również i ja, pożegnałem się. Po dusznej izbie uderzyło w nozdrza powietrze wieczorne, która zdało się wyjątkowo świeże. Gwiazd nie dostrzec, ale za chmurami płynął chyba księżyc. Wiatr prawie ustał. Ze wsi dochodziły teraz pijackie głosy chłopów.



Umarła wczesną wiosną.

Zima przyszła nad wyraz ostra, o śniegach bardzo głębokich. Termometr spadał tak nisko, że nawet ludzie nieotrzaskani z tego rodzaju instrumentami, szli czasami spojrzeć na stary, duży termometr dworski, przybity kiedyś na ścianie ganku. Granatowa rtęć, przyjemna dla oka, odbijała równą strzałką od obłupanego bielidła fasady. Bywało poniżej trzydziestu stopni. Powietrze kłuło igłami w gardle, ale czyste, prawie bez zapachu. W izbach, poprzez lodowe kwiaty na szybach, rozpływała się w dzień mleczna jasność. — Widocznie ta sucha ostrość zimy musiała mieć dobry wpływ na stan chorej i dlatego przetrwała jeszcze te kilka miesięcy, których nie przetrwała większość drzew owocowych w sadach.

We dworze pustym, ograbionym, zapuszczonym, miała zostać uruchomiona, w myśl nowych tradycji, szkoła. Ale nie było ani ławek, ani tablicy, ani nawet krzeseł, porozciąganych już dawno. Nie było naturalnie nowych podręczników, a stare się nie nadawały. Była natomiast nauczycielka, umieszczona w pokoju bocznego skrzydła dworu. Młoda brunetka, o oczach podobnych do tej barwy co rtęć w termometrze. Chodziła w modnych teraz wysokich, obcisłych na łydce bucikach z cholewami, na głowie w kraciastej chustce i w krótkim kożuszku

wiejskim. Pamiętam, że było jej w tym stroju do twarzy, z czego musiała sobie zdawać sprawę, i zapewne ta zmiana ubioru mogła ją początkowo bawić. Aż dopóki nie znudziły ją wieczne zaspy śnieżne, wiecznie ten sam wzór gałązek klonowych na tle bladego nieba, czerwone na nich brzuchy gilów, wytarte ścieżki między budynkami, A wieczorami także wieczne dyskusje nad zaletami i brakami różnego rodzaju samogonów.

Słyszałem, że w tym czasie Marceli Swat bardzo często zachodził do dworu, którego kiedyś był ekonomem. Majątek, przekształcony w sowchoz, nie posiadał jeszcze definitywnie rozplanowanej gospodarki, a i obecny jego kierownik, „wostocznik" tzn. nasłany ze wschodu komunista, zajmował swe stanowisko prowizorycznie.

Żyd, Mowsze Kudisz, został niedawno mianowany dyrektorem upaństwowionego własnego ongiś tartaku. Miał więc Swat też widoki na to, aby otrzymać kierownictwo sowchozu i o to się starał. Zabiegi jego były tym bardziej zrozumiałe, ponieważ pogadywano że do sowchozu powrócić mają wszystkie rozdane i rozdzielone z lekkiej ręki działki majątkowe, a więc niewątpliwie i ta która przypadła w udziale jemu. W ten sposób groziłoby mu pozostanie bez dachu nad głową. Wszystko to wiązało się ze sobą w logiczną całość.

Raz wrócił ze dworu do domu, wstąpił na skrzypiący od mrozu drewniany ganeczek. Było późno. Połowę nieba rozjaśniały jeszcze gwiazdy, na drugą nadciągała ciemna powłoka, lada chwila mająca dosięgnąć księżycowego sierpu, już w otoku mgiełki. Mogło to oznaczać zbliżanie zadymki. Jeszcze srebrem błyskała wyślizgana płozami droga; las potrzaskiwał w czarnej głębi, nieruchomy, ale lada chwila mógł przyjść wiatr. Swat długo okurzał buty ze śniegu, następnie odłupywał kawałki lodu z podeszew, aby zbytnio nie zabrudzić podłogi. Zdawało się, że czyni to staranniej niż o innym czasie, a może po prostu ociągał się czemuś z powrotem, z wejściem do domu, jak człowiek, który stara się oddalić przykry moment.

Elżbieta, bo tak się nazywała jego chora żona, nie spała. Kaszel dusił ją dziś gorzej niż dni poprzednich. To również mogło wskazywać na zbliżającą się zmianę pogody. I właśnie w zdenerwowaniu, które przejawia się często u ciężko chorych, przechodząc u nich w tego rodzaju wybuch, jaki pozbawia ich zasłużonego współczucia, a tylko rozdrażnia otoczenie — zaczęła mężowi czynić wymówki, czy nawet zrobiła mu scenę zazdrości o brunetkę. Osobiście nie widziała nigdy tej nauczycielki, musiała więc o jej istnieniu napomknąć któraś z sąsiadek.

O tej nocy opowiadała mi później świekra, konstatując, iż stała się punktem zwrotnym, po którym chorej zaczęło się już stale i w szybkim tempie pogarszać. Istotnie, za pierwszą zadymką przyszła druga, trzecia. Wiosna, bardzo jeszcze daleka, ale już zaczęła się zbliżać. Już i słońce podgrzewało, tu i ówdzie pokapywało z dachu od południowej strony. Śniegi na polach błyszczały w dzień oślepiająco, a ku wieczorowi matowo, znowu

posiniałe z mrozu, tworząc twardą skorupę, na której nie odbijały się ślady zajęcze. Później nawaliły się skądciś chmury. Przyszła pierwsza odwilż. Pierwsze kałuże na drogach. Zamarzały i znów odchodziły wodą, pożółkłe od nawozu końskiego i rudo-sczerniałych, pływających w nich źdźbeł słomy.

Elżbieta doczekała zejścia śniegów, ale nie końca zimy. Gdy powiedziano mi, że dziś ma się odbyć pogrzeb, był ranek mglisty, oszroniony. Setny chyba nawrót mrozu. Drogi pokryte częściowo grudą, częściowo płaskim jak asfalt poczerniałym lodem, po którym koła dudniły głucho. Para z końskiego pyska mieszała się z mgłą. Za młynem skręciłem w boczną drogę do domu Swata i okazało się, że byłem jedyny, który po tych wybojach przyjechał wozem. Wszyscy inni przyszli piechotą ze wsi, aby nie marnować na próżno ani konia, ani drogiego teraz żelaza do kół. Zresztą z Nowosiołek przez rzeczkę było bardzo blisko na wprost, a w jednym miejscu lód jeszcze trzymał.

Mogę powiedzieć o sobie, że znam dobrze kraj rodzinny. A jednak, oto, nie wiem, czy był to zwyczaj miejscowy, czy też przywieziony przez Swatów aż z dolnego Sanu, żeby ludzi częstować w dzień pogrzebu, nie po złożeniu zwłok do grobu, ale jeszcze gdy ciało leży w domu, przed zabraniem go na cmentarz? W każdym razie, tak czy inaczej, ale widok wydał mi się odpychający. Trumnę zrobił stelmach dworski, wieko jej stało na ganku. Leżała w niej Elżbieta straszliwie wychudła, niepodobna właściwie do kobiety tylko włosy jasną plamą odbijały od martwego tła. Katafalk zrobiono z przewróconej do góry drabinki wozu, pokrytej ciemnym kocem. Wewnątrz, w pokoju, panowała odrażająca duszność. Ciało nie było w rozkładzie, ale ciągnęło odeń jakimś, ledwo wprawdzie rozpoznawalnym, wszakże słodkawym odorem trupa. Stolik z kiełbasą, a na nim talerzyk z zimną kapustą i kilku mocno przekwaszonymi ogórkami, usunięto pod okno. Że jednak pokój był ciasny, więc w odległości zaledwie czterech kroków od trumny. Dopijano właśnie litrową flaszkę samogonu. Ci, którzy uważali się za najgodniejszych, gęsto, w sześcioro, obsiedli stolik nie zdejmując kożuchów. Tyłem do katafalku siedział Hołub-złodziej. Z oblazłej baranicy wystawała jego niestrzyżona czupryna. Obrzucił mnie niechętnym wzrokiem i zaraz odwrócił głowę, jakby w obawie, że zgłoszę się o miejsce przy stole. Ludzi było pełno. Nikt naturalnie nie palił machorki przez poszanowanie dla zmarłej, ale powietrze nasiąknięte było i bez tego duchotą zbiorowiska, smarem butów, wyziewem samogonu, kiełbasą, owczyną, wilgocią dnia, z domieszką wspomnianego, nie do wytrzymania przykrego, trupiego odoru. Jednak uciec od razu nie wypadało.

Przy stoliku wypito po ostatnim łyku ze szklaneczek. Ze sztuczną powolnością, goście żałobni sięgali po kawałki grubo krajanej kiełbasy. Starali się, jak przystało, mówić półgłosem, ale pod wpływem alkoholu zrywało się mimowoli jedno — drugie głośniejsze słowo. Swat stał z dala od pijących, koło trumny

i miał twarz suchą, jeszcze bardziej po lisiemu ściągniętą, skupio
ną. Wyraźnie poszarzałą od bezsennych nocy, wymiętą ciężki
przeżyciem, a jednak po męsku opanowaną. Podszedł do stolik
i spytał szeptem:

— Mało będzie?

Hołub podniósł pusty litr pod światło okna, za którym
oddali majaczyły zarysy lasu. Inni też nic nie odpowiedziel
Marceli nachylił się nad Hołubem i spytał szeptem:

— U was będzie można jeszcze literek dostać?

— Dlaczego. Można będzie. Dlaczegoż nie można.

Swat skwapliwie sięgnął do kieszeni i oczami zrobił ruc
pytający.

— Ta sama cena co zawsze... — odparł tamten, po czy
zmięte czerwońce wepchnął do kieszeni spodni. — Tylko a
posłać, żeby kogo było...

— Zosia, — Swat skinął na córeczkę.

— Acha, oto najlepiej. — Hołub odwrócił się na krześ
i kładąc dziewczynce rękę na ramieniu: — Zbiegaj, dzietk
sirotka, do mojej starej... Albo od razu weź lepiej pusty li
i powiedz niechaj naleje najlepszego. Drogę wiesz przecie.

— Wiem — odpowiedziała cicho dziewczynka, i trzymają
wielką butlę opartą o brzuch jęła się przeciskać pomiędzy ze
branymi.

— A ksiądz nie przyszedł jeszcze? — spytał któryś z si
dzących pod oknem.

— Jeszcze będzie czaaaasu... — odpowiedział inny.

Uścisnąwszy w milczeniu dłoń Marcelego Swata, z ty
wyrazem serdeczności jaką się okazuje w takich chwilach, w
szedłem czym prędzej na ganek usypany gałązkami jedlin
Trwało długo zanim doczekano księdza. Od ciepła komina ro
tajał plaster lodu na dachu i ciekło stamtąd, stukając ciurkie
po jakimś kawałku kartonu, który skądciś zawędrował pod ści
nę. Zapewne była zabawka Stasia.

Nieśli trumnę na rękach ci sami co pili. Przed nimi sze
ksiądz, w skupieniu poglądając pod nogi aby się nie potkną
Za trumną Swat, dzieci trzymając za ręce, i obok człapała star
Furmanka pod trumnę czekała aż koło młyna, gdyż na wyb
jach mogłaby nieprzystojnie podrzucać. Jechałem w końcu
korowodem pieszych ludzi, stępa. Ciskało jak zawsze na bo
i chomąt to wyłaził koniowi do pół szyi, to uderzał go moc
w piersi. Koń rozumnie przystawał i cedził kroki, aby unikn
tych raptownych wstrząsów, później zwolna wkładał się w wojło
chomąta i pociągał. Ale od tego częstego przystawania kiwa
jeszcze bardziej.

Idący w końcu, nieco kulejąc na prawą nogę, duży chło
w rozpiętym kożuchu, o dziwnie złych, zielonkowatych oczac
odezwał się nieprzyjaźnie:

— Co tu borykać się po środku! Jedź bokiem, po polu lepie

— Po zasianym?

— Ech, tam... — machnął ręką, jakby moje pytanie wydało mu się szczególnie nierozsądne.

Od młyna do cmentarza było jeszcze z kilometrów bez mała trzy.

Po pogrzebie wziąłem podwieźć do domu jednego z sąsiadów, dawnego mieszczanina z powiatowego miasteczka, który przed samą wojną kupił był sobie w okolicy małą działkę. Rozmawialiśmy o pszczołach.

— Pasieka, jeżeli mała, postawić trzy, cztery ramowe ule — mówił — upaństwowieniu nie będzie podlegała. To interes.

— A skąd pan weźmiesz ramowe?

— Można kazać zrobić. — Westchnął. — A wreszcie kłody postawić też można, zwykłe. A dochód będzie. Cukier dziś, pan wie, do piętnastu, siedemnastu rubli kilo.

— A zimą, czym pan będziesz pszczoły karmić? — zapytałem.

— I to prawda. — Spojrzał ze zniechęceniem w bok, na płat zlodowaciałego, matowego śniegu, który zachował się w cieniu lasu, usiany cały igłami sosen. Po pewnym czasie odezwał się:

— Sen miałem jeden... — i ziewnął.

Ale, że nie spytałem go jaki, więc dojechaliśmy już w milczeniu.



Nie było mnie przez dłuższy czas w okolicy. Wyjeżdżałem na zarobki do sąsiedniej gminy i nie doszły mnie żadne plotki o późniejszych zdarzeniach.

Wracałem dopiero w połowie czerwca, gdy nastało już lato. Zapadał wieczór; słońce chyliło się do głębi lasu, wzdłuż drogi między rzadkimi sosnami na wrzosach, promienie jego padały ukośnie, i odbijając ich blask, w kurzu przede mną połyskiwały starte do srebra podkowy konia. W lesie było cicho, pogodnie. Różowiła się kora na pniach drzewnych.

Nagle z tyłu doszedł turkot motoru. W tej nieomal banalnie klasycznej ciszy leśnego wieczoru, stanowił dla uszu podwójny zgrzyt, nieprzyjemny. Wnosił obcy dźwięk w otoczenie, a zarazem odrywał myśl biegnącą spokojnie koleinami drogi i przywracał jej świadomość rzeczy przykrych, o których się właśnie myśleć nie chciało. Sowieckiej marki „gazik'', kłębiąc i prychając zatrąbił z tyłu niepotrzebnie. I tak dałbym mu drogę skręcając nieco w lewo i ściągając lejce. Ciężko przebuksował po piasku, przetoczył się obok. Zanim minął zauważyłem w nim kilka osób w urzędowych czapkach, a także, jakże niespodziewanie!... mego dobrego ongiś znajomego doktora z miasteczka. Otwarłem na chwilę szeroko oczy i już miałem sięgnąć do czapki, ale on widocznie też mnie poznał, bo prędko odwrócił głowę w inną stronę.

O całej sprawie dowiedziałem się aż dnia następnego, i t nie od razu, a dopiero popołudniu. To znaczy w ten sposób przed obiadem wstąpiłem do Marcelego Swata, ażeby mu za proponować spółkę w zwożeniu podkładów kolejowych na warun kach dosyć korzystnych. Nie było go jednak w domu, a star doiła w chlewie krowę. Była tylko Zosia, która powiedziała, ż ojciec poszedł na cmentarz. Dzień powszedni i godzina wydał mi się raczej ekscentryczne dla odwiedzania grobów. Wówcza nie wiedziałem jeszcze, że wezwany został tam — urzędowo...

Jaki był dokładny przebieg poprzedzających to zdarzeni wypadków, do dziś dnia trudno ustalić. Później mówiono, i zaczęło się od tego, że wiosną, gdy drogi już podeschły, Hołub złodziej powracając wozem w towarzystwie dwóch innych towa rzyszy pijatyki, wszyscy mocno pijani, zrównał się z idącyı piechotą Swatem i zawołał nań z przesadną za-pan-brat rubas: nością:

— Ej Swaaat! Siadaaaj bracie! Pożałuje ja twoje zelówk a to na drugie nie zarobisz.

Czy to brutalna forma tej poufałości, czy też protekcjonaln ton, szczególnie zapewne podkreślony dla zaimponowania towa rzyszom podróży, w każdym razie musiało coś w tym zaproszeni podziałać na Swata podrażniająco. Że zwykłym sobie taktem odpowiedział grzecznie ale nad wyraz sucho:

— Dziękuję. Dojdę piechotą. — Ton jego głosu był lodo waty.

Z kolei poczuł się nim dotknięty Hołub i zwracając się d chłopów, zakpił:

— Swat pewnie w swaty chodził... Musić mu nauczycielk nie dała, dlatego taki zły. — Na wozie zarechotano śmiechem

Były ekonom skręcił wydeptaną wśród suchej trawy ścieżk i poszedł bez słowa.

Czy i jakie były konsekwencje tego niefortunnego spotk: nia? Czy i jakie były między nimi dalsze zadrażnienia? — pow tarzam: nie dowiedziałem się. Być może stały się początkie poważniejszych kontrowersji, gdyż podrażniona ambicja ludzk odgrywa we wzajemnych stosunkach często rolę decydując: W Nowosiołkach nie inaczej, a tak samo jak gdzie indziej n szerokim świecie. I oto poszedł słuch, że Hołub-złodziej zad nuncjował Swata, oskarżając go ni mniej ni więcej tylko o t iż rzekomo przyczynił się własnoręcznie do zejścia ze świat swej żony Elżbiety, gdyż zadurzył się w nauczycielce mieszkaj: cej we dworze.

W tej sprawie właśnie przyjechała komisja z rejonu, któ mnie wieczorem minęła na drodze. Przenocowała w zarządz sielsowietu, a rano przystąpiła do ekshumacji zwłok i zawezwa urzędowo Swata, aby przybył na cmentarz. Musiało to być d niego przeżycie koszmarne.

Żeby to były inne czasy, ludzie na pewno poszliby się gap na niezwykłe widowisko; mogłoby dojść do dużego zbiegowisk: Szczęściem, w czasach sowieckich każdy starał się jak mó

unikać wszelkich zbiegowisk, zetknięcia choćby tylko pośredniego z władzą wykonawczą, z obawy przed wciągnięciem do śledztwa, świadczenia czegokolwiekbądź, oraz z obawy w ogóle. W tych czasach naczelnym postulatem każdego było :

,, Ja nigdzie nie był, nic nie widział, nic nie słyszał''.

W ten sposób szczegóły ekshumacji nie doszły do niczyjej wiadomości. Jeden tylko młody sekretarz partyjnej jaczejki wybierał się pójść, a i ten w końcu się rozmyślił. Natomiast kilku sąsiadów zebrało się przed sklepikiem na skraju wsi i tam omawiało emocjonujące zdarzenie. Byłem obecny. Właściwie meritum sprawy nie zostało poruszane, mówiono raczej ogólnikami. Konkretnie interesował problem, czy Swat będzie aresztowany, czy też powróci do domu. W pewnym momencie jeden z obecnych, chłop chudy, niskiego wzrostu o twarzy gęsto obsianej piegami, zerwał czapkę z głowy, zakręcił się jakoś po psiemu w kółko i cisnął tę czapkę w kurz pod nogi :

— Każdy ma swoje nieszczęścia! Każdemu życie szpik z kości wysysa!

Prawda, że czapka, którą cisnął nie była nowa, a stara i z tyłu nawet przetarta do dziury, ale ten raptowny zryw wydawał się szczery. Ludzie jakoś nic nie odrzekli i jęli popatrywać w milczeniu na boki. Musieli wiedzieć zapewne do jakiego to nieszczęścia w swoim życiu pił ów chłopek, o którym ja nie wiedziałem. Nie podjęto jednak jego tematu, a zwolna powrócono znowu do sprawy Swata.

Kiedy odjechał ,,gazik'' nie było słychać. Cmentarz nie leżał blisko. Oddzielał go od wsi najpierw staw, później kawał byłego dworskiego pola, a następnie jeszcze klin lasu, wchodzący w tym miejscu pomiędzy dawne grunty wsi i pana. Wiatr dął z przeciwnej strony, przynosząc z rozległych łąk nad rzeką chłodną rzeźkość z domieszką miodowego zapachu kwiatów, oraz uparte dlaczegoś szczekanie pojedyńczego psa. Droga za sklepem, w kierunku przeciwnym od wsi, skręcała niebawem za garstką gęstego olszyniaku. I właśnie na tym zakręcie nagle pojawił się Marceli Swat.

Szedł sztywno, swoim typowym, nietutejszym krokiem, połyskując w słońcu cholewami dobrze wyczyszczonych butów. Ani szybko, ani zbyt wolno, ale tak właśnie jak zwykł był chodzić zazwyczaj. Zbliżył się do zebranych, każdemu po kolei podał rękę. Twarz miał wyraźnie bladą mimo opalenizny, i ten fakt łatwo było zauważyć; nie dostrzec jednak ani wzburzenia wewnętrznego, ani braku opanowania. W tej chwili wszelkie pytania stały się bezprzedmiotowe. Bo o co pytać? Już, znaczy, wiadomo: ,,Znaczy, nie prawda to...'' — Ale jakoś rozchodzić się bez słowa, tylko po uściśnięciu dłoni, jakkolwiek tak by istotnie wypadało najdelikatniej, nikt widocznie nie miał ochoty. Ten i ów skręcił nową cygaretkę, ten i ów rzucił i przydeptał butem stary ogarek machorki. Ale wszyscy stali w miejscu.

Raptem jeden z obecnych nie wytrzymał :

— Tego Hołuba, złodzieja tego... — zaczął i urwał. Uczynił jednak początek.

— A żeby na niego tak kto doniósł, że samogon pędzi, to co, podziękowałby?... — Wtrącił inny.

— Eee, tam, ob samogonie, Michał, dzisiejszym czasem to szkoda gadać. Do tej rzeczy nie zrównasz.

— A ja powiem, — odezwał się ów chłop o zielonkawych, złych oczach, który swojego czasu radził mi jechać po zasianym — to jeszcze szczęście że tak wyszło. A żeby ten Hołub, ten sam, doniósł był, że w tej trumnie przykładem, Swat schował jakie papiery, albo broń jaką, albo złoto, to by inaczej wyszło. Nie czekaliby na ta shumacja. Od razu by człowieka aresztowali, nie patrząc nawet. Oho, przy sowietach! Panie Boże strzeż.

— Nie warto o takim człowieku, jak Hołub, nawet mówić — powiedział cicho i z ledwo dostrzegalnym drżeniem w głosie, ale wyraźnie i stanowczo Marceli Swat.

I wszyscy znowu zamilkli.



Ożenił się Swat z ciemnowłosą nauczycielką o oczach koloru granatowej rtęci, jeszcze przed upływem przewidzianego przez kościół terminu żałoby. Ale wówczas sprawy kościelne utraciły dużo ze swego dawnego znaczenia. Nikogo też na wesele nie spraszał. Obcym zwyczajem nie urządzał go wcale. Możliwe jednak, iż był to warunek kompromisowy, który postawił mu ksiądz.

Wkrótce potem otrzymał stanowisko kierownika sowchozu.

Później Hołub-złodziej zapierał się we wsi:

— Niczego ja nie słyszał, niczego ja nikomu nie mówił, i niczego ja nigdzie nie donosił. I nie moja to sprawa jak tam było naprawdę.

Józef MACKIEWICZ

Daniela

W drugą rocznicę urodzin

I

Nieprzeliczony deszcz otacza dom skrzypiący żywiczną suchością. Chronimy się w izbie skąd dopiero co uniesiono mrok łagodny.

Daniela obchodzi ogromny stół, sypiąc barwinkową rosę z chitynowych skrzydeł. Z każdym krokiem-tupnięciem coraz bardziej godzi się na nową siedzibę, o której próg uderza nacierający z szumem horyzont.

Zamieszkaliśmy u kresu rzeczy pionowych. Tu, jak nigdzie indziej, będziesz mogła ręce wyciągać przed siebie.

II

Szedł na nas przypływ z twardego szmaragdu i sól na wiatrach wisiała lustrzana.

Na suszy zwijano w popłochu płócienne motyle, spod których z krzykiem wypryskiwał drobiazg dziecięcy.

Fala zamorska, przez nikogo nie witana, szła na nas w sztandarach ptactw afrykańskich i nawoływała rzeki uwięzione za górami.

Ale Daniela, ostrze naszej trójcy, ruszyła naprzeciw, krzycząc z radosnego przerażenia. I zawróciła dopiero wtenczas, gdy morze wypełniło nagle sklepienie jej nóżek cygańskich, aż po linię panieńską.

Trafione harpunem, tonęło słońce, farbując niebo i morze.

III

Gładzimy cierpliwie poczwarki dźwięków, potykających się jeszcze i ślepych. Może już jutro, z brzegu wilgotnej buzi sfrunie pszczoła. Polska? Francuska?

Dwa sady stoją otworem. Dwie kapele ze wzniesionymi smyczkami czekają, zostawiwszy wolne miejsce pomiędzy fletem a źródłem.

Daniela jest już po stronie kobiet i dlatego daje czekać na siebie tak długo.

IV

Leżymy w dzieży wysypanej miałkim światłem i słuchamy piasku, który Daniela podnosi i pozostawia przez chwilę w powietrzu.

Krok za krokiem buduje swą pamięć i dlatego tak poważnie powtarza ruch złotonośny, aby niczego nie stracić z nowonabywanej wiedzy.

Od morza na śmiertelnym ryku wjeżdżają na niebo odrzutowce. Zniżają się i łoskotem ćwiczebnego lotu tratują Twoją i moją pamięć.

Córka w Twoim cieniu szuka ratunku.

Przez dziesięć lat sklepialiśmy niebo w ufną całość. A dziś zawisło, zacięte nagle białą pręgą, przez którą wylewa się przerażona cisza.

V

Zdejmuję ostatnią z twych twarzy i kładę na czele tych liter. Ostrożnie budzi się bursztyn pamięci, gdzie mieszkasz mała, mniejsza, aż po myśl o tobie.

Co wieczór matka wyjmowała ze źrenic ostre twarze kalek, co dzień westchnieniem dławiła obawę skrzypiącą skrzydłami stalowych płuc.

Co wieczór wznosiła warownię zielonej czułości, nie dając przystępu Bogom, których brakło w godzinie ognia i popiołu ludzkiego.

Urodzona z człowieka, rozdawaj ludziom orzechowe słonko, naskarbione pod brwiami przez czas macierzystej zimowli.

Światło zalewa ci pół twarzy i grzywka twa spada kłosem wesela na poemat.

VI

Siwe i szare kroki snu po jesiennym brzegu lata w jednej chwili zatrzymane są płaczem dziecka. Próbujemy budować czułą ścianę ciszy ze słów-mchu, ze słów-skrzydeł sowich.

Płacz zawsze wyższy o piętro bólu.

Ręce Twoje magnetyzują pączek twarzy wybijającej się ku Tobie spod czarnych zasp.

Słucham słów, którymi łagodzisz miłośnie — i pamięć moja odwala naraz osiem niepożółkłych zim, aby usłyszeć usta Twoje zawieszone tuż nad miodzistą łąką Alp.

Stworzona, by górować nad bólem.

VII

Kto to widział tak śmiać się, Danielo?!
Prawda, brabanckie dziewuchy nie stronią od piwa, przez które tańcem swawolnym przebiega chmiel młodzieńczy.
Prawda, andaluzyjskie cyganki na wysokość nocy podnoszą ciężkie, pitne piwonie — i piją...

Jednak nie Brabant i nie Grenada naszczepiły weselem twój głos, ale miasto u kresu młodości. Tam pieśń słowika na przemian polska i ukraińska, gdy znad Kurkowej, znad Leśnej odgwizduje znajomej batiarni.

Abyś wiedziała skąd śmiech twój plebejski.

VIII

Płynnego okna dotykasz, rysując na nim — ile zechcesz — słońc umytych ulewą.
Dotykasz lica stołu trześniowego, pisząc matowe słowa, ale pachnące od pszczół.
Unosimy cię na uśmiechach, kiedy huśtasz się tuż ponad wierzchołkami letnich obozów świerszczy.

Jak okiem sięgnąć nie ma kolczastego drutu.
Ciepły winniczek tkwi ruchomo w pośrodku lata.

IX

Z plaż łagodnej planimetrii wyjąłem prostokąt, aby na nim zapisać twój sen.
Kilka piór czaplich skrzyżowałem w powietrzu, aby noc pamiętała o ciszy.

Stoimy we drzwiach. Już noc wrześniowa zalewa pokój i odpływa, porzucając ciemne irysy.
Otacza cię osierdzie domu.

Poza taflą — czego? — nie uroda, a krew i mleko.

Jutro słońce uratuje się znowu z podziemi — i nas zawróci, odpływających na wznak wodami letniej Lety.

X

Gdybym umiał rysować, miałabyś portret. Byłaby na nim twa rączka zakończona pyrkatym paluszkiem, którym mierzysz w świat, złożony z ramion matki, białych kostek cukru i drzwi zakrywających spacer do Bois de la Cambre.

Gdybym umiał rysować, pomnożyłbym twą rączkę o tysiąc, abyś mogła wskazywać wszystko naraz, mianując na nowo rzeczy w arce życia za jasnymi szybami dnia.

Wskazuj, córko, ziemię rozłożoną w krąg macierzyńsko. Wskaż ptaka, i wołaj, aby lot swój obniżył i choć przez chwilę poszybował w państwie małych dzieci.

A kiedyś, w poranek jędrnego dziewczyństwa, wskażesz niebo. I rozewrzesz obłoki, za którymi jest noc samotna.

Aż po tę chwilę będę ci ojcem, aż po śmierć przyjacielem.

1955

Marian PANKOWSKI

Materiały do refleksji (IV)

I

Przez wiele lat podtrzymywałem uporczywie pogląd, że trzeciej wojny światowej nie będzie. Obecnie, muszę przyznać, moja osobista wiara w pokój uległa poważnemu osłabieniu. ,,Balance of power'' mógł być podstawą pokoju. Równowaga terroru jest stanem absurdalnym, który nie może trwać.

Z koegzystencji nie pozostało właściwie nic. Po obu stronach barykady trwa bezprzykładny wyścig zbrojeniowy i technologiczny. Apokaliptyczna skala możliwości zniszczenia wyzwala po obu stronach emocjonalne reakcje, które przypominają coraz częściej i coraz wyraźniej atmosferę typową dla okresu, kiedy ludzie przestają nagle logicznie rozumować. Później określa się to wzniośle, że ,,przemówiła Historia''.

Jak słusznie zauważył Dżilas w swej książce pt. ,,Nowa Klasa'' — konflikt obecny jest przede wszystkim konfliktem systemów. Dżilas przebywając po tamtej stronie ,,żelaznej kurtyny'' nie zauważył natomiast, że Sowietom powiodło się ,,uideologicznić'' również i kapitalizm. Wszyscy prorocy marksistowscy głoszą, że kapitalizm zna tylko jeden motyw i jedną ,,ideologię'' tj. zysk. Tak było pół wieku temu. Dziś kapitalizm przeobraził się w ,,system'' na wzór komunizmu i o jego polityce decyduje nie zysk, lecz ideologia. Czyż nie leżałoby w interesie wielkiego przemysłu amerykańskiego handlować z Chinami? Jednak w tym wypadku — jak i setkach podobnych — motyw zysku podporządkowany został interesom ideologii. Walka o Środkowy Wschód, pomoc ekonomiczna dla narodów o zapóźnionym rozwoju gospodarczym — wszystkie te akcje i posunięcia dyktowane są wymogami ideologicznymi.

Komuniści nie zdają sobie sprawy z owego procesu ,,uideologiczniania'' się kapitalizmu — tak jak uszła ich uwagi ewolucja

kapitalizmu na przestrzeni ostatnich lat dziesięciu. Nowoczesny kapitalizm zrealizował wiele postulatów marksizmu, które komunizm tylko skarykaturyzował. (Np. autentyczna nacjonalizacja przemysłów istnieje tylko na Zachodzie. Nie można mówić o rzetelnej nacjonalizacji zakładów przemysłowych tam — gdzie zarządcy majątku społecznego ani nie są przez społeczeństwo wybierani, ani przed społeczeństwem odpowiedzialni).

,,Uideologicznienie'' kapitalizmu doprowadziło współczesny konflikt między systemami do teoretycznej doskonałości. Jeżeli po obu stronach barykady są ,,ideologie'' — musi się wybierać. Konflikt nabiera cech alternatywnych — cech wielbionych przez wszystkich dogmatyków i heretyko-żerców — cech zagadnienia: czarne lub białe.

Gdyby dalszy rozwój współczesnego konfliktu miał iść po tych liniach — nadzieje utrzymania pokoju będą stopniowo maleć. Pokój bowiem to nie jest ani koegzystencja, ani kapitulacja tylko kompromis. Jeżeli wypracowanie kompromisu okaże się niemożliwe — uratowanie pokoju okaże się również niemożliwe. W tej sprawie nie należy mieć żadnych wątpliwości.

Po obu stronach barykady są ludzie, którzy odrzucają alternatywność współczesnego konfliktu. Wybór bowiem dotyczy nie dwóch ideałów, lecz dwóch bardzo niedoskonałych systemów. Opowiadać się przeciwko komunizmowi nie oznacza bynajmniej akceptowania bez reszty systemu zachodniego. Słowa Richarda Hilary, że ,,walczymy przeciw totalnemu kłamstwu w imię półprawdy'' — są dziś bardziej aktualne niż wówczas kiedy zostały napisane.

U progu 1958 roku patrząc wstecz na ubiegłe lata — można stwierdzić, że Zachód nie skapituluje mimo, że do końca prowadzić będzie defensywną i improwizowaną politykę. System kapitalistyczny przetwarza się, wykazując niepomiernie większą zdolność adaptacji niż udogmatyzowana ekonomika komunistyczna. Liczyć na upadek współczesnego systemu kapitalistycznego byłoby naiwnością.

W sumie wachlarz możliwych rozwiązań zacieśnia się do trzech pozycji: koegzystencja — kompromis — wojna. W powyższym równaniu wszystko zależy od rzeczywistej wartości koegzystencji. Jeżeli z koegzystencji nie uczynimy przedpokoju kompromisu — to automatycznie stanie się ona przedpokojem wojny.

W moim przekonaniu ruch ku kompromisowi nie powstanie w stolicach obu systemów, to jest w Moskwie czy w Waszyngtonie. *Ruch tego typu mógłby tylko powstać na peryferiach, w strefie granicznej obu systemów.*

Jeżeli świat zostanie uratowany, nie uratują go ani dogmatyczni komuniści ani dogmatyczni antykomuniści. Jedni i drudzy są niezdolni do żadnego kompromisu.

Jeszcze przed szesnastu miesiącami można było mieć nadzieję, że w Polsce — w Jugosławii — na Węgrzech — podjęte zostaną próby kompromisowej przebudowy i reformy. W uszach

ideologów zarówno tych „za" jak i tych „przeciw" — a w uszach polskich w szczególności — słowo kompromis ma wyraźnie negatywny podźwięk. Ze słowem tym — stanowiącym kamień węgielny cywilizacji zachodniej — Polacy łączą fałszywie pojęcie zdrady przekonań. Dla jednych kompromis będzie oznaczał „staczanie się na pozycje socjaldemokracji" — dla drugich „zejście z platformy niepodległości". Kompromis musi oznaczać zdradę zawsze w tych wypadkach, gdy przekonania zastępują dogmaty. (O dogmaty jest niepomiernie łatwiej niż o przekonania. Pod dogmatami wystarczy się podpisać — do przekonań trzeba dojść samotnie).

Przez określenie „ruch ku kompromisowi" rozumieć należy ruch zmierzający do od-dogmatyzowania obu systemów. Dogmatycy — bez względu na to czy są tego faktu świadomi czy nie — zmierzają do wojny. Uniemożliwiają bowiem zarówno koegzystencje jak i z góry przekreślają możliwości jakiegokolwiek kompromisowego rozwiązania. Tam, gdzie zwyciężają dogmatycy — perspektywy pokoju maleją.

II

W ubiegłym roku, na jesieni, Chruszczow w czasie swego pobytu w Pradze wypowiedział następującą autorytatywną opinię: „Nie mamy nic przeciwko radom robotniczym, dopóki Jugosławia traktuje je jako pewną odrębność konstytucyjno-ustrojową, a nie jako symbol nowej ideologii". Prasa polska i zagraniczna nie poświęciły większej uwagi tej wypowiedzi choć zawarty w niej jest cały „chruszczowizm".

Wszystko co nastąpiło w Polsce od zamknięcia „Po Prostu" — poprzez czystkę w Partii — po przemówienie Gomułki do aktywistów PZPR (po powrocie z Moskwy) — jest konsekwencją „gentleman agreement", którego zapowiedzią była wyżej zacytowana praska wypowiedź Chruszczowa.

Istnieją dwie klasyczne metody zwalczania herezji i heretyków. Pierwsza metoda polega na efektownym procesie, zakończonym spaleniem delikwenta na stosie. Władcy bez zrozumienia dla tradycji — zastępowali stos prozaicznym strzałem w podstawę czaszki. Może to i humanitarniej.

Druga metoda polega na licencjonowaniu herezji. Heretyk licencjonowany uznaje zwierzchność i jurysdykcję a zatrzymuje wzamian pewne odrębności „liturgiczne". Oczywiście heretyk licencjonowany de facto i de jure przestaje być heretykiem.

Chruszczow nie jest Stalinem. Pierwsza metoda likwidowania herezji przekracza zakres jego możliwości. Musiał więc zdecydować się na drugą metodę.

Należy przypuszczać, że „polskiej drodze do socjalizmu" udzielono licencji na następujących przesłankach:

I — Sowiety godzą się na ,,polski model'' pod warunkiem że pewne odrębności październikowe będą miały charakter insty tucjonalny, a nie doktrynalny.

II — Polska powstrzyma się od propagowania swych ustro jowych odrębności na zewnątrz, np. w Niemczech Wschodnich

III — Polska uznaje przywódczą rolę Związku Sowieckieg w obozie socjalistycznym i w każdym wypadku podporządkuj się bez zastrzeżeń ,,proletariackiemu internacjonalizmowi'' – co w praktyce oznacza ślepy konformizm z polityką zagraniczn Sowietów.

IV — By państwo ,,właśnej drogi do socjalizmu'' mogł wywiązać się z powyższych zobowiązań musi utrzymać mono lityczny charakter partii — bo tylko monolityczna partia za pewnić może autorytatywne rządy.

Trzeba powiedzieć, że Chruszczow jak dotąd — wykaza dużo zręczności w rozgrywce z ,,narodowym komunizmem'' Całość tego zagadnienia rozpatrywana z perspektywy Warsza wy oznacza, że Gomułka otrzymał koncesje na swój model po warunkiem dokonania pewnych, dość istotnych korektur.

Realnym zagrożeniem dla monolitycznej struktury parti byli tzw. rewizjoniści. Marksiści tego skrzydła — nawet wybi nie uzdolnieni i wykształceni — wadliwie odczytywali tendenc antydogmatyzmu wydobyte na powierzchnię przez burzycie ,,kultu jednostki''. Antydogmatyzm w zrozumieniu moskiew skich ideologów nie oznaczał zamiaru przywrócenia marksizmow charakteru świeckiej teorii naukowej. Antydogmatyzm oznacz tylko, że należy zwalczać dogmaty wczorajsze a podporządko wywać się w całości dogmatom dzisiejszym. Dogmatykiem jes nie ten co wyznaje i głosi dogmaty. Dogmatykiem jest tylk ten kto głosi dogmaty politycznie nieaktualne.

Przerzucam numery ,,Po prostu'' i serię broszur, wydan przez zespół tego pisma. Rozmyślam nad młodymi ludźmi teg dziwnego pokolenia i trudno oprzeć mi się wrażeniu, że rew zjoniści chcieli dopracować się socjalizmu ,,dla dorosłych'' – marksizmu empirycznego — nie dogmatycznego. Model pols w ich wydaniu różniłby się tak w formie, jak i w treści od s wieckiej ortodoksji. Jeżeli dobrze wnikam w linię prowadzony wówczas dyskusji — ów model, który zaczął się zarysowywa byłby socjalistyczny w formach ustrojowo społecznych i dem kratyczny w swej reprezentatywności i funkcjonalizmie. Byłb zatrzymał większość urządzeń ustrojowych, typowych dla państ obozu socjalistycznego — opierając ich działanie na niesfałsz wanych zasadach demokracji.

Klasycznego przykładu dostarcza historia rad robotniczyc ,,Po prostu'' wysunęło koncepcję pionowej przebudowy ra Rady robotnicze w tym ujęciu miały być nie tylko elemente

demokratyzacji gospodarczej, lecz również demokratyzacji politycznej.

Oligarchowie partyjni zorientowali się natychmiast, że w tym projekcie czai się zamach na monopolistyczną pozycję partii. IX Plenum zajęło negatywne stanowisko wobec pionowej rozbudowy rad robotniczych. Gomułka osobiście potępił wszelkie tendencje nadawania radom robotniczym charakteru politycznego. I tak wielki projekt — upadł.

Oczywiście musiało się tak stać. Nie chodzi przecież o autentyczny samorząd robotniczy, nie chodzi o demokratycznie wybierane przedstawicielstwo robotnicze, lecz chodzi o monopolistyczną dyktaturę partii, sprawowaną poprzez aparat od KC zacząwszy na POP w najmniejszej fabryczce skończywszy.

Historia projektu rad robotniczych, z którym ,,Po Prostu'' wystąpiło w swym pierwszym numerze, jest typowym, lecz bynajmniej nie jedynym projektem, który zmierzał do treściowej przebudowy modelu wtłoczonego siłą na żywe ciało polskiego społeczeństwa.

Śmiem twierdzić, że poza zespołem ,,Kultury'' nikt na emigracji nie brał udziału w dyskusjach rewizjonistów, ani nikt nie angażował się po ich stronie. Wszystkie emigracyjne ,,czynniki'' od osiemnastu lat deklarują swą solidarność z ,,żywymi siłami'' narodu. I p. August Zaleski jest z ,,żywymi siłami'' i prez. Bielecki i Rada Trzech i Rada Rzeczypospolitej.

Co to są te ,,żywe siły''? Obawiam się, że w interpretacji wyżej wymienionych ,,czynników'' owe ,,żywe siły'' — to naród, który — zależnie od okoliczności — albo ,,powstanie, gdy zagrzmi złoty róg'' — albo ,,skruszy pęta'', gdy wybije atomowa godzina dziejowa. W tej interpretacji ,,żywe siły'' są bezosobową i bezcielesną abstrakcją, rzuconą na emigracyjny ekran dwu wymiarów: wspomnień i pobożnych życzeń.

W naszym rozpoznaniu, żywe siły narodu reprezentowane są przede wszystkim przez to młode, odepchnięte pokolenie, które w oparciu o socjalizm dążyło do rzetelnej, demokratycznej przebudowy Polski Ludowej. Myśl niepodległościowa wiąże się w Kraju z rewolucyjnym rewizjonizmem. Ugrupowania prawicowe są antyrewolucyjne, politycznie konformistyczne, lojalistyczne, grzęznące coraz głębiej w wielopolszczyźnie.

Dramat odepchniętego pokolenia nie wywołał na emigracji głębszego echa. Spory odłam emigracyjnego społeczeństwa, tumaniony tzw. ,,niezłomną'' prasą, przyjął pogląd, że to są wszystko ,,sprawy między komunistami'', które emigrantów nic nie obchodzą. Dopóki młodzież na ulicach Warszawy w demonstracyjnych pochodach nie śpiewa ,,Pierwszej Brygady'' czy ,,Warszawianki'' — niepodległościowcy w Londynie uważają, że mogą spać spokojnie.

Jest niemniej dziwne, że pisma młodych zachowały rezerwę — na ogół wprawdzie życzliwą, niemniej daleką od zaangażowania.

Dzieje polskich rewizjonistów stanowić będą interesującą kartę w historii polskiej lewicy. W walce z nimi komuniści przegrali nie tylko swą kartę polską. Rewizjoniści dawali im bowiem szansę uautentycznienia polskiej rewolucji. Dawali komunistom szansę zamiany owego geopolitycznego przywileju — stanowiącego fundament ich obecnej egzystencji — na prawdziwe zaufanie i poparcie narodu. Komuniści polscy mieli wiele do wygrania. Mieli możliwości udowodnić światu, że potrafią przywodzić demokratycznemu społeczeństwu w oparciu o demokratyczne metody. Mieli szansę podważyć tezę — uznaną za pewnik przez miliony ludzi — że z komunistami nie można współpracować a można ich tylko zwalczać. Całe zainteresowanie „polskim eksperymentem" de facto sprowadzało się do tego problemu.

Październik przyniósł wiele zasadniczych i istotnych zmian, które utrzymały się do dzisiaj. Byłoby nonsensem temu przeczyć. Ale Październik zawiódł w swym najistotniejszym aspekcie — przyniósł klęskę polskiej rewolucji.

Z listów, z rozmów, z łamów prasy krajowej bije przytłaczające poczucie klęski. Energia, dynamizm i entuzjazm wyzwolone w dniach Październikowego przełomu zostały zdławione i zgaszone. Rozkład, jaki obserwujemy obecnie, jest psychologicznym efektem tego procesu. Plany, dyskusje, nadzieje zawisły w próżni, energie, siły, młodość — zostały bez celu i bez drogi wyładowania.

Pozytywiści, à la Wokulski, mogli rozwijać program pracy organicznej, budować fabryki, zakładać sklepy i bogacić siebie a tym samym i społeczeństwo. Wysuwane często hasła neo-pozytywistyczne w gruncie rzeczy sprowadzają się do oportunistycznych kolaboracji, gdyż w obecnych warunkach w Polsce nikt nie ma żadnych możliwości realnego pozytywistycznego działania.

Atak „Trybuny Ludu" przeciwko „Kulturze", bezpośrednio po zamknięciu „Po Prostu" a na krótko przed pogrzebem pierwszego i ostatniego numeru „Europy", wiąże nasz miesięcznik z dyskusjami i nadziejami młodej rewolucyjnej inteligencji. Nie wypieramy się tych powiązań.

Październik niczego nie odkrył, tylko wykrystalizował istniejącą zawsze w Polsce linię podziału na zwolenników rządów silnej ręki i na zwolenników demokracji. Podział jest dawny — można rzec tradycyjny — tylko polityczna treść jest inna. I dlatego, jeżeli chce się być związanym z żywymi siłami narodu, nie wystarczy mówić o demokracji — bo termin „demokracja" w oderwaniu od rzeczywistości krajowej, jest takim samym frazesem, jak słowo „niepodległość" deklamowanę na rocznicowym wieczorku w Londynie.

Demokratyczna rewolucja październikowa zawiodła w 80 procentach z przyczyn zewnętrznych. Jednak gotów jestem bronić poglądu, że znaczny procent winy za niepowodzenie ponoszą sami rewolucjoniści. Rewizjonistyczna opozycja nie miała progra-

mu, nawet w najogólniejszym zarysie. Program dyskutowano i improwizowano na fali rewolucji. I dlatego dziś klęska jest całkowita — bo rozbito nie tylko zespoły, kluby, pisma i redakcje, ale nieprzemyślane i niedopowiedziane koncepcje i plany. Ale nigdzie nie jest powiedziane, że rewolucja demokratyczna, która obecnie upadła, nie odniesie zwycięstwa za rok czy za dwa lata, gdy powstaną bardziej sprzyjające okoliczności.

Na emigracji przyjęto zasadę, że z nikim w Kraju nie należy się identyfikować. Z nikim się nie identyfikować, to znaczy z nikim się nie wiązać. Prasę emigracyjną można z grubsza podzielić na dwa odłamy. Odłam pierwszy reprezentuje „niezłomnych" — dla których Gomułka jest takim samym komunistą, jak Beria — a „Po Prostu" takim samym komunistycznym świstkiem jak „Prawda". Upadek rewolucji demokratycznej w Polsce pisma te kwitują z wyżyn swej „splendid isolation" złośliwym uśmiechem: „myśmy to od początku przewidywali". „Niezłomni" nie zmienią się, ponieważ ich „niezłomność" wywodzi się przeważnie z przemian fizjologicznych, które niestety są nieodwracalne.

Odłam drugi, to pisma obozu „postępowego". Na ogół pisma emigracyjne tej kategorii przyjęły ton życzliwego protekcjonizmu w stosunku do Gomułki. Tłumaczą mu, że „tak nie można", że „zraża sobie Amerykę", że „to nie demokratycznie" itd. Podtrzymuje się jednak uparcie legendę Października — wyolbrzymiając każdy sukcesik demokratyzacji. W ten sposób wytwarza się pewien paralelizm, (o którym wspomniał Koźniewski w „Polityce"). Ów „paralelizm", do którego wzdycha „Polityka", polegać by miał na tym, by prasa emigracyjna — choć z różnych pozycji politycznych — popierała jednak generalną linię partii. Wiele pism emigracyjnych zbliżyło się bardzo wydatnie do owego „paralelnego" ideału.

Na emigracji, z wiadomych względów, nie możemy się ani identyfikować, ani organizacyjnie wiązać z konkretnym, określonym ugrupowaniem politycznym czy zespołem w Kraju. W moim przekonaniu jednak winniśmy stworzyć zagranicą niezależny ośrodek rewolucyjny, który kontynuowałby studia, dyskusje, koncepcje, plany zapoczątkowane przez rewizjonistów w dniach Października. Ośrodek ten winien skupić przede wszystkim młodych, którzy mogą zagranicą podjąć próbę dopracowania się zarysu polskiego demokratycznego modelu po liniach zapoczątkowanych w Kraju.

Demokratyczna opozycja w Kraju ma dwa oblicza. Minimaliści dążą do zdemokratyzowania tych instytucji jakie istnieją i do utrwalenia tych wolności, jakie się ostały. Działalność tych ludzi jest niezmiernej wagi. Tej opozycji — opozycji na co dzień — emigracja w niczym nie może pomóc. Istnieje jednak również opozycja rewolucyjna — pozbawiona prasy i ram organizacyjnych. Z tym ugrupowaniem — w tego słowa najszerszym znaczeniu — winien się solidaryzować proponowany emigracyjny ośrodek rewolucyjny.

Choć na londyńskim bruku zabrzmi to może nieco pomp tycznie — to przecież trzeba stwierdzić spokojnie, że histo zna tylko dwa typy emigracji politycznych. Jedni uciekają prz rewolucją (biała emigracja) — drudzy chronią się zagranicą, przygotowywać rewolucję. Wszyscy inni to otręby na przem w obcych młynach.

III

Już od wielu miesięcy nie informuję Czytelników „Kult ry" o przebiegu chronicznego kryzysu w Radzie Jedności N rodowej. Nie zamierzam robić tego i dziś. Jest oczywiste, emigracja potrzebuje innej reprezentacji, opartej na demokr tycznych zasadach. Najbardziej przekonywującym wyrazem ob mierania działalności, którą reprezentuje Rada Jedności Na dowej, jest wysychający Skarb Narodowy. A ofiarność Polak zagranicznych nie tylko nie wysycha, lecz wprost przeciwn bije imponującym strumieniem.

Polacy na emigracji są gotowi płacić, tylko chcą wiedz na co mają płacić. Na finansowe poparcie społeczeństwa en gracyjnego mogą liczyć tylko konkretne sprawy i konkretne ce

Przed paru miesiącami „Kultura" w artykule Londyńczy rzuciła projekt utworzenia emigracyjnego Komitetu Współpra z Krajem. Celem tego komitetu byłoby koordynowanie pomo (nie tylko finansowej) jaką emigracja i jej instytucje byłyby możności udzielić Krajowi.

Cytowany projekt wzbudził znaczne zainteresowanie. Pra krajowa omówiła go dość szczegółowo, a wielu naszych Czyt ników podjęło z nami listowną dyskusję w tej sprawie. Osob cie wydaje mi się, że na maksimum uwagi zasługuje proje p. Rafała Cywińskiego. Otóż p. Cywiński — zasłużony i d świadczony działacz Skarbu Narodowego — proponuje powo nie Centralnego Komitetu Pomocy Polsce (CKPP), który to k mitet wydrukowałby na początek odpowiednią ilość znaczk „Pomoc Krajowi" i rozesłał je do sprzedaży rozsianym po św cie pełnomocnikom obu Skarbów Narodowych. Wpłacający „Pomoc Krajowi" otrzymaliby specjalną legitymację. Gdy ak powyższa rozwinęłaby się należycie, KCPP zarządziłby w drod głosowania wybór władz komitetów lokalnych. W następnej zie komitety lokalne wybrałyby delegatów, którzy z kolei — drodze wyborów — wyłoniliby władze naczelne Centralnego K mitetu Pomocy Polsce.

Jasne jest, że emigracyjny KCPP nie mógłby być k powany przez nikogo w ocenie — komu — w jakiej mierze na czyje ręce i w jaki sposób, w Kraju należy pomagać.

Powyższy projekt jest niezmiernie prosty do zrealizowa i prowadziłby do: a) zjednoczenia całej emigracji pod hasłem p

mocy dla Kraju; — b) do przebudowy obu Skarbów Narodowych w demokratyczną, na wyborach opartą, ogólno-emigracyjną organizację, służącą konkretnym celom.

Nie ulega wątpliwości, że tego typu światowa emigracyjna organizacja nie ograniczałaby się wyłącznie do zbierania ofiar na pomoc Krajowi, lecz z czasem uruchomiłaby i inne działy pomocy — w sprawach handlowych, technicznych, naukowych, itd.

Jestem przekonany, że urzeczywistnienie tego projektu spowodowałoby odrodzenie aktywizmu emigracji. Omawiany projekt wytycza bowiem jasny cel i wskazuje prostą, praktyczną drogę do jego realizacji. Najpotężniejsza organizacja emigracyjna wiązałaby Polaków zagranicznych z Krajem — czyniąc z pojęcia ,,więzi z Ojczyzną'' autentyczny fakt. Nie ulega wątpliwości, że wywarłoby to ożywczy wpływ na potencjał polskości za granicą. Mielibyśmy wreszcie organizację skupiającą Polaków bez względu na przynależność partyjną czy ,,klikową''. Organizacja ta byłaby najbliższą ideału wiązania żywych sił emigracji z żywymi siłami narodu.

Osobiście widzę tylko jedną przeszkodę na drodze do realizacji tego projektu. Nasi odwieczni prezesi i odwieczni mandaryni niewątpliwie dopatrzą się w tym projekcie zamachu na ich uświęcone reprezentacyjne tytuły. Cieszyłbym się, gdyby fakty zmusiły mnie do odwołania tej przepowiedni.

Juliusz MIEROSZEWSKI

Kronika angielska

,,DRUGI ETAP''

,,Kultura'' należy do nielicznych pism polskich, ukazujących się w wolnym świecie, które traktują komunizm serio. Nawet w okresie stalinizmu nie braliśmy nigdy udziału w kampanii wykpiwania i ośmieszania komunizmu. Reprezentowaliśmy bowiem pogląd, któremu jesteśmy wierni do dziś, że tylko gruntowne zrozumienie i rzeczowa znajomość oparta na studiach — mogą przyczynić się do wyrównania różnic.

We współczesnym komunizmie polskim są jednak rzeczy trudne do zrozumienia — nawet dla specjalistów przedmiotu. Weźmy dla przykładu hutę im. Lenina (HiL). Jest to duży obiekt przemysłowy i na tym przykładzie można studiować ,,typowość'' pewnych konfliktów, które — w moim przekonaniu — są nierozwiązalne.

Zacznijmy od zagadnienia podstawowego. Amerykański hutnik wy pia w ciągu miesiąca 12 ton stali przy 40-godzinnym tygodniu pracy. P ski hutnik wytapia tylko 4 tony, tj. dokładnie trzy razy mniej.

Personel administracyjny w HiL wynosi 21 procent ogółu zatrudn nych. W analogicznych hutach amerykańskich personel nie przekra 6 procent ogółu zatrudnionych.

Niemal 5 tysięcy robotników w HiL nie ukończyło szkoły podstaw wej. Połowa z nich to powtórni analfabeci. Mistrzami wielu oddział są kompletni analfabeci.

Co o tym wszystkim myśli robotnik? Deklamuje sobie spokojnie p pularne porzekadło: „czy się chodzi — czy się leży — dwa tysiące należy".

Z owych pięciu tysięcy analfabetów w HiL 1000 robotników wyz czono do szkoły dla pracujących. Uczęszcza do szkoły „w kratkę" zal wie 100.

Absencja w HiL wynosi przeciętnie 30 procent (dane sprzed epide grypy).

Rozpiętość płac między robotnikiem a kierownikiem działu jest z mała, by mogła zachęcić robotnika do nauki a kierownika do wytężo pracy.

Powyższy obraz należy uzupełnić następującymi danymi ogólnymi. Wług oficjalnych cyfr GUS — tylko 16 procent ludzi na stanowiskach k rowniczych w przemyśle posiada wyższe wykształcenie. 40 procent ma ledwie średnie wykształcenie a pozostałe 44 procent dyrektorów i kiero ników nie ma ani wyższego, ani średniego wykształcenia.

Czy przeczytawszy wyżej przytoczone oficjalne dane jest ktoś w sta zrozumieć i uwierzyć, że w Polsce Ludowej są „czynniki", które przeci stawiają się likwidacji nieuctwa na wyższych szczeblach kierownictwa p dukcji przemysłowej? Otóż jak wynika z informacji „Polityki" są ta „czynniki". Zdumiewająca jest argumentacja wysuwana w obronie n uctwa i braku fachowości. Wzmiankowane „czynniki" uważają, iż zas pienie pół-analfabetów na stanowiskach kierowniczych — dyplomowany inżynierami prowadziłoby prostą drogą do... technokracji.

Cała prasa Zachodu z amerykańską włącznie jest zaalarmowana świe opublikowanymi danymi, dotyczącymi studiów technicznych w Związ Sowieckim. Stany Zjednoczone produkują 30 tysięcy dyplomowanych in nierów rocznie — Rosja 80 tysięcy. W Anglii i w Ameryce podjęto olbrzymią skalę zakrojoną reorganizację szkolnictwa, by sprostać w prod cji inżynierów i techników Związkowi Sowieckiemu.

Znalazł się jednak przecież kraj, który przeciwstawił się zwycię tej rewolucji technokratycznej. W kraju tym było zawsze korzystniej b albo legionistą pierwszej brygady — albo lojalnym partyjnikiem — dyplomowanym inżynierem czy kompetentnym fachowcem.

Kompleks antyinteligencki w naszych warunkach jest nie do pogod nia z podniesieniem wydajności produkcji. Rosja mogła sobie pozwolić likwidację 80 procent starej inteligencji i wychowanie nowej. Współcze czołowi fizycy sowieccy — jak Landau czy Siemionow — są w cało po-rewolucyjnym produktem. Landau 40 lat temu był małym dziecki — Siemionow uczniakiem. Ale Polska Ludowa nie może czekać na „swo

pokolenie techniczne. Nim się bowiem tego pokolenia doczeka — ,,model" runie. Runie jak amen w pacierzu.

Inny problem Polski współczesnej, którego nie jestem w stanie zrozumieć, przedstawia się następująco. W ,,Nowych Drogach" czy w ,,Zeszytach teoretyczno-politycznych" — ukazuje się wiele wnikliwych analiz poświęconych kapitalistycznej ekonomii. Choć rozpoznanie bywa czasem wadliwe — bo autorowi nie wolno dopatrzeć się linii rozwojowych sprzecznych z apriorystycznym założeniem — to jednak trzeba stwierdzić, że poziom większości tych rozpraw jest wysoki. Czym wytłumaczyć fakt, że ci sami ekonomiści z chwilą gdy zejdą z pola krytyki kapitalizmu i wkroczą na swojskie poletko państwa ludowego — tracą 90 procent swojej inteligencji? Gdyby ci sami ekonomiści do swojego modelu zastosowali połowę umiejętności krytycznych, które bezproduktywnie zażywają na zwalczanie kapitalizmu — Polska przestałaby być krajem ponurego nonsensu. Komunizm stoi i upada ekonomią. Niemniej, dla obserwatora z zewnątrz, Polska robi wrażenie kraju, w którym ekonomiści doszczętnie wymarli.

Krajowi ekonomiści — sądząc po ich artykułach, może potrafiliby — na tym czy innym odcinku — uzdrowić kapitalizm. Wykazują jednak całkowitą bezradność wobec gospodarki komunistycznej.

Pomysły logiczne i racjonalne w naszej zwariowanej epoce wydają się oczywiście nie na miejscu. I mój pomysł — zdaję sobie z tego sprawę, jest nie z tego świata. Ale jakże byłoby dobrze 80 procent członków Rady Ekonomicznej przenieść do Anglii i do Kanady, a na ich miejsce sprowadzić identyczną cyfrę ekonomistów brytyjskich. Jedni i drudzy szacowni mandaryni wiele by się nauczyli, a tzw. szerokie masy skorzystałyby na tym na czysto.

Pozostawmy jednak ekonomistów w spokoju i wróćmy do robotników.

P. Bohdan Drozdowski, z którego reportażu w ,,Życiu Literackim" czerpię cyfrowe dane dotyczące HiL, przyznaje, że istnieje ,,jakoby" sprzeczność między interesami państwa a interesami robotników na froncie produkcji w HiL. Sprzeczność jest oczywista. Jeżeli robotnikom się powie: ,,w amerykańskich hutach czterech robotników wykonuje robotę tę samą, którą w HiL robi sześciu lub siedmiu ludzi" — to wówczas pada rzeczowe pytanie: ,,czy jeżeli nas mniej będzie robiło tę samą robotę — płace będą wyższe?"

I tu dialog się urywa, bo płace nie mogą być wyższe. Nie mogą być wyższe bo:

1) ,,aby zachować równowagę na rynku, zachwianą obecnie, nie wolno podnosić funduszu płacy; — 2) zyski przedsiębiorstw — (do października ub. roku HiL zarobiła 130 milionów zł.) — muszą iść do kieszeni państwa jako naturalna amortyzacja wkładu".

W interesie państwa leży zwiększenie wydajności produkcji. Lecz zwiększenie wydajności pracy, leży tylko wówczas w interesie robotnika, jeżeli oznacza podwyższoną stawkę zarobku. Apelowanie do robotnika, by pracował więcej i wydatniej za te same pieniądze w imię świetlanej przyszłości i szczęścia przyszłych pokoleń (i to po doświadczeniu dziesięciolecia!) — jest zaprzeczeniem już nie tylko ekonomii, ale zdrowego rozsądku. Można by apelować do robotników, by w swoim własnym interesie pracowali więcej za te same pieniądze, gdyby robotnicy byli właścicielami huty. Ale nie robotnicy są właścicielami HiL. Właścicielem huty jest partia, repre-

zentowana przez owe 21 procent personelu administracyjnego. Ci panowie nie przykładają ręki do procesu produkcji, ale zainteresowani są w zyskach.

Żądać od robotnika, by za te same niskie wynagrodzenie pracował więcej jest równoznaczne z domaganiem się zgody robotników na wyzysk. Na wyzysk nikt się nie godzi dobrowolnie.

Całość powyższego zagadnienia przypomina nieco teorię kwadratury koła. ,,Nie socjalizm jest temu winien" — woła z patosem p. Drozdowski. Zgadzam się w pełni z tą oceną. Nie socjalizm tylko jego brak.

Istnieją dwa rozwiązania. Albo gospodarka oparta o system kapitalizmu państwowego, jak w Związku Sowieckim — albo gospodarka oparta o socjalizm demokratyczny. Ekonomiści krajowi natomiast chcieliby wynaleźć model pośredni. Osobiście zaczynam wątpić, czy to jest możliwe.

Istotą socjalizmu — jak słusznie zauważył w swym znanym przemówieniu na VIII Plenum, Gomułka — jest likwidacja wyzysku. Wyzysk jest funkcjonalnie związany z systemem własności. Własność państwowa przestaje być de facto własnością państwową w ustroju, w którym władze nie pochodzą z wyboru, lecz są instrumentem jednej partii. Polską, a tym samym całym majątkiem państwowym i społecznym, rządzi KC PZPR, który nie został wybrany ani przez naród, ani przez robotników. Partia, zarządzając przemysłem jest takim samym pracodawcą, jak każdy inny. Nie jest rzeczą możliwą wybrnąć z tego problemu odrzucając socjalizm demokratyczny. Bo tylko w ramach demokratycznego socjalizmu możliwa jest prawdziwa nacjonalizacja przemysłu. Bo co to jest nacjonalizacja? To jest poddanie danego majątku, czy gałęzi produkcji pod zarząd władz wybieranych przez naród i odpowiedzialnych przed narodem. W ustroju, w którym naród nie wybiera rządu, w którym nie sprawuje władzy poprzez przedstawicieli wyłonionych z wyborów — gdzie nawet Rady Robotnicze są herezją — naród pozbawiony jest również wszelkich tytułów własności. W takim ustroju proletariuszem jest naród — kapitalistą KC PZPR.

Autor kryjący się pod literkami j.j.w., zaatakował na łamach ,,Polityki" mój artykuł pt. ,,ABC polskiej sytuacji" — posądzając mnie o ,,drugo-etapowe" tendencje. Przyznaję, że liczyłem i liczę nadal na drugi etap. Nie tracę nadziei, że tym drugim etapem będzie w Polsce socjalizm. Bo j.j.w. (skąd inąd bardzo inteligentny pan) zgodzi się chyba ze mną, że obecny ,,etap" jest nie do utrzymania. Więc albo trzeba się będzie cofnąć ku modelowi sowieckiemu albo postąpić krok naprzód ku socjalizmowi demokratycznemu.

,,PATRIOTIC IRRITABILITY"

W londyńskim miesięczniku ,,The 20-th Century" ukazał się bardzo interesujący artykuł Jerzego Pietrkiewicza pt. ,,Patriotic Irritability — Conrad and Poland: For the Centenary".

Pietrkiewicz, w moim zrozumieniu, porusza w tym szkicu — pra-problem emigracyjny. Owej ,,irytacji patriotycznej", będącej zawodowym kompleksem polskiego emigranta, doszukać się można nie tylko w Conradzie, Szopenie czy w Norwidzie, ale... *toutes proportions gardées* w każdym z nas. Każdy członek pokrzywdzonego i upokorzonego narodu, każdy syn klęski — nosi tę chorobę w sobie.

Owa choroba w pewnych wypadkach sublimuje się w nieprzetłumaczalne zazwyczaj na obce języki dzieła sztuki, rzadziej odwodzi od polskości jak w wypadku Conrada, najczęściej spacza obiektywizm i poczucie rzeczywistości.

Emigrantowi jest niezmiernie trudno, zwłaszcza w sprawach politycznych, myśleć obiektywnie i realnie. Jego myśli i pragnienia wirują stale, jak w centryfudze, wokół jednej niewzruszonej osi. Czy to będzie spór o Kanał Sueski — czy sputnik — czy bazy amerykańskie na Islandii — wszystko interesuje nas tylko pod jednym kątem widzenia.

Zgodnie z Freudem jedyną drogą wiodącą do rozładowania kompleksu jest uświadomienie sobie jego źródeł i wprowadzenie korektur. Należy bezlitośnie obnażać kompleks emigracyjny i walczyć do upadłego z jego przejawami. Myśmy już tak przywykli do tej karykatury realizmu, że nie rażą nas ani ,,ministrowie" bez ministerstw — ani ,,ostre" strzelanie z wiatrówek na manewrach ,,Pogoni" — ani twierdzenia, że Październik został ukartowany między Chruszczowem a Gomułką. Czasem jednak do prawdy trudno oprzeć się wrażeniu, że emigracja jest jednym wielkim szpitalem umysłowo chorych. Oto leży przede mną artykuł opublikowany w poważnym polskim zagranicznym piśmie, podpisany znanym nazwiskiem. Autor na czterech szpaltach druku udowadnia, że ...Amerykanie celowo pozwolili pozornie wyprzedzić się Sowietom ze sputnikiem — by wywołać wstrząs psychiczny w narodzie amerykańskim. W gruncie rzeczy, oni sputnika mają już od dawien dawna, ale chytry prezydent zataił to przed skąpym amerykańskim podatnikiem.

Znalazł się nie tylko autor, który to napisał, ale i redaktor, który te obłąkaństwa wydrukował. Należy być bezlitosnym dla kompleksów, ale litościwym dla ludzi. Z tej przyczyny nie wymieniam nazwiska autora tej surrealistycznej publicystyki.

Ów artykuł jest również jaskrawym, choć nie jedynym, przykładem kompletnego niezrozumienia Ameryki i Amerykanów. W gruncie rzeczy Ameryka jest niepomiernie bardziej egzotycznym i skomplikowanym zjawiskiem, niż Anglia czy Rosja. Zarówno bowiem Anglia jak i Rosja są narodami — imperiami — tradycją i historią. Ameryka jest czymś bez analogii i przykładanie do niej europejskich miar historycznych prowadzi do wręcz zasadniczych nieporozumień.

Przeciętny Polak — w kraju czy na emigracji — niewiele wie o Rosji, ale niepomiernie lepiej rozumie problematykę rosyjską, niż amerykańską.

Dla ludzi, którzy chcą wiedzieć, rozumieć i samodzielnie wnioskować, znajomość Ameryki i jej historii jest dziś równie nieodzowna jak orientacja w zagadnieniach rosyjskich. Z myślą o Czytelnikach ,,Kultury", którzy, jak wiadomo, lubią wiedzieć co ,,piszczy w wysokiej trawie" — wydaliśmy dwie podstawowe i doskonałe książki: Pawła Zaremby ,,Historię Stanów Zjednoczonych" i Aleksandra Hertza ,,Amerykańskie Stronnictwa polityczne". Tom Zaremby — łyka się jak ,,powieść-rzekę".

POLSKO-NIEMIECKA SAŁATKA

Redaktor cytowanego wielokrotnie na tych łamach periodyku ,,Der Europaeische Osten", zwrócił się do mnie przed kilku tygodniami z prośbą o wyrażenie zgody na przedruk w języku niemieckim mojego artykułu pt.

„Niemiecki cul-de-sac". Odpisałem, że będzie mi bardzo miło, że czuj się zaszczycony, że jest to dowód dużej odwagi ze strony redakcji zachodnio niemieckiego pisma, że jednym słowem zgadzam się — rezygnując z ewen tualnego honorarium. Prosiłem natomiast, by artykuł ukazał się *primo* — bez skrótów, opuszczeń czy przeinaczeń i *secundo* — z wyraźnym zaznacze niem, że stanowi przedruk z „Kultury".

Wymieniliśmy z redaktorem cytowanego miesięcznika uprzejme list zapewniając się na wzajem o korzyściach płynących z niemiecko-polskieg porozumienia. Nie ma to jak znaleźć bratnią dziennikarską duszę i rozu mieć się wzajemnie.

Po miesiącu otrzymałem dwa autorskie egzemplarze „Der Europaeisch Osten". Mój artykuł wypadł bardzo efektownie. Z wyjątkiem mojeg imienia i nazwiska zmienione w nim zostało dosłownie wszystko. Redakto okazał się jednostką odkrywczą. Mianowicie z szeregu moich artykułów po wycinał sobie ustępiki, które następnie zeszył w jedną całość i zaopatrzy nowym oryginalnym tytułem. Czytając ten artykuł przeżywałem niecodzien ne sensacje. Raczej rzadko trafia się autorowi czytać artykuł podpisan jego imieniem i nazwiskiem nie wiedząc co będzie w następnym zdaniu Mimo, że artykuł jest antologią wyjątków z moich artykułów w „Kultu rze" — nasz miesięcznik dyskretnie przemilczano. Dla niemieckiego czytel nika wygląda to wszystko jak oryginalny artykuł, specjalnie napisany dl „Der Europaeische Osten".

Jedno jest pewne, że w ten sposób nie przyczyniamy się do budow porozumienia polsko-niemieckiego.

LONDYŃCZYK

Życie i śmierć "Ziemi i Morza"

Kiedy Redaktor ,,Kultury'' zaproponował mi napisanie artykułu o szczecińskim tygodniku ,,Ziemia i Morze'', nie mogłem oprzeć się niechęci i zażenowaniu. Tygodnik został zlikwidowany stosunkowo dawno, jeszcze latem ubiegłego roku i czas położył na jego niewielkich sprawach swoją pieczęć. W Polsce dzieją się rzeczy ważniejsze a ja, emigrant od kilku miesięcy, przeżywam bolesny okres ,,tajania''. Ostatecznie, wobec zamknięcia ,,Po Prostu'', rzecz o ,,Ziemi i Morzu'' będzie tylko małą tragedią z drugiego planu.

Piszę jednak. Bodźca dostarczyły mi ostatnie artykuły polityczne w ,,Kulturze''. Jest w nich sporo trafnych myśli, lecz także wiele dyskusyjnych. Nie chcę powiedzieć ,,point de rêveries'' — marzyć każdemu wolno. Nie sądzę jednak, że życzenia mogą być wystarczającą podstawą polityki trzeźwej grupy ludzi, bez nieuniknionego następstwa przykrych rozczarowań i, co możliwe, groźnych skutków.

Kiedyś, na łamach ,,Ziemi i Morza'', w dyskusji z Juliuszem Mieroszewskim, dałem wyraz swej radości z powodu ,,kredytu'' dla Gomułki. Dziś J. Mieroszewski głosi, że kredytu nie cofa (choć jest go już bardzo mało), a mnie to dziwi. Prawie cały czas od radości z kredytu do dzisiejszych sygnałów w ,,Kulturze'', przeżyłem w Kraju, wśród spraw boleśnie a niezmordowanie bijących po ciemieniu. Nie wykluczam możliwości, że z tego właśnie powodu mój ,,kredyt'' wyczerpał się wcześniej. Staram się jednak odrzucić powody natury osobistej, subiektywnej i mimo wszystko moje wnioski pozostają niezmienne. Tylko niesłychanie silny wybuch, po długotrwałej, dwunastoletniej kompresji, pragnień znacznej części emigracji, tłumaczy tak długi, obecny stan wiary, wbrew nie spełniającym się nadziejom.

Ponieważ krótkie życie i szybka śmierć szczecińskiego pisma ,,Ziemia i Morze'' obejmuje czas dzielący nie tylko mnie, jednego z współredaktorów tygodnika, od kredytu dla Gomułki

do myśli o nieprzydatności własnych mitów, warto prześledzić jeszcze raz, choćby pobieżnie, casus „Ziemia i Morze".



Pismo zostało zorganizowane na wiosnę 1956 roku, za zgodą, więcej, po silnych bodźcach ze strony Komitetu Wojewódzkiego Partii a ściślej, ówczesnego sekretarza propagandy, działacza zręcznego i elastycznego, doskonale zorientowanego w nastrojach miejscowej inteligencji i środowiska twórczego. Nastroje te niczym się nie różniły od żądań środowisk w innych rejonach Kraju i tylko energii wzmiankowanego sekretarza przypisać należy stosunkowo wczesne powstanie pisma w Szczecinie. Precedens szybko i skutecznie został wykorzystany, — czasopisma stałe, subwencjonowane przez państwo i pisma studenckie rosły jak grzyby po deszczu, po kilku tygodniach każde, ambitniejsze środowisko regionalne miało swój organ.

Redagowania tygodnika szczecińskiego podjęła się grupa literatów i dziennikarzy o różnych, wówczas, poglądach politycznych. Łączyło nas jedno: absolutna niechęć do oportunizmu. Wspólny pogląd na cel pisma i środki działania tworzył się w trakcie bieżących prac redakcyjnych. Rozwój sytuacji politycznej w Kraju wyrównywał, niewidocznie a szybko, opóźnienie jednych z daleko zaawansowaną umiejętnością trzeźwej oceny wypadków i ich skutków, posiadaną przez innych. Pismo zorganizowali członkowie Związku Literatów — Maria Boniecka, Ireneusz Gwidon Kamiński i Henryk Rozpędowski, dziennikarz — Jerzy Karpiński oraz, świeżo przybyły do Kraju, absolwent moskiewskiego Instytutu im. Gorkiego — Jerzy Pachlowski W grupie tej było trzech członków Partii. W myśl wskazań tzw. Frontu Narodowego, naczelnym redaktorem została bezpartyjna pisarka Maria Boniecka. Na stanowisko sekretarza redakcji powołano niżej podpisanego, „zaufanego człowieka Partii", jak nazywali go niektórzy koledzy. Sądzę, że grały tu rolę względy praktyczne — moje dość duże doświadczenie dziennikarskie (były kierownik poznańskiego oddziału PAP) i stanowisko sekretarza Zarządu szczecińskiego oddziału Związku Literatów. W każdym razie, w układzie sił redakcyjnych, codzienna praktyka nakładała na mnie stosunkowo duże obowiązki „koncepcyjne", ale i gromadziła doświadczenia, w wyniku których, w znacznej mierze, znajduję się dziś poza Krajem.

Cały zespół doceniał wieką szansę: ziemie północno-zachodniej Polski, od lat pozbawione są pisma kulturalno-literackiego, nie posiadają ani jednej wyższej uczelni typu humanistycznego. Tu literaci miesiącami i latami czekają na druk swoich prac w pismach warszawskich, całkowicie opanowanych przez tamtejszych monopolistów. Tu panuje dzika partyzantka kulturalna, tu szaleje obskurantyzm, tu panoszy się w szczególnie wyuzdanych formach biurokracja, są dane do przypuszczeń o szkodnictwie gospodarczym na wielką skalę. Tu wreszcie, odgrodzone do-

tychczas pasmem ziemi zmilitaryzowanej i setką złośliwych przepisów — morze. Od lat nie tknięte przez ludzi pióra, z konieczności zapomniane przez publicystów. Wdzięczne pole do pracy nad odrodzeniem społecznej, polskiej myśli morskiej

Wstępna niespodzianka — zmontowanie i wypuszczenie na rynek pierwszego numeru po trzech tygodniach pracy (zamiast po oczekiwanych czterech miesiącach) i natychmiastowa, już w próbnym egzemplarzu, ingerencja cenzury, — zaskakuje i instancję partyjną i zespół. Odtąd rozpocznie się wielomiesięczna, nieustanna walka między zespołem a czynnikami partyjnymi i Urzędem Kontroli Prasy, Publikacji i Widowisk o polityczną linię pisma. Do „października" nacisk z zewnątrz miał na celu zahamowanie tendencji do przyśpieszania jego przyjścia. Po „październiku" — bezdyskusyjne akceptowanie postępowania Gomułki. Konflikt zakończy się likwidacją tygodnika, już po moralnym zwycięstwie zespołu, to znaczy po dojściu Gomułki do władzy.

Redakcja, ulegając bezwarunkowej presji, decyduje się usunąć fragment z poematu Ryszarda Liskowackiego pt. „Rówieśnikom". Młody autor ma łzy w oczach, cenzor uśmiecha się: „nie musicie drukować tego poematu". Przedstawiciel zespołu, członek Partii, autor reportażu z „terenu", drukowanego w pierwszym numerze i puszczonego przez cenzurę, zostaje wezwany na rozmowę do Przewodniczącego Komisji Kontroli Partyjnej. Wraca stamtąd po upływie godzin — strzępek nerwów, trojański koń strachu. Redakcja postanawia na przyszłość publikować materiały okaleczone. Część prawdy nie zawsze jest kłamstwem. Zresztą nie ma wyboru, inaczej pismo nie mogłoby istnieć.

Ten ostatni wzgląd jakże często tłumaczy dziwne, często niepojęte dla niezorientowanego czytelnika, drogi i ścieżki redakcyjnej taktyki. Nie tylko naszej redakcji. Miast krzyku — mysi pisk, zamiast pełnego obrazu — jakiś fragmencik z narożnika... Z biegiem czasu wokół „Ziemi i Morza" skupiają się dziennikarze i literaci Szczecina, Gdańska, Poznania, pracownicy naukowi Instytutu Pomorza Zachodniego, różnych placówek PAN, Politechniki, Akademii Medycznej i in.

Coraz szybszy nurt wydarzeń niszczy każdy, długofalowy plan pracy. Codziennie pojawiają się nowe, pilne problemy. W praktyce, redaktorzy ograniczają swe obowiązki do segregacji i zwiększania tempa.

Ukazuje się kilka artykułów, rozwiewających propagandowy mit o sukcesach stalinowskiej gospodarki morskiej: — milionowe straty, tępota, potworne marnotrawstwo dóbr w rybołówstwie morskim, w portach i stoczniach, skandaliczna gospodarka wielką bazą rybołówstwa dalekomorskiego w Świnoujściu, ukrywana starannie przez aparat bezpieczeństwa prawda o zatonięciach polskich statków — rezultat biurokracji i bezdusznej gospodarki kadrami. Szereg artykułów rozwala mur milczenia wokół tragicznych spraw narodowościowych, ujawnia prawdę o eksterminacji tzw. „Autochtonów" i Niemców zamieszkałych na Pomorzu

Zachodnim. Z początku nieśmiało, potem, w miarę ustępstw cenzury, coraz bardziej przerażonej i zdezorientowanej, ukazują się publikacje wymierzone przeciw dotychczasowym metodom pracy sądów, milicji, służby bezpieczeństwa, przeciwko łajdactwom większych i małych kacyków. ,,List otwarty do ministra Kultury i Sztuki'' demaskuje obskurantyzm schematu masowej pracy kulturalno-oświatowej. Pamflet ,,Dlaczego nie będę głosował na Andrzejewskiego i Osmańczyka'' wymierza zręcznie, a złośliwie cios systemowi wyborów. Na łamach ,,Ziemi i Morza'' rozwija się dyskusja o marynistyce, powoli, w krąg zagadnień publicznych wkraczają sprawy humanistycznej problematyki morskiej. Ukazują się publikacje popularyzujące fakty z przeszłości Pomorza, przedstawiane dotychczas nieśmiało lub tendencyjnie. W ,,Ziemi i Morzu'' debiutuje kilka ciekawie zapowiadających się talentów literackich.

,,Wypadki Poznańskie powodują pierwszy, poważniejszy kryzys redakcji — materiały z Poznania zostają pozbawione praw publikacji wraz z ostrzeżeniem o możliwości zamknięcia pisma. Wstrząsający wiersz Kazimiery Iłłakowiczówny ,,Rozstrzelano moje serce w Poznaniu'' odrzuca cenzura, — wiersz, odbity przez drukarzy, wędruje z rąk do rąk. (Wydrukowany został dopiero w październiku, po zagrożeniu strajkiem zespołu). Tragikomicznych momentów dostarcza montaż numeru przypadającego na rocznicę lipcową. Z gotowego już, ,,szczotkowego'' egzemplarza, cenzor zdejmuje fragmenty z ,,Manifestu Lipcowego'' PKWN. (Fragmenty mówiły o prawach obywateli Polski Ludowej). Nie pomagają energiczne interwencje — ,,Manifest'' zostaje usunięty. Wobec takiego obrotu rzeczy, decydujemy się zamieścić fragmenty z ,,Manifestu Komunistycznego'' Marksa, — 22 lipiec to święto proletariatu. Cenzor uśmiecha się, rozumie i protestuje. W telefonicznej, ostrej wymianie słów z sekretarzem propagandy, padają groźby. W czołówce numeru drukujemy wiersz Broniewskiego, ,,Robotnicy''. Codzienna treść tamtego czasu czyni cuda —

Pędź! — dziejów lokomotywo,
sercami palimy w kotłach.

Obok wiersza, pod napisem ,,22 lipca 1956'', fotografia przedstawia bezmiar czarnej wody z ostrym, małym punktem — białym, rozkwitającym nenufarem. Naiwna, prościutka metafora. Jak potężnie pragnął metafor czytelnik przed ,,październikiem!'' Znajdował je również w innych pismach: na połowie pierwszej strony ,,Nowej Kultury'' oglądał małego człowieczka, robotnika, zupełnie zagubionego wśród potężnych budowli i maszyn wielkiej fabryki.

Od kilku miesięcy czytywaliśmy ,,Kulturę''. Wzbudzała czasem podziw, zawsze gorące dyskusje. Po jednej z nich, postanowiliśmy przedrukować z ,,Wiadomości'' ,,Kartki z dziennika'' Lechonia. To był krok, w naszej sytuacji, dość odważny. Z ,,Kartek'' wyleciało kilka dni. Cenzura. ,,Fragmenty z dzien-

nika" Gombrowicza, z „Kultury" poszły prawie w całości. (Gorzej było, po kilku miesiącach, z „Traktatem Poetyckim" Miłosza. Fotografia poety, którą chcieliśmy zamieścić obok fragmentów „Traktatu" została zaaresztowana. Sekretarz nowego, popaździernikowego, KW: „Wiersz? Pokażcie. Aha... No, ostatecznie. Nie ma w nim nic takiego. Ale zdjęcie? To przecież, moi drodzy, zdrajca. Rozumiecie? Renegat! Wykluczone. W żadnym wypadku!). Dopiero znacznie potem, kiedy decydowały się losy pisma, cenzura wykorzystała w swej argumentacji nasze kontakty z „ kontrrewolucjonistami paryskimi".

Tymczasem my byliśmy górą. Kuliśmy gorące żelazo

Postanowiliśmy podjąć dyskusję z Mieroszewskim i „Kulturą". Wbrew oporom cenzury, zawiadamiamy o tym czytelników przez opublikowanie listu do Jerzego Giedroycia.

Wybucha „październik".

Byliśmy nań przygotowani, przyśpieszaliśmy w naszym skromnym zakresie, jego nadejście, zdawaliśmy sobie sprawę z konsekwencji. Redakcyjne pokoje zamieniły się w jeden z licznych, terenowych sztabów rewolucji, w którym mówiło się nie tylko o sprawach ściśle redakcyjnych. Pamiętam krytyczny wieczór, kiedy, wobec zwiększonej aktywności miejscowej radzieckiej placówki konsularnej (zaproszenia na dyskusje i bale, przygotowywanie list „kontrrewolucjonistów" itp.), a następnie ruchów pancernych wojsk radzieckich (granica z NRD!) i blokady Świnoujścia, — postanowiliśmy wykorzystać pewne możliwości i zmienić dowody osobiste.

Nie doszło do tego, wobec zyskania nieoczekiwanych sojuszników w osobach cenzorów i nowowybranej egzekutywy wojewódzkiego Komitetu Partii.

Cenzorzy nie poprzestali na podpisaniu deklaracji, wspólnie z pracownikami prasy, potępiającej stalinowców i aprobującej przejęcie władzy przez Gomułkę. Złożyli na moje ręce przedziwny dokument, dokument-monstrum: gwałtowną samokrytykę, potępienie całokształtu przeszłej działalności cenzury wraz z uchwałą Podstawowej Organizacji Partyjnej przy Wojewódzkim Urzędzie Kontroli Prasy Publikacji i Widowisk o konieczności natychmiastowej likwidacji instytucji cenzury prewencyjnej. Prosili o druk.

Dokument nigdy nie został opublikowany. Zdjęto go z numeru, prawie z maszyny rotacyjnej. Wycofali go ci sami cenzorzy. W międzyczasie nadeszła tajna instrukcja Partii. Władysław Gomułka, w przemówieniu do nowowybranych pierwszych sekretarzy Komitetów Wojewódzkich, ostro zaatakował prasę i „odchyleńców", wśród nich, dosłownie, „niejakiego Kołakowskiego". Stwierdził niezbędność istnienia cenzury. Przemówienie ukazało się w broszurce „Wyłącznie do użytku służbowego". Ten pierwszy „październikowy" dokument „wewnątrz-partyjny" przeczytałem dzięki uprzejmości pewnego, wyższego działacza Partii. (Tylko fragmenty przemówienia wydrukowano w prasie).

Czytałem i przecierałem oczy, tu nie chodziło o potępienie dzia łalności podsycającej wrzenie nastrojów antyradzieckich. Koledz w redakcji nie wierzyli. Postanowiliśmy oddać do składu esse pod tytułem ,,Cenzura — zaprzeczenie praworządności''.

Tu — koniecznie mały wtręt liryczny:

Wokół każdej redakcji na świecie skupiają się ludzie, luźn albo w ogóle nie współpracujący z pismem w sensie dostarczani materiałów do publikacji. Przed ,,październikiem'' do redakc ,,Ziemi i Morza'' zachodzili ludzie szczególni, zupełnie ,,nie z te ziemi'' — ludzie z marginesu życia, z przeszłego czasu, zapo mniani i zepchnięci pod powierzchnię, okaleczeni psychiczni zmarnowane talenty. Ludzie rozpaczający i skamieniali. Przy chodzili, patrzyli, wąchali atmosferę redakcyjnych pokoi, ni wierzyli, odchodzili i wracali. W czasie tragedii węgierskie wraz z nami nosili w klapach ubrań narodowe barwy Madziarów Wśród nich jeden zwracał uwagę swoją erudycją i swoją nie wiarą. Przychodził, patrzył, słuchał. Czasem mówił a wtedy pokojach robiło się cicho. Kiedy uwierzył, przyniósł rzecz o cen zurze. Właśnie essej ,,Cenzura — zaprzeczenie praworządności'' Wymierzył celnie. Rzuciliśmy się jak wygłodniałe wilki, z ob szernej pracy wybraliśmy duże fragmenty i oddaliśmy do druku

Z emigracyjnego dystansu, z trwogą myślę o tym długi szeregu chromych, którzy chcieli się uzdrowić ,,październikiem'' ostatnią szansą ich życia.

Cenzura zaaresztowała essej i, wbrew decyzji nie tylko pierw szego i pozostałych sekretarzy KW, ale wbrew postanowieni Egzekutywy, ,,politycznego gospodarza swego terenu'', wstrzy mała wydawanie tygodnika. To była ryzykowna decyzja, mas były jeszcze podminowane. Wstrzymywaliśmy ruch protestacy ny. Przyleciał samolotem jeden z szefów warszawskiej centra cenzorskiej. Występował w imieniu własnym, powoływał się n Komitet Centralny Partii. Był przestraszony, prosił o ,,rozsą dek''. Wysłuchał przymilnie dużo przykrych słów. Essej zost wydrukowany, po niewielkich, kompromisowych korektach i n sił tytuł ,,O cenzurze''. Numer ukazał się po dwutygodniow przerwie. Redakcja wznowiła działalność.

Potem wypadki potoczyły się szybko.

Masakra węgierska i cykl artykułów I.G. Kamińskieg po powrocie z Węgier. Wbrew przestrogom oportunistów, r dakcyjny ,,Wieczór Węgierski'' w Klubie Międzynarodow Prasy i Książki. Powaga, łzy. Jasne określenie stanowiska z społu w artykule redakcyjnym ,,Do wieczora XX wieku jeszc daleko'':

,,Druga połowa XX wieku stawia przed komunistami zadanie rewi teorii i praktyki rewolucyjnej... Nie trzeba żałować złudzeń — odpow dzialność za losy rewolucji podejmują dziś, poza KPZR... partie inny krajów... Cel nie uświęca środków. Jesteśmy przeciwnikami zbrojnej in rencji wojsk radzieckich na Węgrzech... Uchwały VIII Plenum PZP

przyjmujemy jako trzeźwy program minimum... Lata przyszłych sukcesów i porażek dyktować będą nowe, słuszne, odpowiadające aktualnym potrzebom, wskazania..."

Obok, jak krzyk naiwnego dziecka, (ruchy wojsk radzieckich w Polsce nie ustają, mord na Węgrzech trwa) w ramce, słowa Lenina na VIII Zjeździe, 19 marca 1919 roku:

„Nie wydano jeszcze takiego dekretu, by wszystkie kraje miały żyć według bolszewickiego rewolucyjnego kalendarza, a gdyby nawet go wydano — nie byłby stosowany. Polski ruch proletariacki kroczy tą samą drogą co i nasz ku dyktaturze proletariatu, ale nie tak jak w Rosji. I straszą tam robotników tym, że Moskale, Wielkorusi, którzy zawsze Polaków gnębili, chcą wnieść do Polski swój wielkoruski szowinizm osłonięty mianem komunizmu. Komunizm zaszczepia się nie w drodze przemocy. Jeden z najlepszych polskich towarzyszy — komunistów, kiedy mu powiedziałem: „Wy zrobicie to inaczej", odrzekł: „Nie, zrobimy to samo, ale zrobimy lepiej niż wy". Przeciw takiemu twierdzeniu nie mogłem absolutnie zaoponować".

Krajowy Zjazd Literatów i wniosek naszej delegacji za współpracą z intelektualistami polskimi za granicą.

Jednoczesny Krajowy Zjazd Dziennikarzy, z referatem Sekretarza KC Jerzego Morawskiego. W referacie atak na „odchyleńców" i, jako ilustracja, kilka cytat z „Ziemi i Morza".

Sprawa jest przesądzona. Nie pomaga ani artykuł, podpisany przez wszystkich członków zespołu (powiększonego w międzyczasie), który ma na celu zwrócenie uwagi na pewne aspekty sprawy „Ziemi i Morza", ani zasugerowana z zewnątrz, pod presją, propozycja zmiany redaktora naczelnego, którą mając na oku wyłącznie dalsze istnienie pisma, akceptuje zespół (Jeszcze raz proszę o wybaczenie, Pani Mario!).

Z Warszawy, z RSW Prasa, nadchodzi dalekopis: — wstrzymać natychmiast wydawanie „Ziemi i Morza". Wstrzymać numer, jeśli jest na maszynie. Bez podania powodów, bez dyskusji.

Zespół otrzymuje pisemne wymówienie pracy.

Interwencje w KC, u Przewodniczącego Rady Państwa, propozycja redakcji „zespół odchodzi — pismo zostaje", nie odnoszą skutku. Chodzi o „przykład" dla całej prasy. „Po prostu" w tamtej sytuacji jest zbyt potężne, co innego pismo na rubieżach kraju.

Jeszcze jedna próba intymnych konfrontacji. Z różnych pozycji. Nie. My mamy rację.

Po kilkutygodniowej przerwie, po częściowej zmianie zespołu, „Ziemia i Morze" znowu rozpoczyna działalność. Weszły w grę gwarancje personalne i osobiste ambicje miejscowych działaczy partyjnych.

Redaktorem naczelnym zostaje literat i dziennikarz Kazimierz Błahij. Zalecenia „czynników": więcej literatury, pomoc dla hierarchii partyjnej, więcej rzeczy pogodnych, trochę seksualnego negliżu.

Stopniowy, powolny powrót do spraw ważkich. Kilka te matów „politycznie drastycznych", próby długofalowej, orga nicznej pracy w pomorskim rejonie.

Cenzura (Wojewódzki Urząd Kontroli Prasy Publikacj i Widowisk przeniósł swoje biura do gmachu prasy, urzęduj na tym samym piętrze, drzwi w drzwi), nacisk Partii, zupełni wytrącają z rytmu pracy. Nerwy i potknięcia. Zniechęceni części zespołu. Kilka kolejnych aresztów na interesujące czytel nika tematy. Co czwarty mój felieton zdjęty, niemal każd okaleczony. Żaden z kwestionowanych tematów nie nawołuje d restytucji kapitalizmu, do zatrzymania procesu liberalizacji życia do ekscesów antyradzieckich...

Noty Urzędu kontroli, sumujące „szkodliwą działalnoś 'Ziemi i Morza'". „Przyjacielskie" perswazje w KW i pogróżk w KC.

Prezes RSW Prasa powołuje się na przewodniczącego Ko misji Prasowej w KC. Rozmawia z zespołem: „Albo zrobicie „Ziemi i Morza" magazyn rozgrywkowy albo nie dam pienię dzy". Zespół nie chce redagować magazynu. W godzinę poten prezes rozmawia z redaktorami organu Wojewódzkiego Komite tu Partii — „Głosu Szczecińskiego": „Za pieniądze przeznaczo ne dla „Ziemi i Morza" zrobicie dodatek świąteczny".

Likwidacja z trzymiesięcznym wymówieniem. Słabe, pozba wione wiary w skutek, próby zmiany decyzji. W ostatniej chwil odwołanie organizowanego przez redakcję pierwszego, wielkieg krajowego zjazdu uczonych, ekonomistów, pisarzy, dziennika rzy — wszystkich zainteresowanych sprawami morza.

Miał rację stary, osaczony człowiek, b. minister Eugenius Kwiatkowski. — Na próby redakcji wciągnięcia go do pracy choćby publicystycznej, odpowiedział sarkastycznym, zrezygno wanym listem, z prośbą o jego zwrot po przeczytaniu.

Fala rewolucyjna opadła, pismo miażdżone przez cenzur nie było już tak atrakcyjne jak niegdyś — likwidacja minęł prawie bez echa. Były głosy fałszywego żalu, zażenowane uśmie chy. Zamknięcie „Ziemi i Morza" otwarło serię likwidacyjną w prasie, poprzedziło zamknięcie innych, potężniejszych pism.

◆

Czego chcieliśmy? Przed „październikiem" — „paździer nika". Po „październiku" — konsekwencji w realizowaniu jeg idei. To znaczy naszych idei. Niczego więcej. Dlaczego zawie dliśmy się?

— Wydaje się, że wielu obserwatorów zagranicznych, w swych rozważaniach na temat sytuacji w Polsce, nazbyt duż znaczenie przywiązuje do dyktatu sytuacji zewnętrznej. Tak dyktat, rzecz oczywista, istnieje. Jednak nie decyduje. Nie mógł by mieć znaczenia, gdyby dziś napotykał na rozważny opór w

Kraju. Opór ten maleje, od góry, celowo i świadomie, zmniejsza się napięcie psychiczne społeczeństwa, wszystko co mogłoby opór ten podsycać.

Władysław Gomułka reprezentuje starą, bolszewicką szkołę komunistów. Mądrze, w odpowiednim czasie, odrzucił to, co najbardziej przeszkadzało pomyślnej realizacji bolszewickiego modelu państwa. Jego droga to nie ustępstwa ani odstępstwa, a przyśpieszenie. Gomułka powtórzył w „październiku" słowa „jednego z najlepszych polskich towarzyszy" skierowane do Lenina: „Zrobimy to samo ale zrobimy lepiej niż wy". Lenin się uśmiechał, Chruszczow grymasił.... Poniekąd, w tym wyraża się różnica między nimi.

Gomułka ma charakter i talenty — idzie do *tego samego* bez żadnych zboczeń z obranej drogi. To wszystko.

Uczucie zawodu wynika z nieporozumień. Różni ludzie podkładali pod „Październik" różne treści i idee, zależnie od własnych tęsknot. To nie Gomułka, jak chce tego J. Mieroszewski, uległ rozdwojeniu. On jest — rzecz skąd inąd godna uznania, a nawet podziwu — stale taki sam, od chwili, gdy w czasie okupacji sięgał po ster Partii, gdy szedł do więzienia. Do dziś. Rozdwojeniom nie ulega. To zbyt poważny kaliber działacza.

„Duch października" jest fenomenem o stu twarzach. Kształt każdej z nich tworzył sobie, w swych marzeniach, obserwator. Prawdziwa i realna jest jednak wyłącznie jedna z nich — stworzona przez Gomułkę. Dlatego nie ma i nie może być mowy o ratowaniu „ducha października". Duch żyje, jest zdrowy. A jak ratować fikcję?

Likwidacja „Ziemi i Morza", „Po Prostu", innych pism, brutalne rozpędzenie manifestantów na placu Narutowicza, dziesiątki innych decyzji mniej rzucających się w oczy, to skuteczny sposób na zburzenie mitów, potrzebnych do dnia przejęcia władzy, dziś opóźniających marsz po drodze, bliższej bolszewizmowi, znacznie bezpieczniejszej.

Jawność życia politycznego, a co się z tym łączy, gospodarczego, parlamentaryzm, choćby ograniczona gra sił politycznych, swoboda słowa (do tego można w zasadzie sprowadzić nadzieje większości krajowych „październikowców"), nie są zgodne ze wskazaniami dyktatury proletariatu, w odniesieniu do konkretnych warunków polskich. Władysław Gomułka nie wyobrażał sobie nigdy, i nie wyobraża sobie dziś, możliwości zbudowania socjalizmu w Polsce bez zastosowania systemu dyktatury proletariatu. Pierwszy Sekretarz Komitetu Centralnego Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej dorósł do roli, która napisana jest niewątpliwie dla męża stanu i przywódcy partii komunistów...

Dla znacznej ilości polskich komunistów bitwa o „październik" stała się poligonem ostatnich doświadczeń. Dlatego tak wielu z nich odeszło od Partii. (Wśród nich i ja). Nie zawsze od komunizmu.

Oto wnioski z moich obserwacji narodzin „Października" i pozornej zdrady Gomułki.

Krótki żywot i szybka śmierć ,,październikowego'' pism zwielokrotniły siłę dostrzegania. Skupiały wiele spraw, jak soczewce.

Henryk ROZPĘDOWSKI

P.S.: — dla pewnych czytelników w Kraju:
Uwagi o ,,Ziemi i Morzu'', a szczególnie wnioski, są rezu tatem moich osobistych przemyśleń. Próby ich identyfika z opiniami pozostałych w Kraju członków byłego zespo redakcyjnego byłyby rzeczą śmieszną. Jednak, jesteśmy ,,październiku''.

Stulecie Poznańskiego Twa Przyjaciół Nauk[1]

Warszawskie Towarzystwo Przyjaciół Nauk, założone pierwszych latach XIX wieku, nie przetrwało powstania list padowego, lecz jego tradycja pozostała żywa. Gdy na początk 1832 roku car Mikołaj ,,postanowić raczył nie uznać już Tow rzystwa Przyjaciół Nauk za istniejące'' (2), powstaje w Pary Towarzystwo Literackie, zwane później Historyczno-Literackir powołane do życia przez członków Warszawskiego Towarzystv z J.U. Niemcewiczem, Adamem Czartoryjskim, Lach Szyrm i Ludwikiem Platerem na czele. W dwadzieścia kilka lat po d cyzji cara Mikołaja dr Kazimierz Szulc rzucił ideę założen Towarzystwa Przyjaciół Nauk w Poznaniu, a natrafiając

---

(1) Poniższy artykuł jest w znacznej mierze komplikacją opartą na stępujących publikacjach: Roczniki Historyczne XXIII (*Księga Pamiątko w Stulecie PTPN*); *Bibliografia Wydawnictw Poznańskiego Towarzyst* Przyjaciół Nauk 1856-1956 (Zeszyt dodatkowy do Księgi Pamiątkowe Zygmunt Lisowski, Poznańskie Towarzystwo Przyjaciół Nauk w Lata 1927-1947, Poznań 1947. Wszystkie powyższe materiały zostały uprzejn udostępnione ,,Kulturze'' z kraju. Artykuł kompilacyjny nie jest najlepsz sposobem uczczenia stulecia PTPN, lecz okoliczności nie pozostawiają inne wyboru. Stulecie PTPN znalazło słabe echo w prasie krajowej i mo przeto ujść uwagi jej czytelników na obczyźnie. Tę lukę ma wypełnić niższy artykuł oparty na źródłach trudno dostępnych poza granicami kraju.

(2) J. Michalski, *Z Dziejów Towarzystwa Przyjaciół Nauk*, Wars wa 1953, p. 315.

nieufność i brak wiary zyskał dla swej inicjatywy poparcie Tytusa Działyńskiego i Franciszka Morawskiego, również członków Warszawskiego Towarzystwa. Uchwałę założenia Towarzystwa Przyjaciół Nauk Poznańskiego, gdyż taką miało ono nazwę do 1921 roku, powzięto w styczniu i po przedyskutowaniu „ustaw" Towarzystwo ukonstytuowało się w lutym 1857 roku.

PTPN, którego stulecie obchodziliśmy w r. 1957, jest więc jednym z najstarszych nieprzerwanie istniejących towarzystw naukowych w Polsce. Jego seniorem jest tylko wspomniane Towarzystwo Historyczno-Literackie oraz Krakowskie Towarzystwo Naukowe, założone w 1816, z którego powstała Akademia Umiejętności. Towarzystwo Naukowe w Toruniu, Lwowie i Warszawie, Towarzystwo Przyjaciół Nauk na Śląsku, w Wilnie i w Gdańsku, ustępują znacznie wiekiem zeszłorocznemu jubilatowi.

Jak notuje Bruckner w „Dziejach Kultury Polskiej", Poznańskie uchodziło za zacofane w dziedzinie umysłowej, „powszechnie i nie bez słusznych podstaw". Poznańskie zyskało tę reputację w skali porównawczej, na tle osiągnięć kulturalnych pozostałych dwóch zaborów. Myśl się nie rozwijała, pisze Bruckner, próżno szukalibyśmy estetów jak Tarnowski, Piniński, Morstyn i inni, lub polityków tej miary co Wielopolski, Gołuchowski, Bobrzyński, Potocki. Poeci i pisarze, Kasprowicz i Przybyszewski, uciekali, bo nie mogli znieść „powietrza" Wielkopolski.

Do sprawy naukowej emigracji z Poznańskiego, która nie sprzyjała rozwojowi myśli, wypadnie jeszcze poniżej powrócić. Spowodowała ją polityka rządu pruskiego, emigracja talentów była jedną z przyczyn, a nie skutków, „poznańskiej atmosfery". W okresie poprzedzającym powstanie PTPN stosunki układały się inaczej, Wielokopolska była wówczas stolicą polskich humanistów. W tych latach w Poznańskim żyli i działali lub z nim byli związani Cieszkowski, Libelt, Hoene-Wroński, Kremer, Trentowski, Gołuchowski, Moraczewski. Nie brakło nigdy Wielkopolsce Działyńskich, Raczyńskich, Mielżyńskich, mecenasów nauki i sztuki, zbieraczy i kolekcjonerów, hojnych ofiarodawców na cele społeczne i kulturalne. Jeżeli później życie umysłowe przygasło, przyczyny tego faktu może trzeba szukać w warunkach historycznych, w konieczności obrony stanu posiadania, w pracy organicznej i od podstaw, która przyniosła tyle osiągnięć społecznych, narodowych i cywilizacyjnych. Brak polityków przeciwważyli społecznicy i organizatorzy życia gospodarczego — Chłapowscy, Marcinkowski, Cegielski, Wawrzyniak, Jackowski, Kantak. Ich dziełem była spoistość społeczna i świadomość narodowa przenikająca wszystkie warstwy, potężniejący nurt demokratyczny i powszechność poczucia społecznej odpowiedzialności. Duch obywatelski stał u kolebki PTPN, a z pewnością sprawił, iż PTPN rozwijało swą działalność i powiększało swój dorobek przez trudnych i żmudnych 60 lat dzielących powstanie Towarzystwa i odzyskanie niepodległości.

II

Tak więc w stuletnich dziejach PTPN różnorodność losów kultury narodowej łączy się z historią Wielkiego Księstwa Poz-nańskiego. Powołane do życia, by ,,przykładać się'', jak mówił jego ustawy, ,,do rozszerzenia nauk i umiejętności w polskim języku'', PTPN żywiło chlubną ambicję obrony i reprezentac kultury polskiej, gdy w innych zaborach nie istniały instytucje które mogłyby tę rolę spełniać. Z godną podziwu skromności PTPN do wspomnianej roli nie pretendowało po założeniu Aka-demii Umiejętności. Chociaż naukowe osiągnięcia Towarzystw były niejednokrotnie oceniane krytycznie przez rodaków w pozo stałych dwóch zaborach, jednak jego usiłowania krzepiły serca gdyż były świadectwem, jak stwierdzał Cieszkowski w 1888 roku iż ,,stać nas zawsze jeszcze wśród kłopotliwości życia i bytu naszego na podtrzymanie sztandaru naukowego na rozlicznyc polach''. Kłopotliwości życia i bytu stwarzane przez rzą pruski były zaś nie małe. Chociaż polityka rządu pruskie-go różne przechodziła koleje, zachował on jeden cel niezmien-ny — przekształcenie Poznańskiego w pruską prowincję. Za-znało Poznańskie doświadczeń Kulturkampfu i Ostmarkenve-reinu, popularnie zwanego hakatą, a opór przeciw niemiec-kiej kolonizacji i ekonomicznej penetracji pochłaniał energi społeczną. PTPN stanowiło poważną zaporę w germanizac Poznańskiego, więc rząd pruski nie szczędził Towarzystwu trud-ności. Nad PTPN wisiała stale groźba rozwiązania, gdyż odmó-wiono mu praw korporacji. Historische Gesellschaft i Kaiser Friedrich Museum, korzystające z dotacji państwowych, miał podważyć wpływy i znaczenie PTPN.Były to w porównani z doświadczeniami w naszym wieku metody w rękawiczkac i cywilizowane, lecz i one wymagały niewyczerpanej pracowi-tości i społecznej ofiarności trzech pokoleń poznańskich przyja-ciół nauk.

Na czele Towarzystwa stali ludzie o świetnych w histori kultury polskiej nazwiskach — August Cieszkowski, Karol Libelt Tytus Działyński, Stanisław Koźmian, Heliodor Święcicki Przykład ich dokonał wiele, lecz wymagał solidarnego poparci szerokich kół światłych obywateli. Tego poparcia nigdy nie za-brakło. Udzielali go rodacy z innych zaborów i spoza grani kraju, lecz nade wszystko poznańskie mieszczaństwo i ziemiań-stwo. Długa jest lista rodzin z dawna osiadłych w Poznańskim które z pokolenia na pokolenie łożyły na PTPN. Dzięki nim moż-na było prowadzić pracę naukową, działalność wydawniczą, gro-madzić zbiory biblioteczne, artystyczne, archeologiczne i przyrod-nicze. Wśród benefaktorów Towarzystwa rodzina Mielżyńskic nie miała sobie równych. W Polsce niepodległej ulica, przy które do dnia dzisiejszego mieści się siedziba PTPN, również wznie

siona sumptem tej rodziny, otrzymała miano Seweryna Mielżyńskiego. Po Drugiej Wojnie Światowej z gorszącym brakiem szacunku dla własnej przeszłości ulica Seweryna Mielżyńskiego nosi nazwę Alfreda Lampego.

Dr Kazimierz Szulc, inicjator PTPN, pragnął widzieć w nim organizację opartą o członkowstwo masowe dla szerzenia oświaty na wzór czeskiej Macierzy. Przeważyła jednak rada Tytusa Działyńskiego idącego za tradycją Towarzystwa Warszawskiego i członkowstwo ograniczono do kandydatów posiadających ,,zamiłowanie w naukach'' (o czym decydowała specjalna komisja balotująca i walne zebranie). Największą liczbę członków osiągnęło Towarzystwo w okresie Pierwszej Wojny Światowej, gdy liczba ta wynosiła tysiąc osób.

Wśród członków założycieli figurowały nazwiska właścicieli ziemskich, lekarzy, adwokatów, sędziów, przemysłowców, kupców, urzędników, publicystów, profesorów gimnazjalnych. Ci ostatni musieli wkrótce Towarzystwo opuścić na zalecenie i pod groźbą pruskiego rządu. Członków z kwalifikacjami naukowymi było niewielu. ,,Towarzystwo nasze uczone'', pisał Libelt, ,,składa się z dziewięciu dziesiątych części rolników obywateli, a zaledwie jednej dziesiątej prawdziwych uczonych''. Podobny stan rzeczy istniał swego czasu w Towarzystwie Warszawskim, do którego należała cała elita inteligencji polskiej z członkami Komisji Edukacyjnej na czele, natomiast ,,liczba istotnych uczonych była arcydrobna'' (Bruckner, Dzieje Kultury Polskiej). W wypadku PTPN przyczyna tego faktu była dwojaka: wspomniana decyzja rządu pruskiego i brak wyższej uczelni, której Towarzystwo o charakterze społecznym zastąpić nie było w stanie. Nie miał Poznań uniwersytetu, jak Lwów i Kraków, lub Szkoły Głównej, jak Warszawa. Kto mógł opuszczał Poznań, emigracja naukowa z Wielkopolski płynęła nieprzerwanym strumieniem zasilając inne zabory i uczelnie zagraniczne. W ślady Staszyca, Jana i Jędrzeja Śniadeckich, Wojciecha Cybulskiego poszli w okresie działalności Towarzystwa — by wymienić kilku najwybitniejszych — historycy Ksawery Liske i ks. Kazimierz Zimmermann, filolodzy Zygmunt Węclewski, Kazimierz Morawski i Ludwik Ćwikliński, poloniści Józef Przyborowski, Władysław Nehring i Antoni Małecki, filozofowie Mścisław Wartenberg i ks. Marian Morawski, mikrobiolog Jan Danysz, oto-laryngolog Antoni Jurasz, którzy w Warszawie, Lwowie, Krakowie, Wrocławiu, Heidelbergu i Paryżu uzyskali katedry. Również Wojciech Kętrzyński, znakomity mediewalista, który swe pierwsze rozprawy drukował w ,,Rocznikach'' PTPN, nie ostał się na stanowisku bibliotekarza Biblioteki Kórnickiej oraz wydawcy Acta Tomiciana i po zatargu z Janem Działyńskim wyjechał do Lwowa, gdzie po kilku latach uzyskał stanowisko dyrektora Ossolineum.

Organem PTPN, zamieszczającym sprawozdania, rozprawy członków i prace nadesłane, były wspomniane ,,Roczniki'', których tom pierwszy, pod redakcją Władysława Niegolewskiego, wyszedł drukiem w 1860 roku. Ogółem ukazało się 50 tomów

,,Roczników'', ostatni w 1928 roku, gdy zastąpiły je inne wydawnictwa. Tom 50-ty ,,Roczników'' obejmował pracę ,,Historia Towarzystwa Przyjaciół Nauk w Poznaniu'' w okresie 1857-1927 pióra Andrzeja Wojtkowskiego, obecnie profesora Uniwersytetu w Lublinie, świetnego znawcy historii Wielkopolski, oraz opracowany przez kustoszy opis zbiorów Towarzystwa.

III

Do Pierwszej Wojny Światowej pożyteczną, a nieraz owocną działalność rozwinęły Wydziały Historyczny, Przyrodniczy, Archeologiczny i Lekarski. Wśród nich Wydział Historyczny wysunął się na pierwsze miejsce, w szczególności dzięki pracom Kazimierza Jarochowskiego, znawcy czasów saskich, oraz Leona Wegnera, wielkiego autorytetu doby kościuszkowskiej. Jan Konstanty Zupański, zasłużony księgarz poznański, był wydawcą dzieł Lelewela i Jarochowski cieszył się opinią ostatniego ,,lelewelisty'' w czasach, gdy krakowska szkoła historyczna rozwijała działalność rewizjonistyczną w ocenie dziejów ojczystych. Poza pracami publikowanymi w ,,Rocznikach'' staraniem Towarzystwa ukazało się pięć tomów ,,Kodeksu Dyplomatycznego Wielkopolski'', cztery pierwsze w opracowaniu Ignacego Zakrzewskiego, piąty — Franciszka Piekosińskiego, oraz ,,Dzieje Słowiańszczyzny Północno-Zachodniej do Połowy XII Wieku'' Wilhelma Bogusławskiego, napisane na konkurs ogłoszony przez Towarzystwo.

Do ciekawostek datujących się z pierwszych lat istnienia PTPN należy ambicja ks. Franciszka Malinowskiego ,,stworzenia obok nowego systemu pisowni polskiej także jednolitego systemu graficznego dla wszystkich Słowian, co w przekonaniu jego zapewnić miało narodowi polskiemu stanowisko przywódcy wszystkich narodów słowiańskich'' (A. Wojtkowski, Roczniki Historyczne XXIII, 326). Ten pomysł pobudził jednak zainteresowania sprawami polskiej pisowni i w 1869 roku Libelt z upoważnienia PTPN podjął inicjatywę swego czasu rzucona przez Towarzystwo Warszawskie i porozumiewał się z Krakowskim Towarzystwem Naukowym, Lwowskim Literacko - Naukowym i Paryskim Historyczno - Literackim nad ustaleniem ortografii, jakiej należy przestrzegać w działalności wydawniczej. W 1870 roku odbył się w Poznaniu ,,więc ortograficzny'' w którym brało udział 80 ,,osób gramatykalnej i literackiej inteligencji''. Komisja wyłoniona przez ,,wiec'' kontynuowała przez kilka lat prace nad ortografią i nad ,,rozjaśnieniem niejednej zawiłej kwestii gramatycznej języka naszego''. Nie była to jedyna inicjatywa Towarzystwa o ogólnonarodowym znaczeniu. Poprzedził ją obchód ku czci braci Śniadeckich w 1866 roku, a kon

tynuowały uroczystości z okazji czterechsetnej rocznicy urodzin Mikołaja Kopernika w 1873 i trzechsetnej rocznicy zgonu Kochanowskiego w 1884 roku.

Działalność Wydziału Przyrodniczego była ograniczona szczupłą kadrą fachowców, a również niechęcią Zarządu PTPN, który zasłaniając się troską o zbiory artystyczne nie chciał zgodzić się na otwarcie pracowni chemiczno-fizycznej. Kryły się jednak za tym również względy odmiennej natury. Albowiem dzieje Towarzystwa mają swój skromny odpowiednik słynnej kontrowersji między Samuelem Wilberforce, biskupem Oxfordu, a Tomaszem Huxley. Rolę Wielberforce'a spełniał ówczesny prezes Towarzystwa, Stanisław Koźmian, Huxleya — dr Tadeusz Jarnatowski, oskarżony o darwinizm, oraz cały Wydział Przyrodniczy, solidaryzujący się z działalnością swego członka. Konflikt ten zaostrzył się, gdy tenże dr Jarnatowski wystąpił z inicjatywą publicznych wykładów popularnych z zakresu nauk przyrodniczych pod auspicjami Towarzystwa. Projekt swój uzasadniał w sposób przynoszący zaszczyt inicjatorom. Odwoływał się on mianowicie do wzrastającej roli nauk przyrodniczych w życiu społecznym, zwracania się ,,oświaty obecnej i przyszłej od nauk tak zwanych humanitarnych do nauk przyrodniczych'', a wreszcie do faktu, że ,,społeczeństwo nasze zbyt zajęte sprawami nadprzyrodzonymi za mało obeznane jest z naukami przyrodniczymi''. W odpowiedzi Koźmian ostatni wzgląd uznał właśnie ze niepokonalną przeszkodę. W zakresie nauk przyrodniczych, stwierdzał Koźmian, obiega wiele ,,teorii obrażających sumienne przekonania większości społecznej'', więc przyczyniając się do ich rozpowszechnienia Towarzystwo stać by się mogło za obrazę odpowiedzialne. Projekt upadł, lecz po śmierci Koźmiana, za ponownej prezesury Cieszkowskiego, dr Jarnatowski zwyciężył i wykłady popularne zgromadzały liczną publiczność Poznania.

Nie dysponując warunkami dla pracy badawczo-eksperymentalnej, Wydział Przyrodniczy ograniczyć się musiał do działalności dyskusyjno-odczytowej, wydawniczej i badań nad fizjografią Księstwa Poznańskiego, ,,wyśledzenia'', jak mówią założenia programowe Wydziału, ,,flory i fauny polskiej dotąd mało znanej''. Badania fizjograficzne zapoczątkowane pod pruskim zaborem stały się w Polsce niepodległej jedną z głównych dziedzin działalności PTPN. Zbiory przyrodnicze, gromadzone od pierwszej chwili istnienia PTPN, znalazły w dr Franciszku Chłapowskim, przyrodniku i ,,lekarzu zawołanym'', jak go określa Bruckner, znakomitego kustosza, który zbiory uporządkował, opisał i rozszerzył.

Zainteresowania archeologiczne w Wielkopolsce sięgają czasów poprzedzających powstanie PTPN. Sekcja Archeologiczna, przekształcona w Wydział, osiągnęła największą świetność w okresie prezesury Władysława Jażdżewskiego. W latach 1887-89 wyszło pięć zeszytów ,,Zapisków Archeologicznych Poznańskich'' oraz ich wersja niemiecka (Posener Archaeologische Mitteilungen). Inną cenną pozycją wydawniczą był Album re-

produkcji najważniejszych zabytków zgromadzonych w Muzeum Archeologicznym, z objaśnieniami w języku polskim i niemieckim, pod redakcją K. Koehlera i B. Erzepki, wydany w okresie 1893-1915. Stałe wzbogacanie zbiorów archeologicznych, zainteresowanie szerokich warstw społecznych odległą przeszłością, sprawą ochrony zabytków, położenie fundamentów pod archeologię polską, stanowią poważne osiągnięcie w dorobku Towarzystwa. Gdy w 1914 roku Józef Kostrzewski przybył do Poznania, by objąć opiekę nad zbiorami, znalazł podstawę, na której mógł zbudować w pełni ukształtowaną archeologię polską idącą w zawody z archeologią światową.

Wydział Lekarski PTPN istnieje od 1865 roku, a jego zasłużony organizator i przewodniczący dr Teofil Matecki był członkiem założycielem Towarzystwa. Dr Matecki, bliski przyjaciel zmarłego w 1846 roku Karola Marcinkowskiego, stanowił ogniwo łączące działalność wielkiego lekarza społecznika oraz Wydziału Lekarskiego. Organizując czytelnię fachowych czasopism, polskich i zagranicznych, regularne odczyty i dyskusje, Wydział położył wielkie zasługi w szerzeniu postępu medycyny w wielkopolskim świecie lekarskim. Od 1889 roku Wydział wydawał własne pismo „Nowiny Lekarskie", które prócz przerw spowodowanych wojnami ukazywało się regularnie do 1950 roku. Na łamach czasopisma drukowało rozprawy wielu uczonych lekarzy wszystkich trzech zaborów.

PTPN stanęło na wysokości zadania w chwili odzyskania niepodległości. Dzień zawieszenia broni Pierwszej Wojny Światowej był datą powołania do życia z ramienia Towarzystwa komisji organizacyjnej Uniwersytetu Poznańskiego. Na czele Komisji stanął Heliodor Święcicki, prezes PTPN, wspomagany przez trzech jego członków — Józefa Kostrzewskiego, ks. Stanisława Kozierowskiego (3) i Michała Sobeskiego, którzy łącznie dzielą zaszczytny tytuł organizatorów poznańskiej uczelni. W kilka miesięcy później Uniwersytet Poznański rozpoczął swą działalność. Powstał gmach na fundamencie założonym w 1857 roku.

IV

Powstanie Uniwersytetu Poznańskiego pociągnęło za sobą zmianę charakteru PTPN. Wzrost liczbowy członków o kwalifikacjach naukowych stworzył potrzebę przekształcenia Towarzystwa w ośrodek skupiający pracę badawczą i skoncentrowania środków na działalności wydawniczej. Tak więc przy utrzymaniu tytułu własności, zbiory, z nielicznymi wyjątkami, przeka-

(3) Warto może przypomnieć, że ks. Kozierowski był wybitnym badaczem polskich nazw topograficznych. Jego prace zanim doczekały się wydań książkowych były drukowane w „Rocznikach" PTPN.

zano powołanym do tego instytucjom, a zachowując równość praw przyjaciół nauk i ich przedstawicieli stworzono Komisje organizujące pracę badawczą i kwalifikujące rozprawy do druku. Z natury rzeczy w skład Komisji wchodzili jedynie przedstawiciele nauki. Dzięki tym zmianom dyktowanym przez wymogi życia PTPN stało się faktycznie, chociaż nie formalnie, towarzystwem akademickim.

Z dziewięciu Komisji istniejących w okresie międzywojennym najżywszą działalność rozwinęła Komisja Historyczna i to przodujące miejsce zachowała również po Drugiej Wojnie Światowej. Było więc rzeczą słuszną, iż kierownictwo PTPN spoczywało przeważnie w rękach historyków — Bronisława Dembińskiego do 1939 roku, a po ostatniej wojnie — Zygmunta Wojciechowskiego i Kazimierza Tymienieckiego, obecnego prezesa, otoczonych powszechnym szacunkiem ze względu na zalety umysłu i walory charakteru. Dzieje PTPN od końca Pierwszej Wojny Światowej są jednak nade wszystko związane z Zygmuntem Lisowskim, sekretarzem Towarzystwa w okresie międzywojennym i prezesem w latach 1945-55. Zygmunt Lisowski, profesor prawa rzymskiego Uniwersytetu Poznańskiego, był przez 28 lat duszą i motorem PTPN, przezornym administratorem majątku, skrupulatnym redaktorem wydawnictw i wytrawnym obrońcą praw autonomicznych we wzrastającej mierze gwałconych w okresie panowania stalinizmu.

W działalności wydawniczej ustaliły się trzy rodzaje publikacji — Sprawozdania ogłaszające streszczenia prac i referatów, wydawnictwa ciągłe zbiorowe Komisji, noszące nazwę ,,Prac'', wreszcie wydawnictwa źródłowe, większe dzieła i rozprawy monograficzne. Komisja Matematyczno-Przyrodnicza wydawała nadto ,,Bulletin de la Société des Amis des Sciences do Poznan'', w którym ukazywały się w językach światowych streszczenia rozpraw ogłoszonych w ,,Pracach'' i rozprawy oryginalne. ,,Bulletin'' ukazuje się regularnie również po Drugiej Wojnie Światowej.

Staraniem PTPN ukazało się wiele cennych publikacji źródłowych. Do nich należą ,,Listy Zygmunta Krasińskiego do Delfiny Potockiej'' w trzy tomowym wyborze Adama Żółtowskiego; pięć tomów ,,Korespondencji Ks. Józefa Poniatowskiego z Francją'' w opracowaniu Adama Skałkowskiego; dwa tomy ,,Aktów Radzieckich Poznańskich'' z XV wieku wydanych przez Kazimierza Kaczmarczyka; ,,Satyrographorum Graecorum Fragmenta'' — pierwszy w ogóle zbiór tego typu — zebrane przez Wiktora Steffena; wydawnictwa tekstów bizantyjskich (Analecta Byzantina) w opracowaniu Jana Sajdaka; relacja o Polsce w X wieku Ibrahima ibn Jakuba (4), przygotowana do druku na koszt PTPN przez Tadeusza Kowalskiego i Józefa Widajewicza (tekst arabski z przekładem na język polski oraz z komentarzem

(4) Relacja ta była spisana w XI wieku przez geografa arabsko-hiszpańskiego Al-Bekriego.

filologicznym i historycznym), a wydana po Drugiej Wojnie Światowej przez Akademię Umiejętności, gdyż Towarzystwu zabrakło funduszów. W okresie okupacji przepadł manuskrypt pisany ręcznie, a więc jedyny i niezastąpiony, ,,Pism Genezyjskich Juliusza Słowackiego'' w opracowaniu Jana Gwalberta Pawlikowskiego.

Komisja Historyczna zdobyła rozgłos szczególnie dzięki pracom z zakresu historii społecznej i gospodarczej Polski, a to w związku z istnieniem w Poznaniu dwóch ośrodków badawczych skupionych wokół Kazimierza Tymienieckiego i Jana Rutkowskiego. Z ich szkoły wyszli historycy młodszego pokolenia, dziś już nie żyjący Teodor Tyc i Marian Kniat, oraz przebywający na obczyźnie Leon Koczy. Historię ustrojową reprezentował Zygmunt Wojciechowski i jego uczniowie — Zdzisław Kaczmarczyk, Kazimierz Kolańczyk, Józef Matuszewski, Michał Szczaniecki i Stefan Weyman; historię polityczną — Józef Widajewicz, Marian Jedlicki, Karol Górski i Tadeusz Silnicki; historię dyplomatyczną — Kazimierz Chodynicki. Adam Skałkowski, między innymi autor dzieła o Józefie Sułkowskim, wraz z liczną grupą uczniów rozwijał biografię historyczną. Prace monograficzne, które Komisja Historyczna wydawała niechętnie, obejmowały ,,Prawo Rycerskie w Polsce przed Statutami Kazimierza Wielkiego'' Zygmunta Wojciechowskiego, ,,Prawo Przemysłowe Miasta Poznania w XVIII Wieku'' Tadeusza Ereciń-skiego, pierwszy tom ,,Dziejów Uwłaszczenia Włościan w W. Ks. Poznańskim'' Mariana Kniata i ,,Wiktor Heltman'' Heleny Łuczakówny. Marian Kniat zginął w czasie wojny, lecz publikacja jego dzieła jest kontynuowana, gdyż część rękopisu dalszych trzech tomów zdołano ocalić.

W ,,Pracach'' Komisji Filologicznej najbogaciej reprezentowana była historia literatury polskiej, lecz obok niej również literatura porównawcza, filologia klasyczna, ,,bizantynistyka'', filologia romańska, niemiecka, angielska i egiptologia. W ,,Pracach'' drukowali rozprawy Stanisław Dobrzycki, Tadeusz Grabowski, Ludwik Ćwikliński, Stefan Wierczyński, Wiktor Steffen, Edward Klich, Witold Klinger, Józef Morawski, Jan Berger, Konstanty Troczyński, Antoni Śmieszek i wielu innych. Wśród prac monograficznych znajduje się dwutomowy ,,Zarys Historii Literatury Polskiej'' Tadeusza Grabowskiego'', ,,Walter Pater'' Zbigniewa Grabowskiego i ,,Historia Naszyjnika Greckiego'' Mieczysławy Ruxerówny.

Komisja Nauk Społecznych nie wykazała się większym dorobkiem wydawniczym w związku z istnieniem w Poznaniu ,,Przeglądu Socjologicznego'' (pod redakcją Floriana Znanieckiego), ,,Ruchu Prawniczego, Ekonomicznego i Socjologicznego'' (pod redakcją Antoniego Peretiatkowicza) i ,,Poznańskich Prac Ekonomicznych'' zainicjowanych i redagowanych przez Edwarda Taylora. Komisja Filozoficzna wydała sześć tomów ,,Prac'', w tym trzy prace monograficzne — ,,Filozofia Kanta'' i ,,Descartes'' Adama Żółtowskiego oraz ,,O Matematycznych

Podstawach Systemu Platona" Zbigniewa Jordana. W pozostałych tomach drukowane były cenne rozprawy z zakresu psychologii, logiki i historii filozofii Stefana Błachowskiego, Alberta Dryjskiego, Anny Gruszeckiej, Marii Rymarkiewiczówny, Stefana Szumana, Adama Wiegnera, Zygmunta Zawirskiego.

Własne serie „Prac" wydawały Komisje Teologiczna, Historii Sztuki, Geograficzna. Duży dorobek rozpraw z różnych dziedzin nauk medycznych posiadała Komisja Lekarska, wśród nich studium antropologiczne Michała Cwirko-Godyckiego „Słowianie Południowi" oraz rozprawę historyczną Jana Lachsa „Kronika Lekarzy Krakowskich XVII Wieku". Komisja Matematyczno-Przyrodnicza miała w czasopismach specjalnych — matematycznych, chemicznych, fizykalnych, groźnego rywala, natomiast sekcja biologii rozwinęła ożywioną działalność. Dotyczyło to w szczególności fizjografii Polski. Ilość i różnorodność prac z tej dziedziny była tak wielka, iż z inicjatywy Adama Wodziczko, niezmordowanego propagatora idei ochrony przyrody, Komisja zapoczątkowała osobną serię prac monograficznych nad przyrodą Wielkopolskiego Parku Narodowego pod Poznaniem stanowiącego, według opinii znawców, szczególnie ciekawy teren pod względem fizjograficznym. W tej dziedzinie PTPN w okresie międzywojennym zebrało bogaty dorobek prac i doświadczenia. Stał się on punktem wyjścia dla wywiązania się z zadań, jakie stanęły przed Towarzystwem po Drugiej Wojnie Światowej w związku z koniecznością opracowania fizjografii Ziem Zachodnich.

V

Dzieje PTPN w okresie okupacji są historią zbrodni i barbarzyństwa hitlerowskiego, jakiego doświadczyła cała Polska i polska kultura. Najcięższe były straty personalne. Członkowie PTPN ginęli na froncie, w obozach koncentracyjnych, od kul oddziałów egzekucyjnych na Palmirach, w Warszawie i na Forcie VII, od zażycia trucizny, z wyczerpania po karze więziennej lub ciężkich przejściach wysiedlenia. Kilku lekarzy zginęło w Katyniu. Majątek nieruchomy uległ w znacznej części zniszczeniu, magazyn wydawnictw poszedł na przemiał, archiwa, księgi, akta i rękopisy przepadły bez śladu, księgozbiór zmalał o ponad 50.000 tomów, zbiory artystyczne, zagrabione i rozkradzione, zdołano tylko w pewnej części odzyskać. Raz jeszcze z pomocą, jeśli chodzi o bibliotekę, przyszło społeczeństwo. Przez sto lat istnienia księgozbiór PTPN pomnażał się najobficiej z ofiarności społecznej, darów skromnych i cennych, całych bibliotek i zapisów pieniężnych. Tak także było po Drugiej Wojnie Światowej. Straty zadane przez okupację uzupełniły tak

zwane księzbiory podworskie, spadek klasy ziemiańskiej schodzącej ze sceny historii. Napływ był tak wielki, iż w 1956 roku stan ilościowy księgozbioru przekroczył stan przedwojenny.

Swą działalność powojenną PTPN rozpoczęło pod złymi auspicjami. Pod koniec 1945 roku ukonstytuował się nowy zarząd z Zygmuntem Lisowskim jako prezesem i Ludwikiem Jaxa-Bykowskim, profesorem pedagogiki Uniwersytetu Poznańskiego, jako sekretarzem naukowym. Po kilku miesiącach, z przyczyn dotąd nieujawnionych, Jaxa-Bykowski zrzekł się funkcji sekretarza, a zaaresztowany w 1947 roku zmarł w rok później. Na uroczystym posiedzeniu z okazji dziewięćdziesiątej rocznicy założenia PTPN i w publikacji poświęconej tej rocznicy brak było „jakiejkolwiek wzmianki o prof. Bykowskim, gdyż nie można było wymienić jego nazwiska" (M. Wojciechowska, *Roczniki Historyczne* XXIII, 510).

Rok 1947 był ważną datą w historii PTPN. Nastąpiła bowiem formalna akademizacja Towarzystwa i ulegalizowanie stanu rzeczy wytworzonego w okresie międzywojennym. Pierwszymi członkami zostali członkowie czynni i korespondenci PAU, którzy byli jednocześnie członkami PTPN. Oni mieli dokonać dalszego wyboru członków ograniczonego surowymi regułami balotażu. Pod koniec 1956 roku globalna liczba miejscowych i zamiejscowych członków wynosiła 391 osób. Towarzystwo przyjęło nowy schemat organizacyjny. Utworzono cztery wydziały — Filologiczno-Filozoficzny, Historii i Nauk Społecznych, Matematyczno-Przyrodniczy i Lekarski — z których każdy rozpada się na Komisje, a te z kolei, w razie potrzeby, na Sekcje.

W pracach naukowych PTPN na czoło wysunął się Wydział Historyczny i Matematyczno-Przyrodniczy. Było to następstwem stanu rzeczy wytworzonego w okresie międzywojennym, działalnością w Towarzystwie tych samych uczonych, którzy badania te prowadzili przed Drugą Wojną Światową, jak i polityki naukowej w okresie stalinizmu. Ten drugi wzgląd ograniczył w późniejszej fazie również prace Towarzystwa z zakresu nauk historycznych i przyrodniczych.

Zanim to nastąpiło PTPN rozwinęło wiele inicjatywy, by kontynuować prace prowadzone przed wojną, zapełnić luki w życiu naukowym kraju spowodowane wojennymi stratami i sprostać nowym zadaniom. W tej ostatniej dziedzinie na plan pierwszy wysunęła się sprawa Ziem Zachodnich, problem właściwego podziału pracy. PTPN zawarło porozumienie z Instytutem Zachodnim, który zajął się problematyką humanistyczną i gospodarczą Ziem Zachodnich pozostawiając badania przyrodnicze PTPN. Powołany został w tym celu do życia Komitet Fizjograficzny, pod którego kierownictwem prowadzone były badania terenowe na Śląsku, w Sudetach, na Ziemi Lubuskiej i na Pomorzu Zachodnim. Dla ułatwienia publikacji PTPN stworzyło specjalną serię „Badania Fizjograficzne nad Polską Zachodnią". Seria ta

zapoczątkowana w 1948 została zawieszona w 1950 roku na polecenie Ministra Oświaty, który uznał ją za ,,bezcelową''. Dopiero pod koniec 1956 roku ,,Badania Fizjograficzne nad Polską Zachodnią'' zdołano reaktywować.

Większe szczęście sprzyjało ,,Pracom Monograficznym nad Przyrodą Wielkopolskiego Parku Narodowego''; wznowione w 1946 roku mogły się ukazywać bez przerwy choć nieco powolniej. W serii prac biologicznych udało się wydać ze spuścizny po Józefie Paczoskim ,,Bioindukcję w Państwie Roślinnym'' (1947).

Losy niektórych wydawnictw historycznych egzemplifikują dzieje nauki polskiej w okresie panowania stalinizmu. W 1947 roku PTPN podjęło się publikacji ,,Czasopisma Prawno-Historycznego'', mającego zastąpić ,,Pamiętnik Historyczno-Prawny'' wydawany w okresie międzywojennym we Lwowie. ,,Czasopismo'', którego redaktorami byli Zygmunt Lisowski i Zygmunt Wojciechowski, miało służyć współpracy historyków prawa krajów słowiańskich i w ogólności międzynarodowej współpracy intelektualnej. W ramach prac przygotowawczych do I Kongresu Nauki ,,Czasopismo Prawno-Historyczne'' znalazło się pod obstrzałem w wyniku stwierdzenia silnych ,,wpływów kosmopolitycznych, burżuazyjnej nauki zachodniej''.

Stan ten, mówiły uchwały, winien ulec zmianie, w zakresie stosunków zagranicznych należy ,,popularyzować osiągnięcia nauki radzieckiej w dziedzinie historii prawa'' oraz ,,rozwinąć badania nad historią państwa i prawa krajów demokracji ludowej i zapoznać polskie środowisko naukowe z toczącą się w tych krajach walką ideologiczną o nową treść nauki historii państwa i prawa (5). Redaktorom ,,Czasopisma Prawno-Historycznego'' narzucono ideologicznego nadzorcę, a gdy fakt ten wywołał protesty i opory po ukazaniu się tomu czwartego w 1952 roku ,,Czasopismo Prawno-Historyczne'' zabrano Towarzystwu i przekazano Komitetowi Nauk Prawnych PAN. Ten sam Komitet również przejął prawem silniejszego ,,Studia nad Historią Prawa Polskiego'', serię założoną przez Oswalda Balzera i przekazaną PTPN przez wdowę po Balzerze. Do 1952 roku PTPN zdołało wydać w tej serii cztery tomy, wśród nich ,,Statuty Kazimierza Wielkiego'' w opracowaniu Balzera, wydane z rękopisu pośmiertnego przez trzech poznańskich historyków młodszego pokolenia. Za obie wyżej wymienione decyzje odpowiedzialność

(5) M. Wojciechowska, *Roczniki Historyczne* XXIII, 515. J. Bardach, autor artykułu ,,Nauki Prawne'' w ,,Dziesięć Lat Rozwoju Nauki w Polsce Ludowej'' (Warszawa 1956), dziele wydanym przez Polską Akademię Nauk, stwierdza, że ,,Czasopismo Prawno-Historyczne'' cechował ,,formalizm prawny''. Prace z zakresu historii prawa ,,stały pod znakiem burżuazyjnych autorytetów (zwłaszcza O. Balzera i S. Kutrzeby). Dlatego cechowały je wszystkie błędy typowe dla nauki burżuazyjnej'' (p. 322). Jak z artykułu Bardacha wynika, założycielami historii prawa Polski nie byli Balzer i Kutrzeba, lecz ci, którzy oparli ją na ,,prawidłowych pozycjach metodologicznych'' — S. Śreniowski, W. Sobociński i B. Leśnodorski.

spada na Stefana Żółkiewskiego, ówczesnego sekretarza Wy działu I PAN, któremu Komitet Nauk Prawnych podlegał (6).

Wreszcie w 1949 roku zawieszona została również seria „Biblioteka Historyczna". W tej serii ukazały się między innymi prace Gerarda Labudy nad początkami państwa polskiego oraz biografia Hipolita Cegielskiego pióra Zdzisława Grota, na które spadły gromy za idealizowanie „pionierów kapitalizmu". Z „Biblioteką Historyczną" łączy się jeszcze inna smutna sprawa. Koszt jej publikacji częściowo ponosiła Księgarnia Akademicka, której właściciel zasłużony księgarz Jan Jachowski spędził trzy lata w więzieniu jako ofiara prześladowań i terroru charakteryzującego ówczesne czasy.

Lepsze szczęście sprzyjało dwom innym wydawnictwom historycznym. W 1945 roku PTPN przejęło, na propozycję Franciszka Bujaka i Jana Rutkowskiego, „Roczniki Dziejów Społecznych", założone przed Drugą Wojną Światową we Lwowie, oraz wznowiło w 1948 roku zainicjonowaną przez Bujaka serię monografii „Badania z Dziejów Społecznych i Gospodarczych" (7). Oba te wydawnictwa PTPN zdołało zachować i kontynuować. Wreszcie po wojnie PTPN również przejęło „Roczniki Historyczne", w okresie międzywojennym organ Towarzystwa Miłośników Historii w Poznaniu (8). Pod redakcją Kazimierza Tymienieckiego i Zygmunta Wojciechowskiego, a po śmierci tego ostatniego w 1955 roku, Kazimierza Piwarskiego, „Roczniki Historyczne" przetrwały najgorsze czasy (z trzyletnią przerwą 1949-52).

Wśród osobnych wydawnictw dzieła historyczne wysunęły

---

(6) „O zbyt wielu sprawach decydował Sekretariat Naukowy, działający w imieniu Prezydium Akademii", stwierdził sekretarz naukowy PAN w sprawozdaniu złożonym na ogólnym zebraniu członków PAN, które odbyło się w styczniu ubiegłego roku. Sprawozdanie to omawia błędy popełnione przez PAN lub raczej w jej imieniu w latach ubiegłych. Nadrzędność Sekretariatu Naukowego miała to następstwo, że „często decydujący głos należał nie do specjalistów danej dziedziny, do tych, którzy tę dziedzinę tworzą, lecz do niefachowców" (*Nauka Polska* 1/57, 16).

(7) „Roczniki Dziejów Społecznych i Gospodarczych" są jedynym tego typu czasopismem w Polsce. Należałoby oczekiwać, iż krzewienie i propagowanie materializmu historycznego wpłynie na rozkwit historii gospodarczej, lecz te oczekiwania — dziwnym zbiegiem rzeczy — nie zostały spełnione. Stało się to na skutek tego, iż historia gospodarcza pozbawiona została tytułu samodzielnej dyscypliny historycznej. „Z paru jak najsłuszniejszych twierdzeń dialektyki", pisze Witold Kula, „potrafiono wyprowadzić jak najniesłuszniejszy wniosek o szkodliwości takiej specjalizacji" (*Kwartalnik Historyczny* 3/56, 160). Jak wiadomo, historią gospodarczą zajmował się z pasją Instytut Badań Literackich, lecz „metodą ideologiczną".

Nazwiska Bujaka i Rutkowskiego jako redaktorów „Roczników" figurują razem po raz ostatni w tomie XI (1949). Rutkowski umarł w 1949, Bujak w 1953 roku. Funkcję redaktorów spełniali w dalszych tomach „Roczników" łącznie lub kolejno, Andrzej Grodek, Stanisław Hoszowski i Władysław Rusiński.

(8) Tom XVIII „Roczników Historycznych" był Księgą Pamiątkową ku czci Józefa Feldmana, którego działalność naukowa była silnie krytykowana za „socjologizm" przez sztab dowodzący na „froncie historycznym".

się na pierwsze miejsce. Kazimierz Kaczmarczyk wydał trzeci tom „Akt Radzieckich Poznańskich", Zdzisław Kaczmarczyk „Konstytucję Sejmu Grodzieńskiego z Roku 1793". Ukazało się trzytomowe dzieło „Aleksander Wielopolski" Adama Skałkowskiego, wspomniany drugi tom „Dziejów Uwłaszczenia Włościan w W. Ks. Poznańskim" Mariana Kniata, dwa tomy „Królowa Bona" Władysława Pociechy, „Ziemie Polskie w Starożytności" Kazimierza Tymienieckiego (9).

W ramach Wydziału Filologiczno-Filozoficznego Komisja Filologiczna prócz kontynuacji „Prac" zapoczątkowała w 1949 roku serię „Zabytków Języka i Literatury Polskiej" (wydany został „Dialog o Zmartwychwstaniu Pańskim" Wacława Potockiego i „Kazania Gnieźnieńskie"), a w 1952 roku przejęło czasopismo „Lingua Posnaniensis", założone poza PTPN przez Jana Otrębskiego. „Lingua Posnaniensis" jest czasopismem międzynarodowym poświęconym językoznawstwu porównawczemu. W miarę możności były kontynuowane prace w zakresie neofilologii zachodnio-europejskiej — anglistyki i germanistyki (Bernard Massey, Irena Dobrzycka, Jan Berger) — która ponoć nie mogła się rozwijać z braku „koncepcji... jakie typy badań są obecnie możliwe i społecznie uzasadnione" (K. Wyka, *Dziesięć Lat Rozwoju Nauki w Polsce Ludowej*, p. 172). Filologię klasyczną reprezentuje kilka prac Wiktora Steffena i Witolda Klingera, polonistyka znika natomiast całkowicie z wydawnictw Towarzystwa. Monopol w zakresie polonistyki zyskał bowiem Instytut Badań Literackich.

Komisja Filozoficzna zaprzestała, praktycznie rzecz biorąc, działalności. Do roku 1949, daty tak zwanego „przełomu metodologicznego", wydano pięć rozpraw, trzy z zakresu psychologii, jedną — logiki i jedną — historii filozofii. Po 1949 roku ukazały się tylko dwie rozprawy zajmujące się zagadnieniami teorii Pawłowa.

Wydział Lekarski, śladem Wydziału Matematyczno-Przyrodniczego, publikuje od 1949 roku swą własną serię „Bulletin de la Société des Amis des Sciences et de Lettres de Poznan", w którym ukazują się rozprawy w języku angielskim i również francuskim. Ożywioną działalność wydawniczą prowadzi Komisja Medycyny Doświadczalnej (dawniej Lekarska), lecz „Nowiny Lekarskie" po 60 latach istnienia przestały wychodzić (10). Międzywydziałowa Komisja Historii Medycyny i Historii Nauk Matematyczno-Przyrodniczych nie wykazała się żadnymi publi-

(9) Dzieło Skałkowskiego było krytykowane za „wrogość autora do rzeczywistego postępu", a dzieło Pociechy uznane zostało za „przykład skrajnie ideograficznego nurtu historiografii tradycjonalnej", którego naśladować nie należy (B. Leśnodorski, *Dziesięć Lat Rozwoju Nauki w Polsce Ludowej*, p. 127 i 130).

(10) Trudno jest obronić się podejrzeniu, iż zawieszenie „Nowin Lekarskich" w 1950 roku pozostaje w jakimś związku z powstaniem w tymże roku Rady Naukowej przy Ministerstwie Zdrowia.

kacjami, zapewne w związku z centralizacją badań nad historią nauki w Komitecie Historii Nauki PAN, instytucji o charakterze monopolistycznym.

VI

Nawet pobieżny przegląd działalności PTPN w okresie 1945-56 ujawnia liczne ślady ideologicznego nacisku, administracyjnej presji, przymusu i samowoli, jakich dopuszczali się autokraci komenderujący nauką z ramienia Partii. Lata 1949-55 należały do najtrudniejszych w stuletnich dziejach PTPN. Potem następuje powolna zmiana na lepsze. Atmosfera 1955 roku „daleka już była od brutalnych posunięć poprzednich lat'' (M. Wojciechowska, Roczniki Historyczne XXIII, 539), a w roku następnym zaznaczyło się odprężenie, nastąpiło wznowienie prac z konieczności zarzuconych lub przerwanych, pojawiły się nowe inicjatywy, ożywiła się działalność wydawnicza. Pozwala to w roku jubileuszowym patrzeć z dumą w przeszłość i z nadzieją w przyszłość.

Nie było to rzeczą przypadku, iż rok 1949 był rokiem granicznym w powojennej działalności PTPN. Po zreformowaniu szkolnictwa wyższego i podporządkowaniu go w 1950 roku administracyjnej dyscyplinie Ministerstwa Szkół Wyższych przyszła kolej na akt następny. „Reforma szkół wyższych stworzyła konieczne warunki dla wszystkich dalszych poczynań organizacyjnych dotyczących już samej nauki, samej pracy badawczej'' (S. Żółkiewski, Dziesięć Lat Rozwoju Nauki w Polsce Ludowej, p. 56). Zarządzono przełom i ogłaszano obowiązujące teorie, rozpoczął się okres ideologicznej ofensywy i intelektualnego terroru, których jednym z promotorów był autor powyżej cytowanego eufemizmu, w okresie największego nasilenia terroru sekretarz naukowy PAN, a dzisiaj piastujący godność Ministra Szkół Wyższych. To co obecnie nazywa się wulgarnym wypaczeniem marksizmu, a co kiedyś lansowano jako metodologiczne nowatorstwo atakujące naukowy konserwatyzm, dotknęło najdotkliwiej nauk biologicznych, humanistycznych, historycznych i filozoficznych, a zatem tych dziedzin badań, jakie w działalności PTPN wysunęły się na czoło. Nic przeto dziwnego, iż ucierpiał dorobek naukowy Towarzystwa, kurczyła się jego działalność poddana cenzurze, szykanom, zakazom i zabieraniu wydawnictw. PTPN nie ustępowało bez walki i nie poddawało się, jeżeli nie zmuszała do tego absolutna konieczność. Dzięki tej postawie dorobek PTPN wprawdzie ucierpiał, rósł wolniej i węższym strumieniem aniżeli miałoby to miejsce w normalnych warunkach, lecz rość nie przestał. Świadczą o tym utrzymane pozycje i publikacje.

PTPN ucierpiało nie tylko na skutek ideologicznych kampanii o „metodologiczną przebudowę nauki" i „walki idei" o przyjęcie „szczegółowych teorii marksistowskich" (tymi terminami posługuje się S. Żółkiewski w opisie metod zarządzania nauką nie wspominając ani słowem o tym, iż za kampaniami ideologicznymi i „walką idei" stał brutalny przymus państwa lub groźba jego użycia). Powszechnie przez uczonych podzielany pogląd o konieczności planowania rozwoju nauki — w sensie ustalenia hierarchii zagadnień i koordynacji prac badawczych — stał się pretekstem do centralizacji ośrodków naukowych, powolnej likwidacji autonomii i działalności regionalnych towarzystw ogólnych, poddania ich ideologicznej kontroli, poprzedzających kompletną eliminację lub zmianę charakteru towarzystwa. Działo się to również pod hasłem położenia kresu przyczynkarstwu, chałupniczemu typowi pracy badawczej i produkcji wydawniczej oraz „ożywienia nowego życia naukowego" w ośrodkach pozastołecznych. Fala opisanych przemian organizacyjnych zaczęła narastać w 1949 roku i osiągnęła punkt szczytowy z powstaniem Państwowego Wydawnictwa Naukowego w 1951 i PAN w 1952 roku. Te dwie instytucje dostarczyły osobom obdarzonym „należytym autorytetem politycznym i naukowym" (11) podstawy do rozszerzenia „nowatorskiej działalności" na towarzystwa naukowe — pozbawienia ich prawa decyzji co do podejmowania lub kontynuowania określonych badań, oceny rezultatów, kwalifikowania publikacji do druku.

PTPN było jednym z ośrodków oporu przeciw naciskom centralizmu i komenderowania nauką, przeciw wysiłkom zmierzającym do likwidacji regionalnych towarzystw ogólnych, które stały na drodze organizacyjnej centralizacji i ideologicznej reglamentacji. W latach powojennych PTPN brało udział w pracach nad powołaniem do życia Związku Ogólnopolskiego Towarzystw Naukowych, akcji podjętej na początku 1946 roku przez Uniwersytet Jagielloński i Polską Akademię Umiejętności. Tę inicjatywę podyktowała wola obrony autonomii nauki i wyższych uczelni, walki z cenzurą, zachowania odpowiedzialności za planowanie i rozwój badań naukowych w rękach ludzi nauki. Z ramienia PTPN publicznie głos w tych sprawach zabierali Kazimierz Ajdukiewicz (który po wojnie znalazł się w Poznaniu) oraz Jan Rutkowski. W nierównej walce z Radą Główną Nauki i Szkół Wyższych, powołaną do życia dekretem pod koniec 1947 roku, Komitet Porozumiewawczy Związku Ogólnopolskiego Towarzystw Naukowych przestał funkcjonować i zmuszony był odłożyć swą działalność na czas nieokreślony. „Przełom" dokonany w wyniku ujawnienia „odchylenia prawicowego i nacjonalistycznego w życiu politycznym" osadził Radę Główną mocno w siodle i ohamował ostatecznie inicjatywy oddolne, wychodzące od ludzi

(11) Do osób obdarzonych „należytym autorytetem politycznym i naukowym" należała zapewne większość autorów dzieła „Dziesięć Lat Rozwoju Nauki w Polsce Ludowej".

nauki i naukowych towarzystw, stworzenia organizacji nauki opar tej na samorządzie uczonych. Dochodzi do głosu tzw. polityka naukowa formułowana i wykonywana przez „aktyw nowatorski". Z Rady Głównej wyszła idea Kongresu Nauki. Na czele Komitetu Wykonawczego Kongresu stanął Jan Dembowski wspomagany przez 27 członków powołanych nominacją Ministra Oświaty. W Komitecie Wykonawczym nie znalazło się miejsce dla przedstawiciela PTPN. Stworzony w trakcie prac przygotowawczych do Kongresu Komitet Organizacji Nauki, pragnąc mieć zupełną swobodę w planowaniu reorganizacji badań naukowych próbował dokonać zamachu na towarzystwa ogólne i przystąpić natychmiast od ich likwidacji. Gdy stanowczy sprzeciw Zygmunta Wojciechowskiego, sekretarza naukowego PTPN, nie odniósł skutku, Wojciechowski i Lehr Spławiński interweniowali osobiście w Biurze Politycznym KC PZPR i uzyskali zawieszenie wyroku. Omawiając prace Sekcji Organizacji Nauki na Kongresie Jan Dembowski musiał stwierdzić, iż nie doszła ona do „konkretnych wniosków organizacyjnych" dotyczących towarzystw naukowych, a jednocześnie zapowiedział, iż nadejdą zmiany starannie przemyślane, by „nie spowodować wstrząsów" (12). Zapowiedź tę w pewnym sensie potwierdził dalszy rozwój wydarzeń.

Albowiem rewolucyjna metoda likwidacji została zastąpiona „powolnym więdnięciem" i czymś w rodzaju „ograniczania kułaka", jak to określił obecny naukowy sekretarz PAN (*Nauka Polska* 1/57, 24). Następują obcięcia dotacji, ograniczenia działalności, odbieranie wydawnictw, przetrzymywanie maszynopisów przeznaczonych do druku, wreszcie zakaz prowadzenia prac badawczych, który spadł na PTPN w 1953 roku. Komisja Towarzystw Naukowych PAN, o której powstaniu zainteresowane Towarzystwa nie były przez Akademię oficjalnie poinformowane, dążyła do uzyskania „większej opieki i kontroli", „ustalania wytycznych" i nawet „zatwierdzania władz" Towarzystwa, pragnie je „umasowić", skierować na tory popularyzacji wiedzy, skłonić de facto do wyrzeczenia się charakteru akademickiego. PTPN nie dawało za wygrane w imię zasady, jak stwierdza jeden z licznych memoriałów skierowanych do wspomnianej Komisji PAN, iż „nie ma niczego gorszego w nauce i sztuce jak centralizacja i komenderowanie". Jest to charakterystyczny dokument, jeżeli się zważy, iż skierowało go regionalne towarzystwo naukowe do rzekomo najwyższej instytucji naukowej w kraju.

Za cenę ustępstw — propozycji zmian statutu nie naruszających akademickiego charakteru PTPN oraz włączenia się do działalności wydawniczej w zakresie popularyzacji wiedzy — PTPN zdołało przetrwać najgorsze czasy. Gdy w październiku 1956 roku nastąpiły zmiany personalne w Komisji Towarzystw Naukowych PAN, PTPN uzyskało zatwierdzenie zmian statutu

(12) Kongres Nauki Polskiej, Warszawa 1953, p. 70 i 78.

wych, jego pozycja i ciągłość pracy zostały uratowane (13). Władze PAN wybrane w styczniu ubiegłego roku wyrzekły się publicznie praktyki przeszłości. Wpływ Akademii na rozwój nauk poza własnymi placówkami ma się ograniczyć do popierania nauki, a ta działalność obejmuje uszanowanie autonomii ogólnych towarzystw naukowych (*Nauka Polska* 1/57, 25).

Nic lepiej nie poucza o ,,nowatorskich'' metodach uprawianych w owych czasach i o szczególnej interpretacji nadawanej przez ,,nowatorów'' walce idei aniżeli sprawa zatwierdzania prac do druku. Do 1949 roku decydowały o tym Komisje PTPN, lecz w późniejszym okresie przywilej ten przejmują anonimowe ,,komisje specjalistów'' w Ministerstwie Oświaty. Początkowo Ministerstwo domaga się tylko niektórych manuskryptów, lecz wkrótce rozciąga się to na wszystkie prace. Urząd Kontroli nie przyjmował maszynopisu bez zezwolenia na druk z Ministerstwa, a później z PAN. Proceder ten, pisze Maria Wojciechowska niezmiernie przewlekał wydawanie prac: ,,Rękopisy nie wracały nieraz dwa i trzy lata, były wypadki zagubienia, a szczególnie dużo złej krwi robiła głęboko niemoralna anonimowość ministerialnych a później panowskich ocen'' (14).

PTPN w szeregu memoriałów protestuje przeciw kontrolowaniu prac naukowych przeznaczonych do druku. Zwracają one uwagę, iż wpływa ono hamująco na twórczość naukową, stoi w sprzeczności z zasadą jawności krytyki, co jest rzeczą niezbędną dla normalnego rozwoju nauki, oraz musi z konieczności doprowadzić do powstania ,,nieujawnionego nad-towarzystwa naukowego'', podziału uczonych na dwie kategorie, posiadających i nie posiadających ,,wiedzy wtajemniczonej'' (15). Protesty te nie odniosły skutku do chwili wysunięcia przez PAN pod adresem towarzystw naukowych ,,propozycji'' przekazania druku wydawnictw do wyłącznego wykonania przez Państwowe Wydawnic-

---

(13) Powyżej podane fakty jak i poniżej omówiona sprawa kontroli prac przeznaczonych do druku oparta jest na dokumentach w posiadaniu PTPN. Omawia je M. Wojciechowska, *Roczniki Historyczne* XXIII, 530 n. Zob. również sprawozdanie z uroczystości 30-lecia profesury Zygmunta Wojciechowskiego, ogłoszone w Przeglądzie Zachodnim 5-6/55, w szczególności p. 301.

(14) *Roczniki Historyczne* XXIII, 531. Ideologiczna kontrola manuskryptów oraz stworzenie instytucji redaktora naukowego dzieła pociągnęły za sobą inne jeszcze skutki. Wytworzyła się bowiem praktyka, iż autor przestał ponosić odpowiedzialność za swą rozprawę, przygotowywał ,,surogat książki... zgodną z umową ilość zapisanego papieru'', właściwe zaś dzieło powstawało ,,w toku prac redakcyjnych albo na biurku redaktora naukowego albo też w specjalistycznej redakcji wydawnictwa'' (*Nauka Polska* 1/57, 124).

(15) W. Kula określił okres, o którym mowa, czasami ,,rządów silnej ręki'' i przyznał, że ,,zastopowanie'' wydawnictw pod pozorem troski o poziom miało żałosne skutki (*Kwartalnik Historyczny* 3/56, 157). Nie było żadnych ,,rządów silnej ręki'', odpowiadał na ten zarzut St. Arnold, gdyż ,,nikomu poglądów nie narzucano, choć odrzucano niektóre prace'' (*Kwartalnik Historyczny* 6/56, 85). Subtelność tego rozróżnienia iść może w zawody z najlepszymi wzorami mistrzów kazuistyki.

two Naukowe (16). Gdy PTPN „propozycję" tę odrzuciło, cofnięto wydawnicze subwencje i Towarzystwo musiało ustąpić. Stworzyło to z kolei warunki do zmiany formy kontrolowania prac naukowych bez zmiany istoty rzeczy. Po przekazaniu Państwowemu Wydawnictwu Naukowemu strony techniczno-wydawniczej publikacji firmowanych przez Towarzystwo — pisał Stefan Żółkiewski, sekretarz naukowy PAN, w odpowiedzi na memoriał PTPN domagający się zniesienia kontroli manuskryptów — nie ma już przeszkód, by komitety redakcyjne Towarzystwa przejęły pełną odpowiedzialność za prace przeznaczone do druku. Gdy komitety te powstały okazało się jednak, iż „faktyczna dalsza kontrola, poza wiedzą zainteresowanych, odbywała się poprzez PWN, które najpierw większość, później tylko niektóre, przeważnie humanistyczne prace przesyłało do PAN, albo w porozumieniu z PAN samo kierowało do nowych recenzentów, biorąc na siebie odium za przetrzymywanie maszynopisów" (M. Wojciechowska, *Roczniki Historyczne* XXIII, 538). Ten stan rzeczy uległ zmianie dopiero na początku 1956 roku. Obecnie Towarzystwo ma również prawo wyboru drukarni, której zechce zlecić wykonanie zamówienia.

VII

Stuletnia rocznica założenia PTPN jest nie tylko sposobnością, by przypomnieć jego zasługi na „polu nauk powszechnych" oraz „wiedzy narodowej", jak zadania Towarzystwa w okresie zaborów określał August Cieszkowski. Nie jest to również wyłącznie okazją, by dokonać przeglądu dorobku naukowego PTPN, gdy w Polsce niepodległej powstały warunki normalnego rozwoju wiedzy. Obok tych osiągnięć należy postawić zasługi PTPN w obronie autonomii, wolności i postępu nauki, zagrożonych przez totalizm i fanatyków doktryny, którzy sprawowanie władzy identyfikowali z nieomylnością, samowolą i przemocą miejsce w hierarchii politycznej — z kompetencją i fachowością naukową. Stając w obronie własnych praw PTPN broniło jednocześnie wartości i pryncypiów, których pogwałcenie unicestwia twórczość, degraduje funkcję uczonego, unicestwia istotę nauki. PTPN podjęło się tego zadania ze stanowczością, spokojem i godnością, jakie budzą podziw i szacunek. Towarzystwo waczyło o właściwy ład, budowało, strzegło prawd zapewniających

(16) Należy wspomnieć, iż Poznań miał być pozbawiony osobnej drukarni wydawnictw naukowych — Poznańskiej Drukarni Naukowej, dawnej Drukarni Uniwersyteckiej, którą skazano na likwidację. Poznańska Drukarnia Naukowa, obok PWN dostarczającego firmy, figuruje jako wydawca publikacji PTPN. Drukarnię zdołano ostatecznie ocalić przed zagładą (*Przegląd Zachodni* 5-6/55, 302 i 320).

godność jednostce i sprawiedliwość zbiorowości. Nie ma w dziejach PTPN niedawno minionego okresu zbędnych deklaracji, rytualnych oskarżeń i rytualnego sykofanctwa. Towarzystwo, pisze Maria Wojciechowska, nie wykluczyło ani nie potępiło żadnego swego członka, niesłusznie dyskryminowanym starało się pomagać, broniło ich przed atakami, część oddawało pomijanym zasługom.

PTPN wchodzi w nowe stulecie. Może będzie ono pomyślniejsze, może zapewni ono trwałe warunki urzeczywistnienia właściwych zadań Towarzystwa — pomnażania i doskonalenia wiedzy, może mury polskich uniwersytetów, pracowni i laboratoriów doświadczą wreszcie ciągłości, niezakłóconego narastania tradycji jakimi szczęśliwsze uczelnie cieszą się od wieków. Cokolwiek przyszłość w sobie kryje, ci którzy sięgną do dziejów PTPN w pierwszym stuleciu jego istnienia czerpać z nich będą zachętę do wytrwania i stałości wobec przeciwności losu, odwagi przekonań i gotowości ich obrony. Gdy za lat kilkadziesiąt ,,skok jakościowy'' w nauce polskiej, opisywany przez autorów ,,Dziesięciu Lat Rozwoju Nauki w Polsce Ludowej'', stanie się przelotnym incydentem, aberacją i osobliwością historii, dzieje PTPN w tym okresie i w całym minionym stuleciu mówić będą o tym, iż

Non id quod magnum est pulchrum est, sed quod pulchrum magnum

Zbigniew JORDAN

Karol Estreicher w Toronto

Dr Karol Estreicher wyruszył z Krakowa w szeroki świat. Na drodze jego znajdowało się Toronto. Nie przybył tutaj wprawdzie z zadaniem odwiedzenia miejscowej Polonii, lecz dla wygłoszenia dwóch odczytów w miejscowym uniwersytecie, niemniej jednak wykorzystał swój pobyt, by zaznajomić nas z obecną sytuacją w kraju. Nie był to pierwszy gość ,,uniwersytecki'' na terenie Toronto, ale raczej jeden z bardzo licznych a zarazem najbardziej rewelacyjny.

Pan Estreicher na wstępie swej swobodnej pogawędki zaznaczył, że tylko dlatego zajmie się nakreśleniem sytuacji politycznej — ogólnej, nie ograniczając się do problemów kulturalnych, gdyż nie chciałby, by słuchacze mieli kompleks ,,niedojedzonej kromki chleba''.

Nie zajmowalibyśmy się tym niefortunnym wystąpieniem, gdyby prelegent nie wspomniał o ,,Kulturze''. Otóż dr Estreicher oświadczył m. in. jak najbardziej autorytatywnie i uroczyście:

„Wolność w Polsce jest niemal nieograniczona. Znakomita większość społeczeństwa nie sądzi, by rozszerzenie jej było potrzebne. Uważam, że większy margines wolności byłby wręcz szkodliwy". I potem: „Każdy może nie tylko mówić co się mu podoba, ale i czytać. Nie ma w tej mierze żadnych ograniczeń czy trudności. Czytamy wszyscy z zainteresowaniem „Kulturę". Otwarcie, w kawiarniach, czytelniach itp. Nikt nie boi się wpływu tego pisma a *jeśli nie można go nabywać w kioskach czy księgarniach, to tylko dlatego, że nie mamy dewiz na sprowadzenie go*. Otrzymujemy więc „Kulturę" w przesyłkach osobistych, ale pismo to jest bardzo popularne i powszechnie znane i czytane..."

Nareszcie więc dowiedzieliśmy się dlaczego „Kultura" nie dociera do kiosków, do publicznej sprzedaży!

Pogadanka dr Estreichera roiła się od podobnych rewelacji. Konfidencjonalnie poinformował publiczność torontońską, że Polacy nie chcą wracać z ZSSR, bo się świetnie tam urządzili. Opowiadał np. o wręcz wzruszającej troskliwości lokalnych władz sowieckich w Kazachstanie, które oddają do dyspozycji księdzu polskiemu samolot, by m. in. mógł udzielać ostatnich Sakramentów umierającym.

Ciepło, z łezką, mówił o tak „zasłużonych" dla kultury polskiej ludziach jak byli ministrowie Kultury i Sztuki pp. Kowalski i Sokorski. Socrealizm znowu nie jest taki straszny. Wyrósł z historycznego, tradycyjnego pnia rosyjskiego i przemawia do szerokich mas. Buntowano się przeciwko temu w Polsce, ale nikomu, kto tworzył po innej linii, nie stała się fizyczna krzywda, nawet nie pozbawiano go środków zarobkowania. Naturalnie artyści buntowali się przeciwko Ministerstwu Kultury i Sztuki, ale kiedy po październiku przystąpiono do reorganizacji tego resortu, podniósł się krzyk, gdyż grozi im oderwanie od „cycka" (dosłowne określenie prof. Estreichera).

W sumie przemówienie dr Estreichera — na poziomie gadania starej przekupki — dla większości słuchaczy było niemal cyrkową rozrywką. Wielu jednak nie wytrzymało nerwowo tej paplaniny i z uczuciem niesmaku opuściło salę. Mówił on o wszystkim zdradzając idealną wręcz ignorancję każdego zagadnienia. W sprawach artystycznych był nieścisły i niedokładny. Nie potrafił np. nawet wymienić wszystkich muzeów, podlegających bezpośrednio ministerstwu Kultury, ani wyższych uczelni artystycznych; nawet powierzchownie nie umiał scharakteryzować kierunków w malarstwie, naszkicować twórczości poszczególnych artystów, itp. Każdy temat dawał mu natomiast okazję do wygłaszania sentencji politycznych, do podkreślenia jak właściwie jest dobrze, jak wszyscy są szczęśliwi, mimo, iż są ciągle braki. Z rozbrajającą — powiedzmy — dobrodusznością prelegent powiedział: „Nie obchodzi mnie co będzie z Polską za 10 czy 200 lat".

Jeśli, by kogo to bardzo zdziwiło, to należy przypomnieć i inne słowa dr Estreichera. Oświadczył mianowicie, że zarobił w ostatnim roku 60,000 zł, no i — oczywiście — posiada własny samochód. Dlaczego miałby się więc kłopotać przyszłością, zastanawiać się nad losem innych.

A zresztą, jak powiedział, sytuacja ekonomiczna jest trudna, ale on wierzy, że pewnego dnia zostanie opanowana i będzie świetnie.

Końcowa uwaga: jeśli dr Estreicher miał być pierwszym „uniwersyteckim" propagandystą, to wywiązał się ze swego zadania jak najgorzej. Pała. Prosimy raczej o najbardziej żarliwych komunistów, bo ci przynajmniej wierzą w co mówią i coś reprezentują.

B. HEYDENKORN

"Free Country"

Gruba, o krótkich palcach, sczerniała, spracowana dłoń zacisnęła się na ramieniu śpiącego i szarpnęła.

— Wstawaj! Ty... — zakrztusił się przekleństwem Wilos. Szarpnął jeszcze mocniej i odwrócił Kupisza na wznak. Trząsł nim, aż głowa latała po wyszmelcowanej poduszce.

— Ty dziadu sakramencki! Ty pijaczyno cholerna! Ty... twoja mać...

— Zostaw go — przerwał Maciejewski. — Nie dasz mu rady. Nie widzisz? Teraz to go i armaty nie ruszą.

— Już ja go ruszę. Już ja go skurwysyna na nogi postawię! — Zamachnął się i trzasnął nieprzytomnego po gębie, aż echo poszło po baraku.

Maciejewski podskoczył, chwycił Wilosa z tyłu za kołnierz i z niespodzewaną siłą odrzucił na sąsiednie łóżko. Wilos przysiadł zdziwiony.

— Co ty? Maciuś?

— Ty chamie! — krzyczał blady ze złości Maciejewski — Po gębie to możesz takich samych chamów... Rozumiesz gnojku podoficerski? Zupaku z wiechciami w butach! Na szyftbosa się wkręciłeś, to myślisz, że ci wszystko wolno.

— Co ty, Maciuś? — powtórzył Wilos — Ja go przecież chciałem tylko do przytomności...

— Tylko nie po gębie, nie po twarzy, — pomrukiwał Maciejewski.

— Wrócę.. wróócę... wrócę do ciebie przez fale mórz... — zachrypiał nagle Kupisz.

Spojrzeli na niego. Siedział na łóżku w podkoszulce i kalesonach. Tarł ręką policzek i uśmiechał się głupawo przed siebie.

— *My Bonnie iv over the ocean...* — przeszedł na angielski tekst — Dze ołszeeen... — ciągnął przeraźliwie.

Wilos popatrzył na Maciejewskiego z triumfem.

— Nie znasz go? — wzruszył tamten ramionami — Śpiewać

to on będzie, ale nieprzytomny jak ten wół, co go w rzeźni mło
tem po łbie trzasnęli. Do jutra rana z miejsca nie ruszysz.

— Co będzie?

Maciejewski nie odpowiedział. Łagodnie przechylił pijaneg na poduszkę i ułożył wygodnie. Ściągnął koc z sąsiedniego łóżka i dokładnie obetkał nim dokoła, odgarnął zlepione potem, rzadki włosy z czoła i uśmiechnął się do nieprzytomnego.

— Chodź — pchnął Wilosa do wyjścia.

— Maryś, moja Maryś mam pieniędzy kupę... — Kupisz za czął znów na nutę ludową.

Trzasnęli drzwiami i wyszli przed barak. Rozpogodziło się deszcz przestał padać, tylko z drzew skapywało. Wiatr ciągną chmury, które wałkowały się ze zbocza gór, żaglowały nisko na głowami hen nad jezioro i znów uderzały w stoki zielono-rudych pagórów wyrastających z tamtej strony wody.

— Co będzie? — wrócił do tego samego pytania Wilos.

— A no nic. — odparł Maciejewski — Na niego nie licz

— Taka jego mać! Parson się wścieknie.

Maciejewski milcząc ruszył w górę, ścieżka była wąska, wię suwając ciężkimi gumowymi buciskami zagarniał rosę z wysokie trawy. Zatuliwszy się w brudną kapotę wojskowego typu Wilo szedł za kolegą. Zimny wiatr uderzył im w twarze.

— Żeby nie ten rekord — psioczył Wilos — to gwizdać. Al rekord! Psia mać! Jeszcze te jakieś dwadzieścia *feet* będzie bra kować. Rozumiesz?

— Pluń na ten ich rekord.

— A bonus, bracie? Ty wiesz jaki to bonus wypadnie? I ty ko te głupie dwadzieścia *feet* na naszą szyftę... Parson się wście knie.

— A nie damy to rady ?

— Bez niego? — Wilosa poderwało do przodu. — Bez na lepszego maszynmana?

Stanęli na kamienistej drodze idącej bokiem przy barakac w górę, w las i do tunelu. Zza zakrętu dolatywały głosy lud i szum motorów. Wiatr targał przewody elektryczne zawieszon nisko na tykach.

— Chyba kogo dopożyczyć? — zasugerował Maciejewski.

— Skąd? Niedziela, jak kto ma wolne to do miasta wyrwa

— Spróbuj w drugim kampie.

Wilos stał niezdecydowany. Zesunął kaszkiet i tarł ręką p twarzy.

— Ale co ci powiem, — zdecydował nagle — to tego tweg Kupcia won z brygady. A n r y j a l a b e l ! — przekręc trudne angielskie słowo *unreliable*. — Rozumiesz.

— Jak chcesz. — Maciejewski przekręcił głowę i spojrzał boku.

Czyż nie jesteś bosem? Nie płacz tylko ,jak sam ze swoi Filkiem zostaniesz.

— Poszedłbyś za nim?

— A bo to ja jeden.

— Takiego bonusu z kim innym nie zarobisz.

— Zatkaj sobie ten bonus wiesz gdzie. — rozezłościł się Maciejewski — I przestań odgrywać, bo to nie wojsko, a my nie rekruty. Ważny pan szef. Szyftbos z łaski mister Parsona, a sam wiesz, że bez nas to jesteś gówno. Jak się nam zechce to pójdziemy choć zaraz.

Wilos tarł szeroką twarz coraz bardziej desperacko, aż sobie smarki rozcierał po sterczącej rudej szczecinie.

— Maciuś, Maciuś... — prosił — Wszyscy na mnie, a ja to co? Szyftbos, a bez was gówno. Racja. Tylko sam powiedz, czy taki Karpiel lepszy? A może do Ajrysza byś poszedł? Już tak na mnie nie gadaj. Czy nie robię wam na rękę jak mogę?

Maciejewski w milczeniu kopał kamyki na drodze.

— Ja wiem, że od was lepszych nie znajdę w całym kampie, ale wy też nie znajdziecie takiego bosa. No nie? Słuchaj — zatrzymał Maciejewskiego łapiąc za poły nieprzemakalnego płaszcza — jak chcesz to ty zostań szyftbosem! Chcesz? Ja mogę nawet mokować. Ino żeby brygada się razem trzymała. Bo takiego bonusu gdzie indziej nie wyrobisz. Ni ma bracie. Na to trzeba z samym Parsonem sztamę trzymać. No gadaj...

Maciejewski kopnął kamień, aż potoczył się daleko z drogi w rzadki zamoknięty lasek. Podniósł ostry, zły profil i spojrzał na Wilosa.

— Ostatni raz. Wiesz — wycedził przez zęby. — Jeszcze raz ruszysz czyją gębę, to koniec. Odejdziemy, a ciebie zostawimy, ale w szpitalu. To sobie zapamiętaj.

— Maciuś — płaczliwie zaniósł się Wilos — ja przecie tylko tak z nerw. Ja dla was jak najlepiej, ale powiedz sam, czy człowiek nie może stracić usposobienia? Nie obiecywał to, że kropli do gęby nie weźmie? A ty sam, tak — wyciągnął palec w pierś Maciejewskiego — sam powiedziałeś, że będziesz miał baczenie. No i co? W ostatni dzień uchlał się jak świnia. Ostatni dzień!

Maciejewski otworzył płaszcz i sięgnął w zanadrze. Wyciągnął czarny portfel i otworzywszy go pokazał gruby plik banknotów.

— Widzisz?

— No co?

— Kupciowe. Zabrałem mu wszystko co miał. Co więcej chcesz? Jak mu bez forsy dają pić? I pilnować go, też pilnowałem, ale się człowiek odwrócił, a on już prysł. Poszedłem do Wacikowskiego, a jemu już ktoś dał lifta i masz. Sam nawet nie wiem, kiedy go w tym pijackim widzie na kubik podrzucili.

— Kto?

— Kto? Ten sam co go na drinka wyciągnął, ten sam co mu forsy dał i na picie do hotelu zaprowadził.

— Cholera! Żebym go dostał, takiego syna.

— A bo to trudno? — zakpił Maciejewski.

— Ty wiesz kto?

— A ty nie wiesz?

Zaśmiał się i zawrócił skręcając w boczną ścieżkę do bara-

ków. Wilos stał przez chwilę, ale zaraz zatulił się mocniej osmoloną kurtkę, nacisnął czapę na czoło i ruszył w górę głów nej drogi.



Filek poślinił palce i wolno przesuwał karty zaglądając tylk pod same rożki. Póty tarł i wyciskał zniszczone pięć kart, a dojrzał trzy podwójne brzuszki ósemek. Sięgnął ręką do kieszen spodni i wyciągnął banknot dziesięcioszylingowy, rozprostował g i położył na środku kupki srebra. Potem powoli podniósł głow i spojrzał swymi żółtymi, tuż przy nasadzie nosa błyszczącym oczkami na Hrabiego.

Hrabia uśmiechnął się ironicznie. Kowalczyk i Zemko ju dawniej odpadli rzuciwszy karty na kupę zrzutków i teraz patrzy ciekawie na pojedynek Filka z Hrabią.

Przed Hrabią leżały równo ułożone monety srebrne, w stos kach przyciskających dość grube pliki banknotów. Z jedneg z nich wyciągnął czerwonawy papierek i z lekceważeniem rzuc do banku, zawahał się trochę i dorzucił jeszcze zielonego funta

— Podbijasz? — zapytał Filek z trudem ukrywając radość

Hrabia skinął kędzierzawą głową.

— Funta?

— Nie widzisz? Ślepy jesteś? — odpowiedział z boku Ko walczyk.

Filek znowu sięgnął do kieszeni i pogmerawszy wydobył po mięty banknot. Westchnął fałszywie przymykając oczy i sięgną znów tym razem za pazuchę. Stamtąd dostał dwa nowiutkie sze leszczące funty. Położył jednego z nowych na starym i delektują się wolno posunął oba na środek stołu.

— Masz, udław się. — powiedział Hrabia i dołożył.

— Trzy kobyłki. — Filek rozłożył karty w wachlarz.

— No i było z czym się rzucać — skrzywił się Hrabia. — Co to już obywatela Filka na wyższą kartę nie stać?

Z namaszczeniem wyłożył jedną po drugiej trzy dziewiątki

— A niech cię cholera! — Kowalczyk uderzył pięścią w stół Zemko śmiał się piskliwie po kobiecemu, trzęsąc przy tym cał swoją korpuletną osobą.

Leżący na łóżku z książką Kiryło podniósł głowę.

— Co się tam stało?

— Fi... fi... filka... czyszczą... — jąkał się ze śmiech Zemko.

— Już nowymi rzyga — dodał Kowalczyk.

Po szerokiej twarzy Kiryły przebiegł uśmiech. Chwilę pa trzył na grających i znów podniósł książkę i zaczął czytać.

Hrabia bawił się nowiutkim banknotem robiąc do niego czuł miny i zerkając w stronę Filka. Wreszcie cmoknął w powietrz tkliwy pocałunek i schował funta w zanadrze.

Kowalczyk zebrał karty i zaczął tasować.

— Hrabiego dziś nie pobijesz, jemu wali — rzekł do nad tego Filka.

— Nie takich hrabiów z gołym tyłkiem puszczało się.

Hrabia wyrównał kupki pieniędzy, podciągnął krawat, jedyny w tym towarzystwie, ruszył rękoma jakby poprawiał nieistniejące mankiety i położywszy dłonie na stole czekał, gotów do dalszej gry, tylko lewym okiem mrugał w stronę Zemki, aż ten nie mógł wytrzymać chichotu.

— Powiedz Hrabia — zatrzymał się Kowalczyk przy rozdawaniu — co ty z tą forsą zrobisz?

Hrabia podniósł oczy do sufitu, jakby zastanawiając się nad odpowiedzią.

— Nie wiesz — pospieszył wtrącić Filek — ubranko pan Hrabia wykupi.

Już dwa tygodnie jak wisi w warsztacie u Gryczana gotowe, a pana Hrabiego nie stać na ostatnią ratę.

— U hrabiów wiadomo, raz na wozie, raz pod stołem.

— Mylicie się ciemna maso — Hrabia spojrzał na Filka i na Zemkę — forsę się miało, choć przyznam, że dwa ostatnie tygodnie karta nie szła, ale cóż kiedy ten w igłę szarpany mistrz „kaszka gryczana" na modzie się nie zna i do szarego garniturku dał żółtą podszewkę.

— A żółte skarpetki? — zapytał naiwnie Kowalczyk, wywołując tym tylko pełne ubolewania spojrzenie Hrabiego.

— Skarpetki, to są skarpetki. Skarpetki i szaliczek to takie dwie plamy uzupełniające na tle szarzyzny życia emigranckiego. Rozjaśnienie skąpej w barwy natury tułaczej. *Compris?* Ale co wam gadać — machnął ręką ze zniechęceniem — czy wy zrozumiecie potrzeby duszy człowieka wyższego szczebla kultury. Dawaj Jasiu te karty, bo czas ucieka. Jeszcze te kilka świeżych od kolegi Filka wyciągniemy i trzeba będzie się zbierać.

— Coś mi się widzi, że znów klub będzie na rzęsach chodził. — Kowalczyk roześmiał się i zaczął rzucać kartami po stole.

— Nie wiesz jak to hrabiowie — chichotał Zemko. — Jak to było cztery tygodnie temu? Dwie taksówki pod klub: w jednej pan hrabia, a w drugiej jego kapelusz!

— To było po wybitnie dobrym sztosie na pieskach — tłumaczył się Hrabia. — Dlaczego taki taksówkarz nie ma zarobić?

Filek ściągnął swe karty i ukradkiem szybko zajrzał. Nie mógł ukryć rozczarowania.

— Jak jest to szelst, a jak bida to do Żyda — przygadał Hrabiemu.

— Do szanownego obywatela nie pójdę, nie obawiaj się, ani po forsę, ani z forsą.

— A on by chciał. Nieprawda Filek? — wtrącił Zemko. — Cieszysz się z każdego szylinga co do skarbonki grubej Moiry wpadnie. Co?

— Co mi znowu z tą Moirą wyjeżdżasz, no? Zresztą, jak chcesz wiedzieć żebraku, to dla kogo Moira, a dla ciebie Mrs Gray.

— Oho! — zdziwił się Kowalczyk — Mrs Gray? Ładnie się

nazywa jak na bajzel mamę. A tak zwane córeczki jak? Te
Gray?

— Nie żartuj Jasiu — zrobił poważną minę Hrabia. — Mr
Gray jest dama i córeczki też... damy.

— Za grubą forsę — zapiszczał Zemko.

— Powiedz tak szczerze Filek — spytał Kowalczyk — il
procentu dostajesz od tego interesu?

— Fe co za podejrzenia, — bronił wciąż udając powag
Hrabia — najwyżej jakieś małe świadczenia w naturze.

—Chi... chi... — trząsł się Zemko.

— Gramy, czy nie gramy? Do cholery! — wybuchnął Filek

— Gramy, naturalnie, że gramy — uspokajał Hrabia i ni
patrząc w karty rzucił srebrem o stół. — Dwie półkorony.

— Daję — otarł łzy z okrągłego oblicza Zemko.

— Podbijam — szczeknął Filek.

— Ktoś znowu podskakuje — Kowalczyk dołożył. Prze
chwilę grali spokojnie. I znów Hrabia ściągnął bank.

— Nie wiele, ale cieszy — układał srebro i banknoty.

— Powiedz Hrabia — spytał Filek — jak ty robisz, że w
karty nie patrzysz, a wygrywasz. Idzie ci jak po rycynie.

Hrabia tasując karty, spojrzał z góry na Filka.

— Nie wiesz? Zwyczajnie. Wysmaruj sobie dłoń ekskre
mentami i karta się klei. Śmierdzi trochę, ale się opłaci.

— Czym?

— Gównem — wyjaśnił Hrabia jak dziecku i puścił karty
w ruchu z wprawą prawdziwego szulera.

— Filek — po chwili podjął Kowalczyk — ale ten nasz Wi
łos, to on ci forsy napędza, co? Powiedz tylko, do której o
chodzi?

— Nie wiesz? — Hrabia podniósł brwi. — Do wszystkich
Ten wasz szanowny szyftbos to kawał byka. Jak tam wejdzie w
sobotę, to go w poniedziałek taksówką wprost do tunelu wio
zą. Dwa dni i noce pracuje na wyprzódki z tymi Murzynami z
Jamaiki z drugiego piętra. Kolega Filek to tylko po piwo i kieł
basę z czosnkiem do Wtorkowskiego biega tam i z powrotem.

— Odczepcie się do jasnej cholery. Cóż to jeden tam cho
dzę czy co? Każdy tam może jak go stać i nikomu się z tego
tłumaczyć nie potrzebuje. Dla niej taki sam Filek dobry, jak
Kowalczyk czy sam pan hrabia Szpiglas.

— Tylko z daleka od szlachetnego rodu Szpyglasów — wy
prostował się Hrabia. — Jeśli zły los rzucił nas na obczyzn
i nawet zmusza do grania w karty z byle obywatelem Filkiem
to jeszcze nie dowód, żebyśmy mieli się spotykać na gruncie ta
nego trzeciorzędnego burdeliku.

— I ty nam Filek w oczy piaskiem nie rzucaj — pogroz
palcem Kowalczyk. — Wiemy dobrze jak i co. Jak to było
Wańtowskim? Sam nam tu opowiadał. Kiedy prosił Moirę o kre
dyt, to co powiedziała? Przynieś ,,not'' od Stanleya, powiedziała
Co?

— Co ty mnie z jakimś Wańtowskim — zaczerwienił się Filek. — Gramy, czy nie gramy? Bo tu mi się zdaje ktoś zerwać partię kombinuje i z forsą nawiać.

— Jeśli do mnie obywatel pije — odezwał się Hrabia — to ja jeszcze nie wieję. Nie jeszcze, dopóki te nowiutkie funciaczki widzę.



Stuknęły drzwi. Weszli Pańczak, Wierzbicki i Suślik. Zrzucili nasiąknięte płaszcze i strzepnęli z nóg ciężkie welingtony. Pańczak i Suślik siedli na łóżkach wyciągając papierosy. Wierzbicki w skarpetkach podszedł do grających.

— Widziałeś Maciusia? — oparł rękę o ramię Filka.

— Co takiego?

— Szuka cię.

— Jak mnie szuka to znajdzie — zlekceważył Filek — Ja tam nic do niego nie mam i nie wiem po co ma mnie szukać.

— Nie wiesz? — Suślik poderwał się z łóżka. — O Kupciu też pewnie nic nie wiesz?

— Co z Kupciem? — spytał Kowalczyk.

— Ano zalał się znowu.

— Nie podobno.

— Leży jak kawał trupa na kubiku. Wilos powiadam wam wścieka się.

— Pewnie — kiwnął głową Kowalczyk. — Ostatnia szyfta na rekord i najlepszy maszynman odpala. Ale Maciuś? Czemu nie upilnował?

— Pilnował — wtrącił teraz Pańczak z daleka — forsę zarekwirował, ale ktoś mu pomógł. Ktoś zabrał do hotelu i spoił jak świnię.

Wierzbicki i Suślik patrzyli znacząco na Filka.

— On? — spytał Kowalczyk. — No Filek, to trzymaj się bracie, bo z Maciusiem nie ma żartów.

— I to nie pierwszy raz — Pańczak uzupełnił oskarżenie.

— Co mi tam wasz Maciuś — odezwał się wreszcie Filek trochę drżącym głosem. — Mam go gdzieś.

— Nie bądź taki bohater — zaśmiał się Pańczak — nic wiesz co to Maciuś.

— Właśnie — przytaknął Wierzbicki. — Nie darmo on w Legii służył.

— Nie darmo z Polski wiać musiał. O nim powiadają, że jak z nerw wyjdzie to człowieka ubić, jak muchę ubije.

— Nożem. Oni z tej Legii tylko nożem.

Filek zerwał się na nogi.

— Co się przyczepili jak psu do ogona? — zawołał. — Byłem z Kupiszem. Byłem! No to co? Piliśmy. Co? Nie wolno? Dlaczego nie pić jak pan porucznik prosi? — obrzucił ich wyzywającym spojrzeniem. — Mnie tak w wojsku uczyli. Jak starszy prosi, to młodszy mówi: Tak jest!

— Za czyją forsę? — zapytał Wierzbicki.

Filkowi piana wyszła na wąskie wargi. Rzucił się, j szczur przyparty do śmietnika.

— Za czyją? — wrzeszczał — podsuwając Wierzbickier pod nos swoją wąską szczurzą twarz. — Nie za twoją. Nie twoją! Nie twój interes. Nie wasz. — Zakręcił się w kółko ka dego obrzucając ogniem żółtych czerwono obwiedzionych ocze — Przyczepili się i ssą jak pijawki. A ja wam mówię: Nie wa zas... byznes! Jak Filakowski chce, to Filakowski pije. Roz miecie? Jak Filakowski chce, to Filakowski stawia! I wam g. do tego! Moja forsa! I na was i na waszego Maciusia i te waszego pana porucznika Kupcia s...! S..... S....! — krzyc obracając się w kółko, aż napotkał oczy Kiryły.

— Nie podoba się, co?

Kiryło leżąc na plecach spojrzał sponad odłożonej na pie książki i rzekł spokojnym basem:

— Przestańcie krzyczeć, bo nie jesteście w lesie.

— Nie podoba się szanownemu panu? — zasyczał Filek. To proszę na kubik. Do rynstokracji. Do takich samych panó A ja jestem proletariat i mnie wolno. Wolno pić, wolno krzycze bo tu jest *free country! Free country!*

Kiryło zsunął książkę i podniósł się opuszczając nogi z łóżk Zrobiła się cisza.

— Gramy, czy nie gramy? — odezwał się spokojny gł Hrabiego. — Albo poker, albo rozrabianie. Ja mam tylko p godziny i jeśli nie przestaniecie, to stracę ostatnią szansę w ciągnięcia forsy od kolegi Filkowskiego.

Filek odwrócił zahypnotyzowany wzrok od Kiryły i pochy się nad stołem.

— A ja ci powiadam... — zaczął z wściekłością w stro Hrabiego, ale nie skończył. Usiadł, obtarł spocone dłonie o spo nie, wyciągnął je po karty.

◆

Znowu stuknęły drzwi. Weszły dwie osoby: starszy mężczy na opatulony w wojskowy płaszcz khaki i młody chłopiec najwyżej dwudziestu.

— Serwus Piotruś — zawołał Suślik w stronę młodszego i wnął ręką po przyjacielsku.

Starszy przybysz złożył plecak na podłodze.

— Dzień dobry panom — rzekł zdejmując z głowy be i odsłaniając prawie łysą czaszkę.

Odpowiedziało mu mruknięcie tego i owego i spojrzer spode łbów. Tylko Suślik podszedł z wyciągniętą dłonią.

— Dobrze, że pan przyszedł i naszego Piotrusia przyprow dził, bo baliśmy się, że bez lokodrajwera nie damy sobie rac A tu jeszcze jeden nam zachorował.

— Jak powiedziałem, że będę na czas — ujął się Piotr norem — to będę i niepotrzebnie martwiliście się. Wcześniej b bym tylko że tatko musiał się zebrać.

— To pan ojciec Piotrusia? — Wierzbicki podszedł od stołu karcianego.

Hrabia podniósł głowę i zawołał z daleka:

— Cześć profesorze. Pan profesor z wizytą czy na stałe.

Profesor dobrotliwie pokiwał ręką.

— Urlop mam w swojej pracy — wyjaśnił bliżej stojącym Wierzbickiemu i Suślikowi — i zdecydowałem się spróbować, czy nie da się trochę grosza dodatkowo zarobić.

— No cóż — Wierzbicki przyznał — jak nie tu, to gdzie?

— Panowie nie będą mi mieli za złe — skierował się do wszystkich profesor — że ja tutaj już razem z synem. Rozmawiałem z *campbossem* i powiedział, że wszystko w porządku.

— Naturalnie — potwierdził Suślik — miejsce jest, ot tam zaraz obok Piotrusia nawet.

— Dziękuję.

Profesor nie pozwolił Piotrusiowi wyręczyć się i sam poniósł swój plecak w stronę wolnego kąta.

Leżący na swym łóżku Pańczak podniósł się, przeciągnął i rzucił w przestrzeń z krzywym uśmiechem:

— Coraz to lepsi panowie do nas przybywają, chłopaki.

— Pfi... — Filek tylko błysnął na to oczkami. — Wiadomo na forsę każden leci.

— Co prawda to prawda — potwierdził Kowalczyk — niezadługo to tu same Polusy będą tunele wiercili.

— I to jakie — ironizował Filek — prezesy, doktory, profesory. Dawniej to rączek bali się byle czym poplamić, a teraz to ze zwykłym proletariatem nie wstydzą się na jednym baraku barłożyć.

— Dla chleba panie, dla chleba... — zanucił znad kart Hrabia.

— A ja wam powiadam chłopaki — wypiął się Pańczak — że to nie forsa tak ciągnie lepsza elementa emigracji politycznej do pracy w tunelu.

— A co?

— Sława. *Glory, ladies and gentlemen.* Czy nie powiedziała sama królowa, że pokolenia szkockie będą pamiętać Polaków za to, że im tunel przekopali i światło do hajlandu sprowadzili.

— To wcale nie królowa powiedziała — Wierzbicki począł prostować — i nikt w ogóle o Polakach nie mówił tylko o forynerach.

— Gazety pisały.

— A mnie tam u tyłka wisi — zawołał Filek — co tam królowa czy inna wielka pani powiedziała. Ja mam gdzieś taki honor, dla mnie forsa to grunt. No nie chłopcy?

— Chłopcy to są u szewca — zgasił go Hrabia.

Profesor, który rozpakowując plecak bokiem słuchał rozmowy, ruszył w stronę stołu.

— Mam wrażenie panie kolego — zwrócił się w pierwszym rzędzie do Filka — że pan się myli. To nie jest mała rzecz, że Polacy pomagają przy rozbudowie tego kraju. Jeśli nas los rzucił

poza granice własnego kraju powinniśmy dbać o to, by imi polskie...

— Każdy żołnierz polski jest ambasadorem na obczyźnie — przerwał Kowalczyk.

— Baczność! Na prawo patrz! — Filek poderwał się z ręk przy czole. — Panowie Ambasadorowie! — krzyczał wykrzywia jąc się komicznie.

— Zamknij pan twarz! — podskoczył ku niemu Piotr z za ciśniętymi pięściami, ale ojciec złapał go za rękaw.

— Nie ma co się denerwować panowie ja wcale nie to miałe na myśli — i spojrzawszy na Filka spokojnie ciągnął. — Wid pan to już jest tak, że czy pan chce czy nie chce stawia pa jedną cegiełkę do naszej wspólnej budowy. Tu gdzie może nigd o Polsce nie słyszano, teraz znają nas i cenią i będą wspomina z wdzięcznością. Czy pan wie, że w tak odległym od Polski kraj jak Australia, każde dziecko w szkole uczy się kto to był Ko ciuszko. A wie pan dlaczego? Bo polski podróżnik Strzeleck nazwał tym imieniem najwyższą górę kontynentu.

— To niby nasz tunel będzie się nazywał Kościuszko?

— A może coś z dzisiejszych czasów?

— A może Wilos?

— Albo i Filek, przepraszam Filkowski!

Jeden po drugim zaczęli puszczać się na dowcipy. Profes uśmiechał się do tej zabawy. Filek czekał aż skończą i skierow się wydymając wargi do profesora.

— Pan może jest i profesor, uczony, znaczy się z klasy int ligenckiej, co zawsze prostego człowieka czymś otumanić chc aby swoje skorzystać. Ale ja jestem proletariat i powiem pan prosto: ja pałę kładę na to jak się będzie ten tunel nazywał i kt będzie się z niego cieszył. Dla mnie ważna rzecz to forsa, pi niądze.

Wyciągnął rękę i poruszał palcami tuż przed nosem prof sora.

Piotra parło do zabrania głosu, ale dłoń ojca mocno zaciska się na jego ramieniu i trzymała w miejscu.

— Ty Filek już przestań — mocno rąbnął Kowalczyk po suwając karty pod nos Filkowi — patrz z czego żyjesz i zan knij kloakę, bo śmierdzi.

Filek już porwał się do odpowiedzi, ale bokiem dojrzał kar i raptem ucichł, zakręcił się na stołku i uważnie spojrzał n graczy. Naprzeciw niego ironicznie uśmiechnięty Hrabia pokl pywał swoje karty, do których zdawało się jeszcze nie zagląda

Wszyscy wyczuli, że zanosi się na poważniejsze spotkan i skupili się dokoła stołu. Tylko profesor z synem wycofali s do swego kąta.

Przechodząc obok łóżka Kiryły profesor napotkał prost szczere spojrzenie i uśmiechnął się odwzajemniając uśmiech.

Schylił się na moment i podniósł z podłogi kartę papier fotografię dziewczynki w białej sukience pierwszej komun Oddał ją leżącemu bez słowa.

Szeroka, z wystającymi kośćmi policzkowymi twarz Kiryły poczerwieniała jak burak.



Kowalczyk i Zemko odpadli zaangażowawszy się nie więcej jak po funcie każdy. Gra znowu stała się pojedynkiem między Hrabią i Filkiem. Przebijali uparcie raz za razem, wreszcie Filek dobył z bocznej kieszeni pięć nowych funtówek i wyłożył z triumfem. Na to Hrabia wydął pogarliwie wargi i przeliczył szybko wszystko co leżało przed nim na stole.

— Dwadzieścia dwa funty i piętnaście szylingów. Wszystko co mam.

Podsunął pieniądze na środek.

— Zaraz, zaraz... — spłoszył się Filek. — Tak nie można.

— Nie można? Pięcioma funciaczkami straszyć można, a dwudziestoma nie? Wóz albo przewóz. Komu kurka jajko zniesie.

— Dobrze — zdecydował się Filek. — Daję. Ale rozumiesz nie mam tyle „cash". Kwit wypiszę.

—Kwit... — skrzywił się Hrabia. — My na kwity nie grywamy.

— I.O.U. formalnie jak należy podpiszę.

— Ni ma.

— Nie wierzysz mi?

— Może wierzę, może nie wierzę... Ale kwitu nie chcę.

— A gdyby tak — zawahał się Filek — gdyby Kowalczyk podpisał?

— Cholerę ci w bok — oburzył się Kowalczyk z boku.

— A gdyby na przykład Kupisz dał ci kwit?

— Idź do diabła! — rozezłościł się Hrabia. — Forsa na stół i koniec. W pokera gramy, a nie na Kiercelaku targujemy.

— Ja ci poważnie mówię — zacietrzewił się Filek. — Od Kupisza kwit przyjmujesz?

— Kupiszem sobie gęby nie wycieraj. Kupisz u mnie murowany gość, któremu i setkę zaufam, ale tobie nic. Rozumiesz? Ani peniaka.

Filek sięgnął szybko ręką pod marynarkę i wyciągnął papier, który zaczął gorączkowo rozwijać.

— Ot masz. Ot Kupisz. Dwadzieścia pięć, stoi za dwadzieścia dwa i piętnaście szylingów. Przyjmujesz?

Hrabia wyciągnął rękę i uważnie obejrzał kwit, potem spojrzał na Filka, który zmieszał się i skulił.

— Przyjmuję.

Filek wyprostował się i odetchnął. Znów nabrał pewności siebie.

— Co masz? — zawołał wesoło.

— Dwie pary asów.

— Było co się pchać. — Filek rozkładał wachlarzem pięć kart. Cztery z nich były damami.

— Burdelik — wołał radośnie i zagarniał pieniądze.
— Komu jak komu, ale Filkowi pasują cztery bladzie — śmiał się Kowalczyk.
— Wygrał sukinsyn — piszczał Zemko.
— Zaraz, zaraz — wtrącił Wierzbicki stojący za plecami Hrabiego. Hrabia jeden po drugim otwierał cztery asy.
— Jak to? Skąd? — wybałuszył oczy Filek.
— Dwie pary asów, mówiłem. Nie dwie pary asowskie. Przegrał obywatel.
Filek zamarł z rękoma na stole i z rozpaczą patrzył ja Hrabia zgarniał banknot po banknocie, delektując się męką po bitego przeciwnika. Kiedy sięgnął po kwit z podpisem Kupisza raptem jakaś ręka wyciągnęła się nad stołem.
Hrabia i Filek jednocześnie podnieśli głowy. Filek zbladł Nie wiadomo skąd i kiedy przybyły Maciejewski wolno darł kwi wpatrując się w Filka palącym wzrokiem.
Filek wstał, chciał uciekać, ale dwie mocne, żylaste ręce po chwyciły go za klapy i podniosły prawie do góry. Maciejewski nie krzyczał, nie bił, wsadził tylko rękę w zanadrze Filkowi i wy dobył kolejno trzy papierki, które podarł na drobne strzępki.
Filek nie śmiał słowa powiedzieć, ale w oczach miał b i nienawiść.
— No dobrze — odezwał się Hrabia — a moja wygrana?
Maciejewski spojrzał na niego drwiąco i odwrócił się tyłem
Hrabia pociemniał ze złości. On teraz podskoczył do Filk i złapał go za koszulę na piersiach.
— Teraz ty mnie tu pisz weksel, bo jak nie to kiszki wypruj
Filek obejrzał się nieszczęśliwy szukając poparcia.
— Szefie! — wołał dostrzegając stojącego przy drzwiach Wilosa. Ale ani Wilos ani nikt inny nie odezwali się słowem.
— Pisz tu zaraz! — wołał Hrabia, jedną ręką wyciągnąwszy pióro z kieszeni, a drugą złapawszy wprawnie za ucho nagin Filka nad podsuniętym usłużnie przez Zemkę kawałkiem papier na stole. Jego zawsze ironiczna twarz miała teraz wyraz dra pieżnv, zdecydowany na wszystko.
Filkowi łzy kręciły się w oczach. Zagryzł wargi i pisał I.O.U. £ 22.15.00 — Stanley Filkowski.
Hrabia zgarnął kwit i resztę gotówki ze stołu. Sięgnął p płaszcz.
— *Sorry* — uśmiechnął się do wszystkich. — Rozumiec panowie nauczka, żeby z zasrańcami w karty nie grać. Ani n pić. A Kupiszowi się kłaniajcie i powiedzcie, że jak będzie s chciał zalać to zawsze i chętnie stawiam.
— Chybaj synku stąd pókiś cały — rzucił Maciejewski z ką i Hrabia raptem skurczył się i nie wciągając płaszcza na rękaw wysunął się z baraku.

◆

Filek po mału zbierał karty ze stołu nie podnosząc oczu. W baraku panowało milczenie, każdy starał się znaleźć coś do r

boty dla siebie. Kiryło podniósł z powrotem książkę do oczu, Wierzbicki i Suślik rozciągnęli się na łóżkach patrząc w sufit, Pańczak, Kowalczyk i Zemko powodowani widać zgodną troską zaczęli grzebać w walizkach szukając czegoś wytrwale. Maciejewski podszedł do profesora.

— Niech to jasny szlag! — zaklął Wilos — Nie dość, że człowiek ma same kłopoty, to jeszcze mu ludzie biją się w brygadzie.

Zemko podniósł głowę znad walizki i zaśmiał się.

— Nikt tu się nie bił — i po przerwie dodał znacząco: — Jeszcze.

Faktycznie nic się nie stało, tylko jeden sfajdał się w spodnie.

Nie czujesz jak śmierdzi?

Filek podskoczył w stronę Wierzbickiego.

— Co, miałem się bić? Co? — parskał wściekle. — Może majchra na niego wyciągnąć? A potem gnić w więzieniu. Nie, mnie już na takie sztuki nie nabierzecie. Nie mnie. Ale ja sobie odbiorę swoje, jeszcze mi ta mizerota hrabiowska zapłaci... I w ogóle — z ukosa spojrzał na Maciejewskiego — jeśli komuś się wydaje, że można człowiekiem pomiatać, to myli się. Ja powiadam, że myli się. Tu jest *free country*.

— Zamknij się Filek! — ryknął Wilos, aż tamten przysiadł zdumiony.

— Panie szefie!

— Zamknij się, dobrze? — przeszedł na spokojniejszy ton. — Ja sam mógłbym ci mordę skuć na naleśnik, czyli na krowie łajno. Rozumiesz? Rekord, cholera, największy bonus jaki kiedy był, a on diabelskie nasienie najlepszego maszynmana unieszkodliwia na amen! Panowie — zwrócił się do wszystkich i rozpacz zadrgała mu w głosie — co zrobim? Parson nam nie daruje. Najlepsza brygada, polska brygada nie może zawieść. A my co? Bez Kupcia nie damy rady...

— Nie można to jakiego chłopaka ściągnąć? — spytał Kowalczyk.

— Gdzie tam — machnął ręką szyftbos — niedziela, każden jeden poleciał do miasta. Żadnego Polusa w kampie ani na lekarstwo.

— A ten chudy Ajrysz, co się koło nas pętał ostatni tydzień?

Wilos wykonał niezdecydowany ruch ramionami.

— *Headforeman* też radził jakiegoś Ajrysza, ale wiecie panowie, jakże to? To przecież polska brygada, no nie?

— Usrać się na to — Filek podskoczył do Wilosa. — Tommy fajny chłop i robotnik pierwszorzędny.

— Ajrysz! — szczeknął Suślik.

— To co, że Ajrysz? O co chodzi? Monte Cassino idziemy zdobywać czy co do cholery? Panie szefie, bierzmy Tommiego, Ajrysz czy nie, to jest *free contry!*

Wilos patrzył jeszcze na innych szukając poparcia.

— Ile ci Judaszu zapłacił? — rzucił Maciejewski i wszysc ryknęli śmiechem.

— Chi, chi, chi... — pochlipywał Zemko. — To ci handlo wiec z Filka, na dwa końce pracuje.

Prócz wściekłego Filka nie śmiał się tylko profesor. Wyszed spomiędzy łóżek i przystąpił do Wilosa.

—A może ja mogę pomóc?

— Że jak proszę?

— Jeśli panom brakuje, to mogę w zastępstwie stanąć d pracy.

Wilos otworzył szeroko oczy. Z kąta, w którym siedzia Pańczak dobiegło ironiczne parsknięcie; zawtórował mu pogar dliwy śmiech Filka.

Inni milcząc patrzyli na przygarbioną, jakby niedorozwinię tą postać inteligenta.

— Pan nie... pan nie da rady... — sapał Wilos z trudności znajdując słowa, które by nie urażały profesora. — To ciężk praca.

— Pan nie wie bosie... — zaczął krzyczeć Piotr, ale Ma ciejewski przerwał mu i podszedł do Wilosa.

— Bierz pana i koniec. Nie wiesz to, że jemu nie pierwszy na? Na jesieni trzy miesiące pracował z Ambrożym.

— Jako maszynman?

— I jako maszynman także — potwierdził profesor.

— Ale dziś rekord, rozumie pan? — wahał się Wilos. — Ra pan zabije dryl, to koniec.

— Nie zabiję, może pan być pewny.

Wilos jeszcze się skrobał w głowę.

— Można by kogo przesunąć. Pańczak do bora... Albo ni bo kto na Einkę? Filek, może ty?

— Ja? — Ja tam nikomu szczęścia nie będę odbierał. Jak s pchają to niech się męczą. Mnie dobrze, gdzie jestem, niech s inteligencja kształci.

— Przestań się wygłupiać ty wszarzu! — krzyknął Maci jewski.

— Co już mówić nie wolno? Co? Terror faszystowski?

Filek się stawiał, ale cofał się jednocześnie w stronę drzw Już przy klamce odwrócił się w stronę Maciejewskiego i stan na baczność.

— Melduję posłusznie, co idę się w..... To wolno, nie? *Fre country mister* Maciejewski, *free country*.



Na odgłos wybuchu idący na przedzie Wilos podniósł głow i krzyknął wesoło.

— Fajno jest panowie. Durciak jeszcze wystrzelił, będzie c mokować na sam początek. Filek — zawołał do wlokącego s na końcu brygady — skacz do *powdermonkey* i sprawdź cz mamy dosyć *jelly!*

Filek roztrącił mokre krzaki i poszedł w bok ze ścieżki. Reszta minęła rozkopisko zarzucone sprzętem i gruzem i wchodziła do tunelu.

Szli jeden za drugim schylając się niepotrzebnie, przestępując szyny, podkłady, nawalone kamienie, pokręcone węże gumowe i ocierając się o wózki. W brudnym świetle żarówek zawieszonych pod chropowatym stropem mijali czarnych, zakopconych sharowanych kolegów z szyfty schodzącej. Pokrzykiwali i poklepywali się w przejściu.

Wynurzył się z półmroku Parson wraz z dwoma inżynierami i zatrzymali Wilosa. Z tyłu doleciał szum diesla w loco, który zapuszczał Piotr. Zaczęły stukać wagoniki.

Weszli w smugi zagęszczającego się dymu i zaczęli zbierać porzucone narzędzia. Dogonił ich Wilos.

— Chłopaki na start! — rzucił ich z miejsca do pracy. — Kiryło, Wierzba, Kowalczyk łapać pajpy, rozpędzać smokę. Maciuś ciąg światło. Pańczak sprawdzaj Einkę. I nie lenić się. Tylko te dwadzieścia fitów!

Już komenderował, wciskał kilofy i łopaty do rąk i popychał do działania. A im i tego nie było potrzeba. Już syczało powietrze z rur rozpędzając dym po wybuchu. Krztusząc się i ocierając łzy postępowali naprzód. Maciejewski ciągnął kabel z żarówką i nad rumowiskiem kamieni zabłysło światło. Zaczęła sapać Einka i zazgrzytała szufla o kamienie.

— Dawać skipy! — wzywał Pańczak.

— Relsy! — komenderował Wilos pierwszy rzucając się do dźwigania.

Sprawnie, celowo ruszali się w ciasnym tunelu kładąc szyny. Jedni dźwigali sektory, łącząc jedne z drugimi, inni oczyszczali przed nimi teren z głazów i wyrównywali. Podciągali rury i kable, podsuwali świdry. Zaterkotał motor lokomotywki, zastukały wózki podpychane pod Einkę gotową do ładowania.

Kiryło kuł kilofem rozbijając kawały skały naruszone wybuchem. Maciejewski obłupywał kamienie wiszące u stropu. Kilofy, łopaty, szufle dźwięczały w ruchu. Parskała i syczała Einka rzucając kamienie do wózków. Gruz huczał w blaszanych pudłach.

Już lał się pot i soczyste przekleństwa goniły się wzajem dopingując wysiłek.

— Bliżej skipę, ty maślana rączko! — darł się Pańczak na Zemkę.

— Nie stój jak ten dyszel na weselu! — posunął kogoś rozgrzany, uradowany tempem roboty Wilos.

Usuwanie gruzu czyli mokowanie postępowało szybko i z bezkształtnej ciemnej jamy wyłaniało się sklepienie tunelu. Wilos i Kiryło zbliżyli się do przedniej ściany skalnej. Szyftbos podniósł świder i naznaczał nim miejsca do borowania. Kiryło i Wierzbicki po bokach przystawiali się do skały i zaczęli się wżerać świdrami. Dryle huczały i prychały pomału zagłębiając się w kamień i wypuszczając przetarty miał z wodą.

— Profesor! — Wilos odstąpił do tyłu i wcisnął świder pro-fesorowi. Ty Kiryło stawaj we środek.

Popchnięty na boczne miejsce profesor przyłożył świder do napoczętego otworu, rozstawił szeroko nogi, podsadził się ruszył.

Przez chwilę każdy oderwał się od pracy i obserwował. Świder gładko zagłębiał się w skałę idąc w górę pod nieznacznym kątem.

— Do de! — Wilos krzyknął. — Nie tak! Profesor, stój!

Wyrwał świder i sam założył go z powrotem.

— Tu ręce. Ramię wyżej. I prosto, prosto! Rozumie pan? Nie krzywym ściegiem jakby wół najszczał.

Kiryło podsunął się i stanowczym ruchem odepchnął Wilosa.

— Idź no stąd do cholery. Damy sobie rady bez ciebie.

Sam nie ułomek Wilos na Kiryłę musiał spojrzeć w górę. Odepchnięty cofnął się, zmilkł w ustach przekleństwo i odszedł.

Przez chwilę Kiryło tłumaczył profesorowi istotę poprzednio uczynionego błędu i znów świdry zawarczały zgodnym rytmem.

— *Okey* — podniósł w górę kciuk Kiryło i sięgnął swoim drylem aż pod pułap. Pod niego podepchnął się Maciejewski.

Wgryzali się w skałę drążąc otwory, w które miały wejść ładunki szykowane przez Suślika i Filka. Wilos sprawdzał za-palniki. Zemko rozpinał druty. Ostatnie skipy z mokiem ruszały do tyłu. Pańczak odtaczał Einkę.



Naszpikowana ładunkami ściana gotowa była do wybuchu. Z każdej dziury wybiegał drut i łączył się z innymi w jeden kabel biegnący daleko do tyłu do maszyny zapalającej, przy której czu-wał Filek. Wilos kończył sprawdzanie.

— Panowie, zmiatać — zapędzał kolegów w dół tunelu sam biegnąc za nimi.

Przypadli dysząc do ściany, kryjąc się w załamaniach skały. Wilos obejrzał się i policzył wszystkich wzrokiem.

— Filek! Ognia!

Filek nacisnął dźwignię, raz drugi — milczenie.

— Szefie! — zawołał. — Nie działa.

— Cholera! — Wilos oderwał się od ściany wściekły na za-cięcie się całej maszyny roboczej. To on powinien był obsługiwać zapalniczkę, ale z prędkości wysłał Filka. — Próbuj. Sam sprawdzałem! — krzyczał do tyłu.

— Musi, przerwa na linii — odezwał się Maciejewski.

— Naturalnie — potwierdził profesor — tam gdzie ściana waliła się.

— Co? — spytał Wilos.

— Nie pamięta pan? Tam gdzie ściana zawaliła się.

— Gdzie?

— Panie szefie! — wzywał Filek. — Co robić? Mam lecieć po nową baterię?

— Rębać żarówkę! — Pańczak doradzał niebezpieczny, al

czasem stosowany sposób odpalania przez łączenie kabla z prądem oświetlającym tunel.

— Jeszcze raz. Jeszcze raz spróbujemy. — Wilos stał bokiem przy skale odwrócony w stronę Filka.

— Stój — krzyknął Kowalczyk — Profesor — wskazał ręką na postać wspinającą się po kamieniach w odległości kilkunastu metrów w przedzie.

— Stać! — wrzeszczał Maciejewski podskakując do zdrętwiałego Wilosa. Wszystko było za późno. Wybuch targnął górą i rzucił ich o ziemię. Zamigotało światło. Zadudniły sypiące się kamienie. Tunel napełnił się dymem.

Pierwszy podniósł się Maciejewski i skoczył w kłębiącą się ciemność. Za nim chwiejąc się wpół ogłuszony Kiryło.

Wilos pomału podnosił się z ziemi i patrzył jak nieprzytomny to na przewalający się dym w przodzie, to w tył na skurczonego Filka.

— Ty... ty skurwysynie!

— Kto kazał raz jeszcze. Kto kazał raz jeszcze? — piszczał przerażony Filek potrząsając rękami przed sobą.

Zasyczało sprężone powietrze. To Wierzbicki, a za nim Zemko i Kowalczyk ciągnęli pajpy i szli rozpędzać dym wybuchu.

Wilos zebrał się wreszcie i ciągnął za nimi światło.

Z opadającego kurzu i dymu wynurzyli się Kiryło i Maciejewski, prowadząc między sobą profesora. Wilos stanął przed nimi oświetlając bladą twarz rannego. Przez czoło i pół łysej czaszki biegła czarna nalewająca się krwią krecha. Szyja, ramiona, podarty podkoszulek były w smugach ziemi i krwi.

— Kabel był przerwany — powiedział profesor — tylko przytknąłem i już...

Uśmiechnął się z trudem i zaczął kaszlać krztusząc się dymem.

— Żyje pan? — zdobył się na słowa Wilos.

— Nie widzisz idioto! — parsknął gniewnie Maciejewski.

Szyftbos odzyskał przytomność i zakręcił się, rzucając się do akcji.

— Filek! — komenderował. — Leć po doktora. Pańczak po nosze!

— Nie trzeba — profesor wyzwolił się z rąk podtrzymujących. — Dam radę, tylko chwilkę odpocznę. A panowie do roboty. — Wyprostował się i ręką popchnął Wilosa.

— Jakto?

— Rekord panie Wilos! Rekord.

— Bonus. — zaśmiał się Maciejewski.

Wilos wciąż jeszcze nie rozumiał. Inni patrzyli z lękiem na profesora i wahali się co robić.

— Naprzód. Do roboty. — zawołał Kiryło i zagarnął ich wszystkich ze sobą.

Maciejewski szybko zdarł ze siebie koszulę i chciał opatrywać głowę profesora, ale ten odepchnął pomoc i tylko chustką

od nosa delikatnie tamponował i ocierał ranę. Zostawił mu t koszulę i jeszcze jedną chustkę i pobiegł za Kiryło.

Wilos tylko jeszcze stał niepewny, ale zebrał się w sobie.

— Filek. — krzyknął na cały głos, choć ten stał przy ni cały czas. — Do przodka! A pan... — pochylił się pieczołowici ku profesorowi. — Da pan radę z... z tymi ładunkami?

Profesor skinął głową, wysyłając go naprzód do reszty.

Wilos poszedł, a zanim przesunął się zgarbiony, cichy Filek

Kiedy nadjechał z railsami Piotruś, profesor przyjął go wy prostowany, swobodny jakby nic się nie stało. Głowę przewią zaną dwoma chusteczkami trzymał wysoko.



Nie skończyli jeszcze swej szyfty, nie wywieźli ostatnic skip, a już Parson z dwoma inżynierami zaczął mierzyć i spraw dzać ile wybrali skały. Wilos został z nimi a reszta wyszła z tu nelu na powietrze.

Deszcz siąpił i skrzył się w świetle żarówek, czarna ścian lasu bliska i zgęstniała okapywała szemrząc kroplami, gdzieś w dole nad jeziorem szumiał północny wiatr.

Stali czarni, wysmarowani, okrwawieni, zmęczeni, zziajan wdychając w płuca haustami zimną wiosenną noc górską. Po środku Kiryło wielki jak skała, obok Maciejewski, profesor z gło wą biało przewiązaną i inni.

— Pobiliśmy. Chłopaki! Pobiliśmy rekord!

Dobiegł ich z tyłu radosny głos nadbiegającego Wilosa Wyskoczył z tunelu i roztrącił ich na boki. Za nim wyszedł Par son z inżynierami.

— *Well done, boys. Well done! Congratulations* — przemó wił menażer.

Wyciągnął rękę do każdego potrząsając gwałtownie. Naj dłużej zatrzymał się przed Kiryłą patrząc na potężną postać.

— Patrzcie — zwrócił się do inżynierów — to są polsc chłopcy. *Polish tough boys*. Ja jestem dumny panowie, że mog z wami pracować.

W tej chwili z boku podsunął się Filek.

— *Mr. Kiryło is Ukrainian, mr. Parson.*

Kiryło tylko niewiele okręcił się w bok, ale pięść wystrzeliła jak błyskawica i Filek już siedział na ziemi trzymając się obu rącz za szczękę.

— Mr. Kiryło — żachnął się Parson — *why you have don it? Why?*

— *It is free country, isnt't?*

Nie patrząc na Parsona, ani na Filka, Kiryło zawrócił si i ruszył ścieżką w dół do baraków. Za Kiryło szedł profesor, Ma ciejewski, Kowalczyk, Wierzbicki, Zemko, Suślik, Pańcza i Piotruś.

Wilos przystanął chwilę nad Filkiem, ruszył ramionam i powlókł się za brygadą.

Czesław DOBEK

NOTA

Zaraz po wojnie w ramach akcji uprzemysłowiania Szkocji, podjęto na szeroką skalę budowę elektrowni napędzanych wodą z górskich jezior (*loch'ów*). Woda opadająca na turbiny płynęła licznymi tunelami, które trzeba było przebijać w skałach.

Najbardziej znane i największe było połączenie tunelami, przekopami pomiędzy dwoma jeziorami — Loch Sloy (mniejsze i wyższe) i Loch Lomond pod Glasgowem.

Robotnicy pracujący — jak to się popularnie nazywało — w tunelach, przeważnie sprowadzeni z Niemiec z obozów Dipisów, stanowili mieszaninę narodowości; wśród nich Irlandczycy i Polacy, także i byli żołnierze, którzy przeszli PKPR.

Mimo bardzo ciężkiej pracy i trudnych warunków życia w niezbyt dobrze zorganizowanych obozach, wielu szło do tunelu ze względu na wysokie zarobki sięgające 20 funtów tygodniowo (zarobek robotnika niewykwalifikowanego wynosił wówczas około 5 funtów).

Nie zrażały też niebezpieczeństwa i liczne wypadki poranienia a nawet śmierci spowodowane najczęściej zupełnym brakiem doświadczenia.

Polacy byli cenieni jako robotnicy i polskie brygady brały udział w zdobyciu rekordu świata na przekopanie tunelu w skale — w ciągu tygodnia wywiercono 431 stóp tunelu.

W opowiadaniu „Free Country" starałem się przedstawić atmosferę życia i pracy Polaków w tunelu nie opisując ani osób, ani faktów realnych.

Obce środowisko, praca dotąd nieznana i narzędzia nieużywane dotychczas a posiadające nazwy angielskie — to wszystko spowodowało powstanie żargonu „tunelowego" wydaje się więc pożyteczne załączenie krótkiego słowniczka.

SŁOWNICZEK:

Ajrysz (*Irish*) — Irlandczyk
Bonus — wynagrodzenie za przekroczenie normy w pracy
Fit, fity (*feet*) — stopy, miara długości
Foryner (*foreigner*) — cudzoziemiec
Dryl (*drill*) — świder
Einca, einka lub emka — maszyna do usuwania gruzu pędzona sprężonym powietrzem.
Jelly, dżely — dynamit plastyczny
Loko (*loco*) — lokomotywka ciągnąca wagoniki w tunelu
Maszynman — pracujący świdrem
Mok — gruz po wybuchu ściany tunelu
Kamp (*camp*) — obóz, kampbos — kierownik obozu
Kubik — oddzielny pokój w baraku
Pajpa — rura, wąż gumowy z wodą albo sprężonym powietrzem
Powdermonkey (wym: paudermonkej) — odpowiedzialny za materiały wybuchowe.
Relsy, *railsy* — szyny
Skipy (*skep*) — wagoniki — wywrotki do wywożenia gruzu
Szyfta — zmiana, szychta, brygada robotnicza
Szyftbos — brygadier, starszy szychty
Wystrzelić — spowodować wybuch ściany w tunelu
Zabić dryl — unieruchomić świder, np. bez dopływu wody do świdra, przetarta skała zaciska świder w ścianie.

Anatol Muhlstein

Latem 1917 roku w przedziale pociągu, jadącego z Poznania do Berlina, siedziało naprzeciw mnie dwóch wyższych oficerów niemieckich. Rozmawiali żywo o okupowanej Belgii, gdzie obaj sprawowali wyższe funkcje wojskowe. Jeden z nich opowiadał, że generalny gubernator, baron Bissing, znajduje co pewien czas na swym biurku gazetę, wydawaną przez belgijski ruch oporu. Mimo usiłowań policji polowej nie zdołano wykryć, kto ją redaguje i gdzie jest drukowana. A choć front odcinał Belgię od zachodu gazeta zamieszczała regularnie komunikaty wojenne wrogiej Koalicji. W okresie, w którym nie znano komunikacji radiowej przedstawiało pochodzenie komunikatów dla sztabu generał-gubernatorstwa zagadką szczególnie niepokojącą.

Minęło lat 3 i przez te same, już pobite, Niemcy przejeżdżałem towarzysząc Ministrowi Spraw Zagranicznych, Stanisławi Patkowi, w delegacji na konferencję finansową w Brukseli i zebranie Rady Najwyższej w Spa. Przyjmował nas poseł polski w Belgii, Władysław Sobański. Gdy zapoznawał mnie ze swym sekretarzem Anatolem Muhlsteinem, powiedział mi, że to młody a wybitnie zdolny Żyd polski, który skompromitowany w 1905 roku przechowywaniem bomb w składach drzewa swego ojca, uciekł zagranicę i tam ukończył studia. Po wojnie światowej otrzymał wysokie belgijskie odznaczenie bojowe. Bo to on właśnie był założycielem i wydawcą tajnego pisma ,,Le Flambeau'', które tak drażniło gen. von Bissinga i jego sztab. Redagował je w zamurowanej piwnicy, drukował dzięki zmowie z kolejarzami, w tenderze lokomotywy kursującej między Brukselą i Gandawą. Komunikaty wojenne Entente'y odbierał ukrytym w dziupli drzewa telefonem, który Bóg wie jak przeciągniętym drutem połączony był z tamtą stroną frontu.

Rewolucja 1905 roku, wojna światowa 1914-18, stanowiły heroiczne etapy w życiu Muhlsteina. Nastąpiły po nich etap intelektualny i etap dyplomatyczno-salonowy. W końcu został finan-

Materiały drukowane w tym dziale zamieszczane są na odpowiedzialność autorów i nie są wyrazem poglądów Redakcji.

sistą, ale tylko dzięki małżeństwu, dzięki odziedziczonym talen tom i tylko na marginesie właściwych, politycznych i literackich zainteresowań.

W Brukseli i Spa Muhlstein, jeszcze zapuszczony w stroju dbający bardziej o zachowanie stylu kawiarnianej *bohême'y* ni o prawidła protokólarne, obracał się głównie w sferach pras międzynarodowej. Nakładanie fraka i czyszczenie paznokci uwa żał za przesąd. Jak potem do końca życia podkreślał swe ży dostwo, ale głęboko zaciekawiony był katolicyzmem i przyjaźni się z Dominikanami.

Po znów paroletniej przerwie spotkaliśmy się w 1925 roku w Locarno. Wezwany przez Aleksandra Skrzyńskiego, przyje chał Muhlstein na konferencję już jako obyty i ogładzony w świecie dyplomata. Miał wielu znajomych w delegacji francuskie i belgijskiej, ze starym Emilem Vandervelde odbywał codzienn długie rozmowy. Przynosił z nich cenne informacje i wskazówki Zawsze pełen pomysłów, pierwszy ukuł slogan o ,,duchu Locar na'', który lansowany następnie przez Skrzyńskiego na konfe rencji prasowej miał przyczynić się do rozszerzającej interpre tacji zbyt wąskiego i traktującego nasz rejon po macoszem tekstu układu.

Bruksela między dwoma wojnami łączyła w sposób swoist dostojeństwo stolicy królestwa z cechami prowincjonalneg przedmieścia Paryża. Była miastem gdzie zarabiało i jadło si dobrze, a żyło i myślało solidnie, ale wolniej niż nad brzegam Sekwany. Muhlsteina ciągnęły ruchliwe pola elizejskie, nęci gwar salonów politycznych i artystycznych kawiarni Montpar nasse'u. I tu i tam wiedział, jak się obracać i jak się przemykać Uzyskał przeniesienie do Ambasady R.P. we Francji i pozosta w niej do końca swej służby, wpierw jako pierwszy sekretarz potem jako radca i minister pełnomocny.

Szefem placówki paryskiej był wówczas Amb. Alfred Chła powski, człowiek o wielkich zaletach politycznych i towarzyskich lubiący, jak niemal wszyscy wielkopolanie, postępować z meto dą i systematycznie. Nie pamiętam, czy był z nominacji Muhl steina zadowolony, ale gdy przydział jego stał się faktem, odniós się do nowego współpracownika ze zwykłą lojalnością i życzli wością. Zamierzał wprowadzić go w świat polityczny i dyplo matyczny, przedstawić go swym utytułowanym i klubowym przyjaciołom. Operację przygotowywał powoli i starannie. Ni docenił tylko jednej rzeczy, a mianowicie niecierpliwości i obrot ności nowego sekretarza. Bez czekania na dawno zapowiadan debiut oficjalny, zaprosił Anatol któregoś dnia swego szefa d świeżo urządzonej garsoniery. Cisnęli się w niej ludzie nosząc najświetniejsze nazwiska. Cechująca późniejsze obiady w dom już żonatego Muhlsteina umiejętność dozowania rządu, parla mentu, literatury, arystokracji, episkopatu, objawiła się wted po raz pierwszy. Następne przyjęcie w Ambasadzie odbyło si już nie dla przedstawienia Muhlsteina, ale z jego pomocą.

Z Paryża wzywano go często na zebrania Rady i Zgromadzenia Ligi Narodów do Genewy. Jego przyjaciel, Tadeusz Gwiazdoski, miał wryte w pamięć wszystkie teksty i terminy, Anatol Muhlstein znał wszystkich ludzi, ich powiązania i nastroje. Opary zalegające nad Lemanem nie utrudniały mu orientacji, bo kierował się głównie intuicją i węchem. Był z epoki i szkoły Brianda, jak on rozumiał nieraz, zanim wiedział. Barwna plama słowa, rzucona umiejętnie na tło szarego tematu, znaczyła dlań więcej niż ostry zarys paragrafu. Pamiętam nerwowy tik i grymas Muhlsteina spotęgowane irytacją, gdy słuchał jak mądry, ale mało wymowny minister spraw zagranicznych Polski, August Zaleski, jąkaniem niweczył efekt najpiękniej literacko i najchytrzej politycznie przygotowanych przezeń oświadczeń.

W tym samym czasie ożenił się z Dianą de Rothschild, która prócz wybitnej urody i znacznego majątku przyniosła mu w posagu poparcie i rozgałęzione stosunki najpotężniejszej dynastii bankierskiej świata. Salon Muhlsteinów stał się jednym z uznanych salonów politycznych Paryża. W jego ścianach spotykały się i niekiedy krzyżowały wpływy Ambasady Polskiej i innej międzynarodowej siły, wcielonej w dom Rothschildów.

Do tej pory dwoistość w życiu Muhlsteina nie przeradzała się nigdy w sprzeczność. Czuł się Żydem i czuł się Polakiem. Antysemityzm nie budził w nim uczucia nienawiści lub odwetu, raczej nieco wyniosłe zdziwienie. Często powtarzał, iż nie rozumie jak można nie doceniać wartości rasy, której zawdzięcza ludzkość wiele z najgłębszych idej, od nauki chrześcijańskiej aż po teorię względności. Do Polski był szczerze przywiązany, lecz Polskę stanowiły dlań przede wszystkim miasto dzieciństwa — Warszawa i ,,Pan Tadeusz'', z którym się nigdy nie rozstawał, którego wciąż odczytywał i słowa znał na pamięć. Mały, zniszczony tomik, wyciągany z sakwy podróżnej czcił jako biblię polskiego patriotyzmu i polskiego tułactwa. Syn ludu Księgi odnajdywał w nim całą ojczyznę. Niby motto swego życia prywatnego, swej kariery politycznej i światowej powtarzał słowa:

...było cymbalistów wielu,
Ale żaden z nich nie śmiał zagrać przy Jankielu!...

Właśnie dlatego, że sam pozbawiony był jakichkolwiek urazów, lubił o Żydach, którzy zajmowali wybitniejsze stanowiska, opowiadać anegdoty i robić cięte uwagi. O znanym z odwagi generale Bernardzie Mondzie mawiał, że asymilował się na Kmicica. Gdy Leon Blum, którego wysoko cenił, został po raz pierwszy premierem, przestrzegał, że ludzi krwi żydowskiej krępują często w polityce więzy przyjaźni i pokrewieństwa. Każdy z nich jak cadyk-cudotwórca ciągnie za sobą cały dwór Klientów i pociotków. Zraża tym opinię i często z protektora staje się ofiarą własnego otoczenia.

Swoją osobistą linię życiową, swój styl własny, zachowywał Muhlstein nawet w gastronomii. Kiedy dojeżdżając do Warsza-

wy prosił przyjaciół na śniadanie, traktował ich wpierw ryba po żydowsku na Nalewkach, a na drugie danie befsztykiem z po lędwicy u Krzemińskiego. W ten skomplikowany topograficz nie układ menu wchodziło zapewne nieco pozy, ale pozy świa domej i nie pozbawionej autoironii. Znaj Pana — znaj Żyda.

Ambicją jego, której nie ukrywał i której nie wyrzekł si nawet po opuszczeniu kariery dyplomatycznej, było objęcie sta nowiska Ambasadora R.P. w Paryżu. Mówił o tym zupełni otwarcie. Chciał zostać ambasadorem nie mimo pochodzenia ży dowskiego, ale jako Żyd czujący po polsku, który swe wpływy i stosunki, plemienne czy potem też rodzinne, może wstawić w służbę sprawy polskiej. Z końcem 1939 roku był tylko o krok od obiecanej mu przez Gen. Sikorskiego realizacji tego projektu Ale w okresie przedwojennym, kiedy jako minister pełnomocny urzędował jeszcze na avenue de Tokio, zrozumiał jak nieraz w praktyce trudno klucz do archiwum ambasady i klucz skarbca Rothschildów złączyć w jednym pęku.

Inny konflikt zaczął równocześnie zakłócać jego pracę Muhlstein był za młodu socjalistą. Z biegiem lat skłaniał się co raz bardziej w kierunku dość eklektycznego liberalizmu. W poli tyce międzynarodowej pociągały go zagadnienia związków po nadpaństwowych, zaciekawiała rzucona przez Brianda idea euro pejska. Nasiąkał humanistyczną kulturą francuską, na wschód i ten w kontuszu i ten w chałacie, patrzał nadal z rozrzewnie niem ale z oddali. Łącznikiem między realną codzienną praca polityczną a przeszłością rewolucyjną, a odległym w czasie i prze strzeni krajem młodości, wydał mu się Józef Piłsudski, z które go ramienia spełniał ważne i poufne misje polityczne w samym Paryżu i jeździł do Kowna. Podziwiał go, sycił nim swą wyobraź nię, napisał o nim książkę. Stanął wśród Piłsudczyków, ale nie w wyrównanym szeregu, raczej nieco na uboczu.

A szeregi wyrównywano coraz bardziej, coraz mniej dopu szczano osóbek i odchyleń. Pułkownik Beck komenderował pol ską polityką zagraniczną jak dywizjonem artylerii konnej. Na rowistych szkap nie znosił na poligonie. Irytował się na mgły nad Sekwaną i mgły nad Lemanem, które pomniejszały precyzję sztabowo ustalonego manewru. Myślał źle o Paryżu, gdzie o nim myślano jeszcze gorzej.

Dla Muhlsteina, bywalca zebrań ligowych, wierzącego we Francję mimo jej przejściowej słabości, zabrakło w takim ukła dzie miejsca. Wpierw przestrzegał, przekonywał, protestował, potem wycofał się do swej pozłacanej samotni. Rzucił służbę i politykę polską, zaczął robić pieniądze.

Klęska wrześniowa 1939 r. wydobyła znów na wierzch jego patriotyzm. Stanął przy gen. Sikorskim, służył mu radą i stosun kami, zabiegał o uznanie przez Zachód jego rządu. Jako Polak, jako frankofil, cieszył się gdy andegaweński zamek Walezjusza wawelskim kształtem odbijał się w Loarze. Toczące się szybko wydarzenia zamąciły wnet krótkotrwały miraż. Po kapitulacji

Francji wyjechał Muhlstein do Stanów Zjednoczonych, zajmował się w New Jorku interesami teścia i własnymi, z biegiem lat przyjął obywatelstwo amerykańskie. Zbyt wiele posiadał jednak energii i imaginacji, by w światowej walce o wolność pozostać bierny. Zawsze wrażliwy na gest i legendę, tak jak niegdyś przez Marsz. Piłsudskiego, tak teraz urzeczony był przez gen. de Gaulle'a. Nazwisko Muhlsteina widnieje wśród pierwszych za morzami gaullistów.

Do wyzwolonego Paryża wrócił z paszportem U.S.A., ale nie nagięty do stylu nowego świata, ale znużony tułaczką po różnych krajach i zawodach. Nad Sekwaną przeżył niegdyś najszczęśliwsze lata i tu postanowił ostatecznie zarzucić kotwicę. Nie zażegnał jednak fatum Ahasvera. Nawet próbę ustalenia losu opłacił nową zmiana książeczki paszportowej: zaliczony został w poczet obywateli Czwartej Republiki.

W obszernym mieszkaniu, na paryskiej avenue du Président Wilson, wśród książek i wspomnień, witał zbliżającą się starość. Raz jeszcze wznowił tylokrotne dawne przechadzki po kuluarach zebrań międzynarodowych, gdy tym razem w składzie delegacji francuskiej, udał się na Zgromadzenie Narodów Zjednoczonych do Nowego Jorku. Dojeżdżał do Brukseli, gdzie już bez dziupli w drzewie, tenderu lokomotywy i innych romantycznych akcesoriów wojny i młodości wydawał nadal ,,Le Flambeau''. Przede wszystkim jednak, po gwarze i gonitwie całego życia szukał wypoczynku. Wyjście ze służby dyplomatycznej rozluźniło jego stosunki z dawnymi polskimi kolegami. Rozstanie się z żoną oddzieliło go, choć bez zadrażnień, od rodziny Rothschildów. Byłby został samotny, gdyby nie obecność córek. W przywiązaniu do nich, w ambicji dla ich przyszłości, skupił wszystkie swe minione przywiązania i ambicje.

Zamykał się więc w skorupie ojca rodziny, oświeconego kosmopolity i dyletanta. Do polskiego środowiska uchodźczego, które znał coraz mniej, odnosił się z uczuciami złożonymi. Pociągało go i czuł się w nim obcy. Interesował się Zespołem Kultury w Maisons-Laffitte, bo ulegał osobistemu, malarskiemu i pisarskiemu urokowi Józefa Czapskiego, bo odpowiadała mu nie nadmiernie obowiązująca lewicowość pisma, bo rozumiał i sam przeżywał wahania między amerykanizmem a neutralizmem. Stawiał się na Trzeciomajowe nabożeństwa w kościele de l'Assomption i ostentacyjnie cieszył się hebrajskim napisem nad głównym ołtarzem. W Bibliotece Polskiej podszedł kiedyś do mnie po wieczornym wykładzie i zapytał, kto są ci wszyscy nieznajomi na sali. Odpowiedziałem: To Polacy. Już zapomniałeś? Mogłem tak powiedzieć, bo byłem pewien, że nie zapomniał.

Jak mało zapomniał, okazało się przed jego śmiercią. Powalony chorobą, żegnając się z życiem i bliskimi, znajdował słowa tylko polskie. Zbędne w ostatniej podróży paszport amerykański, paszport francuski, leżały zamknięte w biurku. Umierają, jak za młodu ,,... ojczyznę jako Polak kochał''.

Pochować się kazał na zapuszczonym cmentarzu u skra posiadłości podparyskiej, którą nabył po wojnie, by dać córko własny dom rodzinny. Wśród krzyży, zdobiących porosłe chw stem wiejskie mogiły, wykopano mu grób, na którym nie b dzie widnieć znak ani starego, ani nowego przymierza. Tylk opodal wznosi się jak Mur Płaczu kaleka ściana na wpół zru nowanego kościoła. Domu modlitwy za żywych i umarłych.

Kajetan MORAWSKI

Więzienie sowieckie (4)

Uzyskałem w tych rozmowach potwierdzenie mego przek nania, że Rosja wszystko jedno jaka : carska, sowiecka i jaka nie była inna, jest śmiertelnym wrogiem Polski i będzie w ka dych okolicznościach sięgać po nasze ziemie. Jedynie całkowi jej klęska i rozpad na szereg państw narodowych, może Pols zapewnić warunki trwałego pokojowego życia. Każda Rosj obejmująca terytoria dawnego państwa carów, będzie dążyła zniszczenia nas, Polaków, jako samoistnego państwa i odrębne narodu, narzucając nam swoje azjatycko-tatarskie formy by i dążyć będzie do rozszerzenia swego panowania dalej na Europ

Rozmowy ze skazanymi na 10 — 15 lat obozów pracy, kt rzy już wiele przecierpieli, a wielu przeszło straszne wprost r czy, dały mi nowy dowód, że komunizm jest przede wszystk ruchem religijnym. Jest to wiara w ,,Królestwo Boże'', kt zostanie dzięki niemu sprowadzone na ziemię. Droga do te celu jest długa i ciężka. Trzeba zniszczyć kapitalizm, jako ust wyzysku człowieka przez człowieka. Trzeba by ludzie utra przywiązanie do prywatnej własności jako źródła egoizmu, a n czyli się żyć i pracować dla wspólnego, powszechnego dob Trzeba przenieść wiele wyrzeczeń, związanych z wielkim mo nym przewrotem, który rozpocznie nową erę ludzkości. Trze wszystkie siły i środki na razie rzucić na szalę walki o lepsze tro. Przy realizacji tego wielkiego celu, mogą mieć miejsce myłki i niesprawiedliwości, czego świadectwem są ci, któ pomimo że są dobrymi komunistami, siedzą dziś po więzienia i obozach pracy, ale to wszystko wynagrodzi lepsze jutro. Ta g boka wiara w fikcję ,,Królestwa Bożego'', tak daleka od r

nej rzeczywistości sowieckiej, ta wiara w lepsze jutro, gdy dzisiejszy dzień jest o tyle gorszy od wczoraj, jest potężną siłą ruchu komunistycznego w Sowietach i daje mu olbrzymie siły odporne. Równocześnie wiara komunistyczna, mimo że oparta na przesłankach materialistycznych, jest potwierdzeniem, że o wiele ważniejszą stroną w życiu człowieka, są jego uczucia i jego poczucie moralne aniżeli materialna strona życia, którą lekko i łatwo poświęca i to tak dalece, że gotów jest dla niej umierać, o ile przyświeca mu wyższa idea, która opanowuje jego uczucie, o ile jego moralne poczucie jest owiane wiarą choćby w fikcję, jeżeli fikcja jest tak silna, że go opanowała całkowicie.

Ta mocna wiara w fikcję, przysłoniła obywatelowi Związku sowieckiego realną nędzę codziennego bytowania. Każe mu się cieszyć dziełami socjalistycznego budownictwa i każe łatwo wyrzekać się najprymitywniejszych potrzeb codziennych na rzecz szczęśliwego jutra, które przyjdzie. Stwarza z Sowietów potęgę militarną, opartą nie tylko o wybudowany olbrzymimi ofiarami przemysł wojenny, ale przede wszystkim o silną wiarę w komunizm, jako ideę i drogę do przyszłej szczęśliwości, potęgę, która brutalną siłą gotowa jest swą wiarę narzucić innym.

Wprowadzenie komunizmu w Europie drogą pokojową jest niemożliwe. Nawet ci co się za komunistów uważają w Polsce, we Francji czy Anglii, są bardzo dalecy od tego, czym jest komunizm rosyjski. Zresztą nie mają żadnych szans realizacji swego programu. Większości ta idea w żadnym kraju zdobyć nie może. Natomiast może być narzucona siłą. Próbkę takiego przemocą realizowanego komunizmu mieliśmy w roku 1939, gdy Sowiety okupowały siłą część Polski i kraje bałtyckie. Setki tysięcy ludzi poszło do więzień i na zesłanie. Całe życie społeczne, narodowe i ekonomiczne zostało zniszczone i komunizm został wprowadzony, pomimo, że go nikt sobie nie życzył i mimo, że go wszyscy potępiali. Pierwszymi, których aresztowano byli przecież komuniści, a jednak głosowania dały 98% głosów komunistycznych przy sowieckich wyborach — najlepszy dowód zastosowanego terroru. Tą drogą może komunizm być wprowadzony wszędzie i wszędzie okaże się, że posiada owe 98% zwolenników. Trzeba tylko na to wpierw opanować kraj bagnetami czerwonej armii, a potem wprowadzić terror polityczny słynnymi metodami NKWD. Gdy tłumaczyłem moim towarzyszom więziennym, że chłop polski i robotnik, nie życzą sobie komunizmu, odpowiadali mi, że jeżeli tak jest istotnie, to jest to tylko dowód, że brak im klasowego uświadomienia i że są obałamuceni przez religię, państwo i klasy posiadające. Jeżeli te siły zostaną zniszczone, a chłop i robotnik polski otrzyma należyte klasowe uświadomienie komunistyczne, to wówczas stanie się dobrym komunistą i obrońcą swego ustroju, jako ustroju, który służy jego bezpośrednim interesom i wyzwolił go od wyzysku klas posiadających. Ten zaś co będzie miał wątpliwości, lub nowej wiary nie przyjmie, pójdzie do obozów. W tym co

słyszałem nie ma w istocie nic nowego. Tak samo postępow i inne religie w stosunku do innowierców. Mieczem szerzyli r hometanie wiarę Proroka. Tak samo postępowali rycerze kr żowi nawracając pogan. Jeżeli propaganda nie daje wyników wówczas nową wiarę szerzy się mieczem, a kto nie chce się wrócić winien zginąć. Tak samo współcześnie postępują Nie cy, którzy też niosą ze sobą nową wiarę, że są narodem powo nym do panowania nad światem.

Cechą istotną każdego ruchu religijnego jest brak tolerar wobec konkurencyjnych poglądów religijnych, tym się też t maczy, że zarówno w Niemczech jak i w Sowietach rozpocz się walka z chrześcijaństwem i przede wszystkim z kościoł katolickim, jako z najsilniejszym przeciwnikiem. Sowiety w cząc z prawosławiem, a więc ze słabym przeciwnikiem, odnic pełne, jak sądzę pozorne, zwycięstwo. Dziś oba te światopog dy religijne stanęły przeciw sobie, by stoczyć ze sobą bój śm telny. Bój, który toczy się, to bój dwóch różnych światopog dów religijnych, jeden i drugi, każdy na swój sposób, c uszczęśliwić ludzkość. Kto nie chce być uszczęśliwiony ma z nąć. Walka między hitlerowskimi Niemcami a bolszewicką I sją, może skończyć się jedynie całkowitym zniszczeniem jed go lub obu przeciwników... W walce tej nie ma miejsca na ko promis i nie ma pardonu. Jeden musi zwyciężyć lub obaj mu zginąć.

Należę do niewierzących. Nie chcę być uszczęśliwiony przez jednych, ani przez drugich. Jestem wyznawcą etyki chi ścijańskiej i rzymskiego prawa tak samo jak i mój naród. było przyczyną, że Polskę obie te siły napadły. Polska wz na siebie cały ciężar nierównego boju i dzięki temu pozwo zmobilizować się światu w obronie zasad prawa i etyki chrze jańskiej. Sama została w tym nierównym boju pokonana.

Dziś obie te siły, które napadły na Polskę, stanęły naprze siebie i niszczą się nawzajem. Ocena sił przekonuje mnie, w tym boju zwycięstwo przypadnie Niemcom. Oczekiwałem wet szybkiej klęski Sowietów. Okazało się jednak później, Sowiety zdołały stawić opór silniejszy, niż ktokolwiek to m przypuszczać. Jest to jeszcze jeden dowód, jak wielkie znac nie w walce posiadają siły moralne. Wszystko jedno jakie ich źródło. Nawet, gdy osnową jest fikcja, daje ona siły poz lające ludziom dla niej umierać. Obok sił materialnych, Sow przeciwstawiły także potędze niemieckiej siły moralne, wiar ustrój sowiecki i „Królestwo Boże", które ten ustrój na zie sprowadzi.

To co piszę o siłach moralnych w Związku Sowieckim obowiązujące dla partii komunistycznej i elementów miejsk bardziej przepojonych propagandą sowiecką. Ma jednak już ko w bardzo ograniczonym stopniu zastosowanie do wsi sov ckiej. Tu sytuacja jest inna. Wskutek wprowadzenia kołchoz na wsi nurtują silne antysowieckie nastroje. Trzeba jednak par

tać, że chłop rosyjski jest z natury dobrym materiałem żołnierskim, co stwierdziła wojna światowa, zaś kadra oficerska i podoficerska przepojone światopoglądem komunistycznym, decydują o moralnej wartości czerwonej armii.

Obok wiary w komunizm, jest jeszcze jedna siła moralna w masach sowieckich i to zarówno w masach wiejskich jak i w miastach, która pomnaża siły sowieckiego oporu. Obywatel sowiecki nie był nigdy człowiekiem wolnym. Po niewoli tatarskiej, przyszła niewola carska, a po carze przyszły Sowiety. Obywatel sowiecki nie wie czym jest wolność. Czuje jednak na sobie gwałt przemocy. Propaganda sowiecka wytłumaczyła obywatelowi sowieckiemu, że przed rewolucją był w niewoli cara i panów. Panów każdy obywatel znał i stykał się z nimi. Byli to jego bezpośredni przełożeni i gnębiciele, którzy żyli z jego pracy i nędzy, sami zażywając bogactw i rozkoszy życia. Przeciw nim zrobiono rewolucję. Panowie znikli, dziś ich nie ma, a więc nie ma i ciemiężców. To, że zamiast panów przyszło państwo i jego aparat, wprowadzając gorszy ucisk aniżeli car i panowie, tego oczywiście obywatel sowiecki nie rozumie. Doktryna socjalistyczna i propaganda zasłoniły mu zupełnie obiektywny sąd i powyżej przytoczone prymitywne rozumowanie stało się jednym z jego dogmatów wiary. Obecnie ta sama propaganda, rzuciła hasło: Świat kapitalistyczny — hitlerowskie Niemcy — chcą znów narzucić rządy panów, chcą obywatela sowieckiego, ,,wolnego obywatela'' pracującego dla państwa socjalistycznego, państwa chłopów i robotników, dla socjalizmu i dobra klasy pracującej, uczynić wyzyskiwanym niewolnikiem kapitału. Dziś pracuje on ciężko i jest źle płatny, to prawda, lecz nie ma wyzyskujących, nie ma tych, co żyją z jego pracy i pracą tą się bogacą. Cały zysk idzie dla wspólnego dobra, na budowę socjalistycznego państwa w powszechnej szczęśliwości. To, że w istocie cały wysiłek pracy w Sowietach, wysiłek istotnie bardzo wielki, idzie na zbrojenia, oraz że ten nieproduktywnie skierowany wysiłek jest powodem nędzy w Sowietach, nadto że rozmiar zbrojeń przekracza możliwości sowieckie, a więc musi się wyrażać w coraz większym obniżaniu stopy życiowej — z tego sobie nikt w Sowietach, poza kierownictwem, nie zdaje sprawy, a kto sobie zda sprawę musi zginąć. Całe to budownictwo sowieckie, a w istocie zbrojeniowe, dokonywa się pod hasłem służenia powszechnej szczęśliwości, i w to wierzy obywatel sowiecki. O tym, że służyć ma ono wojnie i tylko wojnie, o tym nawet myśleć nie wolno. Zresztą armia czerwona musi być silna, bo inaczej wrogowie ludu zniszczą wielkie budownictwo socjalistyczne, budownictwo ,,Królestwa Bożego'' na ziemi.

Żyjący w faktycznej niewoli państwa, obywatel sowiecki, gotów jest walczyć do ostateczności, aby tylko zachować tę wielką zdobycz rewolucji, a mianowicie, że pracuje nie na panów a dla swego dobra. Ta nowa fikcja, w istocie bowiem wyzysk pracy przekroczył w Sowietach wszystko co miało kiedykolwiek miejsce w ustroju kapitalistycznym, jest potężną bronią moralną

Sowietów. Fikcja ta daje nie tylko siły oporu w walce z obc
najazdem, ale stwarza także olbrzymie trudności dla Niemc
przy okupacji zajętych już terenów. Ta głęboka wiara mas
dzisiejszej Rosji będzie wymagała od władz niemieckich bard
wielkiego taktu i umiejętności postępowania, aby wychowa
przez Sowiety obywatel, nie nabrał przekonania, że pracuje
swych ciemiężców i wyzyskiwaczy — panów, i by nie rozpoc
walki środkami jakimi niewolnicy wszystkich czasów walczyli
swymi władcami. Walkę, do której obywatel sowiecki jest szc
gólnie dobrze przygotowany przez rewolucję i propagandę
wiecką. Zdawałem sobie już wówczas sprawę, że władze n
mieckie, przy swoim nastawieniu i swoistym także religijn
światopoglądzie, nie będą mogły zdobyć się przy okupacji obs
rów rosyjskich, na właściwy sposób postępowania, który
Anglików byłby sam przez się oczywisty i naturalny, lecz j
obcy niemieckiej mentalności. Przy niewłaściwym postępowa
Niemców na terenie okupowanym, temu czynnikowi oporu w
czącej się walce, przypisuję niemniejsze znaczenie, jak oporo
militarnemu czerwonej armii. Było dla mnie jasne, że przy ok
pacji znacznych obszarów sowieckich, obok walki na froncie z
wi się opór na froncie wewnętrznym i że ludność terenów ok
powanych podejmie z okupantami bezwzględną walkę, która
dzie poważnie utrudniała działania na froncie.

Po dziesięciu dniach pobytu w celi etapowej, nad ranem
wołano mnie z celi i załadowano do karetki więziennej. Ku n
mu zdumieniu, znalazłem się na Łubiance. Po pewnym czasie z
wił się naczelnik więzienia, który obejrzał moje podarte ubra
i oświadczył mi, że otrzymam nowe, oraz dał zezwolenie na b
płatne korzystanie ze sklepu więziennego, w ramach przepis
więziennych. Był uprzejmy i doradzał mi być dobrej myśli. Otr
małem także do czytania książki. Regulamin więzienny w stos
ku do mnie złagodniał. Przez okienko w celi prawie do mnie nie
glądano. Po nocy mnie nie budzono, ze sklepu przyniesiono p
dukty i papierosy. Otrzymałem zupełnie przyzwoite ubranie, kt
wymagało tylko przeróbki i otrzymałem książki częściowo
dług swego życzenia. Byłem tym wszystkim bardzo zdziwio
Najdziwniejsze, że w czasie alarmów lotniczych, które pow
rzały się co noc, kazano mi schodzić na dół do boksu.

Po dwóch tygodniach wezwano mnie na śledztwo! Roz
częły się rozmowy na temat ogólnej międzynarodowej sytu
politycznej. Padło pytanie, co sądzę o porozumienie między
ską a Związkiem Sowieckim? Oświadczyłem, że powinni s
tym pytaniem zwrócić do polskiego ministra spraw zagran
nych a nie do mnie, który otrzymałem 10 lat ciężkich robót,
żadnej prawnej ku temu podstawy, i znajduję się w więzie
Zapytano mnie wówczas, co bym o takim układzie sądził, gd
był zawarty. Oświadczyłem, że wedle doktryny sowieckiej,
ska nie istnieje, a jeżeli w obecnej chwili, wobec wojny, wła

sowieckie zmieniły swe zdanie i istnienie Polski *de iure* uznają, to wówczas chciałbym zaznaczyć, że układ o nieagresji który ja, jako premier, wprowadziłem w życie, nie został przez Sowiety dotrzymany, zaś w momencie wojny z Niemcami zostaliśmy przez Sowiety zaatakowani od tyłu. Obecnie sądzę, że nowego układu gdyby taki został zawarty, Sowiety także nie dotrzymają, a więc taki układ nie ma znaczenia, czy został czy nie został zawarty. Nadmieniłem, że przecież Sowiety w nadarzającym się momencie zawsze gotowe są uderzyć na Polskę pod pretekstem, że idą wyzwalać lud polski, białoruski czy ukraiński spod kapitalistycznego ucisku. Moi rozmówcy nie przeczyli, że mówię prawdę. Byłem też zapytany jakiego ustroju jestem zwolennikiem w przyszłej Polsce, która niewątpliwie zostanie odbudowana jako jedno z następstw tej wojny. Do pytania tego przywiązywali szczególną wagę. Oświadczyłem, że stoję na stanowisku obowiązującej w Polsce konstytucji i tę formę ustrojową uważam dla Polski za najodpowiedniejszą, że gotów jestem zgodzić się na każdą inną formę rządu, ale pod jednym warunkiem, że będzie ona wynikiem woli ludności, a nie rezultatem obcej przemocy, i że Polska nigdy nie zgodzi się i będzie do końca walczyć z każdą formą polityczną, narzuconą jej obcą przemocą i realizowaną obcymi, obojętnie niemieckimi, czy też sowieckimi bagnetami.

Takie rozmowy zaczęły się powtarzać, przy czym otrzymałem dodatkowy obiad mięsny. Widziałem, że moje położenie uległo zasadniczej zmianie, ale przyczyny tego stanu rzeczy nie znałem. Otrzymałem także od moich rozmówców szereg informacji o położeniu na froncie. Zdałem sobie sprawę, że sytuacja wojenna uległa zmianie. Ataki lotnicze na Moskwę ustały i było jasne, że Moskwa nie jest bezpośrednio zagrożona. Wynikało z tego, że rozmach ofensywy niemieckiej został zatrzymany. Moi rozmówcy z NKWD twierdzili, że aby tylko dotrwać do zimy, to potem sytuacja, przy rosyjskich mrozach, zmieni się zasadniczo na korzyść Sowietów. Oceniali sytuację, jako ciężką, ale patrzyli w przyszłość optymistycznie.

Wreszcie sytuacja się wyjaśniła. W czasie jednej z rozmów wszedł do pokoju pułkownik Fediczkin, naczelnik wydziału polskiego w NKWD, przedstawił się i zaczął rozmowę po polsku. Oświadczył mi, że została zawarta umowa między rządem polskim a Sowietami, że w Sowietach tworzy się armia polska i że została utworzona w Moskwie polska ambasada, oraz, że polscy obywatele zostaną zwolnieni z więzień, a zdolni do służby wojskowej będą powołani do wojska. Dodał, że ja zostanę także zwolniony! W następnej rozmowie powiedział mi już konkretnie, że zarezerwowano dla mnie pokój w hotelu i że w następnym dniu zostanę zwolniony.

Zapytałem pana Fediczkina o Prystora. Odpowiedział mi, że zmarł w szpitalu. Jak się potem dowiedziałem dostał on biegunki w kilka dni po moim wyjściu z celi na Butyrkach, został przeniesiony do szpitala i tam zmarł na serce, w istocie z wycieńczenia i głodu, na dwa tygodnie przed zwolnieniem. Polska

straciła w nim jednego z najlepszych swych synów. Człowieka niezłomnego charakteru, obdarzonego rozsądkiem i rozwagą dużej skali męża stanu, jednego z najbliższych przyjaciół i współpracowników Marszałka Piłsudskiego. Jego charakter i rozwaga były krajowi szczególnie potrzebne w momencie ciężkiego, prze- żywanego przełomu, będącego próbą charakteru i woli. Była to dla mnie osobiście bardzo ciężka wiadomość, łączyły mni bowiem ze zmarłym bardzo bliskie stosunki, wspólna praca w obozie Marszałka Piłsudskiego, oraz w rządzie polskim prze długie lata. Odszedł jako jeden z kierowników walki o niepodle- głość naszego pokolenia, zamęczony przez więzienie sowieckie Jeden z jego morderców siedział przede mną i prowadził dale uprzejmą, w przyjacielskim tonie utrzymaną rozmowę.

Po udzieleniu mi szeregu rad, co do mego dalszego postę- powania, i wskazówek, co do obecnego położenia i obowiązują- cej mnie orientacji, rozmowa z panem pułkownikiem Fediczki- nem zeszła na opanowanie przez Niemców całego obszaru Pol- ski. Zapytałem o Lwów. Pułkownik Fediczkin z oburzenien poinformował mnie, że Ukraińcy, przed wkroczeniem wojsk nie- mieckich do Lwowa, podjęli zbrojne wystąpienia przeciwko wła- dzy sowieckiej. Zaznaczył, że nie rozumie dlaczego Polska ni zlikwidowała narodowego ruchu ukraińskiego. Podkreślił, ż Sowiety dopiero tę likwidację zaczęły realizować, ale nie zdążył tej pracy doprowadzić do końca. Wyjaśniłem memu rozmówcy że jako szef rządu polskiego nigdy nie miałem zamiaru niszczy narodowego ruchu ukraińskiego, że zwalczałem tylko antypań- stwowe, rewolucyjne prądy wśród Ukraińców. Dążyłem do zgod- nej współpracy Ukraińców i Polaków na narodowo mieszanym terytorium jakie stanowi Małopolska Wschodnia. Moralnie, dl Polski było niemożliwe zgnębienie narodowego ruchu ukraiń- skiego wówczas, gdy sami dopiero stoczyliśmy walkę o nasz niepodległość. Dążeniem rządu polskiego było, by w ramac państwowości polskiej żył i rozwijał się narodowy ruch ukraiń- ski. Dzieje Polski przez długie wieki były najściślej związan z narodem ukraińskim, z którym chcieliśmy mieć stosunki bra- terskie. Pan pułkownik nie był zadowolony. Istotnie Związe sowiecki zniszczył narodowy ruch ukraiński na swoim terytoriu pod hasłem walki z nacjonalizmem ukraińskim, a sięgnąwszy p Małopolskę Wschodnią, jako pierwsze swe zadanie wysunę zniszczenie i tu ruchu ukraińskiego, tym bardziej, że ruch te mógł być niebezpieczny dla całego terytorium Ukrainy sowiec- kiej. Ruch ukraiński w Polsce mógł być silną obroną przeci Rosji co rząd polski dobrze rozumiał. Ruch ten przeciwstawia- jąc się Rosji, musiał opierać się o Polskę, a to otwierało per- spektywy Polski Jagiellonów, zbudowanej na porozumieni i wolności Polaków, Ukraińców i Białorusinów, którzy tworzy przez wieki jedną wspólną Rzeczpospolitą. Tym się też tłumacz że Sowiety z taką zaciekłością gnębiły ruch ukraiński i bardzi im miłe było stanowisko polskich szowinistów, którzy chci wynarodowienia Ukraińców, niż stanowisko obozu Marszałk

Piłsudskiego, który szukał platformy porozumienia i współpracy z narodem ukraińskim.

Zapewnienie, że jutro wyjdę na wolność zakończyło naszą rozmowę. O moim wyroku śmierci, który w drodze łaski zamieniono na 10 lat ciężkich robót, nie było mowy. Pan Fediczkin po prostu powiedział, że został on anulowany. Wyroki sądów w Sowietach nie mają znaczenia i wszechwładne NKWD może je zmieniać lub wydawać w zależności od potrzeby i okoliczności. Sytuacja się zmieniła, a tym samym i wyrok został anulowany.

NA WOLNOŚCI W ROSJI SOWIECKIEJ

PIERWSZE DNI WOLNOŚCI

Dnia 6 września do mojej pojedyńczej celi na Łubiance o godzinie 3-ciej po południu przyszedł nadzorca więzienny i kazał mi zebrać swoje rzeczy. Następnie przeprowadzono mnie do boksu, przeprowadzono nieodzowną rewizję i sprawdzono, czy nie zabieram ze sobą rzeczy więziennych. Oddano mi pusty portfel, cygarniczkę i paczkę kluczy ze Lwowa, oraz złoty mostek, który mi wypadł razem z zębami. Zegarek, złote spinki i pieniądze przepadły. Nie zwrócono mi również dowodów osobistych, które zaginęły (legitymacja profesorska, książeczka wojskowa i dożywotni wolny bilet jazdy na koleje państwowe polskie). Żadnego dokumentu zwalniającego mnie z więzienia, ani też zaświadczenia, że byłem w więzieniu mi nie wydano, tak, że zostałem pozbawiony wszelkich papierów osobistych. Po zakończeniu tych formalności młody człowiek z NKWD, kazał mi iść ze sobą, pokazał swój dokument przy wyjściu, wyprowadził mnie na ulicę i zaprowadził do pobliskiego hotelu „Savoy". Tu otrzymałem przyzwoicie umeblowany pokój jednoosobowy z bieżącą wodą. Mój przewodnik oświadczył, że pokój jest zapłacony przez NKWD i wręczył mi 750 rubli na moje wydatki osobiste. Co do dalszych spraw, powiedział, mam się zwrócić do polskiej ambasady. Dodał, że w hotelu mieszka więcej Polaków, tak samo jak i ja zwolnionych z więzienia. Uprzejmie się pożegnał i zostawił mnie jako wolnego człowieka.

Zeszedłem na dół i zacząłem się rozglądać. Byłem w hotelu Inturysta, to znaczy dla cudzoziemców. Hotel był przedwojenny i odpowiadał normalnemu średniemu hotelowi w miastach europejskich. Po chwili w hallu zjawił się Jan Piłsudski, brat Marszałka, którego z trudem poznałem, był tak zmieniony długim pobytem w więzieniu. Siedział na Łubiance, a obecnie przed paru dniami został zwolniony. Od niego dowiedziałem się o Polakach mieszkających w hotelu i otrzymałem informacje, jak na-

leży postępować w nowych warunkach. Razem poszliśmy na kolację. Tu spotkałem dalszych znajomych, oraz paru towarzyszy z etapowej celi w Butyrkach.

Na drugi dzień poszedłem na uroczyste nabożeństwo polskie, urządzone w Moskwie. Przed rewolucją żyła w Moskwie dość liczna i zamożna kolonia polska, która miała w centrum miasta kościół katolicki. Dziś kościół jest obdrapany, niczym na zewnątrz się nie wyróżnia, jest obudowany ze wszystkich stron nowymi domami, tak że trudno go odszukać. Wewnątrz kościół jest także zupełnie ogołocony. Pozwolenie na nabożeństwo było koncesją ze strony bolszewików i miało być dowodem swobody religijnej w Sowietach, czego domagała się od Sowietów opinia amerykańska. Księża katoliccy, którzy spełniają posługi religijne w Sowietach, otrzymali z Rzymu prawo wykonywania praktyk religijnych i oddawania posług religijnych w warunkach apostolskich, tak jak w pierwszych wiekach chrześcijaństwa, to znaczy bez wszelkich ograniczeń formalnych. Ksiądz Cieński, skazany uprzednio na śmierć przez bolszewików, wygłosił w kościele piękne patriotyczne kazanie. Na nabożeństwie był ambasador Kot i generał Anders ze sztabem oraz wypuszczeni z więzień Polacy, nadto trochę Polaków miejscowych. Po nabożeństwie przywitałem się z ambasadorem i generałem Andersem oraz szeregiem znajomych, którzy wszyscy wyszli z więzień. Niektórzy już przed paru tygodniami, inni przed kilku dniami, a niektórzy, tak jak ja, dopiero wczoraj.

Spotkałem wielu przyjaciół i zacząłem się informować. Moi przyjaciele wojskowi poinformowali mnie, że w kołach wojskowych i politycznych angielskich sytuacja wojenna Sowietów jest oceniana dość pesymistycznie. Jako maksimum możliwego sukcesu Sowietów poczytywano zatrzymanie wojsk niemieckich przed zimą przed Moskwą. Liczono się jednak z ewentualnością upadku Moskwy przed zimą i podjęciem obrony przez Sowiety dopiero na linii Wołgi. Wszyscy, a zwłaszcza bolszewicy, duże nadzieje pokładali na kampanię zimową. Zgodnie podkreślano wielki wysiłek, na jaki zdobyły się Sowiety i stwierdzano, że ich opór sprawił niespodziankę w kołach angielskich. Uznawano za duży sukces Sowietów zatrzymanie rozmachu ofensywy niemieckiej. Anglia przychodziła Sowietom z pomocą w granicach możliwości transportowych. Sam fakt wojny sowiecko-niemieckiej koła polityczne traktowały jako wielki sukces polityki angielskiej. W przewidywaniach na przyszłość nie liczono się poważnie z możliwością utrzymania się komunizmu jako systemu po wojnie i sądzono, że wojna będzie likwidacją bolszewizmu w Rosji i że wojny tej ustrój komunistyczny nie wytrzyma. Z tymi opiniami byłem na ogół zgodny i byłem zdumiony oporem na jaki zdobyli się bolszewicy.

Na drugi dzień poszedłem do ambasady. Tu spotkałem wielu moich starych znajomych, którzy przyjechali z Anglii. Dowiedziałem się wielu ważnych szczegółów, dotyczących umowy

zawartej między Polską a Sowietami. Poinformowano mnie, że umowa ta wywołała poważne przesilenie w kołach emigracji polskiej i w rządzie londyńskim. Minister spraw zagranicznych, August Zaleski wystąpił z rządu, a również generał Sosnkowski, zastępca prezydenta, usunął się od współpracy z rządem. Umowa nie została ratyfikowana podpisem prezydenta, jest tylko umowa między rządem gen. Sikorskiego, a rządem sowieckim, nie jest zaś umową międzypaństwową. Premier, gen. Sikorski, ogłosił interpretację tej umowy w ważnym punkcie, dotyczącym granic wschodnich Polski. Premier Sikorski stoi na stanowisku integralności tych granic. Interpretacja ta spotkała się jednak z repliką w ,,Prawdzie'', oficjalnym organie Sowietów. ,,Prawda'' stanęła na stanowisku, że sprawa granic wschodnich jest płynna i zadecydowana będzie zgodnie z wolą ludności. Co w tłumaczeniu na język zrozumiały znaczy, że zostanie wyznaczona bagnetami czerwonej armii. Zawarta umowa dała doraźne, konkretne korzyści Polsce. Przede wszystkim zwalniała więźniów i zesłańców, to znaczy zwracała wolność przeszło półtora milionowi ludzi. Po wtóre dawała możność tworzenia siły zbrojnej w Sowietach, co w każdym wypadku i każdej okoliczności było korzystne. Tym bardziej, że żołnierze i oficerowie rekrutowali się z byłych więźniów, a więc ludzi, którzy byli całkowicie uodpornieni na wpływy propagandy sowieckiej. Co do jej politycznego znaczenia, to było ono bardzo zmniejszone wskutek braku ratyfikacji. Umowa była obowiązująca tylko dla rządu gen. Sikorskiego. Po haniebnym złamaniu paktu o nieagresji w stosunku do Polski, uważałem, że żadnych umów z tego rodzaju partnerem nie można zawierać, ponieważ będą to tylko umowy jednostronne. Strony sowieckiej nie będą obowiązywały. Z tego rodzaju partnerem można tylko rozmawiać i układać się tak, jak układają się Anglicy z kolorowymi, którzy też swoich zobowiązań nie wykonywują. Umowa dawała nam realne korzyści, zobowiązywała zaś osobiście gen. Sikorskiego, nie angażując państwa, a więc była korzystna.

Ambasada otworzyła mi kredyt na moje wydatki osobiste w Moskwie, miałem więc możność pomyśleć o sobie, co było bardzo potrzebne. Wyszedłem z więzienia ślepy na prawe oko, bez zębów, straszliwie wychudzony i osłabiony. Lekarz stwierdził nadto zmiany w sercu. Musiałem się dobrze odżywiać i żyć w możliwie dobrych warunkach. Możliwości te miałem. Mój hotel był wygodny, a w paru moskiewskich restauracjach, prowadzonych dla cudzoziemców, można było dobrze zjeść, ale za bardzo drogie pieniądze. Obiad skromny kosztował 20 rubli, lepszy 30 rubli. To samo kolacja. Wydatki dzienne wynosiły około 80 rbl. Za te pieniądze można było jeść dostatnio, nie odczuwając żadnych braków. Była to na stosunki sowieckie olbrzymia kwota. W ten sposób żyli w Moskwie cudzoziemcy i dygnitarze sowieccy. A mimo to, była to stopa życiowa niższa od tej, na jakiej żyłem we Lwowie jako profesor uniwersytetu. Oczywiście w Moskwie żyłem nie według cen urzędowych, a wedle cen wol-

nego rynku, nie posiadałem bowiem kart deputatowych pozwalającym mi kupować i jadać w sklepach i jadłodajniach, przeznaczonych dla obywateli sowieckich. Byłem związany lokalami utrzymywanymi dla cudzoziemców, także z tej przyczyny, że jadłodajnie dla autochtonów były na takim poziomie i tak urządzone, że — podobnie jak w koloniach — trudno było z nich korzystać. Do restauracji dla cudzoziemców sowieccy obywatele mało chodzili, przychodzili tu tylko od wielkiego święta i to wyłącznie lepiej sytuowani. Przyczyną były wysokie ceny.

Opuszczono dwa rozdziały: „Miasto Moskwa” i „Życie w Moskwie Sowieckiej”. Mają one charakter opisowy i nie łączą się z narracją pamiętnika. (Red.).

EWAKUACJA MOSKWY

Dzięki ambasadzie, z którą utrzymywałem stały kontakt, mogłem słuchać angielskich komunikatów wojennych, a także komunikatów niemieckich. Czytałem też gazety sowieckie i słuchałem sowieckiego radia. Byłem więc dobrze poinformowany i mogłem porównać różne metody stosowane w propagandzie. Prawdziwość i obiektywizm komunikatów angielskich był uderzający, jest to zresztą metoda, którą Anglicy najpewniej osiągają przeświadczenie swych obywateli w ostateczne zwycięstwo Anglii. Na ogół w zagranicznych kołach politycznych nie wróżono zbyt długiego oporu Moskwy i oczekiwano ewakuacji poselstw zagranicznych. Urzędy sowieckie już się w bardzo znacznej części ewakuowały i dalsza ewakuacja była w toku.

Chodziłem codziennie do ambasady pomagając przy ewidencjonowaniu wywiezionych do Rosji Polaków. Przychodziły tysiące listów z różnych obozów i miejsc przymusowego osiedlenia; na podstawie tych listów sporządzano ewidencję wywiezionych z Polski. Przybliżone obliczenie mówiło o 1,5 mil. ludzi. Liczba ta z pewnością była zbyt mała. Nędza wśród tej masy była straszna. Wielu na zesłaniu zmarło. Z dalekiej północy zesłańcy kierowali się na południe do Turkiestanu, gdzie warunki życia były lepsze. Zdolni do noszenia broni zgłaszali się masowo do wojska i kierowali się do Buzułuka. Do poszczególnych ośrodków jechali delegaci ambasady celem niesienia doraźnej pomocy zesłańcom. Ze wszystkich listów, których czytałem setki, przebijała wiara w przyszłość i chęć walki o Polskę. Liczono w kołach wojskowych, że armia polska w Sowietach osiągnie w krótkim czasie co najmniej 100,000 ludzi. Ekwipunek i uzbrojenie dla jednej dywizji dawali bolszewicy, ekwipunek i uzbrojenie dla pozostałych był w drodze z Anglii. Armia polska organi-

zowała się na wschód od Wołgi, a dowództwo znajdowało się w Buzułuku. Liczono, że w przyszłości wojsko polskie będzie współdziałało z wojskami angielskimi na froncie południowym.

Sytuacja na froncie uległa zmianie. Wojska niemieckie odnosiły zwycięstwa, o których mówiły komunikaty angielskie oraz komunikaty niemieckie. Komunikaty sowieckie klęski swej armii przemilczały. Mówiły tylko o lokalnych sukcesach wojsk sowieckich, o wielkich stratach przeciwnika i podawały jedynie wiadomości o większych oddanych miastach i to ze znacznym opóźnieniem. Wojska niemieckie zbliżały się do Moskwy i stały już w odległości 150 km od miasta. Moskwa miała jeszcze łączność kolejową z resztą państwa tylko na wschód i południowy wschód. Liczono się poważnie w kołach politycznych z upadkiem Moskwy przed zimą, a nawet z wycofaniem się wojsk sowieckich za Wołgę. Moskwa była gwałtownie ewakuowana. Obserwowało się teraz ruch wojskowych transportów, idących przez Moskwę, czego poprzednio zupełnie nie było widać. W początkach mego pobytu w Moskwie o wojnie mówiły tylko zabite deskami i założone workami z piaskiem okna sklepów. Zniszczeń od nalotów lotniczych było niewiele. Najwięcej wybitych szyb od wybuchu bomb. W niektórych punktach miasta widziałem rozwalone domy mieszkalne. Szkody wyrządzone przez naloty były jednak niewielkie.

Wiedziałem, że Sowiety przygotowują nową linię obronną na Wołdze, w oparciu o przemysł wojenny Uralu. Oczywiście w tych warunkach coraz istotniejsza stawała się dla Sowietów pomoc angielska i amerykańska. Kraje anglo-saskie były zdecydowane podtrzymać opór sowiecki jak najdłużej, liczono się z bardzo jeszcze poważnym oporem, nawet gdyby Sowietom wypadło cofnąć się na Wołgę. Ze strony sowieckiej czynione były wszystkie wysiłki i rzucane coraz nowe rezerwy, aby ocalić Moskwę i wytrzymać napór wojsk niemieckich do mrozów. Liczono, że zima rosyjska będzie dobrym sojusznikiem bolszewików i że wówczas sytuacja zmieni się na ich korzyść. Propaganda dawała ciągle przykłady z wojny z Napoleonem w 1812 r. i twierdziła, że wróg walczy resztkami sił i że zbliża się już chwila, gdy położenie zmieni się na korzyść Sowietów. Jednak stałe powoływanie się na przykład wojny z Napoleonem, który zajął Moskwę, przygotowywało opinię publiczną na ewentualność, że i tym razem może być zajęta, co nie przesądza jednak dalszych losów wojny. Bolszewicka propaganda głosiła stale, że hitleryzm zostanie pokonany, tak samo jak został pobity Napoleon. Było jednak faktem, że w dotychczasowych walkach Sowiety straciły nie tylko najlepsze swe wojska i masę wojennego materiału, ale także ogromne, najgęściej zaludnione terytorium Rosji europejskiej wraz z urodzajną Ukrainą, oraz przemysł wojenny okręgu leningradzkiego; przemysł okręgu podmoskiewskiego był zajęty lub bezpośrednio zagrożony, tak samo przemysł Zagłębia Donieckiego. W pełni zdolny do pracy pozosta-

wał już właściwie tylko okręg przemysłowy uralski oraz Syberia. To była teraz baza przemysłowa dla dalszego prowadzenia wojny. Baza ciągle jeszcze bardzo poważna i silna, tak jak rezerwy ludzkie Sowietów były jeszcze bardzo wielkie.

WYJAZD Z MOSKWY DO BUZUŁUKA

10 października zostałem powiadomiony, że mam Moskwę opuścić. Wszyscy Polacy znajdujący się w Moskwie muszą wyjechać pociągiem idącym przez Buzułuk do Taszkientu. Są zarezerwowane dwa wagony. Mamy wziąć ze sobą zapasy żywności na tydzień. Okazało się jednak, że wyjechać nie jest tak łatwo. Wraz z innymi, znalazłem się na dworcu. Czekaliśmy kilka godzin, ale pociąg tego dnia nie odszedł. Złożyliśmy wobec tego rzeczy w jednej z sal na dworcu i wróciliśmy do hotelu. Jeden z polskich kolejarzy wyjaśnił mi, że węzeł kolejowy moskiewski nie jest zmodernizowany i w tej chwili wobec położenia na froncie i ewakuacji puszczanie pociągów jest bardzo trudne, miał nawet wątpliwości, czy w ogóle wyjedziemy. Trzeba zaznaczyć, że na dworcu, biorąc pod uwagę warunki ewakuacji, panował porządek i nie było nadmiernego tłoku. Inna rzecz, że dostępu do dworca broniły kordony i wstęp dozwolony był tylko tym, którzy mieli rozkazy wyjazdu. Byli to dygnitarze sowieccy i ich rodziny. Na dworcu widziałem wielu oficerów NKWD, którzy ewakuowali swe rodziny.

Dopiero po trzech dniach, po parokrotnym odwoływaniu, dano polecenie stawienia się ponownego na dworcu. Miałem zamiar zostać w Moskwie i czekać jej zajęcia przez wojska niemieckie, aby potem przedostać się do Polski. Okazało się jednak, że taki projekt jest niewykonalny. Groziło mi natychmiastowe aresztowanie. wobec tego zdecydowałem się jechać, z tym, że potem zobaczę co się da zrobić. Sam w drogę powrotną do kraju puszczać się nie mogłem, a towarzysza, który by miał ochotę na to ryzyko, nie miałem. Wobec tego musiałem jechać, i postanowiłem jechać, do Buzułuka. Tym razem, po długim oczekiwaniu i niepewności czy pociąg odejdzie, załadowano nas do wagonu. Otrzymaliśmy dwa wagony 3-ciej klasy z podnoszonymi półkami. Każdy otrzymał miejsce leżące, a więc, jak na warunki ewakuacji, byliśmy urządzeni bardzo wygodnie. Z nastaniem ciemności 14-go października pociąg ruszył przez Riazań do Riażska. W Riażsku byliśmy przed południem, gdzie było już jasne, że wyjechawszy na linię kolejową do Penzy wychodzimy ze sfery przyfrontowej i mamy przed sobą dalszą drogę otwartą.

Zabrana z Moskwy żywność i konserwy, którymi nas zaopatrzyła ambasada, okazały się bardzo potrzebne. Po drodze bowiem nie było nic do jedzenia i kupić nic nie było można.

Dworce były załadowane ludźmi, otrzymać było można tylko gorącą wodę, wszystko inne trzeba było mieć ze sobą. W drodze, przy obfitych zapasach, które zabraliśmy ze sobą, powodziło się nam dobrze. Pociąg wlókł się straszliwie wolno, zatrzymując się na stacjach, na parogodzinne postoje. Żadnego rozkładu jazdy już nie było. Równocześnie z nami w tym samym kierunku szły inne pociągi ewakuacyjne z ludźmi i zdemontowanymi fabrykami. Pociągi te spotykaliśmy na stacjach. Wszystkie były tak przeładowane pociągami, że wjazd i wyjazd z każdej większej stacji był bardzo utrudniony. W przeciwnym kierunku, na front, szły pociągi z wojskiem i materiałem wojennym.

Z okien wagonu widziałem biedne wsie rosyjskie i pola bardzo rozległe, od kilkudziesięciu do stu hektarów każde, z których plony jesienne przeważnie były nie zebrane, ą że byliśmy już w połowie października, a więc plony te były już zmarnowane. Zboże stało na pniu, leżało na pokosach lub w snopach i gniło. Moi towarzysze, którzy z różnych części Rosji przyjechali poprzednio do Moskwy mówili, że wszędzie widzieli to samo, i wszędzie więcej jak połowa plonów została na polu. Orki jesienne były wykonane tylko wyjątkowo. Widziałem, że orano traktorami, lecz niezmiernie źle. Traktor chodził po polu jak pijany, zostawiając niezaorane golizny przy każdym nawrocie. Gdzieniegdzie widziałem zasiane oziminy. Te nieliczne zasiewy także były wykonane fatalnie i oziminy przedstawiały się nędznie. Okopowe, a więc kartofle i buraki były niewykopane. Ten stan pól i przeszło połowa plonów zmarnowana mówiły, że zima będzie bardzo ciężka. Władze sowieckie rozporządzały bardzo pokaźnymi zapasami, tak że wyżywienie armii było zapewnione, ludność cywilną czekał jednak głód. Jechaliśmy przez bardzo urodzajne czarnoziemy rosyjskie. To co widziałem mówiło jednak o bardzo słabych urodzajach, dużo gorszych od tych, jakie na tych samych czarnoziemiach widziałem w roku 1914. Było to następstwo kolektywnego gospodarstwa. Wsie wyglądały nędznie. Małe, prawie wyłącznie jednoizbowe chatki, takie same, jakie budowano w czasach przedhistorycznych. Żadnych ogrodów, ani drzew przy chatach nie było, a jedyne obory i stajnie, to długie budynki równie prymitywne, należące do wspólnego gospodarstwa kolektywnego. Do Penzy z Riażska jechaliśmy pełną dobę. Następną zaś z Penzy do Kujbyszewa (Samary). Widok był ciągle ten sam: niezebrane plony z pól, nędzne wioski oraz bezkresny czarnoziemny step.

Na stacjach można było kupować ogórki kiszone i arbuzy. Ambasada ewakuowała się do Kujbyszewa, gdzie urzędował także rząd sowiecki. Sto kilometrów dalej na wschód, w Buzułuku, mieścił się sztab organizującej się polskiej armii. Tu urzędował generał Anders. Do Buzułuka ściągali ze wszystkich stron Polacy, których na miejscu segregowano. Jedni byli wcielani do armii, innych wysyłano do Taszkientu. Do Buzułuka przyjechaliśmy na piąty dzień podróży, w sobotę 18-go października, przed południem. Przejechaliśmy z Moskwy 1300 km, a więc jechaliś-

my z szybkością 13 km na godzinę, pociągiem osobowym. W Buzułuku postanowiłem pozostać.

Buzułuk jest miastem liczącym w czasie pokoju około 40.000 mieszkańców. Jest położony wśród czarnoziemnych stepów zawołżańskich. Jest to typowe miasto rosyjskie, o małych parterowych drewnianych domkach, o szerokich, prostych, krzyżujących się pod kątem prostym ulicach. Do każdego domu należy rozległe podwórze, na którym stoją różne drewniane budy i przylega warzywnik. Domów piętrowych, murowanych, w całym mieście kilkanaście. Ulice nie brukowane i brak chodników. Tylko na głównej ulicy kawałkami chodnik jest cementowy. Błoto straszliwe. Miasto niesłychanie przeludnione ewakuowanymi, wojskowymi, sowieckimi urzędami i szpitalami, oraz masą Polaków, którzy zjeżdżali tu ze wszystkich stron i wszelkimi sposobami.

Ze stacji kolejowej udałem się na stację zborną. Znajdowało się tam parę tysięcy ludzi. Byli to zgłaszający się do armii, ale także kobiety, dzieci, oraz starcy. Wszyscy wracali z obozów, więzień lub przymusowego zesłania i mieli za sobą straszne przeżycia. Stąd transporty odchodziły dalej do Taszkientu; zdolnych do noszenia broni przydzielano do organizujących się dywizji. Panowała straszliwa ciasnota. Walczono też z trudnościami wyżywienia tej masy ludzkiej, na którą wojskowość nie otrzymała oczywiście prowiantów. Na stacji zbornej byłem przez trzy dni i w drodze wyjątku otrzymałem kwaterę, to znaczy łóżko w małym pokoju, gdzie nocowało jeszcze 8 osób. Żywiłem się własnym przemysłem. Podobnie jak w innych miastach, w Buzułuku istniał bazar, gdzie kołchoźnicy sprzedawali swe produkty. Tu można było kupić nabiał (mleko, masło, jajka) oraz mięso i warzywa. Ceny były bardzo wysokie i stale szły w górę. Jajko kosztowało 1,50 rub., litr mleka 9 rubli, masło 60 rub. kg. Mięsa na rynku było dużo, kołchozy wyrzynały bowiem bydło, nie mając paszy na zimę. Ceny też mocno się wahały od 15-25 rubli za kg. Chleba na bazarze kupić nie można było. Był do nabycia w mieście, ale z bardzo dużymi trudnościami. Tytoniu nie było, a tylko samosiejka, to znaczy tytoń plantowany przez chłopów, suszony i drobno krajany, który nie przeszedł żadnej fermentacji. Ten tytoń trzeba było palić kręcąc go w gazecie. Tak postępuje cała Rosja, z wyjątkiem wielkich miast, gdzie można dostać papierosy. Mogłem nadto korzystać z miejscowej stołówki, która wydawała gulasz z kaszą po 4,50 rub. Był to obiad, z którego korzystała miejscowa ludność. W sztabie wydawano nadto obiady po 6 rub., z których też mogłem czasem korzystać. Najchętniej gotowałem jednak sam lub z kolegami, z produktów kupionych na bazarze. Gotowałem w zwykłym piecu. Kuchni nie mieliśmy. W mieście niczego dostać nie było można. Przed sklepami z żywnością, a zwłaszcza z chlebem stały, ogromne ogonki. Te same mniej więcej stosunki panowały i w innych miastach. To co widziałem w Buzułuku był to stan normalny, wywołany oczywiście napływem ewakuowanych. W

stosunku do przed wojny różnica była ta, że wtedy było łatwiej o produkty i więcej rzeczy można było kupić. Obecnie wskutek wyrzynania inwentarzy po kołchozach, w obfitości było tylko mięso. Pieniądze traciły wszelką wartość.

Moje położenie nie było łatwe. Do służby wojskowej w linii nie nadawałem się ze względu choćby na ślepotę prawego oka. To oświadczył mi zresztą osobiście generał Anders, z którym się widziałem. Mogłem jedynie otrzymać pracę biurową w intendenturze. Była to jedyna realna możliwość zaczepienia się przy wojsku. O żadnej pracy politycznej nie mogłem myśleć, układ politycznych stosunków na emigracji taką pracę wykluczał. Mogłem też pojechać do Taszkientu, ale to znaczyło iść na tułaczkę emigracyjną. Pozostawała jeszcze jedna możliwość, bardzo ryzykowna, ale najlepsza, wracać do kraju. Myślałem o tym już w Moskwie, ale okoliczności były nieprzychylne, teraz znów do tej myśli powróciłem.

(Dokończenie nastąpi)

Leon KOZŁOWSKI

Tryb zaprzeszły czasu przyszłego

O ile w każdej epoce malarstwa interesują historyka sztuki szkoły i wpływy, heraldyka i genealogia mają szczególne znaczenie w odniesieniu do abstrakcji geometrycznej. Pierwszeństwo, data, grają tu — w braku ,,trade mark'' i ,,copyright'' zrozumiałą rolę. To, czy Malewicz ,,namalował'' swój czarny kwadrat na białym polu w roku 1913 czy później, stanowi przedmiot zażartego sporu — i całkiem oczywiście: o ,,wartości'' dzieła decyduje tu właśnie data (mimo fantazyjnej nieraz racjonalizacji ze strony wyznawców). Celem wystawy ,,Précurseurs de l'Art Abstrait en Pologne'' w paryskiej galerii Denise René było chyba wprowadzenie Polaków do oficjalnej, międzynarodowej genealogii abstrakcjonizmu, zatwierdzanej przez przypadkowe kolegium heraldyków (Barra, Jean Cassou, Seuphora, Zervosa). Ciekawe czy zamierzenie to odniesie trwały skutek.

Mimo przekonywującego (w tej kategorii) doboru, mimo szanownych, choć nie rewelacyjnych dat (żadne dzieło nie sięga epoki heroicznej), widzę tu poważną przeszkodę: historia sztuki abstrakcyjnej ma szereg cech mitologii zastygłej w niezmiennych gwiazdozbiorach. Dla Françoise Choay z ,,France-Observateur'', płótna Malewicza ,,odbijają na tle szkolnego klimatu (*climat scolaire:* brak oryginalności, akademizm, pedanteria?) reszty płócien na tej wystawie''. Wydaje mi się to sądem bardzo krzywdzącym dla Strzemińskiego, ale jego motywy są zrozumiałe. Istotnie, wobec oschłości, nudy, pedanterii, naiwności abstrakcji geometrycznej, głównym kryterium osądu jest tu nietyle reakcja widza czy krytyka na kontretne dzieło, ile wzruszenie wywołane skojarzeniami historycznymi, teoretycznymi, blaskiem rewelacji, płynącym poprzez kilkadziesiąt lat świetlnych z istniejących już gwiazd. Ważny jest nie kwadrat Malewicza, ale to co się samemu skonstruowało wokół tego niewidzianego nigdy kwadratu. Sprowadzenie tej reakcji do ,,snobizmu'' byłoby uproszczeniem. Stąd trudno jest krytykowi, posiadającemu już

swój prywatny Olimp abstrakcji włączyć weń Strzemińskiego mimo logiki dat. Wątpię, by nawet z biegiem czasu te polski nazwiska nabrały prestiżu przysługującego wielkim markom gwa rantowanym, jak Mondrian, Orfizm, Blaue Reiter. Spojrzeni krytyka takiego jak Françoise Choay na ich dzieła będzie rów nie świeże jak na płótna młodych, choć ostatnich Mohikanów geometrycznej abstrakcji.

Wystawa polskich abstrakcjonistów zasługiwała przecie na uważniejsze spojrzenie, choćby ze względu na rzadką dzi uczciwość prezentacji. Nic mnie bardziej nie irytuje jak wysiłe włączenia geometrycznej abstrakcji do „historii sztuki". Ludzi twierdzący, że obraz Malewicza daje im „wzruszenie" czy „prze życie artystyczne" *podobnej natury* do tego co odczuwają pa trząc na „Burzę" Giorgione okazują nie tylko całkowity bra wrażliwości na to co pragnął wyrazić Giorgione, ale zdradzaj Malewicza, który nie chciał mieć nic wspólnego z czymkolwie co by mogło kiedykolwiek wisieć w jakimkolwiek muzeum. Re wolucja abstrakcji i dadaizmu chciała palić Luwr, Giocondzie do malować wąsy, grała w otwarte karty. Malewicz i Strzemińsk nie są „kontynuatorami", nie są nawet „końcem" sztuki — są *anty*-sztuką. Dotyczy to oczywiście tylko abstrakcji geome trycznej, gdyż sztuka naszych czasów, choćby najbardziej „od mienna", choćby nieprzedmiotowa, czerpie soki z Muzeum Wyo braźni wszystkich epok i wszystkich cywilizacji, sięga organicz nych tajemnic przyrody. W tym sensie Kandinsky, Klee, Ma Ernst, Picasso, Dubuffet, *są* kontynuatorami i dlatego nie na leżą oni do zamkniętej mitologii geometrycznego epizodu. Ni jest to zresztą epizod bez znaczenia. Widzę w nim marzeni o milenium technologii mechanicznej, naiwną poezję ludzi, którz w szklannych sześcianach pragnęli zamknąć szklannego czło wieka. W tym sensie to malarstwo rzekomo bezprzedmiotow jest na wskroś symboliczne, najbardziej właśnie *literackie*, gdy nic nie reprezentuje w oderwaniu od stworzonej przez jeg twórców literatury. Kiedy Malewicz mówi: „Suprematyzm jes semaforem koloru na drodze przestrzeni", albo: „Lotnicy przy szłości! Lećcie! Biała, wolna i bezkresna — przed wami nie skończoność!", stwarza on poetyckie *obrazy*, nadające pewie ładunek skojarzeń jego prostokątom. W okresie Blériota, loko motywy, pierwszych prób żelazobetonowych konstrukcji, abstrak cja geometryczna jest marzeniem o sputniku, szklannych falan sterach, poezją „science-fiction", wyrażoną w naiwnie karte zjańskich kategoriach. Nic dziwnego, że sztuka ta kwitnęł w Związku Sowieckim w latach kiedy budowano socjalizm plu elektryfikacja i kiedy pierwszeństwo zaczynała już mieć elek tryfikacja. Nie ma sztuki bardziej oddalonej od komunizm prawdziwego, tego który dąży do wyzwolenia człowieka, o rewolucji, która ma zmienić stosunki między ludźmi, niż abstrak cja geometryczna, która nie zajmuje się wyzwoleniem psychicz nego potencjału, zwichniętego, wykrzywionego, skastrowaneg przez alienację, wyobcowanie jednostki. Ale abstrakcja geome

tryczna odpowiada komunizmowi spłyconemu, pojętemu mechanicznie. Trzeba było drobnoburżuazyjnych osadów w psychopatii Stalina, który wolał narzucić swoją sentymentalno-zakłamaną ,,estetykę'', aby sztuka ta straciła w Rosji prawo bytu: przecież żaden styl nie jest bliższy mechanicznej koncepcji człowieka od abstrakcji geometrycznej, która eliminuje tajemnice życia organicznego, zawiłe ścieżki w których może się odnaleźć psychika ludzka.

Zawsze było dla mnie tajemnicą przywiązanie Juliana Przybosia do abstrakcji geometrycznej. Uważam Przybosia za jednego z najsubtelniejszych współczesnych poetów kameralnych. Niebezpiecznie jest szukać plastycznych odpowiedników utworów literackich, ale mógłbym widzieć związek między poezją Przybosia a drganiem kolorów ciepłego powietrza u późnych impresjonistów, czy nieoczekiwaną malarską metaforą nad żydowskim miasteczkiem Chagalla. Wierność Przybosia dla złudnych kryteriów czystej formy tłumaczę sobie tym, że jest on związany z atmosferą ,,awangardy'' czasów jego młodości, kiedy — przynajmniej w Polsce — współczesność doświadczeń zacierała zasadniczą różnicę między poezją, która stawała się coraz bardziej organiczna, w której słowo nabierało wagi *rzeczy*, a malarstwem coraz bardziej mechanicznym i idealistycznym. Stąd Przyboś jest w polskiej plastyce paladynem estetyki plastycznej nie mającej nic wspólnego z jego estetyką poetycką. Wyjątkiem jest oczywiście malarstwo ,,powidokowe'' Strzemińskiego, którym Przyboś zachwyca się ze specjalnym upodobaniem, zrozumiałym, jeśli zważymy, że występuje on tu nareszcie w obronie sztuki będącej ostateczną konsekwencją impresjonizmu. Tyle, że ,,powidokowość'' nie ma nic wspólnego ani z unizmem, ani z abstrakcją w ogóle, poza intelektualnym podejściem do sztuki wspaniałego dziwaka jakim był Strzemiński.

Stąd naiwność wielu stwierdzeń we wstępie Przybosia, naiwność ,,fideistyczna'', którą dzieli on z Seuphorem i innymi wyznawcami abstrakcji geometrycznej, mimo że odnajdujemy w jego krytyce poetyckie blaski rzadko spotykane w krytyce zachodniej. I tak Przyboś przyjmuje ,,na wiarę'' twierdzenie wspólne wielu twórcom abstrakcji geometrycznej o ,,matematycznych'', ,,naukowych'' zasadach ich dzieła. Stwierdza on poważnie, że Strzemiński ,,uchwycił matematycznie zasady związków pomiędzy formami'' (sic). W okresie Odrodzenia były to dla malarza i estetyka ambicje zrozumiałe. Bawili się nimi Luca Pacioli, Vitruvio, nawet Leonardo, wpisując się ciekawie w pasjonującą historię ,,złotej sekcji'', ,,złotej liczby'', ,,boskiej proporcji''. Naukowy i matematyczny impresjonizm malarzy awangardy budzi jednak najdalej idący sceptycyzm. Cóż może być wspólnego pomiędzy konstrukcją płaszczyzny, a współczesną matematyką, która wykracza poza osiągalne zmysłami wymiary, która nie jest do uchwycenia przez żaden istniejący mechanizm ludzkiej wyobraźni? Podobnie Przyboś przyjmuje za dobrą monetę sympatycznie absurdalne twierdzenie Strzemińskiego, że

można namalować tylko dziesięć odmiennych obrazów ,,unistycznych''. Otóż, albo te obrazy które mamy przed oczami nie są ,,odmienne'' — co oznaczałoby, że unizm sprowadza się do *jednego* obrazu, albo kategorie Strzemińskiego są ściśle arbitralne, a modyfikując je, czy przyjmując inne, można by malować obrazy ,,unistyczne'' w nieskończoność. Nie chciałbym, aby moja niechęć do abstrakcji geometrycznej w ogóle wywołała wrażenie, że nie doceniam *względnej* roli Strzemińskiego w tej dziedzinie. Przeciwnie. Uważam, że Strzemiński jest, subtelnością koloru, grą wyobraźni w ograniczonej klatce w której sam się zamknął, równy Mondrianowi, że znacznie przewyższa uznane na Zachodzie wielkości jak Malewicz, Delaunay, Van Doesburg. Jego malarstwo ,,powidokowe'' świadczy o żywej inteligencji. Racjonalizacją impresjonizmu była chęć pogłębienia realizmu, zerwania z konwencją która w zasadzie chciała przedstawiać nam obrazy złożone z elementów malowanych, niezależnie od ich względnego położenia w przestrzeni, jakby były wszystkie widziane z podobną ostrością, zarazem blisko- i dalekowidza. Impresjonizm przekazał nam świadomie realną wizję gorących dni nad rzeką, kiedy powietrze drga, zakłócenie konturów światłem, cieniem, wilgocią, temperaturą. Wpisał w obraz to co zakłóca wizję między obserwatorem i przedmiotem. ,,Powidokowe'' malarstwo Strzemińskiego idzie o krok dalej: integruje w wizję malarską nie tylko przestrzeń między malarzem i przedmiotem, ale biologiczne zjawiska na dnie ludzkiego oka: ,,muszki'' i przejrzyste ,,gąsienice'' zmęczenia, niebieskie i czerwone plamy które oko samo przenosi, porażone blaskiem, z światła w cień i z cienia w światło. Eksperyment ciekawy, dający raz w ,,Słońcu 1948'' obraz przewyższający późnego Matisse'a, innym razem w ,,Kobiecie czy Oknie'' nic ciekawszego od gorszych obrazów Kokoschki.

,,Przestrzenne rzeźby'' Katarzyny Kobro są dziwnie staroświeckie i smutne. Ich obdrapana emalia stwarza atmosferę absurdalnych ruin, jakimi są niektóre popękane już i zjedzone wilgocią wille Le Corbusiera na Côte d'Azur.

Henryk Stażewski ,,namalował'' ponoć na nowo swój obraz zniszczony w Powstaniu, na którym (na wzór Malewicza?) dwa białe prostokąty o farbie gładkiej sąsiadują z czterema białymi prostokątami o farbie tłoczonej w jednostajny wzór w jaki nieraz maluje się (wałkiem) kuchnię. Centymetr i odpowiedni wałek pozwoli nam przechować te dzieła przez nowe zniszczenia i katastrofy.

Cóż za kontrast — u Berlewiego — między ambicją, zamierzeniem, groźbą i rezultatem. Henryk Berlewi wykłada w katalogu tajniki swej ,,mechanofaktury'', która po raz pierwszy ma wypełnić zarazem fascynującą przestrzeń zamkniętą w płótnie i przestrzeń kosmiczną, istniejącą poza ramą obrazu (a pierwszą odkrył Mondrian w Neoplastycyzmie, a drugą odkrył Malewicz w Suprematyzmie), która ma nieść nowy system konstrukcji poziomej opartej na mechanice i stwarzać nowy uniwersalny język

plastyczny (nie dodałem tu ani słowa — wszystko Berlewi *dixit*). Mniej poezji, mniej lekkości, mniej wyobraźni w tym manifeście niż u Malewicza, ale podobny mesjanizm. Tymczasem... Zwrócone w przyszłość, formy te ciążą jak ołów ku przeszłości: są to *cockail-bary* charlestonowe, łazienki transatlantyków z lat trzydziestych, plafony paryskiej Alhambry: frywolne elementy najbanalniejszej dekoracji, sztuki stosowanej jedynego bodaj w historii złego smaku, który nie był okupiony choćby częściowo przypadkową poezją. Berlewi stwierdza też, że stworzył on swój system ,,jako antytezę świata dziwnego, irracjonalnego, nieokreślonego, nadzwyczajnego, zdezorganizowanego, chaotycznego i bezkształtnego''. Że chciał się przeciwstawić ,,wizji mistyczno-ekstatycznej i podświadomości''. Posługuje się on ,,linijką i cyrklem'', gdyż ,,porzucenie wykonania ręcznego leżało w logicznym biegu rzeczy''. Trudno nie być mu wdzięcznym za równie kategoryczne odcięcie się od wszystkiego co może być dziedziną sztuki.

W przedmowie do katalogu Jean Cassou stwierdza: ,,jeśli młodzi malarze polscy zwracają się z takim zapałem ku abstrakcji'', to dlatego, że ,,odnajdują oni, może nie zdając sobie z tego jasno sprawy, czysto polskie aspiracje zrodzone w sąsiedztwie rewolucyjnego płomienia październikowej Rosji''. Nie wydaje się jednak, przynajmniej z daleka, aby Lebenstein, Kantor, Urbanowicz, Włodarski, Kujawski, Erna Rosenstein — żeby wymienić kilku malarzy polskich, których znam z oryginałów czy z reprodukcji — wiele zawdzięczali pionierom abstrakcji geometrycznej. Linia organiczna — Klee, Kandinsky, nadrealiści, taszyzm — wydaje się o wiele ważniejsza w genealogii współczesnego malarstwa polskiego.

K.A. JELEŃSKI

Prawdziwa ziemia i sztuczne księżyce

Międzynarodowy Rok Geofizyczny jest przedsięwzięciem, któremu warto jest poświęcić trochę uwagi, nawet w obecnych czasach skondensowanych sensacyj politycznych. W imprezie tej, która mimo nazwania jej ,,rokiem'' trwać będzie 18 miesięcy (od lipca 1957 do końca grudnia 1958 r.) bierze udział pięćdziesiąt kilka państw. Jej łączny budżet — tylko w zakresie zasadniczych badań — przekracza sto milionów funtów szterlingów,

a w istocie sprowadza się ona do zbadania kształtu i innych cech fizycznych naszej planety.

Czytelnikowi, karmionemu od lat wszelkiego rodzaju utworami literatury popularno-naukowej, dziwne się może wydawać że w tym wieku triumfu nauki i techniki mogą jeszcze istnieć, w zakresie znajomości naszego globu, takie wątpliwości, że na próbę ich rozwiązania, czy raczej zredukowania — bo nikt się nie łudzi aby mogły one być wszystkie rozwiązane — warto jest wydać sto milionów funtów i więcej. W istocie jednak, nasza znajomość trzeciej planety układu słonecznego jest bardzo fragmentaryczna i ,,powierzchowna'' (w więcej niż jednym znaczeniu tego słowa). Tak bardzo, że staje się to już poważną przeszkodą w dalszym postępie technicznym. Znajomość struktury, to znaczy wnętrza ziemi, jest niemal zbliżona do zera — mniej lub więcej pewne wiadomości o warunkach w głębi ziemi nie przekraczają warstwy grubości 1/1000 jej średnicy; dużo mniej niż grubość cienkiej skórki na b. wielkim jabłku. Znajomość oceanu atmosfery, na którego dnie żyjemy, jest tak mała, że wciąż nie możemy zrozumieć mechaniki zmian klimatycznych, nie mówiąc już o innych wpływach atmosfery na fizyczne zjawiska na ziemi. Zależność warunków ziemskich od słońca jest rozumiana, ale znajomość mechanizmu tej zależności jest niemal żadna. A wreszcie nawet znajomość prawdziwego kształtu powierzchni ziemi jest tak niedokładna, że nie może wystarczać nowoczesnej technice (nie tylko w zakresie pocisków międzykontynentalnych, ale przede wszystkim linii lotniczych, komunikacji radiowej i telewizyjnej itp).

Badania naukowe, które mogłyby mieć widoki rozwiązania tych zagadnień, nie mogą być podjęte przez żaden, choćby najpotężniejszy instrument państwowy, przede wszystkim dlatego, że konieczne jest do tego dokonywanie zsynchronizowanych i ujednoliconych obserwacyj na terenie całego globu i przez dłuższe okresy czasu. Toteż tylko inicjatywa międzynarodowa może zadaniom takim podołać.

Wysiłki określenia kształtu i wielkości ziemi podejmowane były wielokrotnie od czasów zamierzchłych. Poza niezbyt jasną relacją Arystotelesa, mamy dość ścisłe informacje o pomiarach, jakie zorganizował Eratosthenes Cyrenejczyk, jeden z kolejnych kierowników Muzeum (tzn. świątyni Muz, w istocie Akademii Nauk) w Aleksandrii, w III stuleciu przed naszą erą. Mimo że uważał on ziemię za kulę (nie za elipsoid), wyniki jego pomiarów są może dość bliskie rzeczywistości (wątpliwości nasze w tym względzie wynikają stąd, że nie znamy dokładnie wielkości jednostki długości — stadion — którą się posługiwał). Ważniejsze jest to, że metoda pomiaru, którą Eratosthenes wynalazł i zastosował, była używana aż do najnowszych czasów z powolnym ulepszaniem dokładności mierzenia.

Ze stopniowo zwiększanej dokładności tych pomiarów w końcu XVII stulecia wynikło, że ziemia nie może być kulą, ale powstał konflikt opinii, czy jest ona sferoidem spłaszczonym,

czy wydłużonym (a więc czy przypomina mandarynkę, czy cytrynę). Wyniki pomiarów J. Richera wskazywały na pierwszą ewentualność, J. i D. Cassinich — na drugą. Dla rozstrzygnięcia tego sporu Akademia Francuska zorganizowała sławną ekspedycję — a raczej dwie równoczesne. Jedna dokonywała pomiarów w Peru, druga w Laplandii (Finlandii, wówczas jeszcze nie zaanektowanej przez Rosję). Prace pierwszej z tych ekspedycji trwały 10 lat! Druga wykonała swe zadanie w 16 miesięcy.

Pierwszą próbą międzynarodowej współpracy w ustalaniu kształtu i wielkości ziemi była francusko-angielska impreza w r. 1783, gdzie po raz pierwszy zastosowano teodolity, a przy mierzeniu długości, łaty drewniane zastąpiono łańcuchami stalowymi. Prawdziwy jednak międzynarodowy wysiłek naukowo-badawczy zaczął się w zakresie meteorologii, niewiele ponad sto lat temu. Pierwszy międzynarodowy kongres meteorologiczny odbył się w r. 1853 w Brukseli. Rozpoczęta wtedy międzynarodowa wymiana obserwacyj meteorologicznych umożliwiła oparcie prognozy pogody na podstawach racjonalnych.

Z inicjatywy austriackiego oficera marynarki, Karla Weyprechta, który właśnie powrócił z wyprawy podbiegunowej, Międzynarodowy Komitet Meteorologiczny zorganizował pierwszą międzynarodową imprezę badawczą w r. 1882, znaną pod nazwą Rok Polarny. Ograniczony do okręgów podbiegunowych I Rok Polarny objął, poza zagadnieniami ściśle meteorologicznymi również magnetyzm ziemski. Wyniki połączonych wysiłków dziesięciu narodów okazały się tak pomyślne i przyniosły tak wielki postęp w zakresie służby meteorologicznej, że jednomyślnie postanowiono Rok Polarny powtarzać co 50 lat. Międzynarodowa Organizacja Meteorologiczna powołała zatem na zebraniu w Kopenhadze w r. 1929 odpowiednią komisję dla zorganizowania II Roku Polarnego w 1932 r. W imprezie tej, w której uczestniczyły już 44 państwa, po raz pierwszy brała również udział Polska. Polska też była jednym z 22 państw, które poza zorganizowaniem specjalnych obserwatoriów i obserwacyj na własnym terenie, wyekwipowały ekspedycje naukowe do rejonu arktycznego. Polska ekspedycja założyła i utrzymywała przez rok stację badawczą na norweskiej wyspie Niedźwiedziej (Björnöja) na oceanie Arktycznym (miejsce zimowania załogi w pierwszej arktycznej ekspedycji Vitusa Beringa w XVIII stuleciu).

Przewodniczącym polskiego Komitetu Roku Polarnego był, z urzędu, ówczesny dyrektor Państwowego Instytutu Meteorologicznego, szwajcarski uczony prof. Jean Lugeon. Szereg warunków szczególnych sprawił, że polski wkład i korzyści z udziału w Roku Polarnym nie były tak znaczne, jak być mogły i powinny. Przede wszystkim brak było nam dostatecznej liczby wykwalifikowanych badaczy w zakresie geofizyki i meteorologii. Poza tym fakt, że cudzoziemiec (który objął kontraktowe stanowisko dyrektora PIM'u w wyniku konkursu naukowego) miał na terenie międzynarodowym reprezentować naukę polską, choćby w jednym szczególnym dziale, zaostrzył niechęci, rywalizacje

i intrygi pomiędzy grupą (raczej drobną) uniwersyteckich naukowców geoficznych, grupą wojskowych specjalistów meteorologicznych, a PIM'em. Odbiło się to w sposób bolesny na budżecie, a przede wszystkim na pracach organizacyjnych Polskiego Komitetu Roku Polarnego. Z drugiej strony okoliczność, że prof. Lugeon nie posługiwał się swobodnie językiem polskim, oraz że dziennikarstwo polskie nie rozporządzało wykwalifikowanymi sprawozdawcami naukowymi, spowodowała, że Polski Komitet Roku Polarnego (którego działalność prawie natychmiast po ukonstytuowaniu sprowadziła się niemal całkowicie do indywidualnych wysiłków prof. Lugeon) nie mógł zorganizować opinii publicznej i oprzeć na niej swych działań. Jednoosobowy referat prasowy tego Komitetu umieścił parę ilustrowanych artykułów o polskiej ekspedycji na wyspę Niedźwiedzią (głównie w tygodnikach) ale nie zdołał sprawą Roku Polarnego zainteresować żadnego z dużych dzienników. Toteż społeczeństwo polskie o tej imprezie naukowej po prostu nie wiedziało.

Wyniki II Roku Polarnego opracowano z dużym opóźnieniem. Przeszkodziła temu wojna i najważniejsze opracowania ukazały się dopiero po jej zakończeniu. Plon jest jednak bardzo poważny. Rozprawy naukowe, oparte na obserwacjach II Roku Polarnego obejmują następujące działy (w nawiasie liczba ogłoszonych prac): meteorologia (104), promieniowanie słoneczne (47), aerologia (121), geomagnetyzm (216), elektryczność gruntowa (29), elektryczność atmosferyczna (48), radio (80), zorza północna (77), promieniowanie kosmiczne (25), hydrografia (18).

W wyniku Roku Polarnego po raz pierwszy uzyskano ścisłe dane dotyczące arktycznych warunków klimatycznych i wpływu biegunowych mas powietrznych na stan pogody na świecie. To sprawiło, że prognozy meteorologiczne stały się bardziej zdecydowane, określone i, w zakresie przewidywań krótkoterminowych (doby), niemal zupełnie dokładne. Zdobycze Roku Polarnego uzyskano przy zastosowaniu instrumentów, które dziś stały się już przestarzałe i, w porównaniu do dzisiejszej, technika badań była prymitywna. A mimo to osiągnięto wybitny postęp w meteorologii i wielu innych działach geofizyki, wykazując, że zastosowanie w podobny sposób nowszych metod i nowoczesnych instrumentów mogłoby pozwolić już na pokuszenie się rozwiązania wielu ważnych zagadnień naukowych. Ustaliła się wobec tego opinia, że odkładanie następnego Roku Polarnego na 50 lat, nie jest słuszne wobec nowoczesnego tempa rozwoju technicznego (oraz narastających z tym potrzeb informacji naukowych). Kiedy zatem amerykański uczony dr L. Barker zaproponował skrócenie tego okresu do 25 lat, projekt znalazł entuzjastyczne przyjęcie w międzynarodowych kołach naukowych. Sprawa została podjęta przez Międzynarodową Radę Stowarzyszeń Naukowych, a program badań rozszerzony poza regiony polarne i poza zagadnienia meteorologiczne. Nazwa imprezy została też zmieniona na Międzynarodowy Rok Geofizyczny. Na czele odpowiedniego komitetu międzynarodowego, do którego wchodzą

przedstawiciele naukowi wszystkich partycypujących państw, a który ma koordynować prace komitetów narodowych, stoją: prof. S. Chapman (geofizyk angielski), dr L. Barker (uczony amerykański), oraz prof. M. Nicolet (aerolog belgijski). Komitet ten, w pełnym swym składzie odbył posiedzenia: w Brukseli (1953), Rzymie (1954), Brukseli ponownie (1955) i Barcelonie (1956) postanawiając zorganizować badania międzynarodowe na rok 1957-8.

Ogólna liczba specjalnych obserwatoriów M.R.G. wynosi około 2000, poza tym kilkanaście państw wyposażyło wielkie, nowoczesnie zorganizowane ekspedycje naukowe. Znaczna część obserwatoriów zgrupowana jest w sześciu głównych okręgach: oba rejony podbiegunowe (arktyczny i antarktyczny), pas równikowy, oraz trzy pasy południkowe: 70° — 80° W (poprzez kontynent Ameryk), 10° E (poprzez Europę i Afrykę) i 140° E (poprzez część Rosji, Japonię i Australię). Kilka mniejszych, dodatkowych okręgów przeznaczono dla badań specjalnie meteorologicznych. Ustalono też tzw. Kalendarz Dni Światowych, tj. dni, w które prowadzone będą szczególnie intensywne obserwacje wielkiej liczby zjawisk, niezależnie od codziennych, regularnych obserwacyj według ustalonego programu. Te Regularne Dni Światowe przypadają mniej więcej trzy na miesiąc. Poza tym przewidziane jest zarządzanie nagłych obserwacyj specjalnych drogą radiowego ostrzeżenia. Niezależnie od tego są również tzw. Światowe Okresy Meteorologiczne (obejmujące po dziesięć dni z rzędu), w których program i zakres badań meteorologicznych rozszerzony jest niemal do ciągłej obserwacji. Takich okresów będzie w ciągu M.R.G. siedem.

Usprawnienie badań obejmuje nie tylko zakres instrumentacji, programów i obszarów, ale również wyników. Jasne jest, że tak szeroko zaprojektowana impreza naukowa przyniesie olbrzymią masę danych obserwacyjnych. Opracowanie tych danych musi być usprawnione, aby było szybkie, oraz muszą one być udostępnione wszystkim uczestnikom, aby owocność wyników stała się rzeczywista. Powołane zostały zatem regionalne ośrodki zbiorcze danych, które przyjmować będą dane obserwacyjne i skąd wszystkie instytucje naukowe uczestniczących państw będą je mogły otrzymywać. Na przykład więc Międzynarodowa Organizacja Meteorologiczna w Genewie otrzymywać będzie zestawienia obserwacji meteorologicznych ze wszystkich stacji M.R.G. i tu, fotografowane na mikrofilmach, będą one dostępne dla wszystkich zainteresowanych. W Wielkiej Brytanii znajdują się: światowy ośrodek zbiorczy danych glacjologicznych (Brytyjskie Stowarzyszenie Glacjologiczne), europejski ośrodek zbiorczy wizualnych obserwacji zorzy (Uniwersytet w Edynburgu) i rejonowy ośrodek obserwacji jonosfery (Instytut Radiowy w Slough). Poza rejonowymi i specjalnymi ośrodkami istnieją dwa Główne Ośrodki Danych. Jeden jest w Rosji, drugi w Stanach Zjednoczonych.

W wyznaczeniu okresu obserwacji M.R.G. na rok 1957/8 głównym czynnikiem był fakt, że jest to okres szczególnej działalności słońca, znany jako faza maksimum plam. Zagadnienie promieniowania słońca włączone było już do programu II Roku Polarnego. Dziś, kiedy o odmianach i działaniu tego promieniowania wiemy dużo więcej, znajdujemy, że od niego zależy tak wielka liczba i zakresy zjawisk geofizycznych, że badanie działalności słońca stało się jednym z najważniejszych i najpilniejszych zadań geofizyki. Najpomyślniejszym zaś okresem dla prowadzenia takich badań jest okres plam słonecznych.

Dotychczas zazwyczaj traktowaliśmy nasze słońce jako jedną z grupy gwiazd stałych naszej galaktyki, gwiazd wysyłających stosunkowo niezmienne ładunki energii promienistej w przestrzeń kosmiczną. Dziś, w wyniku nowszych obserwacji zmuszeni jesteśmy uznać, że słońce jest gwiazdą zmienną i energia przezeń wysyłana zmienia się periodycznie w szerokim zakresie. Jeżeli w strefie światła widzialnego nie jest to dostrzegalne, to głównie dlatego, że światło widzialne stanowi tylko bardzo drobny odcinek skali energii promienistej, a poza tym, światło dochodzi do nas poprzez filtr atmosfery oraz, być może, mgławic kosmicznych, których różne warstwy zmieniają swe właściwości absorbcyjne w dużym zakresie, niwelując tym zmiany w natężeniu światła. Ale zmiany w natężeniu energii elektromagnetycznej poza widzialnym światłem, absorbowanej przez naszą planetę, wpływają na zmienność wielu czynników geofizycznych.

Okresowo, szczególnie w fazie wzrastania liczby plam (co przypada mniej więcej co 11 lat), pojawiają się sporadyczne wybuchy słoneczne, wysyłające potężne ładunki energii w postaci promieniowań elektromagnetycznych (od ultrafioletu po fale radiowe) i strumieni cząsteczek (od elektronów aż po fragmenty jądrowe ciężkich atomów). Takie strumienie energii są stosunkowo wąskie i nie zawsze trafiają na ziemię kiedy jednak droga ziemi znajduje się na linii takiego wybuchu, to otrzymany przez nią ładunek energii wywołuje tu gwałtowne zaburzenia magnetyczne, burze elektronowe w jonosferze i szereg innych zakłóceń, o których dotychczas niewiele wiemy, a których bliższe zbadanie jest w programie M.R.G. Promienie, to znaczy fale elektromagnetyczne wyrzucone z wybuchu słonecznego sięgają ziemi w ciągu około 10 minut, zaś strumienie cząsteczek, zależnie od szybkości poszczególnych ich odmian, w okresie od kilkudziesięciu minut do kilkudziesięciu godzin. Najszybsze z tych cząsteczek zachowują się tak, jak „promienie kosmiczne", o których do niedawna sądziliśmy, że nie pochodzą ze słońca. Zdaje się nie ulegać wątpliwości, że słońce nie jest jedynym źródłem tych promieni, o ile zresztą okaże się, że „słoneczne promienie kosmiczne" są identyczne ze „zwykłymi" promieniami kosmicznymi. Co wcale nie jest pewne. Trzeba bowiem pamiętać, że to, co tu badamy, to są „wtórne" promienie kosmiczne — cząsteczki wytrącane z atomów górnych warstw atmosfery (a może też molekuł mgławic kosmicznych) przez pierwotne promienie kosmi-

czne. Okres „życia" niektórych z tych cząsteczek (niektórych mesonów) jest tak krótki, że nie wystarczyłby na przebycie przez nie przestrzeni większej, niż grubość atmosfery ziemskiej a i tę przestrzeń zdołają one przebywać tylko dlatego, że przy ich szybkości, bliskiej szybkości światła, ich indywidualny czas ulega relatywistycznemu wydłużeniu (zgodnie z teorią względności).

Poza tym, strumienie energii wysyłane są ze słońca w postaci wąskich wiązek nie tylko z terenów wybuchów, ale i z jakichś innych dotychczas niezidentyfikowanych terenów (nazwanych okręgi-M). Promieniowania, głównie cząsteczkowe z okręgów-M są znacznie długotrwalsze, niż z wybuchów. Zadaniem jest zbadanie składu tych promieniowań, oraz odnalezienie dokładnych punktów słońca, które je emitują.

Słońce poddane zostało zatem ciągłej, 24-godzinnej obserwacji, dokonywanej z 38 obserwatoriów, rozłożonych dokoła ziemi. W chwili pojawienia się wybuchu, lub wchodzenia ziemi w strumień promieniowania z okręgu-M, specjalna stacja obserwacyjna w Fort Belvoir (USA) nadaje drogą radiową sygnał: „AGI-SSSSS-SWI" (co znaczy: „Année Geophysique Internationale — baczność — Special World Interval", w zabawnie makaronicznym języku Roku Geofizycznego) i wszystkie stacje obserwacyjne M.R.G. prowadzić będą, aż do odwołania, stałe, intensywne obserwacje wszystkich czynników geofizycznych, na których wpływ promieniowań jest znany, podejrzewany, czy choćby tylko możliwy.

Mimo że obserwacje są właściwie dopiero rozpoczęte, już jedno, wysoce interesujące odkrycie zostało dokonane. Mianowicie, wiadomo, że cząsteczki przybywające ze słońca są odchylane przez pole magnetyczne ziemi ku jej biegunom, a wobec tego minimum cząsteczek pojawiać się winno na równiku geomagnetycznym. Tymczasem okazało się, że tak nie jest. Równik geomagnetyczny okazał się poza atmosferą jak gdyby odchylony. Wniosek, który z tych danych wynika jest, że ziemia nie porusza się w doskonałej próżni i albo mgławice ciemne galaktyki dochodzą do bezpośrednich okolic ziemi, albo też korona słoneczna rozciąga się tak daleko, że ziemia porusza się w jej zasięgu. Poza obserwacją słońca i jego wpływu, co jest zasadniczym punktem programu Roku Geofizycznego, obserwacje stałe obejmować będą szeroki zakres zjawisk.

Promieniowanie kosmiczne (poza słonecznym) badane będzie specjalnie w z górą 100 obserwatoriach. Głównym zadaniem jest skatalogowanie źródeł tego promieniowania i wyjaśnienie mechanizmu powstawania cząsteczek o tak olbrzymiej energii. Podejrzewa się istnienie jakichś nieznanych a podstawowych procesów fizycznych i podjęte zostają wysiłki dla ich odkrycia. Badaniom jonosfery, ustaleniu jej warstw i ich ruchów poświęcono około 240 obserwatoriów specjalnych. Geomagnetyzm, meteorologia, glacjologia, oceanografia (z badaniem prądów głębinowych), sejsmologia, oraz, jak dawniej, ustalenie kształtu ziemi tzn. dokładne wyznaczenie długości i szerokości geograficznych

szeregu punktów na ziemi — są zagadnieniami szeroko reprezentowanymi w programie obserwacyj, ale przeważnie są one zbyt specjalne, aby ich znaczenie można było wyjaśnić nie naukowcom w sposób jasny, ścisły i nie nużący.

Wyniki tych szczegółowych, zsynchronizowanych i intensywnych badań niewątpliwie zmuszą do modyfikacji wielu teoryj, obalenia innych, wzmocnienia jeszcze innych i, w rezultacie doprowadzą do wielu, mniej lub więcej sensacyjnych zmian w poglądach na rzeczywistość fizyczną naszego świata (nie mówiąc o tym, że mogą one otworzyć nam oczy na istnienie wielu nowych, niepodejrzewanych zagadek).

Jedna z metod badawczych, która zastosowana będzie po raz pierwszy na szerszą skalę, budzi sensację szerokiej publiczności i niemal mistyczne nastroje. Są to rakiety i sztuczne księżyce. Te ostatnie zresztą tylko częściowo wchodzą do programu Roku Geofizycznego i ich wyrzucanie podejmowane jest indywidualnie, poza zakresem (i budżetem) imprezy międzynarodowej, służą one bowiem do różnych i nie tylko naukowych celów.

Badania rakietowe wchodzą do programu badań geofizycznych i przewidziane jest dokonywanie szerokiego zakresu obserwacyj atmosfery, promieniowań, radia itp. przy ich pomocy. Stacje rakietowe przygotowane zostały w różnych częściach globu przez Stany Zjednoczone, Rosję, Australię, Francję, Japonię i W. Brytanię. W ciągu roku 1958 możliwe jest podjęcie tych badań i przez niektóre inne państwa. Głównym zadaniem rakiet będzie zebranie podstawowych danych: temperatury, ciśnienia i gęstości atmosfery do wysokości 200 — 250 km. Ponadto projektowane jest wysyłanie w rakietach instrumentów do mierzenia intensywności promieniowań różnego typu, włącznie z promieniami kosmicznymi, gęstości cząsteczek meteorycznych, rozchodzenia się fal radiowych, wiatrów w jonosferze i wyżej itd. Specjalna seria badań dotyczyć ma znacznej ilości pierwiastka sodu, którego skoncentrowanie na wysokości około 70 km. stanowi całkowitą zagadkę.

Rakiety stosowane do obserwacji Roku Geofizycznego są kilku typów. Anglicy użyją typu „Skylark", Amerykanie — „Aerobee", Francuzi — „Veronique" i Japończycy — „Kappa". Typy rakiet rosyjskich nie są jeszcze bliżej określone, ale zamierzają oni użyć kilka różnych typów. Wszystkie te rakiety (poza rosyjskimi) mają mniej więcej podobny zasięg (od 80 do 150 km, zależnie od obciążenia instrumentami pomiarowymi), niektóre jednak będą wystrzeliwane z balonów lub „rockoon'ów" (rakiet pomocniczych), osiągając znacznie większe i trudne do przewidzenia wysokości. W sumie projektowane jest wyrzucenie co najmniej 500 rakiet obserwacyjnych.

Dwa państwa, Stany Zjednoczone i Rosja zapowiedziały wyrzucenie sztucznych księżyców. Program rosyjski nie jest w szczegółach znany. Dotychczas Rosjanie pierwsi wystąpili na tym polu, wypuszczając już dwa sztuczne księżyce. Pierwszy z nich, zwany przez Rosję „Sputnik I", wypuszczony 4 października,

obiegał początkowo ziemię w ciągu około półtorej godziny (dokładniej 96 m. 2 s.). Drobne zmiany w czasie obiegu zależą nie tylko od stopniowego zbliżania się księżyca sztucznego do ziemi (co zmniejsza okres obiegu, w wypadku ,,Sputnika I'' o około 1,5 sek. dziennie przez zmniejszanie się całkowitej długości toru), ale i od innych czynników, jak wpływ niejednostajności pola grawitacyjnego ziemi, opór środowiska, uderzenia meteorytów itp. Dokładna obserwacja biegu sztucznego księżyca pozwoli na ścisłe określenie jego toru i szybkości, a ustalenie drobnych odchyleń w obu tych parametrach da, poprzez analizę matematyczną, bliższe wskazówki co do rodzaju i wielkości zakłóceń. To, wraz z innymi danymi obserwacyjnymi może rozwiązać wiele zagadek przestrzeni poza-atmosferycznej, a nawet i takich zagadnień jak kształt ziemi. Tor księżyca ,,Sputnik I'' jest wydłużoną elipsą przechodzącą w pobliżu terenów biegunowych. Jego największe oddalenie od ziemi sięgało 970 km, a największe zbliżenie było pierwotnie 190 km. Księżyc ten, według danych rosyjskich ważyć ma ok. 90 kg, nie wiadomo jednak czy jest to waga samego tylko księżyca, czy też łączna waga ostatniego ładunku rakiety, a więc księżyca wraz z ochronną głowicą, która zresztą również krąży w przestrzeni na torze zbliżonym do księżyca z nieco tylko odmienną szybkością i, mając nieco większą niż księżyc powierzchnię odbijającą światło, jest obiektem łatwiej od niego obserwowanym okiem nieuzbrojonym.

Drugi z rosyjskich sztucznych księżyców, ,,Sputnik II'', wypuszczony 3 listopada, ma ważyć jakoby 500 kg, przy czym również nie wiadomo czy jest to waga księżyca właściwego, czy całej głowicy ostatniej rakiety. Drugi księżyc rosyjski porusza się po torze nieco mniej spłaszczonym i jego średnia odległość od ziemi jest nieco większa niż pierwszego (maksimum odległości około 1500 km), toteż okres obiegu jest nieco dłuższy. ,,Sputnik II'' posłużył do przeprowadzenia badań biologicznych, zabierając w swym wnętrzu psa, którego reakcje fizjologiczne, przekazywane były drogą radiową. Badania te pozostają, oczywiście, całkowicie poza programem Roku Geofizycznego, stanowiąc, być może, wstęp do badań nad techniką ,,lotów międzyplanetarnych''. Wyposażenie radiowe drugiego księżyca umożliwiło przesyłanie sygnałów zaledwie przez tydzień i po tym okresie pies został, jakoby, otruty. Z powodu ujemnego wrażenia jakie wywołało użycie psa do doświadczeń, w których nie miał on żadnych szans ujścia z życiem — propagandowy efekt wypuszczenia rosyjskich księżyców w krajach Zachodu — zapewne nie całkowicie odpowiada zamierzeniom rosyjskim. Pomyślne wypuszczenie sztucznych księżyców stanowi jednak niewątpliwie ogromny sukces rosyjskiej techniki i ten fakt jest w pełni doceniany. Ten jednak zakres tego wydarzenia nie należy do tematu niniejszego sprawozdania. Można tylko dodać, że poza zagadnieniami technicznymi i naukowymi, wypuszczenie sztucznego księżyca jest również zagadnieniem finansowym. Według źródeł amerykańskich koszt jednego takiego księżyca przekraczać musi

sumę 3 — 4 milionów funtów, przy czym suma ta stanowi najniższą granicę i nie obejmuje kosztów utrzymania wyrzutni.

Amerykański program sztucznych księżyców, ustalony w ramach Roku Geofizycznego, przewidywał wypuszczenie w ciągu 1958 r. 12 księżyców, znacznie od rosyjskich mniejszych, bo wagi około 10 kg każdy. Amerykańskie księżyce mają krążyć po torze odchylonym o około 40° od równika, na wysokościach różnych, ale na ogół średnio około 1500 km. Wykonane seryjnie, księżyce te zaopatrzone są w precyzyjne instrumenty pomiarowe do rejestrowania zmian temperatury, ciśnienia, promieniowań różnych długości fal oraz przekazywania tych obserwacji drogą radiową. Niektóre z księżyców mają możność rejestrowania cząstek meteorowych oraz promieni kosmicznych. Nie jest prawdopodobne, aby w związku z wypuszczeniem księżyców rosyjskich plan amerykański sztucznych księżyców przeznaczonych dla Roku Geofizycznego uległ zmianom. Możliwe jest jednak, że ze względów prestiżowych zechcą oni sfinansować rakiety i księżyce sztuczne „pokazowe", poza zakresem programu badań geofizycznych.

j.h.

P.S. — Już po napisaniu powyższego sprawozdania odbyła się w Ameryce, zorganizowana na prędce, próba wyrzucenia „prestiżowego" sztucznego księżyca. Impreza ta zakończyła się niepowodzeniem, tym przykrzejszym że była z góry hałaśliwie reklamowana.

Cedr

Umarł A. M. Remizow. Pisałem o nim w „Kulturze" w 1951 roku i wtedy również pomieściliśmy tłumaczenie Łobodowskiego dwóch jego opowiadań. Przerzucam kartki wtedy pisane i odnajduję strzęp wiersza Norwida, który mu tłumaczyłem.

Zachwycił go i nieraz potem wspominał

„Cedr nie ogrody, lecz pustynie rodzą..."

Podczas jednej z moich ostatnich wizyt, siedział skulony, ślepy, z dusznościami — miał je prawie co noc i co dzień. Miałem wrażenie, że fizycznie to było już ledwo tchnienie człowieka, powiedział mi wtedy z nagłą siłą: „potrzebne mi: samotność, milczenie, *pustynia*".

Jego tłumaczka i najbardziej oddany mu od ponad dwudziestu lat przyjaciel, Natalia Reznikowa, spisywała jeszcze ostatnie teksty tego już pra-

wie całkowicie ślepego starca. Mówiła mi, że gdy przychodziła na godziny pracy z nim, drżał na całym ciele, bo tak się palił, by jeszcze i jeszcze jej podyktować to co przez noce bezsenne, ranki samotne potrafił ze swych myśli wcielić w trudne, nieoczekiwane, wyszukane i świeże zarazem, a jakże z głębi Rosji i z głębi jego duszy wyrastające słowa.

Iluż artystów szuka na gwałt oryginalności i jakże ta oryginalność sztuczna drażni i wszystko fałszuje. Remizow wiele — w młodości przede wszystkim — cierpiał nad swoją innością, starał się być możliwie niezauważony, być jak wszyscy, ale *był* inny i całe życie szukał słów do tej inności przeżyć naprawdę przylegających. Nie zapomnę jak kiedyś, słuchając mego francuskiego artykułu o nim, przyłapał mnie na paru słowach o Sowietach czy dyktaturze czy totalizmie, banalnie, po gazeciarsku spiętych. Aż rękami zamachał: „niech Pan tych słów nie używa *z nich się już proch sypie*". Samym stylem swojego życia, każdym odezwaniem, nie tylko słowem pisanym, był Remizow protestem przeciwko wszelkiej drętwej mowie, nie jest więc dziwne, że właśnie ten arcyrosyjski mistrz słowa był na czele sporządzonej przez Żdanowa listy, szkodliwych i zakazanych formalistów.

Odeszła z nim cała epoka, bo przecież ten ponad osiemdziesięcioletni starzec przyjaźnił się jeszcze z Rozanowem i Błokiem. Ostatnia książka Remizowa, „Krąg szczęścia", wydana w 1957 roku przez garstkę przyjaciół z Paryża, to cztery legendy o królu Salomonie. Już wstęp do tych opowiadań wyraża dziwność tej literatury: „moje cztery powieści to odwieczny głos ziemi rosyjskiej: rosyjska bajka, rosyjska powieść i dwie legendy o budowie świątyni. Powieść — nie mogę bez tego — zmodernizowałem, legendę o latającym wielbłądzie przeniosłem w wieki średnie, a apokryf o Titowrasie (centaurze) „amplifikowałem", „interpolowałem", ubrałem w szaty bizantyjskie. Te elementy ludowej powieści pozbierałem jak kamyczki, dobrałem i wprawiłem w „załatoj akład" obrazu króla Salomona. *Moje domysły i moje słowo — to cała moja sztuka*".

Nie darmo nazywa siebie Remizow „werbalatorem". Jego ogromna wiedza językowa, historyczna, znajomość zamierzchłych źródeł rosyjskiej i ruskiej tradycji, mitów, legend, bajek rosyjskich, powiązań i nurtów z Zachodem przez Polskę i Białoruś, z Indiami, Chinami nawet, Persją, przez Bizancjum czy znów przez Zachód, wszystko to służy osobliwemu słowotwórstwu, gdzie pisarz stapia razem ten świat przeszły ze słowami dnia dzisiejszego i takimi, które dopiero stwarza, przerzucając do mowy rosyjskiej potoczne słowa nawet z zasłyszanej rozmowy francuskiej, byle były wyraziste i dźwięczne. Ten barok słowa, kombinację zupełnej wolności i wyszukanej wiedzy języka można porównać chyba do stylu Audibertiego i jego stopu erudycji i słowotwórstwa.

Punktem wyjścia literatury Remizowa zawsze jest słowo, rytm zdania wyzwolony z martwego balastu, prawie że *rysunek* zdania. Ilustracje samego Remizowa, robione do niektórych jego książek, jego albumy rysunkowe, których pono zrobił koło dwóch tysięcy, do samej kaligrafii jego pisma, przestylizowanego siedemnastowiecznego rysunku liter włącznie — stanowią nierozerwalną całość z jego słowem. Książki Rozanowa przeważnie wydawane były jakby na prawach manuskryptu. „Gutenberg żelaznym językiem oblizał całą literaturę i zginęła w niej intymność rękopisu" — pisał Rozanow i cieszyłby się dzisiaj bo tę intymność w literaturze odrodził jego

przyjaciel Remizow, i to właśnie wtedy kiedy literatura w Rosji musiała być obowiązkowo pisana „wsiem, wsiem, wsiem".

„Wielcy poeci wtedy przychodzą
kiedy ich nie ma..."

Patrząc na tę głowę mędrca z wielkim nachylonym czołem, krasnoludka, dziecka czy karła, zawsze odkrywałem na nowo, że przecie Rosja sąsiaduje z Chinami. Dziwne jego wycinanki czy malarstwo abstrakcyjne, którym jak drogocenną tkaniną chińską wytapetował swoje ubogie ściany w głodowym okresie okupacji, te dziwne w kształtach kostki, złocone szyszki, rybie ości czy korzenie, które, zawieszone na sznurku, przecinały jego pokój, etażery zrobione ze starych pudeł, zapełnione książkami i rękopisami, o których miejscu ślepy już Remizow zawsze wiedział najdokładniej, opowiadania, fantastyka, którą ten syn Gogola i Dostojewskiego przekomponowywał wiążąc ze sobą równie dobrze legendy normandzkie, szkockie, perskie czy rosyjskie — wszystko to stwarzało w Paryżu, na cichej ulicy Boileau, w najmniej ciekawym szesnastym kwartale, wyspę czarów. Gdyby tylko czarów, ale i wyspę dobroci. Remizow nigdy by nie stworzył swego dzieła, gdyby nie jego przyjaciele rosyjscy. Ci różni ludzie, przeważnie starzy, przeważnie kobiety, wszyscy jeśli nie na granicy nędzy, to w każdym razie biedni, znajdowali jeszcze dość siły i serca, by robić składki, by pisarza nie tylko utrzymać w warunkach by mógł pracować, ale by jeszcze za te składki móc wydawać jego książki w paru setkach egzemplarzy. Daleko jesteśmy od Françoise Sagan i od niezliczonych laureatów niezliczonych nagród, o których trąbią wszystkie gazety.

Uderzało mnie zawsze jak ten chory starzec, który jak nikt wyrazić umiał dotkliwość bólu, opuszczenia, samotności, zachował do końca radość, jak kochał życie zmysłowo i konkretnie. Jeszcze w ostatniej książce bucha jego humor.

I znów ten humor, ta bajka, ten „związek małpoludów", który stworzył i któremu prezesował, nadając każdemu ze swych przyjaciół najdziwnijsze małpie przezwania — to wszystko nigdy nie było zupełnie na żarty, ten dowcip był traktowany najpoważniej, półmagicznie. Jednocześnie jakże był Remizow związany z prawosławiem, z jego modlitwą, całą liturgią, obyczajem, jakże znał tę prawosławną tradycję. I kiedy nad jego zwłokami, nad podwiązaną ciemną malinową chustą twarzą, twarzą białą jak kreda, zarzuconą w tył, jakby nieosłoniętą wielkim myślącym czołem, kiedy nad tym trupem stał duchowny, otoczony garstką ostatnich przyjaciół Remizowa, i cichym, swojskim przyśpiewem mówił modlitwy za umarłych, uderzyło mnie to o czym zawsze pisał Rozanow: do jakiego stopnia blisko, ciepło i nawet radośnie religia prawosławna otacza *śmierć*, początek innego życia, życia nareszcie w pokoju, światłości i prawdzie.

W ostatniej książce Remizowa podana jest bibliografia, spis, trudno uwierzyć — bo 81 tytułów jego książek. Od 1907 do 1921 roku wydał ich Remizow w Rosji 37. Od bajek tybetańskich, od przez niego opowiedzianych apokryfów, do nowel, powieści i nawet sztuk teatralnych. Od 1921 do 1957 wędrował jako emigrant po świecie. Berlin na początku, potem Paryż. Zagranicą wydał 44 tomy. Remizow miał wyznawców nie tylko

wśród Rosjan. Interesowali się nim poeci, surealiści, przyjaciółmi jego od lat byli redaktorzy „Nouvelle Revue Française": Paulhan i Marcel Arlan. Wiele książek Remizowa tłumaczono na francuski, niemiecki, ani jednej na polski. „Podstrzyżonymi oczami", wspomnienia dzieciństwa (1951 rok) w najbliższych miesiącach wychodzą u Gallimarda po francusku w zadziwiającym tłumaczeniu Reznikowej (szereg rozdziałów tej książki ukazał się już w „Nouvelle Revue Française").

W tym bogactwie twórczym Remizowa chciałbym jeszcze wybić jego opowiadania z ginącego Petersburga. Jest wiersz Mandelsztama z 1918 roku. Z tamtych dalekich czasów zapamiętałem parę strof: „*Na strasznoj wysatie błużdajuszczyj agoń*", którego każda strofa kończy się: *Twój brat Pietropol umirajet.*

Ten wiersz poety pochodzącego z tej samej co Remizow epoki, z tej samej generacji (o dwukrotnym zesłaniu i śmierci Mandelsztama na wygnaniu chodzą głuche wieści), mógłby służyć jako motto do najpiękniejszych opowiadań Remizowa ze „Zwichrzonej Rusi", podobna tonacja, do ostatnich granic bolesna i jednocześnie „wstrzymana". Opowiadania, o konającym w głodzie i nędzy ukochanym mieście, o zamęcie, beznadziejności, zagubieniu małego człowieka i jego oczami widzianej rewolucji.

Podobne w tonacji są opowiadania pisane wiele lat później, o nędzarzach żebrzących w metrze, o dzieciach kalekach, o myszach i szczurach, o żrącej samotności w błyszczącym Paryżu. I chyba nie świetny laureat Nobla, też emigrant, Bunin potołstojowski klasyk, już dziś przez Sowiety wydawany i przyjęty, ale Remizow, który w sobie nosił Rosję od mitów najdalszych do okrutnych lat w których żył i tworzył — zostanie jako pomnik z kruszcu najrzadszego tej wielkiej epoki literatury rosyjskiej przez rewolucję zgładzonej czy wygnanej.

I kiedy ostatni atak serca parę dni przed śmiercią dotknął Remizowa w mieszkaniu na rue Boileau, językiem zrozumiałym tylko dla najbliższych, opowiadał jeszcze sny wyśnione, tworzył słowa — werbalator.

I dziś o jego śmierci ubogiej i pięknej, ten kto go znał myśli ze wzruszeniem, ale bez goryczy. Jego losowi dopełnionemu może każdy z nas pozazdrościć.

Józef CZAPSKI

Przyjaciel-Moskal z Ameryki

Wyszła niedawno w Stanach Zjednoczonych księga pamiątkowa ku uczczeniu trzydziestu lat pracy wybitnego uczonego rosyjskiego, osiadłego w Ameryce, profesora Michała M. Karpowicza. Nosi ona tytuł: *Russian Thoughtand Politics* — „Myśl i polityka rosyjska" (Harvard University Press, 1957). Książka ta zasługuje na uwagę czytelnika polskiego zarówno ze względu na jej treść, jak i na osobę której jest poświęcona. Mało jest chyba na świecie tak oddanych i szczerych przyjaciół Polski, jak profesor

Karpowicz, w którego żyłach obok krwi rosyjskiej i gruzińskiej płynie też i polska. Przez trzydzieści lat (1927-1957) był on głównym wykładowcą dziejów Europy Wschodniej w ogóle, a Rosji w szczególności w Harvardzie, gdzie objął katedrę po wycofaniu się z pracy naukowej Howard R. Lord'a, autora kapitalnej pracy *The Second Partition of Poland* i doradcy Prezydenta Wilsona w okresie konferencji pokojowej w Wersalu. Przez trzydzieści lat Karpowicz wypuścił na świat kilka tysięcy studentów, którzy pod jego kierownictwem studiowali dzieje Europy Wschodniej, między innymi i Polski. Dziś wielu z nich zajmuje odpowiedzialne stanowiska naukowe, żeby wymienić tylko profesora Filipa Mosley'a, dyrektora Council on Foreign Relations. Przeszło czterdziestu spośród wychowanków Karpowicza ukończyło prace doktorskie i dziś wykłada historię na czołowych uniwersytetach amerykańskich.

Spośród tych czterdziestu rozpraw doktorskich dwie poświęcone były głównie Polsce: jedna Kongresówce po Powstaniu 1863-1864 roku, druga genezie Komunistycznej Partii Polski. Zarówno w swej pracy badawczej, w swych świetnych, porywających wykładach, zapełniających po brzegi obszerne audytoria Harvardu, jak i w pracy polityczno-publicystycznej (od roku 1941 jest on redaktorem czasopisma *Novyj Žurnal*, jak gdyby *Kultury* emigracji rosyjskiej). Profesor Karpowicz był heroldem przyjaźni między narodami polskim i rosyjskim. Zawsze stał on na straży szacunku dla faktów i maksymalnej bezstronności w ich ocenie. Humanista i liberał, wróg szowinizmu i zacietrzewienia, surowy krytyk zakusów rusyfikacyjnych, Karpowicz wyznaje zasadę Aleksandra Herzena, że nie może być naprawdę wolny ten naród, który uciska inne narody. Zgodnie z herzenowską tradycją, stosunek między Polską i Rosją ten szlachetny przyjaciel-Moskal widzi jako przyjaźń dwu wolnych, równych, suwerennych narodów. Zasadę tę głosi czynem na każdym kroku. W latach 1949-1955 jako dziekan Wydziału Slawistyki Harvardu, przeforsowawszy poważne trudności, doprowadził do stworzenia stałej katedry języka i literatury polskiej na tym uniwersytecie. Katedrę tę powierzył wybitnemu poloniście — Wiktorowi Weintraubowi.

Księga pamiątkowa, wydana nakładem Harvardu ku uczczeniu trzydziestu lat pracy wykładowczej, pedagogicznej i badawczej profesora Karpowicza w Ameryce, składa się z 28 szkiców historycznych i historyczno-literackich, napisanych przez wychowanków tego wielkiego nauczyciela. Książka odzwierciadla szerokość zainteresowań doktorantów Karpowicza. Obok przyczynków, dotyczących dziejów politycznych i umysłowych Rosji właściwej (ciekawa praca dra Ryszarda Pipes'a o Karamzinie i jego koncepcji monarchii), są tam i esseje o stosunkach Rosji z jej zachodnimi i południowymi sąsiadami, na przykład Persją (profesor Firuz Kazem-Zadeh z Yale). Polskiego czytelnika specjalnie zainteresują trzy szkice, Pierwszy, to praca młodego uczonego amerykańskiego, profesora historii na uniwersytecie w Virginii, Jay Smith'a, pt. ,,Milukov i zagadnienie narodowościowe w Rosji''. Ten zwięzły a źródłowy artykuł kreśli ewolucję przywódcy rosyjskiego Stronnictwa Konstytucyjno-Demokratycznego (,,Kadetów'') do problemu reorganizacji Imperium Carów. W oczach Milukova, liberała, ale i patrioty wielkoruskiego, problem ten przedstawiał się z grubsza: jak przekształcić carskie, czarnosecinne ,,więzienie narodów'' na coś,

przypominającego Brytyjską Wspólnotę Narodów? Profesor Jay Smith analizuje stosunek Milukova do głównych narodów Imperium, Polaków, Finów, Ukraińców, Żydów oraz narodów Kaukazu i śledzi ewolucję profesora-polityka od abstrakcyjnego liberalizmu, lekceważącego zagadnienia narodowe jako szczątkowy przeżytek zamierzchłej epoki, ku liberalnemu nacjonalizmowi. Zawczasu zaspakajać podstawowe żądania głównych narodowości Imperium drogą przyznawania im autonomii, oto hasło Milukova, jako przywódcy „Kadetów" w opozycji. Gdy stronnictwo to doszło na krótko do władzy na skutek liberalnej rewolucji, w marcu 1917 roku, okoliczności zmusiły Milukova do pójścia dalej i uznania, acz niechętnie, niepodległości zarówno Polski jak i Finlandii. Na emigracji Milukov przeszedł (jak to się dziś w Polsce mówi) „na pozycje nacjonalizmu".

Ciekawy jest również szkic młodego historyka polsko-amerykańskiego, Stanley Żyźniewskiego, profesora historii uniwersytetu Stanu Virginia, pt. „Milutin i sprawa polska". Mikołaj Milutin, od września 1863 roku do grudnia 1866 roku pełnomocnik cara Aleksandra II na terenie tak zwanej Kongresówki, miał powierzone sobie zadanie stłumienia powstania oraz taką reorganizację dziesięciu „gubernii" byłego Królestwa Kongresowego, by „zlać" je całkowicie z resztą Imperium. Szkic ten jest udaną próbą analizy polityki carskiej na terenie zaboru rosyjskiego w kulminacyjnej fazie oraz na schyłku powstania styczniowego, oraz w okresie powstaniowym. Badania Żyźniewskiego traktują poczynania Milutina w Polsce jako etap pośredni polityki rusyfikacyjnej, której największe natężenie nastąpiło jednak już po odejściu jej inicjatora, po roku 1866.

Niżej podpisany napisał do Księgi Pamiątkowej syntetyczny szkic o rewolucji 1905-1907 roku w Kongresówce. Jest to próba przedstawienia tej rewolucji w zaborze rosyjskim w dwu zasadniczych aspektach, jako ważnego etapu, punktu zwrotnego historii Polski, oraz jako fragmentu paroksyzmu rewolucyjnego jaki wstrząsnął Imperium carskim w wyniku przegranej wojny rosyjsko-japońskiej.

Księga Pamiątkowa jest wyrazem hołdu złożonego uwielbianemu nauczycielowi przez 28 wychowanków, jest to wyraz wdzięczności za hojną pomoc, radę oraz przewodnictwo w pracy badawczej. Profesor Karpowicz, jeden z najbardziej chyba ujmujących ludzi swego pokolenia, wymowny, często wręcz natchniony wykładowca, jest również autorem szeregu prac z historii Rosji. Jest autorem książki pt. *Imperial Russia*, 1801-1917 — Rosja Cesarska okresu 1801-1917, oraz współautorem zbiorowej pracy, *Economic History of Europe Since* 1750 — Historia gospodarcza Europy od roku 1750. Jest redaktorem trzytomowej, monumentalnej pracy profesora Pawła Milukova, *Outline of Russian Culture* — Zarys dziejów kultury rosyjskiej. Do tego należy dodać szereg prac drobniejszych, żeby wymienić wnikliwy szkic pt. „Vladimir Soloviov on Nationalism" — Włodzimierz Soloviov o nacjonaliźmie", ogłoszony w *Review of Politics* w 1946 roku, czy „Church and State in Early Russian History" — Cerkiew prawosławna a Państwo we wczesnych dziejach Rosji (*Russian Review*, 1944).

Wszystko to, co można napisać czy powiedzieć o profesorze Karpowiczu nie oddaje jednak całkowicie ani jego znaczenia jako wielkiego nauczyciela historii, ani też tej aury ludzkiego ciepła i przyjaźni, jakie roztacza on dookoła siebie. Szacunek i miłość (używam tego słowa bez najmniejszej obawy

o przesadę), jaką otaczają go jego wychowankowie, koledzy i współpracownicy, jest odbiciem tego olbrzymiego ładunku wiedzy, doświadczenia i sympatii, który jest wkładem profesora Karpowicza w do niedawna pionierskie dzieło nauczania dziejów Europy Wschodniej w Ameryce.

M.K. DZIEWANOWSKI

Nagroda literacka "Kultury" za rok 1957

Jury nagrody literackiej „Kultury" przyznało nagrodę za rok 1957 — Czesławowi MIŁOSZOWI. Za podstawę swej decyzji Jury wzięło „Traktat poetycki", wydany w r. 1957 w formie książkowej oraz maszynopis książki „Kontynenty" (Zbiór artykułów o pisarzach różnych krajów, noty, wiersze i przekłady poetyckie). „Kontynenty" ukażą się w ramach „Biblioteki KULTURY" w pierwszych miesiącach 1958 roku. —

Jury uwzględniło również fakt, że „Dolina Issy", wydana ostatnio w przekładzie niemieckim, nakładem firmy Kiepenheuer & Witsch, stała się best-sellerem w Niemczech Zachodnich.

W ramach „Biblioteki KULTURY" ukazały się, nie licząc przekładów, następujące książki Czesława Miłosza:

„Zniewolony umysł", rok 1953 — nakład wyczerpany,
„Światło dzienne" poezje, rok 1953,
„Zdobycie władzy", rok 1955 — nakład wyczerpany,
„Dolina Issy", rok 1955,
„Traktat poetycki", rok 1957 — nakład wyczerpany.

W chwili obecnej Czesław Miłosz pracuje nad wyborem pism Simone Weil oraz nad swoją nową książką pt.: „Rodzinna Europa", której fragmenty ukazały się w nrze 117/118 „Kultury.

•

Nagroda literacka „krajowa", za rok 1957, jak również nagroda plastyczna (zakup obrazu) będą ogłoszone w marcowym numerze „Kultury".

Stypendium Teodora Parnickiego

Teodor Parnicki ufundował jednorazowe stypendium literackie dla młodego (do 35 lat) powieściopisarza historycznego w Kraju. Stypendium jest przeznaczone dla napisania powieści na tle epoki hellenistycznej (323 r. przed Nar. Chr. - 14 r. po Nar. Chr., czyli z okresu między śmiercią Aleksandra Wielkiego a śmiercią Oktawiana Augusta).

Zasadniczym warunkiem jest „uniwersalistyczność" powieści w tym sensie, że przedstawiać ma ona kontakty (polityczne, religijne, kulturalne etc.) hellenizmu ze światem nie-greckim — przede wszystkim ze starożytnym Wschodem. Stypendyście nie narzuca się żadnej tezy historiozoficznej. Możliwe też jest wyjście poza granice czasowe wyżej zakreślone, musiałoby to być jednak przez kandydata na stypendium usprawiedliwione szczególną przydatnością tematu, *niemieszczącego się we wskazanych ramach chronologicznych,* dla stworzenia *powieści historyczno-uniwersalistycznej.*

Stypendium wynosi 50.000 złotych i płatne jest w dwuch *ratach:* pierwsza *po zapoznaniu się przez T. Parnickiego ze szczegółowym planem powieści i z bibliografią dzieł historycznych, na których autor zechce oprzeć odtworzenie epoki,* druga — *po ukończeniu dzieła.*

Stypendium jest płatne w Polsce w złotych i nawet w części nie może być wypłacone w walutach zagranicznych.

Stypendium jest utworzone z honorariów autorskich Teodora Parnickiego za wznowienie jego książek, które ostatnio ukazały się w Kraju.

Korespondencję związaną ze stypendium należy kierować bezpośrednio do Teodora Parnickiego na adres: Passeo de la Reforma 237-17, Mexico D. F., Zona 5, Meksyk.

Konkursy i nagrody literackie

Z inicjatywy i dzięki ofiarności Polaków zamieszkałych w Wenezueli, Związek Pisarzy Polskich na Obczyźnie rozpisuje konkurs literacki na: a) powieść lub zbiór opowiadań (250-300 stron maszynopisu na interlinii); b) zbiór essejów (200-250 stron maszynopisu na int.); c) zbiór wierszy lub utwór poetycki (100-150 stron maszynopisu na int.). W konkursie będą przy-

znane za najlepsze prace (bez względu na ich rodzaj literacki) trzy nagrody: I — Ł 150. —, II — Ł 100, III — Ł 60. Jury zastrzega sobie prawo wyróżnienia dowolnej ilości prac. Fundatorzy zapewnili środki pieniężne na wydanie drukiem wszystkich nagrodzonych utworów. Maszynopisy oznaczone godłem (wraz z zamkniętą kopertą zawierającą imię, nazwisko i adres) należy nadsyłać do dnia 1-go listopada r. 1958 na adres Związku: 312 Finchley Road, London, N.W.3. Jury stanowią: Józef Jaksiński, Józef Kisielewski, Tadeusz Sułkowski, Wit Tarnowski i Tymon Terlecki.

Jury konkursu na utwór dla dzieci, rozpisanego przez Związek Pisarzy na Obczyźnie, rozpatrzyło 11 prac nadesłanych na konkurs i przyznało I nagrodę (równowartość 120 dolarów) utworowi „Stuku-puku" — tekst i opracowanie graficzne Janiny Węgrzyńskiej-Kościałkowskiej; II nagrodę (równowartość 80 dolarów) utworowi „Rok malowany" — tekst Józefa Żywiny, ilustracje Jerzego Faczyńskiego. Nadto wyróżniono dwie prace: „O małym miasteczku i dzieciach z Jasnego Domku" (tekst Jadwiga Otwinowska, ilustracje Danuta Laskowska) i „O zgubionej nutce" (tekst Maria Bochnarowa, ilustracje Irena Bogdanowicz).

Książki

Perspektywy ewolucji komunizmu

(KILKA UWAG NA MARGINESIE KSIĄŻKI DŻILASA)

Myśl polityczną Dżilasa, którą wykłada on w swej książce ,,Nowa klasa''(*), charakteryzuje przez cały czas jedna dość zaskakująca sprzeczność. Z jednej strony prorokuje on ,,całkowity rozkład'' komunizmu i stwierdza, że jedność ,,światowego ruchu komunistycznego skompromitowana jest nieodwołalnie''; z drugiej strony twierdzi, nieraz na tej samej stronicy, że zmiany zaszłe od śmierci Stalina nie zmieniły ,,samej istoty systemu'', że komunizm narodowy nie jest w stanie, mimo coraz to rosnących możliwości emancypacji spod wpływu Moskwy, zmodyfikować swej ,,istoty'', (która polega na ,,kontroli i totalnym monopolu ideowym i na wywłaszczeniu społeczeństwa przez biurokrację partyjną''). Mamy więc do czynienia jednocześnie z rozkładem w stosunkach między komunistami i z niezmiennością, jeśli chodzi o istotę systemu.

Jednakże wydaje mi się, że tego rodzaju rozdział jest sztuczny, gdyż stosunki międzynarodowe i polityka wewnętrzna są zależne od siebie; i że niezależnie od ,,desatelizacji'', destalinizacja otwarła w samym sercu komunizmu ewolucję, którą można opóźniać, ale której nie da się zneutralizować.

Mówmy przede wszystkim o decentralizacji. Siły odśrodkowe ujawniły się dobitnie od czasu śmierci Stalina. Ze zniknięciem Kominformu, zaraz po XX Kongresie partii ZSSR, zniknął sam symbol hegemonii Kremla nad międzynarodowym ruchem komunistycznym. Na miejsce stalinowskiego monocentryzmu przyszedł wielocentryzm szukający po omacku swej drogi. Pewne jest, że decyzje dotyczące Chin ludowych, Polski a nawet Czechosłowacji nie są już pobierane jednostronnie na Kremlu.

(*) Milovan Dżilas, *Nowa klasa wyzyskiwaczy*. Spolszczył Juliusz Mieroszewski. Str. 224. Tom XXVII ,,Biblioteki Kultury''. Cena fr. 750 (2 dol., 14 sh.).

Dyktowanie się skończyło. Przyszedł czas na zasięganie rady, na negocjacje.

Ale jednocześnie, jako reakcja na zbyt daleko posunięte tendencje wyzwoleńcze, na secesjonizm, (który widzieliśmy w akcji na Węgrzech), ujawia się inna tendencja, której wagi nie wolno nie doceniać: tendencja do łatania jedności ideologicznej, do odnawiania więzów solidarności partii i krajów komunistycznych. Idea przetworzenia ,,imperium'' na ,,commonwealth'' powstała prawdopodobnie w głowie Mao-Tse Tunga jeszcze w 1954. Od tego czasu idea ta dokonała postępów, zdobyła uznanie, rozpowszechniła się. Odzwierciadla ona bowiem pewne obiektywne potrzeby i kompleksy. Wyraża w pierwszym rzędzie solidarność i współzależność aparatu rządzącego różnych partii komunistycznych; odgłosy rewolucji węgierskiej zatrzęsły oknami Hradczynu, Białego Domu w Belgradzie i rezydencji samego Mao. Groźba powstania ludowego odnowiła sojusz tych aparatów, udzieliła mu nowego namaszczenia. Z drugiej strony nie należy jednak zapominać (jak to przypomina węgierski socjolog Gyula Borbandi w doskonałym studium perspektyw ewolucji na Węgrzech, drukowanym w monachijskim czasopiśmie *Làtóhatàr*, Nr 5, 1957), że większość krajów bloku komunistycznego, wraz z Chinami, zależna jest rzeczywiście od obrony przez ZSSR przed naciskiem z zewnątrz, który grozi ich terytorialnemu status quo. Tak na przykład Gomułka zapewnia (i trudno mu zaprzeczyć), że przynależność jego kraju do paktu warszawskiego oparta jest zarazem na wspólnocie ideologicznej i na interesie narodowym Polski (granica Odra — Nysa). Dżilas nie wspomina zupełnie o tej szczególnej ,,sile dośrodkowej''. A jednak determinuje ona w pewnej mierze również jugosłowiańską politykę zagraniczną.

Z drugiej strony, należy się mieć na baczności przed wyobrażaniem sobie w sposób zbyt ,,idealistyczny'' ,,istoty'' czy też ,,natury'' komunizmu. Istota ta, według Dżilasa, polega na totalizmie ,,nowej klasy''. Nowi uprzywilejowani, pisze on, muszą pozostać totalistami lub zginąć. I to niezależnie od tego, czy komunizm jest ,,narodowy ''czy nie. Wydaje mi się jednak, że praskie *Rude Pravo* zbliżyło się bardziej do rzeczywistości twierdząc kilka miesięcy temu, że komunizm narodowy jest jedną z form ,,rewizjonizmu'' i że jest z konieczności solidarny z innymi formami rewizjonizmu. W rzeczy samej, komunista narodowy (jak to się okazało w Jugosławii, na Węgrzech, w Polsce) różni się tym od swego poprzednika, że pozbawiony całkiem lub prawie całkiem bezpośredniego poparcia armii sowieckiej, musi stworzyć sobie bazę ludową. Komunista narodowy może używać wybiegów co do demokratyzacji, może ją odkładać, stosować ją w sposób formalistyczny; może, jak to czynią po mistrzowsku Jugosłowianie, tworzyć rozmaite jej namiastki, narzucać jej wąskie granice. Ale podlega on procesowi demokratyzacji. Mimo całej tęsknoty do stalinizmu, która mu pozo-

staje, musi się zgodzić na kompromis z ludem, z którego chce zrobić sobie sprzymierzeńca.

A zresztą jak istota komunizmu mogłaby być niezmienna, skoro człowiek komunistyczny nie jest niezmienny? Najlepszy argument przeciw pesymistycznym tezom Dżilasa, (które słusznie krytykuje Daniel Guérin), to sama sprawa Dżilasa. Czyż nie był on najbardziej despotycznym, najbrutalniejszym, najbardziej nietolerancyjnym ze wszystkich stalinistów jugosłowiańskich? Przez wiele lat intelektualiści belgradzcy drżeli przed tym bezlitosnym inkwizytorem. Czyż Dedijer nie opowiedział nam, że był on zdolny do rozstrzeliwania współrodaków tylko za to, że podawali w wątpliwość geniusz Stalina i jego niezmierną szlachetność?

Fanatyzm komunistów jugosłowiańskich wydawał się nam aż do r. 1948 niezdobytą cytadelą albo, jeśli kto woli, zupełną ślepą uliczką, chorobą intelektualną, niemożliwą do zgłębienia przy pomocy rozumu i zdrowego rozsądku. Lecz jeśli tak było, to jak wytłumaczyć ewolucję Pijade, Dżilasa, Lasoty, Kołakowskiego, Imre Nagy'ego, Tibora Déry? (1) Jak wytłumaczyć, że w samym łonie nieuleczalnego zła wykluły się zarodki uleczenia, krytyki humanistycznej, reformującej pasji?

Ciekawe jest podkreślić, że wtedy właśnie gdy Dżilas, prawdopodobnie w przystępie gniewu i jako wyzwanie, zbliża się do bezpłodnych i niewycieniowanych pozycji antykomunistycznych, na wzór Suwarina, to niektórzy antykomuniści namiętni, ale trzeźwi, jak na przykład Raymond Aron, rewidują gruntownie swe teorie? Czyż nie Aron pisze w znakomitym wstępie do zbioru dokumentów poświęconego rewolucji węgierskiej, zebranych przez Melvin J. Lasky'ego i François Bondy:

„Wiemy, że reżym sowiecki nie jest bardziej niewrażliwy, niż inne na oddźwięki rozwoju ekonomicznego, na uczucia i marzenia ludzkie, na wpływy przychodzące z zewnątrz a zwłaszcza z Zachodu. Co więcej, reżym ten dotknięty jest wewnętrzną skazą, której nie znały despotyzmy wschodnie przeszłości: potępia go ideologia, na którą się powołuje" (2).

To właśnie różni stalinizm od innych totalizmów od totalizmu hitlerowskiego na przykład. Niewątpliwie, Dżilas także przyznaje, że zanim się ukonstytuowali oni jak „nowa klasa ciemiężców, wyzyskująca i dogmatyczna", zanim przemienili marksizm-leninizm w mit usprawiedliwiający, większość komunistów podlega-

(1) Pozwolę sobie zwrócić uwagę czytelników „Kultury" na ukazanie się w wydawnictwie „Plon" *Mémoire* 1956 Imre Nagy'ego, niezmiernie pożytecznego dokumentu dla zaznajomienia się z „komunizmem narodowym".

(2) *La Révolution Hongroise,* Histoire du Soulèvement d'Octobre d'après les documents, les dépêches, les rapports des témoins oculaires et les réactions mondiales, réunis par Melvin J. Lasky et François Bondy, présédée de *Une Révolution antitotalitaire* par Raymond Aron (Les Documents de „Tribune Libre", Librairie Plon, Paris 1957).

ła wpływom moralności rewolucyjnej. Rewolta moralna tylu komunistów polskich, węgierskich, jugosłowiańskich, rosyjskich, byłaby niezrozumiała, chyba żeby uważać ją za kryzys ,,wyzwolenia od kompleksu'' spowodowany wyznaniami Chruszczowa. Nieraz już mówiło się, że osiągnięcia stalinizmu, jego tortury, zdrady i procesy otaczała aura ,,nieczystego sumienia''. Ale aby mieć nieczyste sumienie, trzeba przede wszystkim mieć sumienie. Ukryta na dnie duszy komunisty znajduje się mimo wszystko idea socjalistyczna, pragnienie racjonalizacji życia społecznego, szacunek dla człowieka, dla wydajności ekonomicznej. Można tym ideałem grać, można go fałszować lub konfiskować, jak to obecnie próbuje czynić Chruszczow. Lecz jest to czynnik, z którym należy się liczyć i który określa w pewnej mierze, i to mimo najstraszniejszych zdrad, ,,świadomość klasową'' oligarchów reżymu komunistycznego.

Książka Dżilasa byłaby niewątpliwie zyskała na głębokości, gdyby spróbował on psychoanalizy przedmiotu swej nienawiści i odrazy: rządzącej biurokracji. Gdyby napisał swą własną autobiografię moralną i intelektualną, byłby znaczniej pogłębił naszą znajomość komunisty, niż przez abstrakcyjne a nieraz sumaryczne rozumowanie. Zwłaszcza jeżeli chodzi o ,,nową klasę''. Edgard Morin, w czwartym numerze *Arguments,* zwrócił już uwagę na niebezpieczeństwo uproszczonego używania terminu ,,biurokracja'', którym opozycja komunistyczna posługuje się przeważnie bez analizy genezy, złożoności i różnorodności zjawiska.

Sam Dżilas używa słowa ,,biurokracja'' czasem w sensie węższym (,,biurokracja partyjna'') czasem szerszym: ,,nowa klasa składa się z tych, którzy korzystają z przywilejów specjalnych i z uprzywilejowanej sytuacji gospodarczej wyłącznie na skutek monopolu administracyjnego, jaki posiadają''. Jednakże ta definicja wydaje mi się zbyt mało precyzyjna. Ankieta przeprowadzona wśród licznych uchodźców węgierskich co do znaczenia słowa ,,biurokracja'' dowiodłaby, że nie da się go zdefiniować bez umiejscowienia biurokracji partyjnej, zarówno historycznie w stosunku do burżuazji, jak też w stosunku do trzech wielkich klas, które przeżyły zniszczenie kapitalizmu: inteligencji, proletariatu i chłopów.

W większości krajów komunistycznych oligarchia partyjna zastąpiła (tak w biurach jak w prywatnych mieszkaniach) wywłaszczonych kapitalistów wielkomieszczan i wielkich posiadaczy ziemskich, domagając się dla siebie — aby usprawiedliwić swój monopol polityczny i swe przywileje — misji rozwinięcia produktywnych sił narodu szybciej niż uczyniłaby to burżuazja. Ale, aby móc przeprowadzić tę akcję, aparat partii (w którego średnich kadrach ważną rolę grają zawodowi rewolucjoniści, pochodzący z proletariatu, tak zwane ,,kadry robotnicze'') musiał przede wszystkim wziąć za wspólników inteligencję, to znaczy klasę średnią: ,,manadżerów'' i specjalistów najrozmaitszych, inżynierów, kadry techniczne, uczonych, lekarzy, prawników, pedago-

gów, pisarzy, dziennikarzy. Aparat partii oparł się poza tym na biurokracji odziedziczonej po dawnym ustroju, która została tylko częściowo odnowiona: armia, administracja wewnętrzna, kulturalna, policyjna itd. Z punktu widzenia uprzywilejowanych, ich poziomu życia, różne warstwy biurokracji partyjnej utożsamiają się w pewnej mierze z inteligencją „produktywną" albo administracją. Cenzor ma tryb życia podobny (czasem mniej wystawny) do pisarza lub śpiewaczki. Niekompetentny, ale pewny politycznie kierownik przedsiębiorstwa dzieli korzyści z dyrektorem technicznym, wyższy oficer z komisarzem politycznym. Ale właśnie te napięcia między komisarzami a specjalistami, próby pojednania ich i ich spory, stanowią zasadniczą kanwę życia w krajach komunistycznych.

I właśnie ta ostra faza walki prowadzonej przez inteligencję produktywną przeciw pasożytniczej biurokracji cechuje obecną sytuację krajów komunistycznych. Aparat partii, oskarżany o niekompetencję i brak wydajności, stara się odzyskać zaufanie „specjalistów", robi im wielkie ustępstwa, stara się wciągnąć masowo inteligencję do partii, zlać się z nią w jedną całość (3).

Ale jednocześnie, pod wpływem jakiegoś kolektywnego instynktu samozachowawczego, aparat stara się utrzymać dystans w stosunku do inteligencji, oskarża ją przed klasą robotniczą, zarzuca jej demagogicznie „tendencje burżuazyjne". W ten właśnie sposób objawia się „bonapartyzm" właściwy partii komunistycznej: tendencja do wygrywania jednej klasy przeciw drugiej, aby uczynić z Aparatu arbitra. Tak więc partia, która przyśpiesza samą swoją istotą biurokratyzację, lansuje co pewien czas „kampanie odbiurokratyzowania".

Inną jeszcze bronią używaną przez biurokrację partyjną dla usprawiedliwienia przywilejów jest uczestniczenie w „gnozie", w tym światopoglądzie marksistowsko-leninowskim podniesionym do godności metafizyki, który właśnie dlatego że totalizuje całość wiedzy, przekracza granice wszystkich poszczególnych umiejętności. Dzięki marksizmowi-leninizmowi biurokracja partyjna może rościć pretensje do rządzenia specjalistami, do osądzania i koordynowania ich działalności. Tak, dzięki tej Nauce o „Prawach ogólnych", taki czy inny Żdanow wie więcej o estetyce niż Pasternak lub Prokofiew, o fizyce niż Einstein, zaś Stalin mógł zrobić z siebie jednocześnie wielkiego lingwistę, wielkiego stratega i wielkiego historyka, no, a całkiem niedawno Chruszczow mógł przywoływać do porządku nieposłusznych pisarzy sowieckich.

Sytuacja socjalna „aparatczyków" wydziela nieuniknienie dogmatyzm wraz z jego artykułami wiary, to nowe opium dla ludu. Toteż należy przyjmować *cum grano salis* protesty anty-

(3) Tak na przykład dyrektywy partii węgierskiej o stosunkach z inteligencją, ogłoszone w sierpniu 1956, podkreślają, że większość funkcjonariuszy Partii i Państwa stanowi integralną część inteligencji (*Tàrsadalmi Szemle*, Budapeszt, wrzesień 1956).

dogmatyczne, wygłaszane regularnie przez komunistów. Kampania antysekciarska Chruszczowa i Mao-Tse Tunga nie jest skierowana bynajmniej przeciw podstawom dogmatu; przypomina ona ruchy ,,fundamentalistyczne'', które wstrząsnęły kiedyś protestantyzmem: zadaniem jej jest uprościć Dogmatykę, zmniejszyć ją do kilku prawd zasadniczych, jak wiara w misję kierowniczą partii, w głęboką identyczność trójcy partia-proletariat-lud itd. Gdyż biurokracja partyjna odczuwa absolutną konieczność zapewnienia swym decyzjom politycznym niezależnej bazy ,,teoretycznej'', która przekraczałaby wiedzę specjalistów, a więc irracjonalnej. Absurd jest więc jedną z sił cementujących aparat. To nie przypadek, że Rakosi postanowił, wbrew zdaniu wszystkich specjalistów, budować metro w Budapeszcie. Jeżeli prawdą jest, że, jak mówi Dżilas, komunista znajduje się w stanie ,,ukrytej wojny domowej'' z ludnością, to definicja ta stosuje się również do stosunków biurokracji z ,,elementem racjonalnym'' to jest ze specjalistami.

Antagonizm między partią a specjalistami jest najbardziej widoczny w dziedzinie gospodarczej. A. Nove stwierdza w związku z tym, w błyskotliwym studium ogłoszonym w numerze listopad-grudzień brytyjskiego biuletynu *Soviet Survey* (*An Analysis of Cultural Trends in the Soviet Orbit*), że mimo olbrzymich osiągnięć praktycznych, które są znane wszystkim i których kulminacją jest sputnik, sowieckie nauki ekonomiczne nie posunęły się zupełnie naprzód od 25 lat. Wyjaśnienie tego leży, jak mi się zdaje, w fakcie, że ekonomia sowiecka dążyła w sposób naturalny ku kapitalizmowi państwowemu, kierowanemu przez oligarchię manadżerów coraz mniej kontrolowanych przez związki zawodowe. Jednakże partia, ze względów doktrynalnych i dla pokazania swej potęgi ponad-ekonomicznej, nie mogła się zgodzić na zostanie tylko akuszerką społeczeństwa, które następnie wymknęłoby się spod jej opieki. Stąd konieczność narzucenia *socjalizmu* apodyktycznego, który przeszkodził rozwojowi kapitalizmu państwowego. Łatwo więc zrozumieć zakłopotanie najlepszych ekonomistów sowieckich wobec prawa wartości, to znaczy wobec obiektywnych kryteriów racjonalności w ekonomii. Ich badania paraliżował fakt, że Stalin i jego wysoka biurokracja planifikatorów nie uznawała (przynajmniej w najważniejszych sektorach) przewagi kryterium rentowności. Jednakże, można przypuszczać, że wielkie osiągnięcia ekonomiczne reżymu zawdzięczają swe istnienie przede wszystkim nie centralnemu planowaniu, któremu zarzuca się teraz zgodnie ,,subiektywizm'' i ,,woluntaryzm'', ale akcji ,,praw ekonomicznych'' mimo i wbrew wszystkim przeszkodom. Toteż, gdy tylko pewna wolność wypowiedzi została przywrócona ekonomistom sowieckim, po XX Kongresie (zwłaszcza podczas ogólnopaństwowej konferencji ekonomistów w maju 1957, której debat dotychczas nie ogłoszono), to ekonomiści ci przemawiają coraz odważniej w imieniu kierowników przedsiębiorstw, którzy domagają się rozszerzenia zakresu swobodnego działania ,,prawa wartości''.

Decentralizacja Chruszczowa z początku 1957 jest krokiem w tym kierunku, zburzono niektóre z najbardziej anachronicznych cytadel superplanowania, dyrektorzy przedsiębiorstw otrzymali szerszą autonomię. Ale ostateczna decyzja znajduje się nadal w rękach nie manadżerów, ale regionalnej biurokracji partyjnej i urzędniczej. W każdym razie większość przewódców zaczyna rozumieć, że początkowy pomysł kontrolowania wszystkiego, przewidzenia i reglamentowania wszystkiego, owa główna ambicja totalizmu, była, jak mówi prof. Polanyi (4), projektem absurdalnym, niewykonalnym, szaleństwem. Po latach wierzenia wbrew zdrowemu rozsądkowi w najwyższą skuteczność ,,rozkazów'' i decyzji politycznych Politbiura, wraca się teraz w Rosji i w innych krajach komunistycznych do klasycznych bodźców ekonomii rynkowej.

Ale właśnie coraz większe koncesje czynione automatyzmowi, spontaniczności gospodarczej, podważają od wewnątrz system totalistyczny. We wszystkich dziedzinach, inteligencja, ta nowa wielka klasa na dorobku, mimo iż niezorganizowana (ale czyż jej rzecznicy nie znajdują się w samym środku cytadel partyjnych?) formułuje liberalne rewindykacje: pisarze, dziennikarze walczą z cenzurą; uczeni i technicy dają wyraz sceptycyzmowi wobec prymitywizmu przymusowych wykładów marksizmu-leninizmu; robią się wyrwy w izolacjonizmie rosyjskim; uniwersalność nauki jest coraz bardziej uznawana; kompetencja okazuje się jedyną ważną podstawą awansu w hierarchii. Stronniczy absolutyzm broni swych pozycji, ustępuje krok za krokiem tylko, ale ostatecznie ustępuje. To czego zobaczenia Dżilas odmawia: że w jego własnym kraju, jak też w ZSSR, istnieje reformistyczna inteligencja, która dąży do zracjonalizowania reżymu, z którego korzysta, o ile możliwe bez obalenia go. Nawet na Węgrzech większość inteligencji, której agitacja leży u podstaw rewolty październikowej 1956, była reformistyczna w tym właśnie duchu. Dopiero później uległa ona (podobnie jak i partia) młodzieży wraz z jej ,,ekstremistami''.

W gruncie rzeczy nowa klasa średnia krajów komunistycznych przypomina bardzo burżuazję zachodnią XIX w. Jest liberalna, ale nie anarchiczna; obawia się rewolucji i woli układy.

W każdym razie to ona jest motorem rewolucji, a nie proletariat, w imieniu którego rządzi partia, zdeprawowawszy i przywłaszczywszy sobie najpierw jego świadomość klasową. Na tym punkcie można by przeprowadzić ciekawą analogię między sytuacją w ZSSR, a w USA, gdzie obrońcy liberalizmu i radykalizmu przed potęgą wielkich aparatów rekrutują się również spomiędzy intelektualistów, ,,ludzi wykształconych'', zamożnych, nieraz bardzo bogatych (5). Największym niebezpieczeństwem dla monopo-

(4) Porównaj jego pełen dowcipu artykuł ,,The Foolishness of History'', w *Encounter*, listopad 1957.

(5) Zob. Arnold A. Rogow: ,,The Revolt against Social Equality'', *Dissent*, jesień 1957.

lu partii komunistycznej byłoby spotkanie między ,,tymi co myślą'', a masą robotniczą, która stała się przedmiotem historii, zamiast przyjąć na siebie rolę podmiotu twórczego, która jej się należała zgodnie z teorią marksistowską. Zauważmy jednak, że nie wydaje się, aby zanik świadomości proletariatu krajów komunistycznych miał trwać wiecznie. W pewnej odległości przebudzenie się robotnika pójdzie za powolnym, ostrożnym, ale nieodwracalnym przebudzeniem inteligencji. Już teraz można zauważyć, że nawet sowieccy przywódcy, zapewne dla uprzedzenia ruchów spontanicznych, zwracają związkom zawodowym niektóre funkcje obrony interesów robotniczych na szczeblu przedsiębiorstwa. Potężna idea rad robotniczych rozpowszechnia się, mimo wszystkich kontrataków biurokracji.

Podkreślmy przy tej okazji, że w Jugosławii, ojczyźnie rad robotniczych, które są tam solidnie ,,obstawione'' rozwijając się pod ojcowskim okiem partii, większość rad z własnej woli zarezerwowała poważne, jeżeli nie przeważne, miejsce dla kadr technicznych. Podczas niedawnego kongresu ogólnopaństwowego rad robotniczych przedstawiciele ich wystąpili solidarnie z szefami przedsiębiorstw, aby domagać się powiększenia autonomii dyrekcji fabryk. To samo zjawisko miało miejsce na Węgrzech, gdzie rady zastąpiły w fabrykach komitety partyjne: na czele większości tych rad stali inżynierowie i specjaliści. Nienawiść robotników nie była bynajmniej skierowana przeciw kadrom technicznym, a jedynie przeciw aparatowi partii, którego użyteczność wydawała im się wątpliwa, a szczególnie przeciw ,,wydziałom personalnym'' (kontrola polityczno-policyjna wykonywana w fabrykach przez partię), których skasowanie było jednym z postulatów powstańców. Myślę, że jest w tym pożyteczna wskazówka co do przyszłości świata komunistycznego, wewnątrz którego istnieje poważna sprzeczność (która może się przekształcić w ,,sprzeczność antagonistyczną'') między ,,ludem-producentem'' a nadprodukcyjnym aparatem partyjnym. Tak więc, mimo iż ze względu na poziom życia i na większe wykształcenie, członkowie inteligencji znajdują się ponad proletariatem, to wspólnota interesów, której zdają się być świadomi i jedni i drudzy, łączy ich z robotnikami i zawiesza to, co mogłoby pewnego dnia stać się ,,walką klas''.

Z tego, co powiedzieliśmy powyżej wynika jasno, dlaczego podpisujemy się pod uwagą Guérina (6), który życzliwie zarzuca Dżilasowi, że stracił z oczu możliwości specyficznej rewolucji w krajach komunistycznych. Dżilas zdaje się znać tylko jedną alternatywę stalinizmu: demokrację parlamentarną typu zachodniego. Otóż najbardziej ewoluowani, najoryginalniejsi członkowie inteligencji krajów komunistycznych, mimo, iż krytykują swój własny reżym, osądzają równie surowo słabości zachodniej demokracji, jej brak przewidywania, jej powolność w dostosowaniu się do warunków epoki atomowej, jej brak poczucia obywatelskiego.

(6) Por. *Arguments*, nr 5.

Szukają trzeciego wyjścia (7). Zamiast odrzucić marksizm, chcą go zrewidować. Niewątpliwie, takie pomysły jak ,,zniknięcie Państwa'', postawienie prawa wartości poza prawem, tak jak i idee sformułowane przez Lenina przed 40 laty, co do formy jaką przybierze administracja w Państwie socjalistycznym, wydają się dziś przestarzałe i prymitywne. Ale nie wszystko w tym dziedzictwie godne jest lekceważenia lub jest nie do ocalenia. Nowe poszukiwania dróg racjonalnych próbują się wykrystalizować w opozycji do brutalnego irracjonalizmu Stalina. Można nawet postawić sobie pytanie, czy ,,szaleństwo'' totalistyczne stalinizmu nie wyda się kiedyś przyszłym historykom nie tylko monumentalnym wyzwaniem rzuconym człowiekowi zachodniemu, ale też niezbędnym czynnikiem w integracji pewnej przestrzeni ludzkiej. Być może największe przedsięwzięcia Historii są nie do wykonania bez gwałtownego wtargnięcia szaleństwa. Ale to już inne historia.

(Przełożył J. T.)

François FEJTÖ

Spłacony dług

Wielkim, niespłaconym przeszłości długiem polskiej historiografii był brak naukowej, obszernej biografii księcia Adama Czartoryskiego. Katastrofa powstania styczniowego, wywołanego w dwa lata zaledwie po śmierci prezesa Rządu Narodowego rewolucji listopadowej, przesłoniła na całe pokolenia jego sylwetkę.

Dopiero w pracach Askenazego i jego szkoły książę występuje często, ale zawsze jako oponent głównego nurtu polskich dziejów: legionów, epoki napoleońskiej, państwa warszawskiego, a następnie konspiracji Królestwa Kongresowego. Dopiero Handelsman ze swoimi uczniami zajął się polityką Adama Czartoryskiego jako osobnym, właściwym tematem badań. Owocem tego były liczne prace ogłaszane po polsku i francusku; powoli dojrzewała myśl o całym syntecznym ujęciu tej postaci. Potrzeba życiorysu do ,,Polskiego Słownika Biograficznego'' zmusiła Handelsmana do pierwszego, zwięzłego ujęcia całości, rozszerzonego następnie w jednym z miesięczników. Pracując nad okresem wojny krymskiej, podjął się jednocześnie napisania popularnej biografii dla przygotowującej się serii ,,Plutarcha Polskiego''.

(7) To trzecie wyjście proponuje dla krajów Europy wschodniej, a zwłaszcza dla Węgier, były minister Nagy'ego, socjolog István Bibo, w napisanym przed swym aresztowaniem, wiosną 1957, memoriale, którego najważniejsze fragmenty ogłosiliśmy w numerze listopadowym *Esprit*.

Wybuch wojny, a następnie ciężkie warunki okupacji niemieckiej, przeczucie iż może jej nie przeżyć, czynne zaangażowanie się w pracach konspiracyjnych, obawa, że może nie zdążyć przelać na papier swej wiedzy, nabywanej w dwudziestopięcioletnim wysiłku badawczym, kazały Marcelemu Handelsmanowi połączyć w jedną całość dwie, tak różne ciężarem gatunkowym, prace o księciu-wojewodzie. Tak powstałe cztero-tomowe dzieło dawało po raz pierwszy całość życia i dokonań księcia Adama. Napisane zostało w osiemdziesiąt lat po jego zejściu z tego świata, a czekało niemal jeszcze dalsze dziesięć na ukazanie się drukiem. Nawet przy jego wydaniu los nie oszczędził swej gorzkiej pigułki: historyk, który je opublikował, musiał tłumaczyć dlaczego ukazuje się w kraju ,,socjalistycznym'' książka o arystokracie; smutnym uśmiechem na swej melancholijnej twarzy musiał zapewne książę w zaświatach pokwitować to dalsze prześladowanie jego osoby ze strony rosyjskiej. Natomiast tak późne stosunkowo zajęcie się historiografii jego działalnością uchroniło ją od sądzenia subiektywnego, występującego tak wyraźnie w pracach o Aleksandrze Wielopolskim, a pokutującego jeszcze i dzisiaj.

Nierówność dzieła, a właściwie popularne ujęcie pierwszego tomu, wywołały odpowiedź innego historyka przełomu XVIII i XIX wieku, generała Mariana Kukiela. Wydana przez ,,Kulturę'' paryską w formie książki, odpowiedź ta poddaje rewizji całą działalność Czartoryskiego po rok 1846. Nie jest to zwykłe dopełnienie, ale zupełnie inna interpretacja osoby księcia; odrzucenie całej listy kompleksów, ,,matki'', ,,przyjaźni rosyjskiej'', całego hamletyzowania, którym Handelsman tłumaczył wiele w polityce i postępowaniu księcia Adama. Nie doszło niestety do polemiki dwuch historyków o osobę i charakterystykę Czartoryskiego, nie powtórzyła się dysputa Kukiel-Skałkowski o ostatnie miesiące niepodległości, dysputa już klasyczna jako lekcja metody dziejopisarskiej, źródło nieocenionej nauki dla młodych historyków.

Autor życiorysów rodziny Czartoryskich z XIX wieku w Słowniku Biograficznym nie poprzestał, na szczęście, na tej odpowiedzi, ale z kolei opracował sam życiorys księcia Adama, wydając go w języku angielskim, jako pierwszą pozycję w rozpoczynającej się serii, poświęconej pracom historycznym o dobiegającym końca pierwszym tysiącleciu dziejów państwa polskiego (1).

Książka ta jest głównie przeznaczona dla czytelnika anglosaskiego i to czytelnika oznajmionego już z historią omawianej epoki. Autor z góry zakłada rodzaj czytelnika, który po nią sięgnie. Najciekawiej to założenie występuje przy omawianiu historii Polski. Trudnością, która gnębiła przez dwudziestolecie

(1) M. Kukiel, *Czartoryski and European Unity*, Princeton New Jersey, Princeton University Press, 1955, str. XVII-354.

drugiej niepodległości historyków polskich, ogłaszających prace o dziejach rodzimych w językach obcych, było pytanie w jakim stopniu należy przyjąć zakres znajomości, a raczej zakres jej ignorancji u ewentualnego czytelnika. Generał Kukiel rozwiązuje tę trudność przez przyjęcie, iż fakty i wydarzenia opisane i podane przez *Cambridge History of Poland* są czytającemu znane, względnie, że w każdej chwili mogą być dopełnione. Uderza to już na pierwszych stronach, na przykład gdy jest mowa o Collegium Nobilium, czy stronnictwie patriotycznym Potockich (str. 4-5) bez wyjaśnienia co znaczą te określenia, a przykładów tego rodzaju jest wiele.

,,Nigdy bym się nie odważył napisać nowej pracy o Czartoryskim po książce Handelsmana'' — tymi słowy skomentował Edmund Oppman do piszącego te słowa wiadomość o rozpoczęciu nowego tematu przez autora ,,Wojny 1812 roku''. Słów F. Oppmana nie należy brać dosłownie: były one jedynie podkreśleniem wielkich trudności, jakie nastręczała biografia Adama Czartoryskiego. Urodzony na dwa lata przed pierwszym rozbiorem — ale już w rok po wejściu do Rzeczypospolitej wojsk austriackich — i dwa lata po rozpoczęciu konfederacji barskiej, tej wielkiej szkoły patriotyzmu dla pokolenia upadającej Polski, Czartoryski w ostatnich latach życia widział pokolenie, które miało się doczekać wolnej ojczyzny, a nawet w jednostkach katastrofy drugiej wojny światowej. Polska, Rosja, Anglia, Francja, Włochy a nawet Berlin i Wiedeń były miejscami, z których kierował dyplomacją rosyjską, a później polską, w których działał i walczył o prawo własnego kraju do życia i rozwoju narodowego. Wszedł na stałe do historii rosyjskiej i polskiej, okresami współpracując ściśle z dyplomacją francuską, stale ze statystami angielskimi. Pracując nad rozbudzeniem poczucia narodowego ludów bałkańskich, opiekując się, i w miarę sił, wspierając walkę o zachowanie wolności szczepów kaukaskich i będąc jednocześnie teoretykiem i surowym krytykiem dyplomacji europejskiej przełomu wojen napoleońskich i koszmaru Świętego Przymierza — książe nie jest łatwym tematem dla badań historycznych. Obejmuje swoją działalnością tak wiele, tak wiele trzeba znać, rozumieć i przemyśleć z historii polskiej i europejskiej XVIII i XIX wieku, iż każda próba syntezy źródłowej nad jego życiem i polityką staje się nie tylko pomnikiem księcia ale i autora książki.

Napisać tego rodzaju pracę na emigracji, podczas gdy archiwum Czartoryskich znajduje się w kraju, byłoby niemożliwe bez wieloletniego obcowania ze spuścizną księcia, bez wgłębienia się uprzedniego w poszczególne jej tematy i zagadnienia. A samo archiwum krakowskie nie wystarczy, zostało ono w tym wypadku uzupełnione przez osobiste badania w zbiorach paryskich i londyńskich, nie mówiąc już o znacznym wysiłku w opanowaniu źródeł drukowanych. Chociaż więc wydana na obczyźnie, biografia ta jest, przynajmniej w swym głównym zarysie badań

krajowych, wynikiem przedwojennych jeszcze dociekań, syntezą wiedzy nabytej na stanowisku dyrektora Muzeum Czartoryskich.

W przeciwieństwie do pracy pisanej po polsku, wydanie angielskie nie zawiera akcentów dyskusji, ale całość ujęta jest oczywiście w sposób zgodny z wcześniejszymi wypowiedziami i założeniami autora. Zajmuje się ono zresztą tylko dwoma aspektami działalności księcia. Przedstawia go z jednej strony jako dyplomatę — z początku rosyjskiego a później polskiego — oraz jako bystrego pisarza politycznego, z dużym zrozumieniem sytuacji europejskiej, a więc zdolnego do dość trafnego przewidywania wyników zachodzących przemian. Sam tytuł pracy wskazuje już na zagadnienia jakie zostały w książce szczególnie uwypuklone. Są nimi, obok narracyjnego wątku o dyplomacie, całe rozdziały poświęcone teoretycznym rozważaniom księcia oraz jego praktycznym próbom nakłonienia Aleksandra I do przebudowania Europy według planu nazwanego przez autora ,,wielkim'', a przez historyków pruskich ,,morderczym''. Zarówno teoretyczne założenia Czartoryskiego w czasie trzeciej koalicji, jak i późniejsze analizy sytuacji i krytyki dyplomatów europejskich oznaczają się wielką trafnością i słusznością, nieraz zaskakują swym mistrzowskim uchwyceniem rzeczy istotnych. Nie można było lepiej opisać krytyki polityki angielskiej w czasie kongresu wiedeńskiego, nie można było lepiej podkreślić wiarołomstwa i cynizmu dyplomacji londyńskiej; nie uprzedzony czytelnik mógłby uwagi Czartoryskiego o roku 1815 zupełnie dobrze odnieść do pokoju paryskiego z 1763, czy do układów jałtańskich z 1945 roku (str. 155).

O ile dla nas krytyka współczesności jest zrozumiała u dyplomaty, będącego stale w centrum powikłań międzynarodowych, o tyle analiza przyszłości i trafność przepowiadania nadchodzących zmian jest u Czartoryskiego rzeczą niewątpliwie zaskakującą czytelnika zachodniego, a i nie zawsze zrozumiałą u czytelnika polskiego, bardziej czułego na wszelkie ruchy wolnościowe. Niestety źródło wiedzy księcia o sprawach bałkańskich, kaukaskich czy tureckich, pozostaje dla nas nieznane. Nie wiemy skąd czerpał te wiadomości ani w jaki sposób zwrócił uwagę na sprawy obce całemu niemal światu dyplomacji europejskiej. Niewątpliwie wyświetlenie tego zagadnienia przekroczyłoby zakreślone ramy książki. Rozdział o drukowanym szkicu dyplomatycznym Czartoryskiego jest najkrótszy, ale i najciekawszy ze względu na poruszone w nim, po raz pierwszy przez naukę historyczną tematy.

W pracy przeznaczonej dla czytelnika anglosaskiego, autor specjalnie kładzie nacisk na kontakty księcia z dyplomatami i politykami angielskimi, kilkakrotnie podkreśla zbieżność poglądów z późniejszym prezydentem Stanów Zjednoczonych Woodrow Wilsonem. Wykazuje nawet, iż Polak o wiele bardziej rozumiał niebezpieczeństwo grożące pokojowi europejskiemu wskutek powstania małych państw, łatwych zdobyczy dla silniejszych sąsiadów. Stąd myśl federacji tych państw i jednocześnie rzucona kon-

cepcja organu międzynarodowego, wyposażonego w siłę zdolną do zachowania pokoju. Oryginalność i aktualność tej myśli jest podkreślona wielokrotnie, bo też i wielokrotnie książe Adam do niej powracał i o niej mówił swemu otoczeniu, by w końcu swój punkt widzenia ogłosić drukiem. Historiografia obca znała w głównych zarysach plany i założenia Polaka, po raz pierwszy jednak pojawiła się dostępna jej praca, ukazująca w pełnym świetle zarówno dyplomatę jak i myśliciela politycznego, wykazująca jak nabyte doświadczenie wpływało na kształtowanie się poglądów na sytuację europejską i jak pewne założenia teoretyczne i przewidywania przyszłych wypadków wpływały na bieżące postępowanie kierownika polskiej polityki zagranicznej. W tym leży największa zasługa autora i to szczególnie należy podkreślić przy omawianiu tej książki.

Z innych zagadnień związanych z Czartoryskim, poruszone i omówione szerzej są jeszcze dwie sprawy: jego powikłania sentymentalne z Elżbietą badeńską, żoną Aleksandra I, oraz działalność na stanowisku kuratora okręgu wileńskiego. Zasługi Czartoryskiego w tej dziedzinie są więcej niż olbrzymie. Jak słusznie podkreśla przedmowa, wzmocnił on polskość na tych terenach „na całe pokolenia". W związku z tą sprawą uderza w bibliografii brak pracy A. Żółtowskiego „Border of Europe", poświęconej właśnie historii ziem wschodnich w epoce porozbiorowej.

W krótkim omówieniu trudno jest poruszyć wszystkie szczegóły, podać nowe pojęcia czy interpretacje znanych już faktów, których, zwłaszcza w porównaniu do pracy Handelsmana, jest niemało. Autor nie mógł oczywiście rozbudować swego dzieła i starać się o wyczerpanie tematu. Niemniej już na samym początku zwraca uwagę pominięcie zagadnienia rzeczywistego ojca księcia Adama; lekka tylko aluzja objaśnia, iż romans księżny Izabelli z Repninem nie odbył się „bez dramatycznych powikłań". Może byłoby lepiej, gdyby autor dokładniej swą myśl wyjaśnił, gdyż czytelnik anglosaski nie zawsze będzie wiedział o jaką sprawę tu chodzi.

Dla nauki zachodniej niewątpliwie będzie dużą nowością wiadomość o pochodzeniu Pawła I i o losie córki Katarzyny II; autor nie dodaje natomiast żadnego komentarza do śmierci Aleksandra I. Notuje ten fakt, bez wzmianki o zapiskach znalezionych w Wilnie. Okoliczności wstąpienia na tron Aleksandra I odbiły się kilkanaście lat później na losach Polski. Książka opisuje dokładnie sprawę polską na kongresie wiedeńskim, niechęć dyplomacji zachodniej do planów Czartoryskiego i popierającego go cara. Podkreśla skutki tej opozycji na dalsze kształtowanie poglądów Aleksandra I, na niedotrzymanie przyrzeczenia złączenia z Królestwem Kongresowym wszystkich ziem polskich, będących w ręku rosyjskim. Analiza tych przemian jest o wiele wnikliwsza niż czynią to na ogół historycy rosyjscy, którzy najczęściej pokrywają milczeniem polskie dążenia cara, a szczególniej jego zamiary oddania Królestwu prowincji, zdobytych w zaborach. Nie-

chęć dyplomacji zachodniej do projektów cara wypływała z osobistej antypatii Metternicha i Castlereagh do Aleksandra I. Szlachetni ci mężowie nie mieli nic przeciwko niszczeniu całych narodów czy cynicznemu handlowi ludźmi, o ile to przynosiło pożytek ich państwom, ale jednocześnie mieli niezrozumiałą antypatię do morderstw jednostkowych, i uważali, iż muszą ją odczuwać do cara za niewyjaśnione szczegóły jego wstąpienia na tron. Antypatia ta była tym bardziej szczera, iż dzięki temu Anglia pozbyła się koszmaru zjednoczenia Europy, a Austria sojuszu z katolicką Francją i perspektywy odbudowy katolickiej Polski. Nie przeszkodziło to oczywiście Habsburgom uważać się nadal za cesarstwo, broniące materialnych i duchowych wartości Rzymu papieskiego.

W książce, przeznaczonej dla czytelnika angielskiego, za mało może podkreślone są polskie wpływy na nastroje i nawet politykę brytyjską. Stanowisko Palmerstona w 1840 roku było w znacznej mierze oparte na raportach generała Chrzanowskiego o sytuacji wojskowej na Bliskim Wschodzie. Polak, obok innego, hanowerskiego oficera, był właściwie jedynym pewnym źródłem co do rzeczywistego położenia wojskowego w tym rejonie. Byłoby ciekawe wiedzieć, czy raporty tego rodzaju były wysyłane do księcia Adama i czy ten komunikował je dalej czynnikom francuskim? Wpływy polskich powstań na nastroje mas angielskich łączyłyby się już bardzo luźno z tematem. Jako ciekawostkę warto może zanotować, iż Delane miał na imię Tadeusz, ku czci Kościuszki, a Disraeli jeszcze w dojrzałym wieku pamiętał, i chętnie wspominał, o swoim młodzieńczym entuzjaźmie w czasie powstania listopadowego.

Książkę zdobią liczne ilustracje i trzy mapy: rozbiorów, Polski lat 1807-1831, oraz mapa Europy, taka, jak ją widział w swych planach Czartoryski. Natomiast nie jest podana ani razu liczba ludności Polski. Autor nie dość wyraźnie zresztą podkreśla słabość Polski w stosunku do swoich rozbiorców. Polska była wtedy jeszcze jednym wielkim lasem (na południowo-wschodzie stepem), z olbrzymim błotem poleskim pośrodku; bez większych miast, bez przemysłu rodzimego, bez własnych fabryk broni, słabo zaludniona, z nikłym handlem we własnych, polskich rękach, bez godnych tej nazwy banków, ze słabo rozwiniętym górnictwem, z nierozwiązanym problemem włościańskim. Na tym tle są dokonania Polaków w czasie insurekcji kościuszkowskiej, powstań ziem zachodnich w 1806 roku, czy wreszcie w czasie powstania listopadowego tym bardziej godne podziwu. Podanie liczb ludności, a następnie armii, jeszcze bardziej podkreśliłoby wysiłek społeczeństwa w czasie tego powstania, którego najlepszym może wodzem byłby — jak zauważa autor — właśnie Adam Czartoryski; stwierdzenie warte zapamiętania, gdyż to mówi nasz najznakomitszy historyk wojskowości.

Z niedokładności rzeczowych zauważyliśmy jedynie dwa drobnej zresztą wartości. Konferencja w Wiedniu nie zakończyła kariery Drouyn de Lhuys (str. 294). Na jesilni 1862 objął

on z powrotem tekę ministra spraw zagranicznych. Stał na czele dyplomacji francuskiej w czasie powstania styczniowego, był jednym z tych, którzy chcieli pchnąć Francję do wojny o Polskę, za plecami cesarza robił co mógł, by sytuację zaostrzyć. W roku 1856 sprawa polska była poruszona w Izbie Gmin (str. 312), Clarendon 11 lipca przypomniał Rosji przyrzeczenie dane w stosunku do Polski w czasie kongresu paryskiego. Interwencja ta była sprowokowana przez rosyjskie „point de rêveries". Poza tym zdziwiłby się chyba Michał Czaykowski, że jest pochodzenia ukraińskiego, tak jak słowa tego nie rozumiałby i Adam Czartoryski, który stale mówi i pisze o Rusinach.

Indeks osób wykazuje pewne luki, jest na przykład cytowany A. Plutyński, G. Just, czy E. Wawrzkowicz, a pominięto W. Tokarza lub M. Turowicza.

W biografii pominięto szereg francuskich artykułów Handelsmana; rzecz J. Feldmana o stosunkach polsko-angielskich jest w wersji polskiej a nie francuskiej, brak francuskiego artykułu Knapowskiej o roku 1848, nie wspomniano bibliografii J. Lorentowicza.

Ostatnia książka Mariana Kukiela zamyka na razie badania nad życiem i działalnością Adama Jerzego Czartoryskiego. Wątpliwe, żeby ktoś w kraju przez ostatnie dziesięć lat nachylał się nad archiwami krakowskimi. Książę był na czarnej liście, a nawet czytaliśmy wypowiedź, iż w swej walce z Rosją był on zwykłym agentem angielskim. Nie ma zresztą ani w kraju, ani na emigracji nikogo kto by mógł pretendować do znajomości tych dziewięćdziesięciu lat w takiej mierze jak S. Askenazy, M. Handelsman, M. Kukiel.

Praca Mariana Kukiela spotkała się z przychylną krytyką i życzliwym podziękowaniem całej historiografii zachodnio-europejskiej. Jak po *Cambridge History of Poland* tak i po nią sięgnie każdy historyk czasów nowożytnych, każdy obcy czytelnik, zainteresowany w jaki sposób naród pozbawiony państwa przez więcej niż wiek, potrafił przetrwać niewolę i wrócić do niepodległego bytu. Na jeszcze jednym odcinku zostały odrobione zakłamania rosyjskie i niemieckie, jeszcze jedna polska książka weszła na stałe do obowiązkowej lektury studentów i profesorów obcych. Należy się za to szczególna wdzięczność autorowi ze strony jego rodaków. Ale jest to tylko teoria. Jak wykazuje ciężki byt „Tek Historycznych" czy nikłe wyniki niedawnej zbiórki na naukę polską na obczyźnie, emigracji obojętny jest los tej nauki, czy dorobek jej naukowców, a szczególnie historyków.

Stanisław BÓBR-TYLINGO

Przekłady z hiszpańskiego

(CZĘŚĆ DRUGA: *PRZEŁOM XIX I XX WIEKU*)

W poprzedniej części („Kultura" Nr 117/118) omówiłem polskie przekłady klasyków hiszpańskich, które ukazały się drukiem w ostatnich latach w Kraju i na Emigracji. Praca moja ogranicza się głównie do porównania tekstów, chociaż niekiedy zmuszony jestem protestować przeciwko nienaukowemu i tendencyjnemu naświetlaniu zjawisk literackich przez niektórych tłumaczy. Obecnie spróbuję w podobny sposób przedstawić pozycje reprezentujące literaturę hiszpańską schyłku wieku dziewiętnastego oraz twórczość dwudziestego wieku. Składają się na nie: dziewięć powieści, cztery sztuki teatralne oraz pięć tomów poezji (w tym dwie antologie). Ich autorzy, to Benito Pérez Galdós, Vicente Blasco Ibañez, Federico Garcia Lorca oraz inni poeci hiszpańscy.

◆

Benito Pérez Galdós (1843-1920) jest przez krytykę uważany za najgenialniejszego po Cervantesie powieściopisarza hiszpańskiego. Urodzony w stolicy Wysp Kanaryjskich Las Palmas (a nie jak pisze Z. Szleyen w Palma na Majorce), osiedlił się na stałe w Madrycie stając się jednym z najwierniejszych jego synów. Bogatą jego spuściznę powieściopisarską można podzielić na powieści historyczne, ideologiczne i obyczajowe.

Nie dotarła, niestety, do moich rąk *Donia Perfecta* w polskim przekładzie E. Martuszewskiego. Jest to bodajże najgłośniejsza powieść Galdósa o tematyce wyznaniowej. Szlachetne bojowania pisarza, wychowanego w duchu anglosaskim, o tolerancję i jego namiętna krytyka form katolicyzmu hiszpańskiego znalazły w tej książce szczególnie ostry wyraz. W dalszych powieściach o pokrewnej tematyce autor sam stał się bardziej tolerancyjny i zarzucił stronniczość, która bardzo razi w omawianej książce wraz z naiwną wiarą w inżyniera i nauki ścisłe mające w niedalekiej przyszłości wszystkie bolączki ludzkości usunąć i tajemnice wyjaśnić.

Dwa pokaźne tomy, które leżą przede mną, zawierają powieści historyczne należące do cyklu *Episodios nacionales*. Imponująca ta seria składa się z 46 tomów i obejmuje historię Hiszpanii całego wieku dziewiętnastego. Cieszy się ona ogromną popularnością zarówno w szerokich rzeszach czytelniczych jak wśród smakoszy. Galdós ukazuje nam dzieje swej ojczyzny widziane oczyma całego społeczeństwa, historię, którą współtworzą minister i chłop, ksiądz i przemytnik, hrabina, damulka i zakonnica, kupiec, mulnik i student. Jest to narodowa epopeja tchną

ca życiem najprawdziwszym, gdzie zdrajca przechodzi obok bohatera i nikczemnik obok świętego. Na próżno usiłuje polska tłumaczka „zaangażować" pisarza. Galdós jest kolosem jak Balzac i zaszeregowanie go do białych czy czerwonych jest pomyłką. Był liberałem nienawidzącym krzywdy i nie bał się kruszyć kopii z dogmatyzmami wszelkich tyranii.

Pierwszy tom przekładów polskich nosi tytuł *Saragossa* (1), choć składają się nań powieści: *Marzec i maj* (Z. Szleyen), *Bailen* (Z. Szleyen) i *Saragossa* (K. Wojciechowska); na drugi tom, *Bitwa pod Arapilami* (2) — *Kadyks* (K. Wojciechowska), *Juan Martin el Empecinado* (Z. Szleyen), oraz *Bitwa pod Arapilami* K. Wojciechowska). Na fantastycznie barwnej kanwie lat wojny o niepodległość pisarz po mistrzowsku roztacza pełne dramatu przejścia dwojga kochanków, Gabriela, sympatycznego młodzieńca, który mimo skromnego pochodzenia, dochodzi do zaszczytów i zdobywa miłość i rękę Ines, pięknej lecz nieszczęśliwej, nieślubnej córki hrabiny. Wokół nich przesuwają się setki postaci, aktorów zaciętej wojny, przedstawionej bez osłonek ale i bez fałszu. Wśród Francuzów widzimy żołnierzy szlachetnych i ludzkich, Hiszpanie to nie tylko partyzanci gotowi umrzeć dla kraju, ale także zdrajcy jak Candiola i bandyci jak Manco, żądni krwi desperaci jak ksiądz Anton obok wodza oddziału Martina el Empecinado, który odmawia różaniec. Galdós pisał prawdziwie, a ponieważ posiadał niepospolity talent stworzył w swoich powieściach historycznych obrazy równorzędne płótnom Goyi. Reprodukcje obrazów i rysunków tego malarza zdobiące oba tomy polskich przekładów są więc jak najbardziej na miejscu.

Zofia Szleyen, znana nam już z szeregu innych cennych przekładów, wyszła obronną ręką z niełatwego zadania. Dała tomy gładkie, dobrze czytelne. Rzadko zawodzi ją znajomość języka, aczkolwiek zdarzają się figle. „Przed nami i za nami stali królewicze w otoczeniu kawalerzystów i artylerzystów spod Austerlitz (S. 164)" — pisze tłumaczka. Skąd nagle ci królewicze? Wszystkiemu winne słowo *infantes*, dwuznaczne, które w cytowanym kontekście oczywiście znaczy piechota. Nie sposób oddać w tłumaczeniu polskim odcienia języka protagonistów. Ale dowiadujemy się na przykład, że Martin el Empecinado mówi językiem prostym. Z Szleyen wkłada w jego usta takie oto słowa: „... dosyć tych koszałek-opałek. Mam już po uszy fum niektórych naszych kawalerów (B, 265)". *Bobilis bobilis* ni stąd ni zowąd tłumaczy „Pater Noster (S, 27)" a *por supuesto* — „prawdopodobnie (S, 29)". Słomkowy kapelusz „z Indii (B, 226)" to sombrero z Ameryki Południowej.

---

(1) Perez Galdós, Vicente. *Saragossa*. Tłumaczyły: Zofia Szleyen, Kalina Wojciechowska. Wstępem opatrzyła Zofia Szleyen. Wyd. Czytelnik, Warszawa, 1955.

(2) Perez Galdós, Vicente. *Bitwa pod Arapilami*. Tłumaczyły: Zofia Szleyen, Kalina Wojciechowska. Wyd. Czytelnik, Warszawa, 1957.

W Kalinie Wojciechowskiej Z. Szleyen znalazła godną part nerkę. Jej przekład jest nader wierny, usterek niewiele. „... L fina estera de colores to nie „tapety, subtelny dobór kolorów (B, 495)" ale „gustowna kolorowa mata". „Amberes (S, 377)" to Antwerpia, „Granico (S, 356)" — Granik. Nie wydaje mi się żeby Wojciechowska utrafiła w sedno przekładając *discreto* — „dyskretny (S, 356)" ale na temat tego słowa napisano wiel uczonych wywodów więc trudno o odpowiednik zadawalając każdego. Z wyrażeń „szuka swego Fulana (S, 529)" oraz „cz jest Fulan wśród nich (Ibid)", nie wynika że tłumaczka rozumi słowo *fulano* jak np. nasze „pan Iksiński". „Alpargaty (S 379n)" — nie skórzane ale sznurkowe sandały. Wyrażenie *hom bre de Dios* tłumaczy „Dalibóg S, 371)", natomiast Z. Szleyer „człowieku boży (M, 237)". Należało uzgodnić pisownię imion własnych. Pierwsza pisze „Jimena (B, 461)", a druga „Chimen (M, 307". Nazwy zakonów na ogół pisane są z dużej litery al znalazł się upośledzony „augustianin (B, 415)".

Z .Szleyen opatrzyła pierwszy tom wstępem. Nie przekona ona jednak nikogo, gdyż tekst Galdósa przeczy wielu jej wywo dom. Bo cóż z tego, że tłumaczka perswaduje i uczy, że pisar był zaciekłym republikaninem i lewicowym liberałem, kied Hiszpan pod koniec powieściowego cyklu każe jednej z głównycl postaci, dyszącemu zemstą rewolucjoniście Santorcazowi umrze ze słowami:

> Długi czas oddychałem nienawiścią i zemstą, zbyt wielką wag przywiązywałem do sprawiedliwości ziemskiej. Nie ufałem Opa trzności, chciałem zdobywać gwałtem i siłą, mocniej wierzyłem v złość, niż w dobroć ludzi. Bóg był w moich oczach złą potęgą, ty ranem stojącym na straży nierówności pomiędzy ludźmi. Nie zna łem pokory, dumny byłem jak szatan i drwiłem sobie z raju, d którego nie mogłem się dostać. Krzywdziłem, w głębi duszy zacho wując jakiś niewytłumaczony afekt dla krzywdzonej osoby, goniłer za rozkoszą zemsty, jak człowiek na pustyni goni za złudnym obra zem wody, żyłem z uczuciem wiecznej goryczy w sercu, sam je szar pałem własnymi paznokciami. Dusza moja nie znała wytchnienia, do póki nie zamieszkał w domu moim anioł pokoju, który swoją sło dyczą koił mój ból i gniew. Aż do tego czasu nie wiedziałem, ż istnieją dwie cnoty pocieszycielki: cierpliwość i miłosierdzie" (B, 637-638).

Przytaczając cytaty z Żeromskiego Z. Szleyen próbuje tak że odbrązowić udział Polaków w szeregach armii Napoleona do patrując się w akcji ochotników z brygady Jarosława Dąbrow skiego z wojny domowej 1936-1939 nieomal symbolicznego za dośćuczynienia. Mimo pozorów te dwie wojny wcale tak bardz do siebie nie są podobne. Bo czy można powiedzieć o tej drugiej że była to wojna święta na miarę pierwszej, gdzie cały naród be wyjątku: „Nie czekał związków, klubów, odezw, naczelników pomyślnych walki wypadków; porwał natychmiast oręż na obro nę kraju; kapliczki przemieniły się w twierdze, zakonnicy wzię broń. Przegrana jedna nie rozprzęgła różnych klas ludu, b

żadna z nich nie była dostawą, którą dostarcza druga''. Rola Polaków była w pewnym sensie — o ironio — podobna. Na przekór tradycji narodu hiszpańskiego pomagali oni forsować nowy, obcy jego duchowi porządek. Niemniej zdobywcy Saragossy czuli dotkliwie tragizm swojej sytuacji. Oto co mówi jeden z uczestników pamiętnych walk, generał J. Mroziński, w dziełku zatytułowanym: *Oblężenie i obrona Saragossy w latach* 1808 *i* 1809:

> Gdyby wolno było liczyć ofiary, które się czynią dla kraju swojego, zapewne dzień poddania się Saragossy byłby w tej szczupłej ich liczbie, które dla Polaka dotkliwie były. Nigdy nie miała przed oczami swymi tak okropnego widoku garstka ta z ziemi rodzinnej usuniętych wojowników, którzy walczyli ciągle z narodami zupełnie obcymi dla swego kraju, bez nadziei prawie powrotu do niego, nie jak inni szczęśliwi, w sprawie własnego narodu, ale w sprawie obcej, dla tego jedynie, aby dopiero kiedyś wolno im było, a przynajmniej ich ziomkom, walczyć o odzyskanie ziemi ojczystej (87-88)''.

Powieść Blasco Ibañeza *La bodega* (3) powstała w 1905 roku a więc na wiele lat przed okresem ,,rozkwitu'' socrealistycznej literatury. Kiedy w Polsce kazano literaturze wykonywać ,,zamówienie społeczne'', przekład tej lichej powieści Ibañeza był szczególnie na czasie. Właściciele opisywanej wytwórni win to nieludzcy bigoci i libertyni, robotnicy — ludzie prawi ale bezwolne narzędzia wyzysku, agitator komunistyczny to ,,święty laik''.

Tekst polski jest krótszy o prawie jedną trzecią. Nie umiem powiedzieć czy odpowiedzialny za to jest tłumacz polski czy też jakiś inny jeszcze tłumacz. Dość powiedzieć, że o ile niektóre partie bluźniercze i obrażające uczucia wierzących — a Blasco Ibañez sili się na modne we wszystkich epokach, szczególnie zaś u początkujących pisarzy, bluźnierstwa — Mściwój pominął, natomiast zmienił inne wypowiedzi. Kiedy Hiszpan mówi o wypowiedzeniu wojny *a la priopiedad y a Dios,* Polak pisze ,,własności prywatnej i Kościołowi (113)''. Pyszne opisy z reguły tłumacz streszcza nadrabiając przy okazji. Bo dwa hiszpańskie słowa *puntilla complicada* to u Mściwoja ,,szal koronkowy, misternie wyrobiony i podobny raczej do pajęczyny niż do dzieła rąk ludzkich (53)''. Lubuje się też w wyrażeniach napuszonych: *amo* — ,,władza najwyższa (5)'' zamiast ,,szef'', *a pedir* — ,,do złożenia wniosku'' (8)'', *juez* — ,,przedstawiciel sprawiedliwości (ibid)''. Jakimś dziwnym zbiegiem okoliczności ,,drogocenne szable z Manilli'' stały się ,,okazałymi szalami z Chin (53)''. Szwankują odnośniki: ,,zupa z *garbanzo''* w tekście ma notkę *garbanzo* — ,,groch (72)'', a co wyjaśnia przypisek ,,Peseta — srebrna moneta hiszpańska wartości jednego franka (42)''?

---

(3) Blasco Ibanez, Vicente. *Bodega.* Przełożył Jan Mściwój. Wyd. Ludowe, Warszawa, 1949.

Niewinne wzmianki o Anglii i podróżach jednego z bohate-rów do Londynu (z listami polecającymi do Polaków rewolucjo-nistów) zostały w większej części wyrugowane jak niewątpliwi ocenzurowano wypowiedź Fermina (nie Firmina jak chce polsk tłumacz), że przyczyną gospodarczego kryzysu południowej His-panii jest brak handlu z Anglią.

> Pieniędzy trzeba, pieniędzy. Niech przyjdą pieniądze, niec wrócą, jak za dawnych lat, funty, gwineje i szylingi a skończą si strajki i kazania Salvatierry i jego partyjników, ekscesy milicji i nę dza i hańba wszelka, jakie dziś oglądamy (25).

Wreszcie usunięto oryginałowi końcowy ustęp, ów wielk akord, którym Blasco Ibañez zamyka ,,Wytwórnię win''. Sądzę że warto go przytoczyć w całości, żeby pokazać zarówno absur rewolucjonisty jak i hipokryzję wydawców. Salvatierra, idealny komunista, ogląda klęskę buntu i patrząc na spitych winem ludz ma wizję przyszłości. Chłopi go zawiedli ale pozostali jeszcz robotnicy.

> Hen za polami były miasta, wielkie zbiorowiska nowoczesne cywilizacji a w nich inne stada zrozpaczonych i smutnych, którz jednak odrzucali fałszywą pociechę wina, rodzącego się ducha ką pali w jutrzence nowego dnia, na swojej skroni czuli pierwsze pro mienie słońca podczas gdy reszta świata była pogrążona w cieniu... Oni będą owymi wybranymi. I kiedy wieśniak z ociężałością woł trwał na ziemi, szaleniec z miasta budził się i powstawał, aby po dążyć za jedynym przyjacielem nędzarzy i głodnych, za tym, c snuje się poprzez dzieje wszystkich religii obrażany imieniem Sza tana, a który teraz odrzuciwszy groteskowe rekwizyty nadane m przez tradycję, olśniewa jednych i przeraża innych najpyszniejsz z piękności, pięknością anioła światłości, co się zwał Lucyfer a dzi mu na imię Rewolucja... Rewolucja Społeczna.

Jeżeli było artystycznym nieporozumieniem wydanie produk-cyjniaka typu *Wytwórni win*, o tyle dwie inne książki Blasco Ibañeza są nabytkiem cennym. Pisarz, nie cieszący się zreszt względami poważnej krytyki mimo iż jego powieść o pierwsze wojnie światowej przyniosła mu rozgłos międzynarodowy (pol-ski przekład: 1925 rok), zarówno w *Wesołej Walencji* (4) (Arro y tartana) jak i *Ziemi przeklętej* (5) (La barraca) daje przepyszny pulsujący życiem obraz swoich rodzinnych stron. *Wesoła Wa-lencja* to książka o średniozamożnym mieszczaństwie. Autor m o nim wyrobione zdanie: mężczyźni, to kupcy wzbogaceni wytę-żoną pracą, którzy z kolei zaczynają grać na giełdzie i bankru-tują padając ofiarą oszusta. Kobiety, a raczej kobieta, bo jedn tylko kreacja powieści jest kobietą z krwi i kości, Manuela, ni

(4) Blasco Ibanez, Vicente. *Wesoła Walencja*. Tłumaczyła Zofi Szleyen. Wyd. Książka i Wiedza, Warszawa, 1953.

(5) Blasco Ibanez, Vicente. *Ziemia przeklęta*. Przekład i wstęp Zof Szleyen. Wyd. Książka i Wiedza, Warszawa, 1951.

waha się zapłacić najwyższej ceny i poświęcić własną cześć, żeby tylko móc prowadzić wystawny tryb życia odpowiadający jej ,,godności''.

Akcja *Ziemi przeklętej* rozgrywa się w wiosce położonej niedaleko Walencji. Powieść rozbudowana z krótkiego opowiadania o zemście Maura razi typowością charakterów, posiada natomiast kompensatę we wspaniałych i celnych opisach żyznej ziemi walenckiej zwanej *huerta*. Bezrolny chłop zjeżdża z rodziną na gospodarstwo, które od dziesięciu lat leżało odłogiem. Jego ostatni dzierżawca doprowadzony do rozpaczy przez właściciela-wyzyskiwacza, zamordował go i za czyn swój został zesłany na dożywotnie ciężkie roboty. Jako wyraz solidarności z nieszczęśnikiem gromada obłożyła klątwą gospodarstwo i groźbą a nawet bronią polną przepędziła śmiałków, którzy usiłowali ,,przeklęte'' zagony uprawiać. Przybłęda nie przeląkł się pogróżek i usilną pracą podnosi gospodarstwo z ruiny. Ale perspektywy lepszej doli zamąca śmierć najmłodszego synka. Wieś czując się winną śmierci dziecka zarzuca czasowo nieprzyjaźń. Jednak niedługo potem odżywa dawna nienawiść. Przybysz stacza walkę na śmierć i życie z prowodyrem wsi nicponiem Pimento raniąc go śmiertelnie. W odwet za to wieś podpala chałupę. Wprawdzie cała rodzina się uratowała z płomieni ale przepadł cały dobytek. Nie pozostało nic innego jak porzucić tę przeklętą ziemię i pociągnąć dalej w poszukiwaniu chleba.

Choć autorka obydwu przekładów Zofia Szleyen wybija się na czoło krajowych tłumaczy z hiszpańskiego dając sobie na ogół doskonale radę z tekstem, czasem sprawia zadziwiające niespodzianki. Wydawałoby się, że pochodząc z kraju katolickiego jak Polska, tłumaczka powinna wiedzieć, że *toque de misa primera* to nie ,,muzyka pierwszej mszy (11)'' ale ,,dzwon na jutrznię''; nie ,,Ave Maria'' ale chyba ,,Zdrowaś Maria'', nie ,,Święta Matko'' ale ,,Święta Mario'' i nie ,,Chwała Panu na wysokościach'' ale ,,Chwała Ojcu''... Tłumaczka pomija, na szczęście nie zawsze, wyrażenia idiomatyczne czy trudne słowa. Niekiedy popełnia gaffę. Tłumaczy *Durante seis meses sólo se habló en la huerta del tió Barret* jako ,,Dopiero w sześć miesięcy później wieś zaczęła mówić (49)'' zamiast ,,Przez sześć miesięcy wieś mówiła wyłącznie o kumie Barrecie''. *Parra vetusta* wyszła jako ,,wieczysta wściekłość (22)'' choć mowa o starej winorośli a *galera argelina* to nie ,,okręt galerników (29), ale galera algierska. Sztucznie brzmi spolszczenie *arriba perezosos. A trabajar la tierra* — ,,wstawać, nygusy! Obrabiajcie ziemię (13)''. Wprowadziwszy zupełnie niepotrzebnie pojęcie rasowe tłumaczka tchórzy tam, gdzie żąda tego oryginał oddając słowo *judio* jako ,,sknera'' choć mogła śmiało zostawić ,,żyd''. Nie wiem, co było powodem, że zwrot ,,strzelba... była pielęgnowana z tym sentymentem kabyla (214)'' ma oddać *con ese cariño de moro*. Czyżby wpływ innego tłumaczenia? W *Wesołej Walencji* znajdujemy ,,urękawicznioną dłoń (13)'', napój *horchata* został spolszczony jako ,,orszada (135)''. Przez przeoczenie ob-

jaśnia tłumaczka: ,,mowa hiszpańska'' — ,,czyli walencka (65
zamiast ,,kastylska''.

Żali się tłumaczka w socrealistycznej przedmowie, że ,,pr
obrażenia społeczne nie znajdują w *Wesołej Walencji* żadne
echa''. Lukę tę wypełniła sama cytując Engelsa i informuj
o strasznym monarsze, który nie chciał pozwolić na wolną pra
o wyzysku ,,hołoty'' ... która w ,,cyrku podczas walki byk
gdy pocąc się na tanich miejscach w 'słońcu', wielkimi łyka
pociąga chłodne wino ze skórzanych bukłaków'', o Ludow
Armii Republiki Hiszpańskiej i o wielu innych sprawach nie m
jących żadnego związku z powieścią.

◆

Choć antologia *Smak winnic Twoich* (6) obejmuje tak
przekłady z francuskiego i niemieckiego, tym niemniej część
hiszpańska liczy ponad sto stron i wymaga omówienia. Kto in
niech się zajmie pretensjonalnością tomu, który ma uchodzić
wybór ,,liryki religijnej Zachodu''. Stwierdzi on, że wydaw
mają bardzo mgliste pojęcie o tym co to jest liryka religij
i co oznacza Zachód.

Spośród poetów reprezentujących lirykę hiszpańską antolo
pierwszeństwo przypadło Lorce, którego wiersze stanowią po
wę stanu, jedną piątą ma Rafael Alberti a następną co do wi
kości pozycję zajmuje Antonio Machado. Nie wiadomo dlacze
wśród kilku innych poetów hiszpańskich znalazła się Czilij
Gabriela Mistral oraz Vicente Huidobro.

Mimo pionierskości antologii Bieszczadowskiego (R. Alber
wykazuje on niewystarczającą znajomość języka, z którego prz
kłada. Rezultatem jest fantastyczna ilość potknięć i absurd
nych pomyłek. I tak w przekładach z Rafaela Alberti znajdzie
dziwne spolszczenia w stylu:

> *deja tu que mi muerte se despida.*
> Ty pozostań — ty od którego oddala mnie śmierć (186)

albo tamże:

> *o si a aquella le dieron la vida los espejos*
> czy jeszcze inne dały życie zwierciadłu (ibid.).

Słowo *creen* Bieszczadowski odczytał jako *crean* i przełoż
odpowiednio ,,tworzą'', ,,*Una carta del cielo bajó un àngel*
nie ,,Pod mapą niebios leży anioł (194)'' ale coś w rodzaju ,,ani
z nieba przyniósł list'', *un año, ya dormido* to także nie ,,W r
ku, który już zasnął'', ale ,,Pewnego roku, kiedy już spałem
Konia z rzędem temu, kto zrozumie co znaczy ,,po spławny

(6) Bieszczadowski, Mikołaj. *Smak winnic Twoich.* Wybrał i prze
żył... Przedmową opatrzył Konrad Eberhardt. Wyd. Pax, Warszawa, 19

brzasku długo ciekła jałowość mleka (199)". Otóż nie mleka. Bo *lecho* to łoże, łożysko. Nie mylić z *leche! Barro* to nie „mierzwa (201)", *nombre* nie „liczba (201)", *pozo* też nie „piwnica"; *que son de un solo cuerpo* znaczy „które mają jedno ciało" a nie „głosy jednego ciała (202)". *Nunca escribió su sombra/ la figura de un hombre* Bieszczadowski tłumaczy „I jego cienia nigdy nie napisze profil człowieka (203)" zamiast, moim zdaniem „I jego cień..." Na str. 206 *párate* (stań!) nie znaczy „więc się ukaż", a *Habla* znaczy „mów" nie „mówię". Podobnie *Ya no se me ven las alas* — to nie „nie wiem, czy dobrze mi ze skrzydłami (205)" ale „już moich skrzydeł nie widać".

Dwa liryki Jimeneza wypadły bardzo źle: przekład pierwszego jest nieporozumieniem, drugi jest nieporadny. Sens mniej więcej taki: Daleka jesteś, ja daleko od ciebie, bliżej mojego ja; ty — na zewnątrz, ku ziemi, ja do głębi ducha — Bieszczadowski widzi jak następuje:

Daleka jesteś do ciebie daleko
i jestem tylko blisko siebie
a ty od ziemi już daleko
przez ziemię w nieskończoność przeszlaś (228).

Wśród utworów Lorki wyróżnić trzeba niezłe wywiązanie się trudnego przekładu „Ody do Najświętszego Sakramentu" chociaż i tu zdarzają się dziwolągi. „Biedne serce żaby" to u Bieszczadowskiego „serce małego Stworzenia (232)", *el blanco* — owszem znaczy „biel" ale także (i w tym wypadku) „tarcza, cel"; *catorce* — nie „czterdziesty" ale „czternasty"; *Bares sin gente* — „już opuszczono lasy (234)" — zamiast „bary, knajpy"; „wagi" to chyba błąd drukarski zamiast „wargi'. Dalej koń *de larga cola* to akurat koń „o wysmukłej szyi (240)! A *alameda* — „migdałowe krzewy (241)"? *Musgo* to nie „piana" ale „mech", *faisàn* — cietrzew? W „Gazeli o gorzkim ryżu" słowo „ryż" powtarza się cztery razy. A w oryginale słowa tego nie ma wcale gdyż *raiz* znaczy „korzeń" a nie „ryż". Czasem przekład brzmi nad wyraz prozaicznie:

Idzie śmierć
do karczmy wchodzi —
potem śmierć
z karczmy wychodzi (252)

La reja to krata nie „zarośla (253)", *olivar* — bez potrzeby stał się „Ogrójcem Oliwnym (241)", *reja del arado* to nie „zęby brony" ale „lemiesz pługa". *Nadie pudo asomarse a sus ojos/ abiertos* nie znaczy „Nikt nie mógł zamknąć oczu (244)" ale chyba „zaglądnąć" a zamiast „włosy są z mgły" Bieszczadowski ma „Mój koń jest z gęstej mgły (264)" ... *cabello - caballo!!!* Z liczebnikami żyje na bakier: *Dia veintisiete de agosto* — „Dnia dwudizestego szóstego sierpnia (254)"; *Yo me cortaré la mano derecha* — winno być „utnę sobie rękę prawą" zamiast „Trawy... ściąłem je ręką prawą (261)".

Z wierszami Antonia Machado Bieszczadowski poczyna s bie bardzo dowolnie: niektóre opuszcza, inne łączy w jedną c łość. *Se borra el camino* tłumaczy „droga już pijana (276)“ *Màs luna que tierra* rozumiem odmiennie: nie „księżyc większ niż ziemia (277)“, ale „to raczej księżyc niż ziemia“. *No suena* - „nie śpi (279)“ — winno być „nie wydaje odgłosu“. Tłumacz te poezje Bieszczadowski nie tylko się śpieszył ale czasem zdrzemnął. (Zdarzało się to nawet Porębowiczowi. Przekładaj urywek *Pieśni o Cydzie* ni stąd ni zowąd huknął: „Cydzie Car poamorze“!) *Entre tierra y luna* — „między dniem i księżycem“ zaś *del àspero Guadarrama* (masyw górski) to ponoć po polsk tyle co „szorstkiego Guadalkwiwiru (279)“.

Bieszczadowski widocznie uczy się języka przekładają Rzecz sama w sobie pożyteczna i dopuszczalna. Ale z chwil kiedy ma się ambicję drukowania przekładów, kryteria mus się zmienić. Inaczej rezultat będzie, jak w tym wypadku, żen jący nie tylko dla tłumacza, ale także dla redaktorów wydaw nictwa a nawet dla nowoczesnej poezji, którą, jak z wyżej prz toczonych przykładów wynika, można przekładać jak się chc bo i tak nikt żadnej różnicy nie zauważy.



Leży przede mną bardzo pięknie wydany tom: antolog przekładów Janusza Strasburgera (7).

> Do małej książki — mały wstęp.
> Uspokoiwszy chytrym mottem filologiczne sumienie (nakazują przyczepić tu uczciwą rozprawkę o poezji hiszpańskiej, rzecz, któ trzeba będzie zresztą napisać), poprzestanę na kilku koniecznyc uwagach.

Początek przedmowy usposabia krytyka czy też czytelnik jak najprzychylniej. Miłe skromne zastrzeżenie, że nie o regula ną antologię chodzi ale o zbiorek utworów dobranych za „gło sem serca“ wnet jednak zostaje przekreślone. Powoli ale syst matycznie zaczyna do głosu dochodzić Strasburger partyjn Jego tendencyjność widoczna jest najjaskrawiej przy selekcji m teriałów poetyckich. Odrzuca on część pisarskiego dorobku z chowując poezję ludową, niezłożoną, demokratyczną, patriotyc no-komunistyczną: słowem te wszystkie prawie pozycje o któryc milczy krytyka fachowa. Strasburger wie, że w swoich osądac jest odosobniony ale z tupetem stwierdza, że właśnie on m rację. Oto jego kryterium estetyczne:

> Biegunowo przeciwny sąd, oczywiście, wypowiadali, wypowi dają, wypowiadać będą skrajnie reakcyjni i faszystowcy krytycy l historycy literatury. Dobry to sprawdzian dla naszej oceny.

---

(7) Strasburger, Janusz. *Z hiszpańskiego*. Przekłady poezji. Drzewory Marii-Hiszpańskiej-Neumann. Wyd. Czytelnik, Warszawa, 1956 (ukaza się w 1957).

Przerażenie ogarnia na myśl o zapowiedzianej ,,uczciwej rozprawce o poezji hiszpańskiej''.

Skutki takiego podejścia do literatury nie dają długo na siebie czekać. Można na upartego utrzymywać, że największymi lirycznymi poetami Hiszpanii są Gil Vicente, Lope de Vega, Antonio Machado i Garcia Lorca. Ale jeżeli ktoś nie tylko zupełnie ignoruje poezję św. Jana od Krzyża ale nawet nie wymienia poety wśród kilkudziesięciu pisarzy hiszpańskich, ten obawiam się, zdradza zupełny brak kompetencji i lepiej by zrobił, gdyby dał literaturze hiszpańskiej święty spokój.

Do pozytywów antologii zaliczam przekłady wierszy Antonia Machado oraz poetów Południowej Ameryki. Nie znaczy to, że Strasburger dał nam całego poetę. Wybór liryków Antonia Machado jest równie przypadkowy jak cała jego antologia a przekład raczej przeciętny. Czytając go nikt by się nie domyślił, że ma do czynienia z utworami pierwszorzędnego poety. Jeżeli poszczególne krótkie utwory zostały bez ładu i składu wyrwane z ustalonych sekwencji z pominięciem pozycji ważkich, to jednak przylegają one dość wiernie do oryginalnych tekstów (tu i ówdzie watowanie dla rymu). Natomiast wiersz ,,Giner de los Rios'' został w sposób haniebny sfałszowany. Nie mam żadnych skrupułów, żeby po imieniu nazwać to, co Strasburger zrobił z tym utworem. Francisco Giner de los Rios, światły pedagog i założyciel słynnej szkoły madryckiej w której ukształtował się cały zastęp wybitnych pisarzy i intelektualistów, był człowiekiem nieposzlakowanego charakteru. Salvador de Madariaga napisał o nim, że ,,nikt nigdy nie był godniejszym imiennikiem Świętego z Asyżu". Podobnego sentymentu nie wstydził się Antonio Machado. Ale Strasburger spreparował nam taki portret poety, że czuł się zgorszony niektórymi słowami, których ten używa mówiąc o Ginerze. Wykreślił więc niewygodne wiersze. W jednym miejscu usunął metafizykę: ,,Bądźcie dobrzy, tyle tylko, bądźcie tym, czym ja byłem: duszą''. Zlikwidował wzmiankę o starcu, który żył życiem świętym i ,,odszedł ku innej czystszej światłości''.

Osobny rozdział zajmują przekłady Czilijczyka Pabla Nerudy, autora między innymi ,,Pieśni powszechnej'' wydanej w Polsce. Niezrównany piewca dzikiej przyrody Ameryki, miłości i śmierci zniża często lot aby śpiewać propagandowe banały w stylu:

W trzech pokojach starego Kremla
mieszka człowiek imieniem Józef Stalin.
Światło późno gaśnie w jego pokoju,
Świat i ojczyzna nie dają mu odpocząć.

.. ..

przybyli jego synowie, przynieśli
szeroki pokój rosyjski.

Są tam Mołotow i Woroszyłow,
widzę ich z innymi, z generałami,
niezłomnych.

Strasburgerowy strach przed metafizyką nie udziela się Nerudzie. Demokratycznym ramieniem obejmuje zjawiska krańcowe. Aniołów się nie boi, ba, widzi ich na każdym kroku, choć nie mówi, czy przypadkiem nie chodzi o aniołów upadłych.... ,,Puszkinie, ty byłeś aniołem/ Komitetu Centralnego'', woła w jednym ze swoich wierszy. Za upiornych czasów Bieruta i Stalina Pablo Neruda był w Polsce. To co zobaczył pod czujną opieką ,,anioła Wyki'' (àngel Vyka) określa ,,wielkością'' i ,,ludzkim zwycięstwem''.

Część ,,Z poezji dawnej'' (XV-XVII wiek) obejmuje kilka zaledwie pozycji. Jedną z nich jest urocza ,,góralka'' markiza de Santillana. Arystokrata ten cieszy się wyjątkowymi względami demokraty Strasburgera dlatego chyba, że nie gardził kochankami z ludu i spotkania z pasterkami uwiecznił w uroczych, prostych lirykach. Dziwię się natomiast, że Strasburger nie postawił dezyderatu, żeby frazy takie jak ,,Dziewczę, które miłość zna,/ samo jakże będzie spać'' w drugiej części zmienić na ,,jak ma wydajnie pracować''. Wspaniałe ,,Strofy'' Jorge Manrique nie mogły w Strasburgerze znaleźć kompetentnego tłumacza, gdyż nie rozumie on wcale ich ducha. Przytacza niewiele znaczące urywki i mówi, że owiewa je ,,bezlitosny pesymizm schyłku średniowiecza i stoicyzm'', jedyna tarcza słabości ówczesnego człowieka''. W rzeczywistości poemat opiewa przykładną śmierć chrześcijańskiego rycerza który umiera z wielką ufnością w gronie rodziny ,,powierzając duszę Temu, co mu ją dał''. Gil Vicente i Lope de Vega na wstępie uznani za największych liryków Hiszpanii są reprezentowani okruchami bez znaczenia, ten ostatni czteroma czterowierszami ,,wyłuskanymi'' z czterech różnych sztuk! Przytoczywszy sonet Sor Juany de la Cruz, Strasburger z tęgą miną wykrzykuje: ,,Juana Inés de Asbaje — pierwszy chyba ważę się ją nazwać świeckim imieniem!'' No, rzeczywiście, jaki zuch!

Hiszpański romantyzm to urywek ,,Pieśni pirata'' Espronceda (w przypisach głucha cisza o siostrzanej ,,Pieśni kozaka'', gdzie poeta mówi o Polsce, tarczy Europy na wschodzie, w niewoli i poniżeniu i kończy każdy ustęp wykrzyknikiem: *Hurra cosacos del desierto*...) oraz jeden wiersz Becquera. Ruben Dario, Amado Nervo, Gonzàlez Martinez i Ramón Juan Jiménez ilustrują modernizm, zresztą, z wyjątkiem Jiméneza, udanie. (W dość obszernej nocie biograficznej tego poety, przygotowanej już po zdobyciu przez Jiméneza Nagrody Nobla, przeoczono najcelniejszy jego utwór: *Srebroń i ja*).

Pozostałe rozdziały poświęcone nowszej poezji amerykańskiej i hiszpańskiej, choć nie bez zdawkowych ukłonów w stronę prawdziwych poetów (jeśli nie są oni zaangażowani lub zaangażowani po innej stronie wówczas znajdziemy przytyk w rodzaju ,,... pod rządami generała Franco sięga często do mile widzianej tematyki religijnej''), przeważnie mówią o rewolucjonistach i ludziach partyjnych, którzy zamiast laurów Kaliopy mogą po

szczycić się nagrodami Stalina czy Lenina za produkcyjniaki na zlecone tematy jak Apel Sztokholmski, Korea, pokój itp.

Drzeworyty Marii Hiszpańskiej-Neuman niekiedy subtelne i urocze potrafią też być ciężkie a nawet odpychające, jak widzimy na przykładzie tych, którzy zdobią doskonale się prezentujący graficznie tom.

*

Kiedy w dwudziestolecie tragicznej śmierci F. Garcia Lorci odwiedziłem w sierpniu 1956 roku jego wieś rodzinną Fuentevaqueros, rozmawiałem ze stryjecznymi siostrami poety o popularności jaką się cieszy poezja Federica wśród Polaków. Mówiłem, że w nocy najciemniejszego socrealizmu i podporządkowania literatury, Lorca, którego poezja nie tylko nie była zabroniona, ale nawet mile widziana przez partyjnych stróżów czystości literatury, stał się wydarzeniem przede wszystkim artystycznym a nie — jak sobie wyobrażano — propagandowym. Jego dzieło wcale nie uczyło nienawiści klasowej a samą swoją istotą oskarżało przez kontrast szarzyznę i miernotę przez państwo hodowanej twórczości. Tłumaczyłem, że przekładano go w Polsce właśnie w przeświadczeniu, że jego sztuka jest jak najbardziej niezaangażowana. Bronił Cyganów przed policją? Owszem, ale jakim gniewem zapałałby, gdyby dożył prześladowania i regimentacji jakich doczekali się Cyganie w Demokracjach Ludowych. Przyznam, że sam nie bardzo wierzę by tak wzniosłe cele przyświecały naszym tłumaczom w ich pracy. Niemniej pragnę stwierdzić fakt, że ich trud obrodził obficie i przyczynił się chociażby do częściowego rozproszenia mroków beznadziei, które do niedawna zalegały w poezji polskiej.

Trzech poetów ogłosiło dotąd osobne zbiorki przekładów andaluzyjskiego poety: Jerzy Ficowski i Włodzimierz Słobodnik w Kraju oraz Jan Winczakiewicz na Emigracji. (Obszernie o Lorce i polskich przekładach pisałem w „Życiu" nr 5 (293) w lutym 1953 roku. Do tego artykułu oraz do drugiego, 47 (439) z listopada 1955 roku, odsyłam po szczegóły biograficzne oraz charakterystykę twórczości). Zofia Szleyen wydała przekłady trzech sztuk Lorci: *Maria Pineda, Yerma* oraz *Panna Rosita,* Józef Łobodowski opublikował partię *Krwawego wesela* a Tadeusz Jakubowicz i Alicja Leonhard *Miłość Don Perlimplina*. Kilka innych przekładów spoczywa w rękopisach.

Odnoszę wrażenie, że wszyscy trzej tłumacze poezji jeszcze za mało obcowali z niełatwą mimo zapewnień politykujących literatów liryką Lorci. Najbardziej grzeszy w tym względzie Słobodnik (8). Jego wybór wierszy jest rymowany co w praktyce oznacza, że trzeba było poświęcić precyzję oryginału dla polskiej formy. Dalsze odchylenia tekstów pochodzą z posługiwania się nie

---

(8) Garcia Lorca F. *Wybór wierszy*. Spolszczył Włodzimierz Słobodnik. Wyd. Czytelnik, Warszawa, 1950.

oryginałami ale przekładami. Niemniej Słobodnik uniknął kilku potknięć Ficowskiego i Winczakiewicza. Ficowski przełożył cały najważniejszy tom poezji Lorci, *Romance cygańskie* (9), o bliskiej sobie tematyce cygańskiej. Przekład miejscami bardzo udany czasem, nie zyskując większej dokładności, staje się szorstki i nierytmiczny. Subtelne zwykle wyczucie tekstu zawodzi niekiedy przykro:

Już moja talia złamana
jak wałek kukurydzy (40).

Winczakiewicz (10) tłumacząc wybrane wiersze zrezygnował z rymu poświęcając jednocześnie dużo uwagi rytmice. Przyjemna prostota cechuje jego przekład. Mniej też u niego usterek rzeczowych niż u Słobodnika czy Ficowskiego.

Dla zilustrowania warsztatu trzech tłumaczy przytoczę urywki dwu romanc w ich przekładzie:

Zieleń. Kocham cię, zieleni.
Wiatr zielony i gałęzie.
Statek na dalekim morzu
i koń u górskiej przełęczy.
Ona śpi na swym balkonie.
Cień ją w pasie mrokiem przybrał.
Ciało i włosy zielone,
a oczy z zimnego srebra.
Zieleń. Kocham cię, zieleni.
Księżyc-Cyganka się zniża,
Wszystkie rzeczy patrzą na nią,
lecz ona nie może widzieć (F, 18).

A oto wersja Słobodnika:

Oczy pieszczą zieleń, zieleń,
Zieleń wiatru, zieleń sadu,
Okręty na łusce morza,
Konia na przełęczach górskich.
Pośród cieniów koronkowych
Zamarła przy balustradzie —
Zieleń ciała, zieleń włosów,
Srebro w oczu jej otchłaniach.
Oczy pieszczą zieleń, zieleń,
Pod księżyca sierpem siwym
Patrzy w oczy jej Cyganka,
Ale ona jej nie widzi,
Ślepa i wszystkiemu obca (S, 23).

A teraz Winczakiewicz:

Zieleni łaknę, zieleni.
Zieleń wiatru, zieleń liści.

(9) Garcia Lorca, F. *Romance cygańskie*. Przekład Jerzego Ficowskiego. Wyd. Książka i Wiedza. Warszawa, 1949.
(10) Garcia Lorca F. *Wiersze*. Przełożył z hiszpańskiego Jan Winczakiewicz. Oficyna Poetów i Malarzy na Emigracji w Anglii, 1952.

Łódź na cichej fali morza,
nieruchomy koń na górze.
A ona, do pasa w cieniu,
marzy wsparta na poręczy,
zieleń ciała, zieleń włosów
i oczy z zimnego srebra.
Zieleni łakną, zieleni.
Pod tym cygańskim księżycem
wszystkie rzeczy na nią patrzą,
a ona ich widzieć nie może (W, 55).

Wydaje mi się, że Winczakiewicz najtrafniej uchwycił to żywiołowe pożądanie zieleni poety, który patrzył na rodzinną wieś Fuentevaqueros jak na oazę zieloną pośród spalonych wzgórz i nieużytków. Drugi wyjątek zilustruje trudności związane ze słowem księżyc, które w hiszpańskim jest rodzaju żeńskiego.

Księżyc przyszedł do kuźni
w białej mantyli z tuberoz.
Dziecko nań patrzy i patrzy.
Dziecko wpatrzyło się w niego.
W powietrzu rozdygotanym
porusza rękami księżyc.
Piersi swoje z twardej cyny
odkrył czysty i lubieżny (F, 11).

Słobodnik:

Księżyc, cały w jaśminach,
Do kuźni cygańskiej zaszedł.
Chłopiec na niego patrzy,
Jak więzień patrzy chłopaczek.
Księżyc porusza rękami
Wśród mgieł trzepotliwie rozwianych,
Odsłaniając twardziznę
Piersi swych ołowianych (S, 21).

I trzecia wersja:

Stanął księżyc koło kuźni
w swej bieliźnie z białych nardów.
Przyparuje mu się dziecko
i aż buzię otworzyło.
Na powolnym wietrze nocy
księżyc rusza ramionami
i — lubieżny a dziewiczy —
pokazuje piersi z cyny (W, 51).

Ficowski tłumaczy *sueña* — ,,śpi (18)'', *noche de Santiago* — ,,noc nad miastem Santiago (24)'' choć o noc św. Jakuba chodzi; z imienia Anunciación de los Reyes robi ,,Zwiastowanie możnych królów (35)'', *con las ramas* — ,,z żabami (51)'', ***rama* — *rana*;** *casco* — ,,czaszka (61)'' zamiast ,,kopyto''; *tibio* usta-

wicznie przekłada ,,chłodne, oziębłe". *Violador efurecido* — ,,Uwodziciel zagniewany (61)" jest blade. Ponadto ma trudności z zaimkiem *su*. Winczakiewicz wraz ze Słobodnikiem tłumaczy *lirio* — ,,lilia", *pez de sombra* — ,,ryba (55)" zamiast, w tym wypadku, ,,smoła"; *hiel* — ,,miód (57)" przez pomyłkę ze słowem *miel*. Nie dostrzega też metafory poety pisząc: ,,Od samego świtu/ pękają kielichy (9)". Chodzi tu o kielichy jutrzenki pękające od wysokich tonów łkającej gitary.

Uważam, że nadszedł czas, żeby wydać dużą, reprezentatywną antologię poezji Lorci. Spośród tłumaczy godnie się kwalifikujących do współpracy nad takim zamierzeniem gorąco polecam zarówno Ficowskiego jak i Winczakiewicza. Podobnie należałoby wydać jego twórczość dramatyczną w najlepszym tłumaczeniu. A przełożono już bodajże wszystkie sztuki, szereg z nich kilkakrotnie.

Nie widziałem przekładu *Mariany Pineda* więc tylko o *Yermie* i *Pannie Rosicie* kilka słów (11). *Yerma* czyli *Bezpłodna* to dramat kobiety, która na próżno oczekuje potomstwa. W walce między potężnym instynktem macierzyńskim a prawami moralności i czcią, ta ostatnio wychodzi zwycięska. Yerma odrzuca także namowy Niewiasty Pogańskiej namawiającej ją do porzucenia jałowego i egoistycznego męża. Egzaltowane zachowanie się żony doprowadza męża do wściekłości. Szydzi z niej i naigrawa cynicznie, oświadczając, że woli życie bez potomstwa. Yerma oszalała z rozpaczy dusi go własnymi rękami.

Panna Rosita czyli mowa kwiatów to rzecz o kobiecie czekającej przez dwadzieścia lat na powrót narzeczonego. Kiedy dowiaduje się, że wybrany ją zwodził i że już nigdy do Granady zza Oceanu nie wróci, nie jest już zdolna zacząć życie od nowa i zamyka się w kokonie melancholijnych wspomnień.

Tłumaczka doskonale się czuje w sentymentalnym domu kobiet utrzymywanym przy życiu przez trzeźwą i rubaszną gospodynię. W partiach poetyckich *Yermy* natomiast widać gorszą robotę.

Cuando, mi nino, vas a venir?
Cuando tu carne huela a jazmin.

Kiedy przyjdziesz, dziecię moje?
Kiedy dłonie me ukoję
jaśminowym ciałkiem twoim?

Z pytania i odpowiedzi oryginału mamy połączone nijakie pytanie. Proste, rzeczowe: *La casa que nos parece màs inofensiva puede acabar con él* stało się ciężkim: ,,Najniewinniejsza rzecz może być dla niego przyczyną śmiertelnego niebezpieczeństwa (50)". Zauważyłem ponadto szereg drobnych opuszczeń oraz rozmyślne osłabianie wyrażeń mocnych. W *Pannie Rosicie*

(11) Garcia Lorca F. *Wiersze i dramaty*. (Yerma, Panna Rosita). Przekład Z. Szleyen. Drzeworyty M. Hiszpańskiej. Wyd. Książka i Wiedza, Warszawa, 1951.

has visto mylnie przełożono jako „nie widziałem (97)", *Ponle cinta al suspiro* — „Twe westchnienia są jak miód (103)". Nie wiem w jaki sposób skromne *bosques de toronjas* urosły i stały się „lasami cedrowymi (102)". Ballada Rosity w I akcie przełożona została nieudolnie. Najgorzej chyba wypadł czterowiersz:

La catedral ha dejado
bronces que la brisa toma.
El Genil duerme a sus bueyes
y el Dauro a sus mariposas.

Z. Szleyen przekłada zupełnie fantastycznie:

Stoi posąg przy katedrze,
wiatr go ściska za kolana.
Rzeka Genil kocha woły,
Dauro — w ptaszkach zakochana (105).

Chodzi tutaj najwyraźniej o odgłosy dzwonów, które wiatr niesie. A *mariposas* to „motyle". Ale największą gaffą jest chyba tłumaczenie:

rompes las cuerdas de mi laud
ścinasz sznury mojej trumny (107).

Laùd — lutnia, *ataùd* — trumna! Bezkrytyczność wobec odległej metafory srogo się zemściła.

Z. Szleyen ma wybitny antytalent do pisania przedmów. Jej przekłady trzeba czytać mimo poprzedzającej je drętwej mowy i sloganów partyjnych. Niektóre wypowiedzi pod adresem frankistowskiej Hiszpanii drukowane w tragicznych czasach stalinizmu w Polsce brzmią wręcz cynicznie:

> Śmierć ta (Lorci) otwiera serię tępych, bezmyślnych, nieludzkich zamachów przeciwko kulturze hiszpańskiej. Lata dyktatury faszystowskiej — to lata nieprzerwanej walki przeciwko temu wszystkiemu, co dała światu literatura, sztuka i nauka hiszpańska. W tym okresie zdołał Franco zamordować nie tylko Garcia Lorkę i innych przedstawicieli hiszpiańskiej twórczości, ale przemienił kraj w kulturalną pustynię. We frankistowskiej Hiszpanii nie wyszła ani jedna książka, nie ukazał się ani jeden utwór muzyczny, ani jeden obraz, nie dokonało się żadne odkrycie naukowe, godne wielkiej przeszłości Hiszpanii (9-10).



Józef Łobodowski ma idealne wprost dla tłumacza poezji hiszpańskiej warunki: przebywa od wielu lat w Hiszpanii i jest świetnym poetą. Dlatego jego *Krwawe wesele* (12) drukowane częściowo w „Kulturze" spoczywa w szufladzie wielce niesprawiedliwie. Co mu można zarzucić to pewną niechęć do żmudnych nieraz i jałowych szperań i poszukiwań leksykalnych. Jest jasne,

(12) Garcia Lorca F. *Krwawe wesele*. Przekład Józefa Łobodowskiego. Fragmenty w „Kulturze" 12/1948, Paryż.

że jeżeli przebywa się ciągle wśród Hiszpanów można wstręt do filologii jakoś obejść. Ale praktyka i oko czasem zawodzą. W *Krwawym weselu* Panna Młoda ucieka w dzień ślubu ze swoim Kochankiem. Następuje pościg. W walce na noże która się wywiązuje giną obaj mężczyźni. Panna Młoda wraca do domu. Tam lży ją Matka Męża. Panna Młoda wyzywa ją na osobliwy pojedynek.

Enciende la lumbre. Vamos a meter las manos; tu, por tu hijo; yo, por mi cuerpo. La retiraràs antes tu.

Łobodowski tłumaczy tak:

Zapal światło. Spróbujemy się ze sobą, ty za swego syna, ja moje ciało. Cofniesz się wcześniej, niż ja (54).

Ja tekst rozumiem:

Rozpal ogień. Włożymy weń ręce: ty za swojego syna, ja za moje ciało. Ty ją cofniesz pierwsza.

W kilku miejscach czuć uformowaną rękę poety, która na przekładzie pozostawia swoje piętno. Widzę je w pewnym przerysowaniu oryginału. Hiszpańskie: *Que la sangre/ me ponga entre los dedos el delicado silbo* polski tłumacz wzmacnia nadmiernie mówiąc: „Niech krew/ przepływa z szumem przez me zimne palce (49)" i drugi raz *el murmullo de tus venas* — ten szum, który w nich bije (ibid)". Ostatnią scenę Łobodowski upiększył. Dla rymu dodaje przymiotniki, wykrzykniki „ach", zamiast prozaicznego ale dokładnego *entre las dos y las tres* — mamy poetyckie „kiedy wstawał świt (55)". Wyrażenie „Niech krzyż ochrania żywe i umarłe (ibid.)" trąci stylizacją. Niezgrabne jest: „Zwiedzał wrzawne jarmarki/ i kobiece ramiona (54)".
Oby czytelnik polski mógł niezadługo doczekać się nie tylko całości *Krwawego wesela* ale również *Yermy* i *Domu Bernardy Alba,* które Łobodowski ma od dawna gotowe do druku.



„Allelują erotyczną" nazwał Lorca swoją sztukę *Miłość don Perlimplina do Belisy w jego ogrodzie* (13). Nazwa tego rodzaju kompozycji wywodzi się od rozdawanych podczas kościelnych uroczystości obrazków z objaśnieniami rymowanymi. Rzecz ta, składająca się z prologu i czterech obrazów, ukazuje desperacki czyn starszego mężczyzny, który poślubił młódkę. Rozkochawszy ją w pozorowanym przez siebie młodzieńcu w czerwonym płaszczu, umawia się z nią na spotkanie. Belisa skwapliwie wybiega do tajemniczego kochanka, ale ten słania się ciężko ranny i umiera w jej ramionach. Był to Perlimpllin. Życiem przypłacił wzbudzenie w żonie uczucia, które ją będzie odtąd trawiło.

13) Garcia Lorca F. *Miłość don Perlimplina do Belisy w jego ogrodzie.* Przekładali Tadeusz Jakubowicz i Alicja Leonhard. „Dialog", 3, 1957.

Przekład jest poprawny i ma błahe tylko usterki. Do nich zaliczę niezgrabne i niejasne spolszczenie wypowiedzi don Perlimplina, kiedy tłumaczy dlaczego nie chce się żenić: *Yo con mis libros tengo bastante* — ,,Dość już mam ze swymi książkami (76)''. Sugeruję: ,,Moje książki w zupełności mi wystarczają''. *Lo sentiria* — to nie tyle ,,cierpiałbym (77)'' ile ,,byłoby mi przykro'' a *y usted sin enterarse* nie znaczy ,,A pan się tym nie interesuje (82)'' raczej ,,A pan nic o tym nie wie''. Omyłką jest oddanie wiersza:

Gallo, que se va la noche!
Que no se vaya, no!

jako

Mężu, co odchodzisz nocą!
Nie odchodź, nie (77)!

Gallo — to kogut, domyślne tłumaczenie chyba jednak poszło za daleko. No i *se va* odnosi się do nocy!



Na tym bynajmniej nie wyczerpałem listy nowych przekładów z hiszpańskiego. Na szczęście jest ich wiele więcej choć najważniejsze — mam nadzieję — odnotowałem. Niektórych pozycji nie mogłem zdobyć nawet u wydawców, inne jakimś cudem nie dotarły do mojej świadomości do czasu napisania artykułu (np. przekład *Oràculo manual* Stanisława Łosia, K.U.L., 1949). Do tego dodać należy szereg utworów najnowszych — o których tekst hiszpański nawet w Londynie nie jest łatwo (R. Alberti *Noc w Prado*) — książek mniej znanych czy wręcz curiosów jak tłumaczona dla Ministerstwa Obrony Narodowej broszurka pod znamiennym tytułem: *Zbrodnicza działalność bandy Tito w Jugosławii podczas wojny*. Ponadto należałoby zrobić przegląd ważniejszych przekładów rozproszonych po pismach. Żmudna i niewdzięczna na pozór praca taka wydobyłaby z pewnością wiele cennych utworów, które spoczywają w zakurzonych stertach periodyków.

Pragnę przy tej okazji podziękować tym wszystkim, którzy w odpowiedzi na mój apel zechcieli przesłać mi swoje uwagi odnośnie losów literatury hiszpańskiej w Polsce. Ich cenne informacje włączę do danych które posiadam.

Chciałbym na koniec sprostować nieścisłość, która zakradła się do mojego pierwszego szkicu. Napisałem tam (str. 197), że *Don Kichote* musiał bez mała trzysta lat czekać na pierwszy polski przekład. Przez przeoczenie opuściłem dwa ważne słowa: ,,z oryginału'', bez których zdanie nie ma sensu, gdyż wiadomo powszechnie, że pierwszy polski przekład tego dzieła z języka franucskiego dokonany, ukazał się już w 1781 roku.

Florian SMIEJA

Kronika żydowska

„Kultura żydowska nie powinna zginąć", takie było hasło niedawnej dyskusji między pozostałymi przy życiu pisarzami żydowskimi w Sowietach, a pisarzami żydowskimi z innych krajów. O dyskusji tej, pokrytej — choć miała miejsce w Moskwie — całkowitym milczeniem przez radio Moskwa i przez prasę sowiecką, świat zewnętrzny dowiedział się dopiero dzięki kompletnemu sprawozdaniu, ogłoszonemu w organie związku pisarzy żydowskich w Polsce *Folksztyme*, a przedrukowanemu częściowo przez londyńskie *News and Features*, pismo Jewish World Congress.

Przemówienie programowe wygłosił profesor Nachum Ojslander, informując zebranych o treści memorandum zredagowanego przez siebie, na prośbę związku pisarzy sowieckich w sprawie obecnej sytuacji literatury żydowskiej w Sowietach. Już ten sam fakt dowodzi, jak wielką wagę przywiązuje związek pisarzy sowieckich, pod kierownictwem Surkowa i Polewoja, do prac literatów żydowskich, podkreślił Ojslander.

W memorandum swym prof. Ojslander wyraża zdanie, że „sytuacja obecna literatury żydowskiej jest anormalna. Od roku 1949 nie ukazała się ani jedna książka ani gazeta po żydowsku (*jidysz*). Zdawałoby się, że literatura żydowska powinnaby zginąć. W rzeczywistości stało się wręcz odwrotnie. Sowiecka literatura żydowska poczyniła w ciągu ostatnich ośmiu lat olbrzymie postępy. Nie jest paradoksem twierdzić, że literatura w rękopisach, nie drukowana, nie przestała się rozwijać..."; powody tego rozwoju znajdują się według Ojslandera w fakcie, że „spełniło się nareszcie marzenie przeniesienia do literatury rosyjskiej dzieł napisanych po żydowsku. Mimo to, dodał, że podkreślił w memorandum konieczność wydawania książek pisarzy żydowskich w języku żydowskim, bez czego „literatura po żydowsku nie mogłaby istnieć".

Sprawozdanie prof. Ojslandera wywołało burzę wśród obecnych, krytykowali je nie tylko „postępowi dziennikarze z Polski" (jak ich nazywa *Folksztyme*), ale nawet żydowscy pisarze sowieccy, którzy nie zgłaszając oczywiście obiekcji przeciw ogłaszaniu utworów pisarzy żydowskich po rosyjsku, podkreślali, że utwory te powinny być przede wszystkim ogłaszane „w języku, w którym zostały napisane", to jest po żydowsku.

Szczególnie odważne było wystąpienie pisarki Racheli Bojmwol, która oświadczyła, że nikt nie wyobraża sobie, aby można było rozwiązać problem odrodzenia literatury żydowskiej w Sowietach za pomocą tezy „rosyjskiego morza" (aluzja do znanego wiersza Puszkina o Polsce i o słowiańskich rzekach, które „spłyną w ruskie morze"). „Aby rzeka mogła wpaść do morza, musi ona najpierw płynąć swym własnym korytem", oświadczyła Rachela Bojmwol. Nasza miłość do literatury rosyjskiej nie zmniejsza znaczenia wydawnictw dla naszego własnego narodu. Mimo wszystkich trudności nasza literatura rozwija się. Nasze utwory stały się silniejsze i bardziej wymowne. Staliśmy się mądrzejsi, płodniejsi i ciekawsi".

Warto podkreślić również, że ta sama pisarka „odrzuciła — jak pisze *Folksztyme* — błędną tezę", według której Żydzi moskiewscy nie interesują się literaturą i kulturą żydowską. Jak wiadomo, podczas festiwalu moskiewskiego, Żydzi moskiewscy interesowali się tak gorąco delegacją Izraela, że władze sowieckie uznały za konieczne szykanować tę delegację na wszelkie możliwe sposoby. Mimo iż zapowiedziane występy teatralne delegacji były zawsze w ostatniej chwili przesuwane na inny termin lub w inne miejsce, Żydzi moskiewscy dowiadywali się o nich nie wiadomo jak i stawiali się tłumnie na przedstawienia.

Związek pisarzy sowieckich przygotował jakoby, pod przewodnictwem Surkowa i Polewoja, memorandum w sprawie kultury żydowskiej dla centralnego komitetu Partii. Jak dotychczas, mimo oficjalnych obietnic władz sowieckich, ani książki ani gazety nie ukazują się po żydowsku, a o teatrze żydowskim oczywiście nie ma mowy.

W każdym razie, aluzja pisarki żydowskiej przypomina słowa Chruszczowa, który w odpowiedzi na zapytania delegacji socjalistów francuskich oświadczył, że Żydzi rosyjscy pragną tylko jednego — aby jak najprędzej przyjąć język rosyjski i stać się Rosjanami.

And.

Nadesłane nowości wydawnicze

WYDAWNICTWA EMIGRACYJNE I ZACHODNIE

KOT (Stanislas). *Socinianism in Poland.* The social and political ideas of the Polish Antitrinitarians. Translated from Polish by Earl Morse Wilbur. Str. 226. (Wyd. Starr King Press, Beacon Hill, Boston, Mass., USA, Grudzień, 1957, cena dol. 5,—).

SPEEDBY-SZPIDBAUM (Henryk dr.). *XX wiek i twoje serce.* Książka dla pacjentów i ich otoczenia. Str. 176. (Wyd. Oficyna Poetów i Malarzy, Londyn, 1958).

PACZOSKA (Irena). *Jesień Polska.* Bajki wierszowane dla dzieci. Ilustrował S. Bahrynowski. Str. 49. (Wyd. nakładem autorki, Londyn, 1957, cena 12/6.).

Instytut Historyczny imienia Generała Sikorskiego 1945-1957. Str. 55. (Wyd. Ins. Hist. im. Gen. Sikorskiego, Londyn, 1957).

GRONOWICZ (Antoni). *Ordeal by Fire.* Str. 221-230. (Odbitka z nr. 3 tomu XVIII (r. 1957) „The Phylon Quarterly" a review of Race and Culture, Atlanta University, USA).

Listy do Redakcji

Szanowny Panie Redaktorze,

Artykuł Gustawa Herling-Grudzińskiego ,,W oczach Conrada", w październikowym numerze ,,Kultury" jest napisany tak doskonale, analiza ,,W oczach Zachodu" jest w nim tak pomysłowa i wielostronna, że z początku nie sposób niemal zorientować się, czego tam niedostaje. Przez cały czas czytania czuje się jednak, że autor jest w jakiś subtelny sposób w stosunku do tej powieści Conrada niesprawiedliwy.

Rzecz wyjaśniła mi się z chwilą, gdy natrafiłem na zdanie: ,,Najłatwiej stosunkowo rozprawić się z drugim Conradem..." Dlaczego rozprawić się? Conrad to przecież ulubiony pisarz Grudzińskiego. Nie ,,rozprawiamy się" z ulubionym pisarzem. Rzecz w tym, że Grudziński zdaje się Conrada z tej ,,rosyjskiej" powieści nie lubić.

Nie jest to na pewno powieść bezbłędna. Ale, podobnie jak ,,Lord Jim", jest to jedna z wielkich powieści Conrada, mimo wad artystycznych. Natomiast wnikliwy artykuł Grudzińskiego wydaje się rejestrem samych niemal potknięć. Czy istotnie potknięć?

Grudziński, jak to sam określa, rozprawia się w swoim studium z ,,pięcioma Conradami", jacy występują w tej powieści: z Conradem Polakiem, z angielskim liberałem, z konserwatystą, pesymistą i moralistą. O Conradzie — Polaku pisze: ,,Co uderza od razu w pierwszym Conradzie, to że jego obraz Rosji jest aż banalny w swojej tradycyjności". Wszystkie niemal rysy tego obrazu czerpane są z polskiej tradycji, albo — z Dostojewskiego.

Mnie uderza co innego: trafność obrazu. Conrad znał osobiście Rosję tylko z czasów wczesnego dzieciństwa, czyli nie znał jej prawie wcale. Że nie stworzył Rosji filmowej, urojonej i nie popełnił gaff, o jakie było tak łatwo, gdy się nie patrzyło osobiście na rzeczywistość — to przede wszystkim powinno zadziwić i świadczy o wspaniałej intuicji twórczej, tej samej intuicji, która potrafiła z kilkudniowej wizyty na brzegu wenezuelskim wysnuć wizję całej republiki południowo-amerykańskiej w ,,Nostromie".

Tradycyjność wątków? Cóż to szkodzi? Dzieło sztuki nie musi przynosić rewelacji — byle umiało przekonać swą wewnętrzną prawdą. To Conrad niewątpliwie osiągnął, choć obraz jego istotnie składa się w dużej mierze z rysów dostarczonych przez polską tradycję i literaturę; nie zapominajmy zresztą, że rysów tradycyjnych dla nas, lecz nie dla świata, któremu pisarz obraz swój pokazywał, ani przeoczmy świetną obróbkę tradycji. Zaś

jeśli chodzi o próbę prawdy obrazu, to trudno o lepszą jak ta, o której pisarz wspomina w przedmowie, że powieść jego spotkała się „z powszechnym uznaniem w Rosji, gdzie wydano ją w licznych nakładach".

Poza tym w obrazie artystycznym nie pochodzenie elementów jest ważne, lecz wybór ich i ustawienie. Nikt chyba nie zaprzeczy, że Conrad umiał wybrać i odpowiednio rozłożyć akcenty. Dodam, że położenie głównego nacisku na bezdomność i aspołeczność Razumowa, jako podłoże jego schronienia się pod skrzydła autokracji uważam mimo wszystko za własne odkrycie Conrada — sprawdzone w dziesiątki lat później przez bolszewicki eksperyment.

A pożyczki z Dostojewskiego? Z tym jest jeszcze inaczej, niż z pożyczką polską. To co Grudziński nazywa „małą antologią Dostojewskiego dla ubogich" jest w istocie kontrastowym rozwinięciem tematu „Zbrodni i kary": Dostojewski bez magii i koturnów, Dostojewski odbrązowiony. Można godzić się lub nie godzić z takim pomniejszeniem rosyjskiego tytana, nie przylega do tego jednak określenie ani „antologii" ani „banału".

Drugi Conrad, przeciw któremu Grudziński wytacza swe działa, to „angielski liberał": „Conrad najmniej przekonywający, przesadnie wyniosły i świadomy luksusu własnej przynależności narodowej z wyboru, rzec by można (bez zjadliwego odcienia tego słowa) — prawie nuworisz spoglądający z wysoka na nędzarzy".

Grudziński zdaje się zupełnie nie brać pod uwagę, że narratorem powieści jest tym razem nie Marlow — istotnie prawie sobowtór i *porte-parole* autora, lecz stary nauczyciel angielskiego języka; część przynajmniej angielskiej insularności jego sądów należy przypisać własnej osobowości narratora, którego Conrad, jako świadomy artysta, musiał obdarzyć rysami charakterystycznymi i odróżnić od siebie, choćby dla prawdopodobieństwa opowieści. Nie trudno zresztą odnaleźć w „W oczach Zachodu" całe ustępy poświęcone charakterystyce tej swoistej umysłowości narratora. Wydaje mi się nawet, że cytowane przez Grudzińskiego wyjątki powieści (o chłoście) należą do nich, a gdy Natalia Haldin mówi do swego nauczyciela „Należy pan do narodu, który zawarł układ z losem i nie chciałby mu się narażać", nie ulega dla mnie wątpliwości, że autor staje po jej stronie, a nie swego angielskiego opowiadacza.

Po wtóre i jeszcze ważniejsze — stosunek Conrada do rosyjskiej rzeczywistości nie jest wcale stosunkiem zakutego, zadowolonego ze swej nowej przynależności „nuworisza" zachodnio-europejskiego. Conrad ze swego Zachodu bynajmniej nie jest zadowolony i demaskuje go w gniewnych, ironicznych błyskach, chwilami niemal na równi ze znienawidzonym Wschodem (obraz Genewy). Conrad widzi za i przeciw obu stron, daleki od insularnego zacieśnienia. A że wybrał Zachód i na jego stanowisku mocno i pewnie stanął, to nie wydaje mi się jeszcze ani „pychą" ani „wzniesieniem się w niebotyczne rejony wyższości", według określenia Grudzińskiego.

Wreszcie Conrad — konserwatysta. „Byłoby jaskrawym *understatement* — pisze Grudziński — powiedzieć że Conrad odmalował swoich rewolucjonistów w kolorach niechętnej ironii... w gruncie rzeczy używał jako farb do swego obrazu przeważnie żółci i jadu, i dodaje „niesposób opanować uczucia żalu do Conrada za jego niesprawiedliwość". Conrad nienawidzący a może przede wszystkim lękający się rewolucji i anarchii (ponieważ zostawiają świat jeszcze gorszy, niż go zastały) — ten Conrad najbardziej Grudzińskiego drażni, jemu to zarzuca najgrubszą niesprawiedliwość sądów i brak serca.

Niesprawiedliwość sądów i brak serca? W moim mniemaniu Conrad w pełni dokonał tego, co sobie nakazał w przedmowie do powieści: wzniósł się „ponad namiętności, przesądy i nawet osobiste wspomnienia" choć, jak sam przyznaje „nigdy jeszcze nie przyszło mu to z większym trudem".

Szale sprawiedliwych i łotrów rewolucji bodajże równoważą się w powieści. Jedynie dla autokracji rosyjskiej Conrad nie ma dobrego słowa. Ciemiężycieli nienawidzi i potępia w czambuł — nie ciemiężonych.

Wydaje mi się, że Conrad nie tylko zdobył się na sprawiedliwość: zrobił więcej. Nachylił się serdecznie nad tragedią rewolucjonistów rosyjskich — od których mógł się bezapelacyjnie odwrócić, choć by dlatego, że byli Rosjanami, co dla niego znaczyło: śmiertelni wrogowie. Jeżeli postaci Wiktora Haldina, jego siostry i matki, Tekli, Zofii Antonówny, jej byłego narzeczonego Jakowlicza, starszego pana, który chciał ratować Razumowa na zebraniu rewolucjonistów, a nawet studenta z czerwonym nosem i głupiego Kostii, nie świadczą o ludzkim i współczującym podejściu Conrada do rewolucyjnej grupy i jej sympatyków — to widocznie stosujemy z Grudzińskim zupełnie odmienne miary.

Grudzińskiego miara sympatii Conrada nie zadowala. Stwierdźmy jednak, że „W Oczach Zachodu" pisał nie Camus, którego ojczyzna oddalona jest od Rosji o pół Europy, lecz Conrad, którego Rosja pozbawiła zarówno ojczyzny jak rodziców — i zapytajmy z tego punktu widzenia, czy można więcej od człowieka wymagać?

A że Conrad istotnie żółcią i jadem malował „małpy z rewolucyjnej dżungli" — czyż takich nie było? I cóż innego czynił Dostojewski? Sam Grudziński słusznie wskazuje na „Biesy". Przecież „Biesy" były dla Conrada, obok „Zbrodni i kary", na pewno jednym z głównych dokumentów, z którego czerpał, gdy starał się uchwycić „istotę spraw rosyjskich".

Grudziński żałuje, że Conrad zamknął się tylko w sprawach rosyjskich. „Jest jedynie jego winą, że nadając rewolucji interpretację tworu wyłącznie rosyjskiego... osiągnął zaledwie połowiczny skutek w przekazaniu nam sugestywności i przenikliwości swoich poglądów na rewolucję". Tego, co Grudziński doradza — ukazanie rewolucji w aspekcie bardziej uniwersalnym — dokonał Conrad w innej swojej powieści, w „Tajnym agencie", nie wydaje mi się zresztą, by w korzystniejszych dla rewolucji barwach. W swej rosyjskiej powieści postawił sobie natomiast jako wyraźny cel ukazanie „moralnych i uczuciowych reakcji rosyjskiego temperamentu na ucisk tyrańskiego bezprawia" i cel ten przeprowadził. Co więcej, jak sam Grudziński zaznacza, głębszy sens powieści wychodzi daleko poza ten ograniczony cel, niestety „to, co jest w tej powieści głębokie i nieprzemijające rozgrywa się w oczach Conrada i na ogół niepostrzeżenie dla oczu Zachodu". Czyż jednak dyskrecja utrzymana nad głębiami nie stanowi jednej z najbardziej urzekających cech utworów Conrada?

Ostateczny wniosek zdaje się być niemal odwrotny od tego, jaki wyciągnął Grudziński (jeżeli go dobrze zrozumiałem): Conrad właśnie wtedy, gdy przybliża się najbardziej do rosyjskiego wątku powieści, gdy nachyla się nad nim z całą pasją swej niechęci czy współczucia — właśnie wtedy stwarza najmocniej sugestywne i przekonywające wizje rzeczywistości, czy też jej zaiste genialne imitacje. Jest to bowiem już tajemnica geniuszu artystycznego i największy chyba jego triumf: przekonywać lepiej intuicyjną wizją niż obrazami znanymi z osobistego doświadczenia.

Zechce Pan przyjąć, Szanowny Panie Redaktorze, wyrazy prawdziwego szacunku.

Chepstow, listopad 1957.

Wit TARNAWSKI

Chicago, w grudniu 1957

Wielmożny Panie Redaktorze,

Proszę b. uprzejmie nie odmówić pomieszczenia paru słów zapytania do autorów listów w N-rze 11/121 „Kultury": pani Krystyny Marek i pana Sukiennickiego.

Szanowni Państwo!

Rozumiem dobrze Wasze oburzenie na odważny i trzeźwy głos pana Londyńczyka w sprawie tzw. „Wschodnich Ziem". Czy nie uważają jednak oboje Państwo, że w ich pismach brakuje, choćby tylko z kurtuazji, wzmianki, że te ziemie nie są jakąś dziką pustynią, ale od wieków, i to bardzo dawnych, zamieszkałymi ziemiami przez ludność ruską, która z politycznych względów przybrała teraz nazwę „Ukraińców". A którą Państwo traktują „per non sunt".

Używając teraźniejszego określenia zostały te kraje „anektowane" za króla Kazimierza, która to aneksja nigdy przez ukraiński naród nie została uznana i uznana nigdy nie będzie.

Czy z tym nie należałoby się „choć trochę" liczyć?

Z wysokim poważaniem

Dr Stefan DMOCHOWSKI (Ukrainiec)



Chartum, 29.11.1957

Szanowny Panie Redaktorze,

W numerze 11/121 „Kultury" ukazał się arcyciekawy artykuł dra Henryka Speedby-Szpidbauma pt. „XX wiek i Twoje Serce"; arcy-ciekawy i arcy-niedokładny. Jest pełen nieprawdziwych uogólnień jak np. stwierdzenie na stronie 23, że w roku 1957 tylko osiem osób umrze z tysiąca osób żyjących. Cyfra ta odnosi się do najbardziej rozwiniętych krai i nie można jej rozciągać na cały świat. W kraju, z którego piszę jest ona bliższa osiemdziesięciu, niż ośmiu. O olbrzymich połaciach kuli ziemskiej bez danych możemy tylko zgadywać.

Wartość źródłowa artykułu została obniżona przez to, że czasami są podane tylko nazwiska, czasami nazwiska i imiona, czasami nazwisko, imię i rok, czasami tylko ogólnikowe stwierdzenia. — Najbardziej mnie obruszyła opinia na stronie 35, że Miloci (powinno być Niloci) południowego Sudanu, składają się z Dinków, Szilluków (lepiej: Szilukow) i Anuaków. To jakby ktoś powiedział, że Polacy składają się z Wielkopolan, Kaszubów i Cieszyniaków. Źródło z 1938 (w 1957 roku!) winne. Niloci tutejsi składają się z dużej ilości szczepów; do największych należą: Dinka, Nuer i Sziluk. Oprócz tego są szczepy hamickie, nilo-hamickie i sudanickie.

Nie tyle dla przeciwwagi co z wdzięczności chciałbym na zakończenie podziękować autorowi za pobudzający artykuł. Nasunął mi cały szereg nowych koncepcji, których użyję w drukującej się obecnie serii sprawozdań z Pierwszego Spisu Ludności Sudanu 1955/56, za który miałem zaszczyt być odpowiedzialnym.

Z poważaniem

K. J. KRÓTKI

Berkeley, California, 28 listopada 1957

Szanowny Panie Redaktorze,

Od szeregu lat — i z uporem godnym zapewne ważniejszej sprawy — walczę publicznie z wyrazem „nagOnka” — zamiast poprawnego „na-gAnka”. To też pragnę zaznaczyć, że w liście moim do Redakcji („Kul-tura” nr 11/121) napisałem „nagAnka” i że przeto „nagOnka” trafiła do listu (i to dwukrotnie!) wskutek błędu drukarskiego czy korektorskiego. Nie chcąc rozwodzić się nad moją osobistą predylekcją do „nagAanki” pozwolę sobie powołać się na trzy autorytety.

Słownik Warszawski podaje „nagOnkę” jako odmianę *gwarową* po-prawnej „nagAnki”.

Stanisław Szober w „Słowniku poprawnej polszczyzny” (wydanie 1948) uważa „nagOnkę” za *prowincjonalizm* obok poprawnej „nagAnki”.

Wreszcie Stanisław Hoppe w swym „Polskim języku łowieckim” (Warszawa 1951) rejestruje „nagAnkę” jako wyraz powszechnie używany przez myśliwych, „nagOnkę” zaś — jako *gwarowy*.

Powołałem się na „autorytety” przykładowo. Nie jestem purystą. Niech każdy pisze, jak mu się podoba i niech sobie używa „nagOnki” we wszy-stkich przypadkach. Ja jednak pozostaję wierny „nagAance” i przykro mi, gdy moja umiłowana „nagAnka” zmienia się w druku w nienawistną mi „nagOnkę”.

Wyrazy szacunku łączę.

Michał K. PAWLIKOWSKI



Warszawa, 20 listopada 1957

Szanowny Panie Redaktorze,

W nr 7-8 „Kultury” (1957 r.) w pamiętniku gen. F. Sławoj-Skład-kowskiego („Wspomnienia z okresu majowego”) na str. 153 i str. 159 czy-tamy: „...zatelefonowałem do prezydenta miasta Słomińskiego, prosząc go o zmobilizowanie całego taboru miejskiego celem szybkiego uporządkowania ulic. Koniecznie jeszcze w dniu dzisiejszym” (str. 153) i „Nim zdobyłem się na odpowiedź, wszedł prezydent miasta Warszawy, inżynier Słomiński” (str. 159). Autora „Wspomnień” w tym miejscu zawiodła pamięć. W 1926 roku prezydentem m. st. Warszawy był inż. Władysław Jabłoński. Inż. Zygmunt Słomiński w tym czasie był dyrektorem (wg. ówczesnej no-menklatury „naczelnikiem”) Wydziału Technicznego, prezydentem m. st. Warszawy został po wyborach do nowej Rady Miejskiej w 1927 roku.

Łączę wyrazy poważania

A. S.

(b. członek Zarządu Miejskiego
w m. st. Warszawie w ll. 1923-1934)

NOTA DO ARTYKUŁU O B. PASTERNAKU

Istnieje podobno wśród tych literatów w Warszawie, którzy bądź słyszeli o „Doktorze Żiwago", bądź mieli okazję zapoznać się z nim w manuskrypcie rosyjskim, tendencja do bagatelizowania powieści Pasternaka w imię rzekomego bagatelizowania jej przez samego autora. W ogłoszonej niedawno rozmowie z redaktorką pewnego czasopisma urugwajskiego Pasternak, po wysłuchaniu zachwytów swej interlokutorki na temat jego wierszy, powiedział :

„To są błahostki. Mam uczucie, że zupełnie nowa epoka zadań i potrzeb serca i godności ludzkiej — epoka milcząca, która nigdy nie zostanie proklamowana na głos — rodzi się i rośnie z dnia na dzień bez udziału naszej świadomości. Rozbite i ułamkowe wiersze nie są najwłaściwszym środkiem rozmyślań nad rzeczami tak ogromnym., tak ciemnymi i nowymi. Tylko proza i filozofia mogą próbować do nich dostępu. Dlatego najważniejszą rzeczą, jaką udało mi się dotychczas napisać w życiu, jest moja powieść „Doktór Żiwago". Przejmują mnie wstydem naprawdę smutne okoliczności, które sprawiły że zawdzięczam taki rozgłos moim pierwszym utworom, podczas gdy nieznane są moje ostatnie rzeczy (przede wszystkim powieść), rzeczy o zupełnie innym ciężarze gatunkowym".

G. HERLING-GRUDZIŃSKI

Indeks autorów i tematów rocznika «Kultury» za rok 1957

Spis autorów

Artykuły polityczne, społeczne i gospodarcze

Artykuły i essaye z dziedziny literatury, sztuki i inne

Powieść, nowele, fragmenty powieściowe, wspomnienia

Utwory poetyckie

Najnowsza historia Polski

Sprawy krajowe

Recenzje, sprawozdania, nowości wydawnicze

Kronika kulturalna

Sprawy i troski

BRZEZIŃSKI Tadeusz: *Sylwester Gruszka* (1/111-2/113)
CUNNINGHAM Zofia: *Nec Hercules...* (1/111-2/112).
GIERATOWA Ewa: *Nowizna* (4/114).
HEYDENKORN Benedykt: *Polonica na uniwersytetach kanadyskich* (3/113).
JAWORSKI Adam: *Wynaradawianie się Polaków w Kanadzie* (6/116).
JĘDRUCH Jacek: *O inżynierii jądrowej* (10/120).
NOWAKOWSKI Tadeusz: *„Merkwürdig"* (7/117-8/118).
TUREK Wiktor: *Jeszcze o Polonii kanadyjskiej* (12/122).

Tłumaczenia

Z języka angielskiego

GOODMAN Mac: *Ogień i Pieśń. Otwierały się drzwi na oścież* (4/114), przeł. Czesław Miłosz.

Z języka arabskiego

Poezja arabsko-andaluzyjska (12/122), przeł. Florian Śmieja.

Z języka francuskiego

MEYNAUD Jean: *Paryskie spotkania* (1/111-2/112), przeł. Zofia Hertz.
WEIL Simone: *Medytacje o posłuszeństwie i wolności* (1/111-2/112), przeł. Czesław Miłosz.

Z języka litewskiego

GRUODIS Eugenijus: *Wiersze* (4/114), przeł. Juozas Kekstas.

Bibliografie

Indeks autorów i tematów rocznika „Kultury" za rok 1956 1/111-2/112).

Listy do Redakcji

Dokumenty

Różne

Noty biograficzne autorów

Wydawnictwa książkowe

Biblioteka „Kultury"

BIBLIOTEKA " KULTURY "

Tom XI Marian PANKOWSKI
SMAGŁA SWOBODA
Cena 350 frs (7 sh., $ 1.00)

Tom XII Teodor PARNICKI
KONIEC „ZGODY NARODÓW"
Cena 1.500 (30 sh., $ 4.50)

Tom XIII Stefan KORBOŃSKI
W IMIENIU KREMLA
(Cena 1.000 frs. (20 sh., $ 3,00)

Tom XIV Raymond ARON
KONIEC WIEKU IDEOLOGII
(Cena 750 frs. (15 sh., $ 2,25)

Tom XV Graham GREENE
MOC I CHWAŁA
(Cena 650 frs. (13 sh., 2 dol.)

Tom XVI Leo LIPSKI
DZIEŃ I NOC
Cena : 350 fr. (7 sh., 1,00 dol.)

Tom XVII Andrzej CHCIUK
SMUTNY UŚMIECH
Cena 350 fr. (7 sh., 1.00 dol.)

Tom XVIII Jeanne HERSCH
POLITYKA I RZECZYWISTOŚĆ
Cena 700 fr. (14 sh., 2.00 dol.)

Tom XIX Czesław MIŁOSZ
TRAKTAT POETYCKI
(wyczerpane) Cena 350 fr. (7 sh., 1.00 dol.)

Tom XX Józef MACKIEWICZ
KONTRA
Cena 700 fr. (14 sh., 2.00 dol.)

Tom XXI Witold GOMBROWICZ
DZIENNIK (1953-1956)
Cena 850 fr. (17 sh., 2.50 dol.)

Londyński korespondent ,,Kultury'' : Juliusz MIEROSZEWSKI.
11 Gainsborough Road, London, W.4. — Telefon: CHIswick 1860.

Cena ogłoszeń : *cała strona* 20.000 frs., 1/2 *strony* 10.000 frs.
(*w tekście* + 50%; *okładka* + 100%).

Wydawca : Edition et Librairie ,,LIBELLA'',
12, rue St-Louis-en-l'Ile, Paris (4e)

Directeur-gérant : Mme Christiane Karasiewicz.
Dépôt légal : Ier *Trimestre* 1958.

KULTURA

REDAKTOR : **JERZY GIEDROYC**
Adres Redakcji :
91, Av. de Poissy, Maisons-Laffitte (S.-et-O.).
Telefon : Maisons-Laffitte (S.-et-O.) 19-04

PRZEDSTAWICIELSTWA	Egz. poj.	Prenumerata	
		1/2-roczna	Roczna
AFRYKA POLUDNIOWA : Janusz Kruszynski, 54, 15 th St., Parkhurst, Johannesburg	3 sh. 9 d.	21 sh.	42 sh.
ARGENTYNA : Tadeusz Dabrowski, «Libreria Polaca», Serrano 2076, Buenos Aires	22,50 peso	135 peso	270 peso
AUSTRALIA : «Vistula» (Australia) PTY Ltd., Daking House, Rawson Place, Sydney	5 sh. (a)	£.A.1.7.6.	£.A.2.12.6
BELGIA I KONGO BELG. : Janina Korab Brzozowska-Csaky, 19, Square Sainctelette, app. 2, Bruxelles, Nr konta pocztowego 7315-20	30 frb.	145 frb.	260 frb.
BRAZYLIA : Prenumeraty przyjmuja : **Julia Barcinska,** r. Itaipava 101 (J. Botanico), Rio de Janeiro; **Zofia Kietlinska,** Av. Batel 1514, Curitiba Parana; **Hanna Lekszycka,** r. Guiara 139, vila Pompeia, Sao Paulo	40 cruz.	200 cruz.	380 cruz.
BRYT. AFRYKA WSCHOD. (Kenya, Tanganyka, Uganda), Roman Krolikowski, POBOX 5979, Nairobi, Kenya	3 sh. 9 d.	21 sh.	42 sh.
FRANCJA : «Libella», 12, rue St-Louis-en-l'Ile, Paris-4	220 fr.	1.100 fr.	2.200 fr.
HOLANDIA : T. Szpilczynski, Stadhouderskade 60 A, Amsterdam-Z, Tel.: 716080. Nr konta pocz. 13500 — t.b.v.S. 6538	2 fl. hol.	12 fl. hol.	24 fl. hol.
KANADA : M. Jaxa-Debicka, 220 Howard Park Ave, Toronto 3, Ont. lub c/o Polish Voice, 1089 Queen St. W, Toronto Ont.; **K. Krakowska,** 3445 Marlowe Ave., N.D. de G., Montreal/Que., Tel.: HU 8-5224; **H.R. Radomski,** 107, Rose Park Drive, Toronto/Ont. Tel.: HY-0829; **Vatra Trade,** 277 Selkirk Ave., Winnipeg 4, Man.; **«Zwiazkowiec»,** 1475 Queen St. W., Toronto 3, Ont., Tel.: LE 1-2491.	75 cent.	4 dol.	6 dol.
MEKSYK : Victor Stanislawski, A. Libertad 1350, dep. 1, Guadalajara, Jal.	75 cent.	4 dol.	6 dol.
NIEMCY : « Ostatnie Wiadomosci », Mannheim-Schoenau, Lilienthalstr. 301; **St. Mikiciuk,** (13b) München 45, Gablonzerstr. 7/1	2,50 DM	13,50 DM	25 DM
NORWEGIA : Br. Lubinski, Moss. Kongesgt. 2	3 sh 9 d.	21 sh.	42 sh.
SZWAJCARIA : Maria Wasung, 6, rue des Lilas, Genève. Tél. : 33 34 20, Nr konta poczt. 1.14431	2,50 fr. s.	13,50 fr. s.	25,00 fr. s.
SZWECJA : Red. Norbert Zaba, Kallskärsgatan 3/IV Stockholm		18 kor.	33 kor.
U.S.A. : W. Bienkowski, «Gryf Publ.», 296 Sheridan Av., Albany, N.Y.; **S. Dobczynski, Alma Shipping C°,** 121 St. Marks Pl., New York 9, N.Y.; **L. Dudarew Ossetynski,** 28471 Ventura Blvd, Agoura, California; **S. Dziarczykowski,** 4009 W., 23rd St., Los Angeles 18, California; **M.K. Dziewanowski,** 51 Reservoir St., Cambridge 38, Mass.; **T. Konopacki,** 1471 Lakeland Ave., Cleveland 7, Ohio. Tel. LA-1.2305; **Ch. M. Kretowicz,** 2109 Robinwood Ave, Toledo 2, Ohio; **V.B. Kwast,** 376 Wallingford Terrace, Union, N.J.; **A. Pleszczynski,** 2025 Monterey St. Santa Barbara, Calif.; **Polish Amer. Book C°** 1136 Milwaukee Ave, Chicago 22, Ill.; **The Polish Book Importing C°, Inc.,** 38 Union Sq., New York 3, N.Y.; **K. Trojanowski,** 17932 Van Dyke, Detroit 34 Mich.	75 cent.	4 dol.	6 dol.
W. BRYTANIA : «Gryf» Publication Ltd., 169-171, Battersea Church Road, London, S.W.11	3 sh 9 d.	21 sh.	42 sh.
WLOCHY : Aleksander J. Mikucki, Viale Parioli 124, int 12, Roma. Tél. : 87-10-27	300 lir	1.750 lir	3.000 lir

W krajach niewymienionych prenumerata jak we Francji, plus koszty porto 180 frs półrocznie i 360 frs rocznie. Przesyłka pojedyńczego numeru: 30 frs.

Należności we Francji wpłacać można przekazem pocztowym na adres :
Jerzy GIEDROYC, 91, Avenue de Poissy, Maisons-Laffitte (S.-et-O.)

Zapowiedzi wydawnicze

BIBLIOTEKA "KULTURY"

Tom XXVI

JAN WINCZAKIEWICZ

IZRAEL W POEZJI POLSKIEJ

(Antologia)



CZESŁAW MIŁOSZ

KONTYNENTY

(*ZBIÓR ARTYKUŁÓW*
O PISARZACH RÓŻNYCH KRAJÓW,
NOTY, WIERSZE, PRZEKŁADY POETYCKIE)



JAN KOWALIK

KULTURA

(*BIBLIOGRAFICZNA ANALIZA* 10 *LAT* 1947-1957)



PAWEŁ ZAREMBA

HISTORIA POLSKI

(*DO ROKU* 1957)

Imprimerie RICHARD,
24, rue Stéphenson, Paris (XVIIIe)

Cena 400 frs.